

David  
**BALDACCI**  
Kolekcjonerzy  
tajemnic



**David Baldacci**

**Kolekcjonerzy tajemnic**

PSALM xxviii, xxviii.

thine heart be strengthened, & thine hope  
upon Iehovah set.

A psalme of David.

- I**EHOVAH, unto thee I cry,  
my Rock, be thou not deafe me from  
lest thou be dumb from mee & I  
be like them downe to pit that go.  
1 Hear thou the voyce of my request  
for grace, when unto thee I cry,  
when I lift up mine hands  
thine Oracle of Sanctity.  
2 With ill men draw me not away,  
with workers of unrighteousnes,  
that with their neighbours peace doe speak,  
but in their hands is wickednes.  
3 Give thou to them like to their works  
and like the evill of their deeds:  
give them like to their handy works,  
and render unto them their meeds.  
4 Because unto Iehovahs work  
they did not wise-attention yeild,  
neither unto his handy work,  
them he will wast, but not up-build.  
5 The Lord be blest, for he hath heard  
the voyce of my requests for grace.  
6 God is my strength, my shield, in him  
my heart did trust, & helpe I was:  
Therefore my heart will gladnes shew,  
and with my song I'll him confesse.  
7 The Lord of his annoynted ones

PSALME xxviii, xxxix.

- their strength, & towre of safety is.  
9 Salvation to thy people give,  
and blesse thou thine inheritance,  
and ev'n unto eternity,  
doe thou them feed & them advance.

*This. After the common tunes.*

- Save Lord, thy people, & doe thou  
blesse thine inheritance:  
and unto all eternity  
them feed & them advance.

Psalme 29

A psalme of David.

- V**Nto the Lord doe yee ascribe  
(o Sonnes of the mighty)  
unto the Lord doe yee ascribe  
glory & potency.  
2 Vnto the Lord doe yee ascribe  
his names glorious renowne,  
in beauty of his ho'ynes  
unto the Lord bow downe.  
3 The mighty voyce of Iehovah  
upon the waters is:  
the God of glory thundereth,  
God on great waters is.  
4 Iehovahs voyce is powerfull,  
Gods voyce is glorious,  
5 Gods voyce breaks Cedars: yea God breaks  
Cedars of Lebanus.  
6 He makes them like a calfe to skip:

F 2

PSALM xli.

mercifull unto mee,  
heale thou my soule, because that I  
have sinned against thee.

- 5 Those men that be mine enemies,  
with evill mee defame:  
when will the time come hee shall dye,  
and perish shall his name?  
6 And if he come to see mee, hee  
speaks vanity: his heart  
sin to it selfe heaps, when hee goes  
forth hee doth it impart.  
(2)  
7 All that me hate, against mee they  
together whisper still:  
against me they imagin doe  
to mee malicious ill.  
8 Thus doe they say some ill disease,  
unto him cleaveth fore:  
and seeing now he lyeth downe,  
he shall rise up noe more.  
9 Moreover my familiar freind,  
on whom my trust I set,  
his heele against mee lifted up,  
who of my bread did eat.  
10 But Lord me pittie, & mee rayse,  
that I may them requite.  
11 By this I know assuredly,  
in mee thou dost delight:  
For o're mee triumphs not my foe.  
12 And mee, thou dost mee stay,  
in mine integrity, & set't

PSALME xli, xlii.

- mee thee before for aye.  
13 Blest hath Iehovah Israels God  
from everlasting been,  
also unto everlasting:  
Amen, yea and Amen.

THE

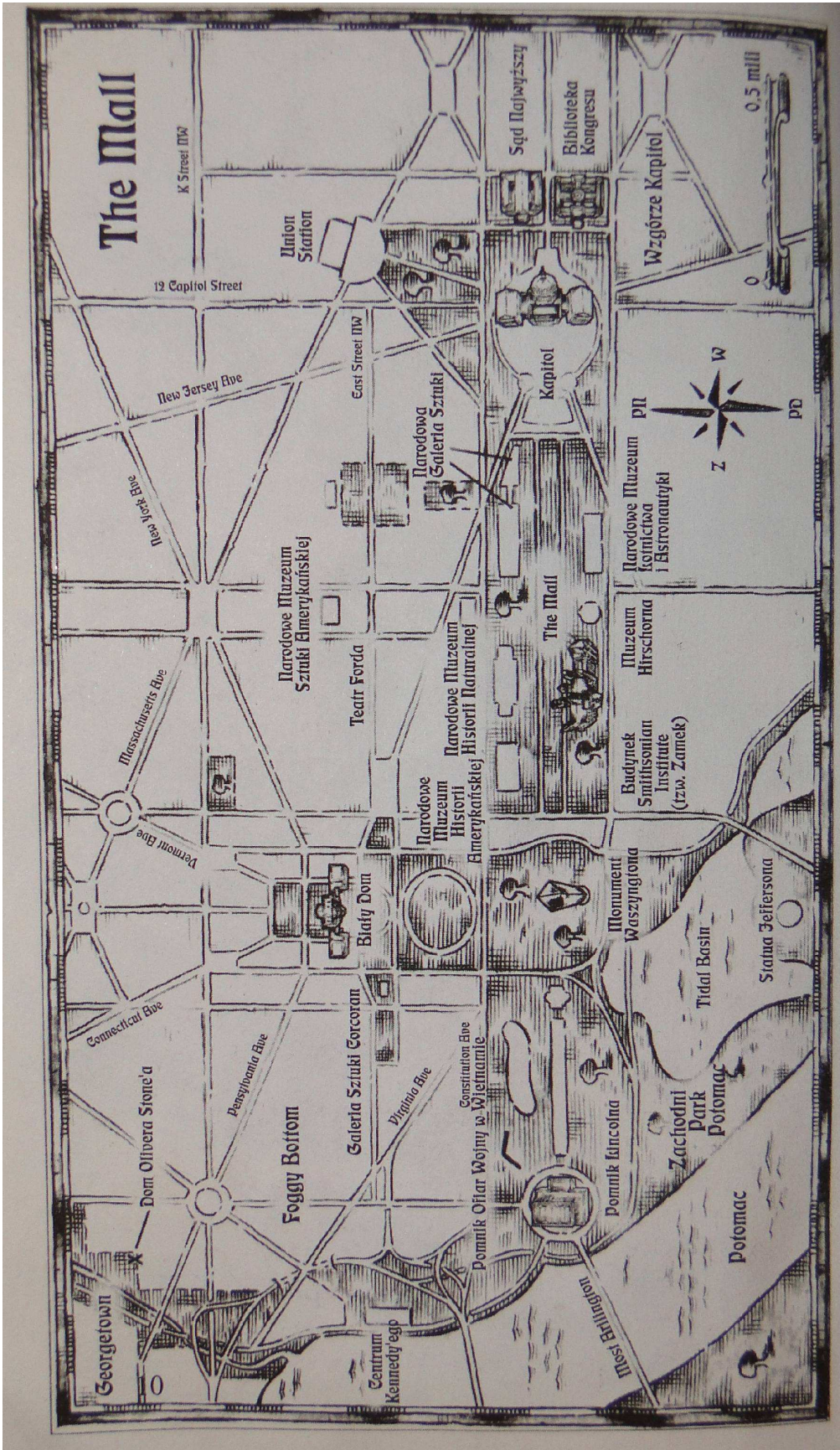
SECOND BOOKE.

PSALME 42

To the chief musician, Maschil, for the  
Sonnes of Korah.

- L**Ike as the Hart panting doth bray  
after the water brooks,  
even in such wise o God, my soule,  
after thee panting looks.  
2 For God, even for the living God,  
my soule it thirsteth fore:  
oh when shall I come & appeare,  
the face of God before.  
3 My teares have been unto mee meat,  
by night also by day,  
while all the day they unto mee  
where is thy God doe say.  
4 When as I doe in minde record  
these things, then me upon  
I doe my soule out poure, for I  
with multitude had gone:  
With them unto Gods house I went,  
with voyce of joy & prayse:

I wish



DAVID BALDACCI (ur. 1960), pisarz i prawnik w jednej osobie, z racji swojego wykształcenia i uprawianego gatunku literackiego jest często porównywany z Johnem Grishamem. Wszystkie jego powieści, m.in. WŁADZA ABSOLUTNA (1996 - zekranizowana z Clintem Eastwoodem i Genem Hackmanem w rolach głównych), PEŁNA KONTROLA (1997), DOWÓD PRAWDY (1998), KRYTYCZNY MOMENT (2003), KLUB WIELBŁĄDÓW (2005), KOLEKCJONERZY TAJEMNIC (2006), GENIUSZ (2007) i STONE COLD (2007) święciły triumfy na światowych listach bestsellerów. Ich przekłady ukazały się w aż 37 językach w łącznym nakładzie blisko 50 milionów egzemplarzy. W najnowszym thrillerze STONE COLD czytelnik może ponownie spotkać bohaterów KLUBU WIELBŁĄDÓW i KOLEKCJONERÓW TAJEMNIC.

Dla Arta i Lynette z wyrazami miłości i szacunku.

Oraz ku pamięci Jewell English.

## ROZDZIAŁ 1

Roger Seagraves wyszedł z Kapitolu po interesującym spotkaniu, które, co dziwne, miało niewiele wspólnego z polityką. Wieczorem, po podjęciu ważnej decyzji, siedział samotnie w salonie swojego skromnego podmiejskiego domu. Musiał kogoś zabić, a ten ktoś był bardzo znaczącym celem. W żadnej mierze go to nie zniechęcało, przeciwnie - postrzegał propozycję jako godne siebie wyzwanie.

Nazajutrz rano Seagraves pojechał do swojego biura w Wirginii Północnej. Siedząc przy biurku w małej, zagraconej klitce, podobnej do wszystkich innych biur wzdłuż korytarza, analizował decydujące elementy zadania. Wreszcie doszedł do wniosku, że zrobi to sam, bez angażowania osób trzecich. Zabijał wcześniej wiele razy, jedyna różnica polegała na tym, że tym razem nie pracował dla rządu. Miał zrobić to na własne konto.

Następne dwa dni spędził na starannych, decydujących przygotowaniach, wprawnie wtłoczonych pomiędzy zwykłe obowiązki. Wszelkie podejmowane działania miały być podporządkowane trzem imperatywom misji: 1) zrób to jak najprościej, 2) bądź przygotowany na wszelkie ewentualności, 3) nigdy nie panikuj, niezależnie od tego, jak bardzo ktoś czy coś pokrzyżuje ci plany, co zdarzało się od czasu do czasu. Gdyby istniała czwarta zasada, brzmiałaby następująco: wykorzystaj fakt, że w sprawach naprawdę ważnych, takich jak kwestia przeżycia, większość ludzi jest głupcami. Seagraves nigdy się do nich nie zaliczał.

Roger Seagraves miał czterdzieści dwa lata i był bezdzietnym kawalerem. Żona i bachory niewątpliwie skomplikowałyby jego niekonwencjonalny styl życia. Wcześniej, pracując dla rządu, pod różnymi przybranymi nazwiskami podróżował po świecie. Na szczęście w epoce komputerów zmiana tożsamości była zdumiewająco łatwa. Wystarczyło wcisnąć parę klawiszy della, a już gdzieś w Indiach mrucał serwer i z czyjejś drukarki laserowej wyskakiwał zupełnie nowy gość ze wszystkimi oficjalnymi bajerami i zdolnością kredytową.

Seagraves mógł kupić wszystko, czego potrzebował, na stronie internetowej, na którą wchodziło się po wpisaniu nazwy użytkownika i hasła. Strona była czymś w rodzaju domu towarowego Macy's dla przestępców, czasami zwanego przez klientów „EvilBay”. Tam człowiek mógł kupić wszystko - od pierwszorzędných kompletów dokumentów i skradzionych numerów kart kredytowych po usługi profesjonalnego zabójcy albo pozbawioną numerów seryjnych broń, jeśli sam zamierzał popełnić morderstwo. Seagraves zwykle kupował potrzebne rzeczy u sprzedawcy, który miał dziewięćdziesiąt dziewięć procent pozytywnych opinii klientów i gwarantował zwrot pieniędzy. Nawet zabójcy lubili usługi najwyższej jakości.

Roger Seagraves był wysoki, dobrze zbudowany i przystojny, miał gęste jasne falujące włosy; sprawiał wrażenie lekkoducha, a jego uśmiech był zaraźliwy. Oglądały się za nim dosłownie wszystkie kobiety, a także niektórzy zazdrośni mężczyźni. Często wykorzystywał swój urok. Kiedy musisz zabić albo oszukać, używasz wszystkich dostępnych narzędzi tak skutecznie, na ile to tylko możliwe. Tego też nauczył go rząd. Choć formalnie rzecz biorąc, Seagraves wciąż pracował dla Stanów Zjednoczonych, dorabiał sobie na boku. Jego „oficjalny” plan emerytalny był znacznie gorszy od emerytury, na jaką swoim zdaniem zasłużył po latach ryzykowania życia dla flagi w kolorowe czerwonym, białym i niebieskim. Dla niego była głównie czerwona.

Trzeciego dnia po południu, po pouczającej wizycie na Kapitolu, Seagraves nieco zmienił wygląd twarzy i włożył kilka warstw ubrań. O zmierzchu pojechał furgonetką do północno-zachodniej części Waszyngtonu, gdzie paranoiczni ochroniarze patrolują ambasady i prywatne rezydencje.

Zaparkował na podwórku za budynkiem stojącym naprzeciwko ekskluzywnego klubu, który mieścił się w imponującym ceglany georgiańskim domu. Klub skupiał bogate osoby mające obsesję na punkcie polityki, a w Waszyngtonie takich osób jest więcej niż w każdym innym mieście na świecie. Członkowie klubu lubili gromadzić się przy znośnym jedzeniu i średniej jakości winie, żeby ku pokrzepieniu serc rozmawiać o sondażach, polityce i wpływach.

Seagraves był ubrany w niebieski kombinezon z napisem „Obsługa” na plecach. Dorobionym wcześniej kluczem otworzył prosty zamek budynku, który czekał na generalny remont. Niosąc skrzynkę na narzędzia, po dwa stopnie naraz wbiegł na najwyższe piętro i wszedł do pokoju od ulicy. Zapalił latarkę i rozejrzał się po pustym wnętrzu, skupiając uwagę na oknie. W czasie wcześniejszej wizyty otworzył je i porządnie naoliwił.

Otworzył skrzynkę i szybko złożył karabin snajperski. Przymocował tłumik, załadował jeden nabój - nie można było odmówić mu pewności siebie - przysunął się do okna i podniósł je o pięć centymetrów, na tyle, żeby zmieścił się tłumik. Spojrzał na zegarek, a potem rozejrzał się po ulicy. Nie bał się, że ktoś go dostrzeże, bo budynek spowijały ciemności. Poza tym soczewka lunetki pokryta była powłoką antyrefleksyjną, a dzięki wymyślnej technice camoflex karabin zmieniał kolor, dostosowując się do tła.

Kto by pomyślał, czego rodzaj ludzki nauczył się od niepozornej émy.

Kiedy limuzyna i wóz ochrony zajechały pod klub, Seagraves wziął na muszkę jednego z pasażerów, ale nie strzelił. Jeszcze nie pora. Mężczyzna wszedł do klubu eskortowany przez ochroniarzy, którzy wyróżniali się słuchawkami w uszach i byczymi karkami w krochmalonych kołnierzykach. Seagraves odprowadził wzrokiem oba odjeżdżające pojazdy.

Jeszcze raz spojrzął na zegarek: dwie godziny czekania. Rozglądał się po ulicy, gdy limuzyny i taksówki przywoziły poważne kobiety nie w diamentach od DeBeersa i kreacjach od Versacego, ale w eleganckich gotowych garsonkach i gustownej biżuterii; kobiety doskonale zorientowane w najdrobniejszych niuansach towarzyskich i politycznych. Towarzyszący im równie poważni mężczyźni chronili się za garniturami w prążki, nijakimi krawatami i czymś, co wyglądało na złe nastawienie. Nie polepszy się, możecie mi wierzyć. Minęło sto dwadzieścia minut, a jego spojrzenie ani razu nie oderwało się od ceglanej fasady. Przez wielkie frontowe okna widział tłum ludzi, którzy hołubili drinki i mruzczyli cichymi, konspiracyjnymi głosami. W porządku, pora przejść do interesów. Jeszcze raz szybko omiół ulicę wzrokiem. Nikt nie patrzył w jego stronę. Przez lata pracy stwierdził, że oni nigdy nie patrzą. Seagraves czekał cierpliwie, aż cel ostami raz przetnie krzyż nitek, potem jego palec przywarł do spustu. Nieszczerólnie lubił strzelać przez szybę, choć nie miała ona wpływu na lot pocisku, jakiego używał.

Plask! Ułamek sekundy później rozległ się brzęk szkła i głośny łoskot, z jakim tęgi mężczyzna upadł na wypolerowaną dębową podłogę. Kongresman Robert Bradley nie poczuł bólu. Kula zabiła go, zanim mózg kazał ustom otworzyć się do krzyku. Niezły sposób zejścia.

Seagraves spokojnie odłożył karabin i zdjął kombinezon, pod którym miał mundur policyjny. Włożył czapkę i zszedł po schodach do drzwi na tyłach domu. Gdy wyszedł z budynku, usłyszał krzyki po drugiej stronie ulicy. Od strzału minęło tylko dziewiętnaście sekund, wiedział to, bo odliczał je w myśli. Ruszył szybko ulicą, wciąż mierząc czas akcji. W pewnej chwili usłyszał głośne wycie silnika zapowiadające początek starannie wyreżyserowanej sceny. Zaczął biec, wyciągając pistolet. Miał pięć sekund na dotarcie do celu. Skręcił za róg i w ostatniej chwili uskoczył, unikając potrącenia przez pędzącego sedana. Przeturlał się i poderwał na środku jezdni.

Ludzie z drugiej strony ulicy krzyczeli do niego, wskazując wóz. Odwrócił się, oburącz chwycił pistolet i zaczął strzelać do uciekinierów. Huk ślepeków brzmiał przekonująco, dokładnie jak ostrej amunicji. Wystrzelił pięć razy i wszedł do zaparkowanego samochodu,

który wyglądał na nieoznakowany wóz policyjny. Samochód z ryczącą syreną i wystawionym na dach błyskającym kogutem pomknął za znikającym sedanem.

Na następnym skrzyżowaniu „ścigany” pojazd skręcił w lewo, potem w prawo i zatrzymał się w bocznej uliczce. Kierowca wysiadł, pobiegł do zielonego volkswagena garbusa i odjechał.

Drugi wóz przerwał pościg, gdy znalazł się poza zasięgiem wzroku ludzi z klubu. Ze zgaszonymi światłami i wyłączoną syreną pojechał w przeciwnym kierunku niż pierwszy. Mężczyzna za kierownicą ani razu nie spojrzął na Seagravesa, który na tylnym siedzeniu szybko zdejmował mundur. Pod spodem miał obcisły jednoczęściowy strój do biegania. Obuwia nie musiał zmieniać, miał na nogach czarne tenisówki. Na podłodze siedział sześciomiesięczny czarny labrador w kagańcu. Samochód skręcił w boczną ulicę, potem w lewo na następnym rogu, i zatrzymał się przed parkiem, pustym o tak później porze. Seagraves zabrał psa i wysiadł, wóz odjechał.

Seagraves mocno trzymał smycz, biegnąc truchtem ze swoim pupilem. Kiedy skręcili na następnym rogu, przemknęły obok nich cztery radiowozy. Ani jeden gliniarz z tej kawalkady nawet na nich nie spojrzął.

Chwilę później w innej części miasta w niebo pomknęła kula ognia. Do wybuchu doszło w wynajętej i na szczęście pustej rezydencji zastrzelonego kongresmana. Początkowo uznano, że eksplozja nastąpiła wskutek wycieku gazu. Później, zważywszy na okoliczności śmierci Boba Bradleya, władze federalne zaczęły szukać innego wyjaśnienia, ale nie szło im łatwo.

Seagraves przebiegł trzy przecznice, porzucił psa, wsiadł do czekającego samochodu i niespełna godzinę później wrócił do domu. Rząd Stanów Zjednoczonych będzie musiał znaleźć nowego przewodniczącego Izby Reprezentantów na miejsce zamordowanego Roberta „Boba” Bradleya. To nie powinno być zbyt trudne, pomyślał Seagraves nazajutrz, gdy przeczytał w porannej gazecie artykuł o śmierci Bradleya i jechał do pracy. Przecież to cholerne miasto pełne jest cholernych polityków. Bodaj ich krew zalała. Krew zalała? Święte słowa. Podjechał do strzeżonej bramy i pokazał identyfikator. Uzbrojony strażnik, który dobrze go znał, machnął ręką, zezwalając mu na wjazd.

Seagraves wszedł frontowymi drzwiami do wielkiego gmachu w Langley w stanie Wirginia. Minął kolejne punkty kontrolne, a potem ruszył do swojego ciasnego, szablonowego biura o powierzchni dwa i pół metra na trzy. Był teraz urzędnikiem średniego szczebla i jego główne zajęcie polegało na pośredniczeniu pomiędzy agencją a nieudolnym baranem z Kapitolu, który nie wiadomo dlaczego został wybrany na to stanowisko. Praca nawet w przybliżeniu nie wymagała takiego wysiłku jak dawna robota i była niejako kością rzuconą mu w nagrodę za chwalebłą służbę. Obecnie, inaczej niż dziesiątki lat temu, CIA pozwalała swoim „specjalnym” pracownikom wychodzić z cienia, gdy osiągnęli wiek, kiedy refleks już nie ten, a i entuzjazm do pracy maleje.

Gdy Seagraves przerzucił stos nudnych papierów, zdał sobie sprawę, jak bardzo będzie tęsknił za zabijaniem. Przypuszczał, że ludzie, którzy raz zamordowali za pieniądze, nigdy nie przewyciężają tej żądzy krwi. Przynajmniej zeszła noc przywołała odrobinę dawnej chwały.

Usunął jeden problem z drogi, lecz prawdopodobnie jego miejsce niebawem zajmie następny. Ale Roger Seagraves był pomysłowym specem od usuwania problemów. Po prostu miał to we krwi.



## ROZDZIAŁ 2

Wielkie kłęby czarnego dymu - z pewnością zawierające dość czynników rakotwórczych, żeby zaszkodzić kilku przyszlým, niczego niepodejrzewającym pokoleniom - buchały z wiekowych ceglanych kominów fabrycznych w niebo już ciemne od chmur deszczowych. W zaułku tego przemysłowego miasta, które umierało z powodu groszowych pensji wypłacanych w znacznie bardziej zanieczyszczonych metropoliach Chin, niewielki tłum zebrał się wokół jednego człowieka. Nie był to ani trup na miejscu zbrodni, ani uliczny Szekspir, doskonalący swój warsztat sceniczny, ani nawet kaznodzieja za skromny datek kupczący Jezusem i odkupieniem. Ten człowiek, znany w branży jako szuler, robił wszystko, co w jego mocy, żeby oskubać frajerów w grze zwanej trzy karty.

Naganiacze co jakiś czas wygrywali ustawione zakłady, żeby frajerzy nie tracili nadziei na swój łut szczęścia. Ściana, czyli czujka, była nieco niemrawa. Tak na podstawie ruchów i apatycznych oczu oceniła go kobieta obserwująca grupę z drugiej strony uliczki. Nie znała goryla, który również wchodził w skład szajki kanciarzy, ale uznała, że nie będzie z nim problemu, bo robił wrażenie powolnego fajtlapy. Dwaj naganiacze byli młodzi i energiczni. Jak sugerował tytuł, ich robota polegała na dopilnowaniu, aby stały strumień naiwnych zasiadał do gry, w której nie mieli szans wygrać.

Kobieta podeszła bliżej, patrząc, jak rozentuzjasmowani gapie, w zależności od wygranego lub przegranego zakładu, na przemian klaszczą i wydają przeciągłe okrzyki zawodu. Zaczęła karierę jako współniczka jednego z najlepszych szulerów w kraju. Tamten oszust mógł rozstawić stolik dosłownie w każdym mieście i godzinę później odchodził z co najmniej dwoma kawałkami w kieszeni, a frajerzy nie mieli pojęcia, że padli ofiarą czegoś więcej niż pecha. Ten szuler był znakomity i z ważnego powodu został wyszkolony przez tego samego człowieka co ona. Patrząc doświadczonego okiem, uznała, że stosuje metodę dublowania królowej, którą w krytycznym momencie zastępował kartą leżącą na wierzchu, co było kluczem do wygranej.

Prostym celem gry w trzy karty, jak tej w trzy kubki, od której się wywodzi, jest wskazanie królowej wśród trzech kart, które szuler rozrzuca z oszałamiającą prędkością. Wygrana nie jest możliwa, skoro w chwili wskazywania karty damy nie ma już na stole. Sekundę przed ujawnieniem zwycięskiej figury szuler płynnym ruchem zastępuje królową inną kartą i pokazuje ją zebranym. Ten prosty „szybki numer” pozwala oskubać każdego, od markiza do majtka, dopóki karty są w grze.

Kobieta wsunęła się za kontener na śmieci, nawiązała kontakt wzrokowy z kimś w tłumie i założyła duże okulary słoneczne. Chwilę później uwagę mężczyzny stojącego na czujce rozproszyła wystrzałowa babka w mikroskopijnej minispódniczce. Dziewczyna pochyliła się wprost przed nim po upuszczone pieniądze, zapewniając mu piękny widok na jędrne pośladki i czerwone stringi, które niewiele robiły, żeby je zakryć. Mężczyzna nie wątpił, że spotkało go niesłychane szczęście. Ale tutaj, jak w przypadku gry w trzy karty, o szczęściu nie mogło być mowy. Kobieta wcześniej zapłaciła dziewczynie za wykonanie tej sztuczki i dała jej sygnał, zakładając okulary. Ta prosta metoda rozpraszania działa na mężczyzn, od czasu gdy kobiety zaczęły nosić ubrania.

Cztery szybkie kroki i kobieta w okularach znalazła się wśród oszustów. Tłum rozstał się w jednej chwili, gdy szła pewnym, energicznym krokiem. Oszołomiony czujka tylko beznadnie wlepił w nią oczy.

- Dobra - warknęła, pokazując legitymację. - Dokumenty. - Długim palcem wskazała szulera, niskiego, pulchnego mężczyznę w średnim wieku z małą czarną bródką, bystrzymi zielonymi oczami i najzwinniejszymi rękami w kraju. Mężczyzna przyjrzał się jej spod daszka baseballówki, powoli sięgnął do kieszeni i wyciągnął portfel.

- W porządku, proszę państwa, przedstawienie skończone - oznajmiła kobieta, odchylając połą żakietu, żeby mogli zobaczyć srebrną odznakę przypiętą do pasa. Wiele osób zaczęło się oddalać. Kobieta, która przerwała grę, miała około trzydziestu pięciu lat. Wysoka i barczysta, miała wąskie biodra, smukłą umięśnioną szyję i długie rude włosy. Nosiła czarne dżinsy, zielony golf i krótką skórzaną kurtkę. Pod prawym okiem miała niewielką czerwonawą bliznę w kształcie haczyka, ale w tej chwili zasłaniały ją okulary. - Koniec zabawy. Zabierać forszę i spływać - poleciła głosem niższym o oktawę.

Zauważyła, że zakłady leżące na stole znikły, w chwili gdy tylko się odezwała. Dokładnie wiedziała, gdzie się podziały. Szuler był dobry, zareagował błyskawicznie i przejął kontrolę nad jedyną rzeczą, jaka miała znaczenie: nad pieniędzmi. Ludzie uciekali, nie myśląc o wyklócaniu się o straconą gotówkę.

Mięśniak z wahaniem zrobił krok w jej stronę, ale zamarł, gdy wbiła w niego oczy.

- Nawet o tym nie myśl. W federalnym pierdlu uwielbiają takich tłuscioszków. - Lubieżnie zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. - Dostaną więcej mięsa niż zwykle. - Goryłowi zadrżały usta, gdy się cofnął i próbował wtopić w ścianę.

Podeszła do niego.

- Ho, ho, wielki chłopcze. Kiedy kazałam spływać, chodziło mi również o ciebie.

Osilek spojrział nerwowo na drugiego mężczyznę, który powiedział:

- Zjeżdżaj. Poszukam cię później.

Po ucieczce mięśniaka kobieta sprawdziła dokumenty szulera, oddała je z uśmiechem i kazała mu stanąć pod murem, żeby go obszukać. Wzięła kartę ze stolika i odwróciła, pokazując mu czarną królową.

- Wygląda na to, że wygrałam.

Szuler spokojnie spojrział na kartę.

- Odkąd to federalni interesują się nieszkodliwą grą losową?

Odłożyła kartę na stół.

- Dobrze, że ci frajerzy nie mają pojęcia, jak bardzo „losowa” naprawdę jest ta gra. Może powinnam oświecić paru roślejszych facetów, którzy być może wrócą po przegraną forszę i porządnie przetrzepią ci skórę.

Spojrział na czarną królową.

- Jak powiedziałaś, wygrałaś. Może powiesz, ile? - Wyciągnął zwitek banknotów z saszetki u paska.

W odpowiedzi wyjęła legitymację, odpięła odznakę od pasa, rzuciła jedno i drugie na stół. Mężczyzna popatrzył.

- Śmiało - zachęciła go mimochodem. - Nie mam tajemnic.

Podniósł legitymację. Nie poświadczała, że jest funkcjonariuszką organu ochrony porządku publicznego. Za plastikową osłonką widniała karta członkowska Klubu Hipermarketu Costco. Odznaka była blaszana, ozdobiona logo niemieckiego piwa.

Kobieta zdjęła okulary. Szuler szeroko otworzył oczy, gdy ją rozpoznał.

- Annabelle?

Annabelle Conroy powiedziała:

- Leo, do cholery, co ty sobie wyobrażasz, grając w trzy karty z bandą nieudaczników w tej gównianej namiastce miasta?

Leo Richter wzruszył ramionami, ale uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Nastaly ciężkie czasy. Moi chłopcy są w porządku, trochę zieloni, ale się uczą. A trzy karty nigdy nas nie zawiodły, prawda? - Machnął zwitkiem banknotów i schował je do saszetki. - Mała ryzykantka udaje glinę - zbeształ ją łagodnie.

- Ani razu nie powiedziałam, że jestem gliną, ludzie po prostu tak założyli. Dlatego robimy karierę, Leo. Jeśli masz jaja, ludzie uwierzą, w co tylko zechcesz. Ale twoja próba przekupienia gliny?

- Z mojego skromnego doświadczenia wynika, że częściej się udaje, niż nie udaje - odparł Leo. Wyłowił z kieszeni koszuli paczkę papierosów, zaproponował Annabelle. Odmówiła.

- Ile zarobiłeś na tym występie? - zapytała rzeczowo. Leo spojrzał na nią podejrzliwie. Zapalił winstona, zaciągnął się i wydmuchnął dym przez nos. Miniaturowy obłoczek pasował do cuchnących kłębow, które buchały z kominów.

- Da się wyżyć. Ale muszę dbać o pracowników.

- Pracowników! Tylko mi nie mów, że wypełniasz ich zeznania podatkowe. - Nim zdążył odpowiedzieć, dodała: - Nie zamierzam robić ci konkurencji, Leo. Więc ile? Pytam nie bez powodu. - Skrzyżowała ręce na piersi i oparła się o ścianę, czekając.

Wzruszył ramionami.

- Zwykle pracujemy w pięciu miejscach na zmianę, jakieś sześć godzin dziennie. W dobry dzień zgarniamy trzy, cztery kawałki. Pełno tu chłopców ze związków zawodowych. Zawsze ich korci, żeby stracić gotówkę. Niebawem ruszamy dalej. Znosi się na kolejne zwolnienia z pracy, a poza tym nie chcemy, żeby ludzie za dobrze zapamiętali nasze twarze. Ale przecież nie muszę ci tego tłumaczyć. Biorę sześćdziesiąt procent zysku, lecz w dzisiejszych czasach koszty są wysokie. Zaoszczędziłem jakieś trzydzieści kawałków. Chciałbym podwoić tę kwotę przed zimą. To zajmie trochę czasu.

- Znając cię, dokładnie trochę. - Annabelle Conroy podniosła piwną odznakę i kartę z Costco. - Zainteresowany prawdziwymi pieniędzmi?

- Ostatnim razem, gdy pytałaś, o mało mnie nie zastrzelili

- O mało nas nie zastrzelili, bo zrobiłeś się chciwy. Teraz żadne z nich się nie uśmiechało.

- O co chodzi? - zapytał Leo.

- Powiem ci po paru głębszych. Potrzebuję trochę szmalu na wielki przekręt.

- Wielki przekręt! Kto jeszcze robi takie rzeczy?

Przekrzywiła głowę i spojrzała na niego z góry. W butach na wysokich obcasach miała sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu.

- Ja. Prawdę mówiąc, nigdy nie przestałam.

Popatrzył na jej długie rude włosy.

- Czy zeszłym razem nie byłaś brunetką?

- Jestem taka, jaka muszę być.

Uśmiechnęła się.

- Nic się nie zmieniłaś!

Jej spojrzenie nieco stwardniało.

- Nie, zmieniłam się. Na lepsze. Wchodzisz?

- Jakie ryzyko?

- Wysokie, podobnie jak nagroda.

Rozjazgotał się alarm samochodowy, decybele zaatakowały uszy. Żadne z nich nawet nie drgnęło. Oszuści, którzy tracą zimną krew w obojętnie jakich okolicznościach, trafiają albo za kratki, albo do grobu.

Leo zamrugął.

- Dobra, wchodzę. Co teraz?

- Teraz ugadamy się z paroma innymi.

- Gwiazdorska obsada? - Oczy mu rozblęły na tę myśl.

- Wielki przekręt zasługuje tylko na to, co najlepsze. - Podniosła czarną królową. - Za wyciągnięcie damy z twojej „magicznej” talii przyjmę wypłatę w postaci kolacji.

- Obawiam się, że nie ma tu wielu restauracji, w których warto się stołować.

- Nie tutaj. Za trzy godziny lecimy do Los Angeles.

- Za trzy godziny? Nie jestem spakowany. I nie mam biletu.

- Masz, w lewej kieszeni marynarki. Wsunęłam go, gdy cię obmacywałam. - Popatrzyła na jego obwisły brzuch i uniosła brew. - Przybrałeś na wadze, Leo.

Odwróciła się i odeszła. Leo wsunął rękę do kieszeni i znalazł bilet lotniczy. Zgarnął karty i pospieszył za nią, zostawiając stolik.

Trzy karty poszły na urlop. Zaczynał się wielki przekręt.

### ROZDZIAŁ 3

Tego wieczoru przy kolacji Annabelle wtajemniczyła Leo w elementy swojego planu. Powiedziała mu też o graczach, których zamierzała wprowadzić.

- Brzmi nieźle, ale na czym ten wielki przekręt ma polegać? Nie pisnęłaś ani słowa.

- Na wszystko przyjdzie kolej - odparła, obracając w palcach kieliszek. Jej spojrzenie wędrowało po eleganckim wnętrzu restauracji, automatycznie wypatrując potencjalnych celów.

Zrób wdech, znajdź matoła. Ubrana w małą czarną Annabelle odgarnęła farbowane rude włosy i napotkała spojrzenie faceta, który siedział trzy stoliki dalej. Palant od godziny pożerał ją wzrokiem, podczas gdy jego upokorzona towarzysząca wściekała się w milczeniu. Teraz powoli oblizwał usta i puścił do niej oko.

Ho, ho, cwaniaczku, za wysokie progi.

Leo przerwał jej rozmyślenia.

- Słuchaj, Annabelle, nie zamierzam cię wyrolować. Do diabła, przebyłem dla ciebie szmat drogi.

- Zgadza się, za moją forszę.

- Jesteśmy współnikami, możesz mi powiedzieć. Nikomu nie powtórzę.

Jej spojrzenie przesunęło się nad jego głowę, gdy dopijała caberneta.

- Leo, nie wysilaj się, nawet nie umiesz dobrze kłamać.

Podszedł kelner, podał jej wizytówkę.

- Od tamtego pana - powiedział, wskazując mężczyznę, który rozbierał ją wzrokiem.

Annabelle wzięła wizytówkę. Mężczyzna był łowcą talentów. Na odwrocie uprzejmie opisał, w jaki sposób chciałby ją przelecieć.

Dobra, panie łowco talentów. Sam się o to prosileś.

W drodze do wyjścia przystanęła przy stoliku, przy którym siedziało pięciu krzepkich facetów w prążkowanych garniturach. Powiedziała coś, a oni się roześmieli. Jednego poklepała po głowie, a drugiego, barczystego czterdziestolatka, cmoknęła w policzek. Wszyscy odpowiedzieli śmiechem na jej słowa. Przysiadła się i rozmawiała z nimi parę minut. Leo patrzył z zaciekawieniem, gdy wstała i ruszyła do drzwi.

Gdy mijala łowcę talentów, ten zagadnął:

- Hej, skarbie, zadzwoń do mnie. Poważnie. Twój ogień mnie rozpala.

Wzięła szklankę wody z tacy przechodzącego kelnera.

- To powinno cię ostudzić, ogierze. - Wylała wodę na spodnie faceta, który podskoczył jak oparzony.

- Cholera! Zapłacisz za to, głupia dziwko.

Jego towarzysząca podniosła dłoń do ust, żeby ukryć uśmiech. Gdy mężczyzna poderwał rękę, Annabelle błyskawicznie złapała go za nadgarstek.

- Widzisz tych panów? - Skinęła głową w stronę pięciu gości, którzy patrzyli na niego wrogo. Jeden strzelał kostkami palców. Drugi wsunął rękę w zanadrze marynarki.

Annabelle podjęła gładko:

- Skoro gapisz się na mnie przez cały wieczór, musiałeś widzieć, jak z nimi rozmawiałam. Należą do rodziny Moscarellich. Ten na końcu to mój były, Joey Junior.

Formalnie rzecz biorąc, nie należę do rodziny, ale z klanu Moscarellich nigdy się nie odchodzi.

- Moscarelli? - powtórzył mężczyzna wyzywająco. - A kim oni są, do licha?

- Byli rodziną numer trzy w przestępczości zorganizowanej w Vegas, zanim FBI nie przegoniło ich wraz ze wszystkimi innymi. Teraz wrócili do robienia tego, co umieją najlepiej, kontrolują związek śmieciarzy w Nowym Jorku i Newark. - Ścisnęła jego ramię. - Jeśli masz jakiś problem z mokrymi gaciami, jestem pewna, że Joey się tym zajmie.

- Myślisz, że kupię te bzdety? - parsknął facet.

- Jeśli mi nie wierzysz, podejdź i z nimi pogadaj.

Mężczyzna jeszcze raz spojrzął na stół. Joey Junior w muskularnej ręce trzymał nóż do steków. Jeden z kolegów przytrzymał go, nie pozwalając mu wstać. Annabelle mocniej ścisnęła ramię mężczyzny.

- Chcesz, żebym zawołała Joey'a i któregoś z jego kolegów? Nie ma obawy, nie uszkodzi cię zbyt poważnie, bo jest na zwolnieniu warunkowym i nie chce zadzierać z federalnymi.

- Nie, nie! - Mężczyzna spuścił z tonu, odrywając spojrzenie od groźnego Joeya Juniora i jego noża do steków. Dodał cicho: - Nie ma sprawy. To tylko odrobina wody. - Usiadł, osuszając serwetką mokre krocze.

Annabelle zwróciła się do jego towarzyszk, która bezskutecznie próbowała powstrzymać się od śmiechu:

- Uważasz, że to zabawne, skarbie? W tym przypadku wszyscy śmieją się z ciebie, nie razem z tobą. Może spróbujesz znaleźć w sobie choć odrobinę godności. Jeśli nie, będziesz się budziła wyłącznie z takimi gówniarzami, aż w końcu zrobisz się taka stara, że wszyscy będą mieli cię w dupie. Łącznie z tobą.

Kobieta przestała chichotać. Gdy wychodzili z restauracji, Leo powiedział:

- O rany, pomyśleć, że traćłem czas na czytanie życiowych poradników Dale'a Carnegiego. Wystarczyło trzymać się ciebie.

- Opuść sobie, Leo.

- Dobra, ale rodzina Moscarellich? Daj spokój. Kim naprawdę są ci goście?

Księgowymi z Cincinnati, którzy pewnie szukają pańienek na wieczór.

- Miałaś fart, że wyglądali na twardzieli.

- To nie fart. Powiedziałam, że ćwiczę z kolegą scenę z filmu, że tutaj to normalka.

Poprosiłam, żeby udawali chłopców z ferajny, tworząc odpowiedni klimat. Powiedziałam, że jeśli dobrze się spiszą, może nawet dostaną role. Z pewnością to było najbardziej ekscytujące zdarzenie w ich życiu.

- Tak, ale skąd wiedziałaś, że ten palant cię zaczepi?

- Sama nie wiem, Leo, może przez ten maszt namiotowy w jego spodniach. Myślisz, że chlusnęłam mu wodą w krocze dla draki?

\* \* \*

Nazajutrz Annabelle i Leo jechali wynajętym ciemnoniebieskim lincolnem po Wiltshire Boulevard w Beverly Hills. Leo uważnie przypatrywał się mijanym sklepom.

- Jak się o nim dowiedziałaś?

- Ze zwyczajnych źródeł. Jest młody i nie ma dużego doświadczenia w pracy na ulicy, ale mnie interesuje jego specjalizacja.

Annabelle wjechała na parking i wskazała witrynę sklepu.

- Tam spec od gadżetów kantuje klientów.

- Jaki jest?

- Bardzo metroseksualny.

Leo popatrzył na nią pytająco.

- Metroseksualny? A co to, do cholery, znaczy? Jakaś nowa odmiana geja?

- Naprawdę musisz częściej bywać między ludźmi, Leo. I popracuj nad poprawnością polityczną.

Minutę później Annabelle wprowadziła Leo do ekskluzywnego butiku. Przywitał ich szczupły, przystojny młody mężczyzna ubrany w elegancką czerń. Miał przyлизane jasne włosy i modny jednodniowy zarost.

- Jesteś dzisiaj sam? - zapytała Annabelle, spoglądając na nadziane klientki. Wiedziała, że muszą być zamożne. Tutaj rozmowa o butach zaczynała się od tysiąca dolców za parę, a uiszczenie tej sumy dawało szczęśliwej nabywczym prawo do zataczania się na dziesięciocentymetrowych szpilkach, dopóki nie pękną jej ścięgna Achillesa.

Skinął głową.

- Ale lubię pracę w sklepie. Dbam o jakość usług.

- Jestem pewna - szepnęła Annabelle.

Czekając, aż klientki opuszczą sklep, przekreśliła tabliczkę na drzwiach i teraz od strony ulicy widniał napis „zamknięte”. Leo zaniósł do kasy damską bluzkę, a Annabelle w tym czasie wsunęła się za ladę. Sprzedawca wziął od Leo kartę kredytową, ale wypadła mu z ręki. Schylił się po nią. Gdy się wyprostował, Annabelle stała tuż za nim.

- Masz tu naprawdę ładną zabawkę - powiedziała, patrząc na maleńkie urządzenie.

Sprzedawca zdążył przeciągnąć kartą Leo przez szczelinę.

- Proszę pani, nie wolno wchodzić za ladę - odparł, marszcząc czoło.

Annabelle zignorowała jego słowa.

- Sam to skonstruowałaś?

- To urządzenie do weryfikacji - oznajmił sprzedawca zdecydowanie. - Potwierdza ważność karty. Sprawdza kody. Mieliśmy tu mnóstwo skradzionych kart kredytowych, dlatego właściciel polecił nam go używać. Staram się robić to dyskretnie, żeby klient nie czuł się zakłopotany. Jestem pewien, że pani rozumie.

- Tak, oczywiście. - Annabelle wyciągnęła rękę i wysunęła urządzenie. - Tony, ta zabawka odczytuje nazwisko, numer konta i kod na pasku magnetycznym, żebyś mógł podrobić kartę.

- Albo, co bardziej prawdopodobne, sprzedać numery gangowi oszustów, którzy się tym zajmują - wtrącił Leo. - W ten sposób nie musisz brudzić swoich metroseksualnych rąk.

Tony popatrzył na nich.

- Skąd znacie moje imię? Jesteście z policji?

- Znacznie lepiej - odparła Annabelle, obejmując jego szczupłe ramiona. - Jesteśmy ludźmi takimi jak ty.

\* \* \*

Dwie godziny później Annabelle i Leo szli wzdłuż przystani w Santa Monica. Dzień był bezchmurny, a oceaniczna bryza niosła fale rozkosznie ciepłego powietrza. Leo wytarł czoło chusteczką, zdjął marynarkę i zarzucił na ramię.

- Cholera, zapomniałem, jak tu bywa ładnie.

- Piękna pogoda i najlepsze cele na świecie - powiedziała Annabelle. - Dlatego tu jesteśmy. Ponieważ tam, gdzie są najlepsze cele...

- Tam są najlepsi oszuści - dokończył. Skinęła głową.

- To on, Freddy Driscoll, książę lewych papierów.

Leo spojrział przed siebie, i mrużąc oczy w słońcu, przeczytał napis nad niewielkim straganem.

- Projektant Nieba?

- Zgadza się. Rób, co powiedziałam.
- Czy jest inna możliwość, niż robić to, co każesz? - mruknął Leo.

Zbliżyli się do stoiska, gdzie leżały schludnie poukładane dzinsy, firmowe torebki, zegarki i inne akcesoria. Starszy mężczyzna przywitał ich uprzejmie. Był niski, pulchny, miał sympatyczną twarz, spod słomkowego kapelusza wystawały kępki białych włosów.

- Nadzwyczaj niskie ceny - powiedział Leo, patrząc na wyłożone towary.

Mężczyzna uśmiechnął się z dumą.

- Nie ponoszę takich kosztów jak ekskluzywne sklepy, nie muszę płacić za słońce, piasek i ocean.

Przejrzeli towary, wybrali parę drobiazgów i Annabelle wyjęła banknot studolarowy.

Sprzedawca założył okulary o grubych szklach, ustawił banknot pod pewnym kątem i oddał go szybko.

- Przykro mi, proszę pani, jest fałszywy.

- Masz rację - przyznała beztrząsco. - Ale uznałam, że uczciwie jest płacić fałszywymi pieniędzmi za fałszywe towary.

Mężczyzna nawet nie mrugnął, tylko uśmiechnął się do niej łagodnie.

Annabelle przyjrzała się banknotowi w taki sam sposób jak on.

- Problem polega na tym, że nawet najlepszy fałszerz nie zdoła skopiować hologramu Franklina. Chcąc zrobić to właściwie, trzeba by mieć drukarkę za dwieście milionów dolarów. W Stanach jest tylko jedna taka i żaden fałszerz nie ma do niej dostępu.

- Bierzesz więc kredkę świecową i robisz elegancki szkic starego Benjamina - wtrącił Leo. - Każdy, kto jest dość cwany, żeby sprawdzić papier, widzi błysk i ma wrażenie, że patrzy na hologram.

- Ty jednak dostrzegłeś różnicę - zaznaczyła Annabelle. - Ponieważ nikt nie podrabiał papierów lepiej od ciebie. - Podniosła parę dzinsów. - Ale powiem twojemu dostawcy, żeby wybijał znak firmowy na suwaku jak prawdziwi producenci. - Odłożyła dzinsy i sięgnęła po torebkę. - Podwójny szew na pasku. To ją zdradza.

Leo podniósł wystawiony na sprzedaż zegarek.

- A prawdziwe roleksy nie mają sekundnika.

- Naprawdę jestem wstrząśnięty - powiedział sprzedawca. - Nie miałem pojęcia, że te rzeczy są podrobione. Parę minut temu widziałem na nabrzeżu funkcjonariusza policji. Pójdę po niego. Proszę nie odchodzić, będzie chciał spisać państwa zeznania.

Annabelle złapała go za rękę długimi, giętkimi palcami.

- Nie marnuj dla nas twojej bajeczki. Pogadajmy.

- O czym? - zapytał czujnie.

- O dwóch szybkich numerach i jednym dużym przekręcie - odparł Leo, a staremu zaświeciły się oczy.

## ROZDZIAŁ 4

Roger Seagraves patrzył nad stołem konferencyjnym na szczurka z żalosną fryzurą, którą tworzył tuzin tłustych, czarnych kosmyków bezskutecznie próbujących zamaskować szeroką, łuszczącą się łysinę. Mężczyzna miał wąskie ramiona i kościste nogi, ale za to szeroki tyłek i wydatny brzuch. Choć jeszcze nie stuknęła mu pięćdziesiątka, z pewnością nie dałby rady przebiec dwudziestu metrów. Podniesienie torby z zakupami wystawiłoby jego siły na poważną próbę. Mógłby być modelowym przykładem fizycznej degradacji rodzaju męskiego w dwudziestym pierwszym wieku, pomyślał Seagraves. Drażniło go to, bo w jego życiu sprawność fizyczna zawsze miała pierwszorzędne znaczenie.

Codziennie przebiegał osiem kilometrów i wracał do domu o wschodzie słońca. Wciąż mógł robić pompki na jednej ręce i wyciskać na leżąco ciężar dwukrotnie większy od masy własnego ciała. Wstrzymywał oddech pod wodą na cztery minuty i czasami grał z licealną drużyną futbolową na boisku w pobliżu swojego domu w zachodniej części hrabstwa Fairfax. Żaden mężczyzna po czterdziestce nie ma szans dotrzymać kroku siedemnastoletnim chłopcom, ale on nigdy nie zostawał daleko w tyle. W czasie poprzedniej pracy wszystkie te umiejętności służyły jednemu celowi: utrzymaniu go przy życiu.

Znów skupił uwagę na człowieku siedzącym po drugiej stronie stołu. Za każdym razem, gdy widział tę kreaturę, miał ochotę wpakować mu kulkę w łeb i położyć kres jego żalostnej, letargicznej egzystencji. Ale nikt przy zdrowych zmysłach nie zabija kury, która znosi złote jaja. Seagraves dostrzegał w nim wiele fizycznych braków, lecz go potrzebował.

Facet nazywał się Albert Trent. Seagraves musiał przyznać, że za tą nędzną powierzchownością skrywa się nie byle jaki umysł. Najważniejszy element ich planu, może najważniejszy szczegół, był jego pomysłem. Głównie z tego powodu Seagraves zgodził się z nim współpracować.

Mężczyźni rozmawiali od jakiegoś czasu o zbliżającym się składaniu zeznań przedstawicieli CIA przed nadzwyczajną komisją do spraw wywiadu przy Izbie Reprezentantów, a Albert Trent był znamienitym członkiem personelu tej komisji. Następnie omówili kluczowe zagadnienia z informacji zebranych przez ludzi z Langley i innych agencji, które tworzą wielki konglomerat szpiegowski amerykańskiego rządu. Agenci szpiegują człowieka z kosmosu, przez telefon, faks, pocztę elektroniczną, a czasami zaglądają mu przez ramię.

Po zakończeniu pracy mężczyźni usiedli wygodnie i wypili letnią kawę. Seagraves jeszcze nie spotkał urzędnika, który umiałby zaparzyć przyzwoitą kawę. Może było to winą wody, jaką tu mieli.

- Zrywa się wiatr - powiedział Trent, wpatrując się w leżącą na stole książkę odpraw. Wyglądził czerwony krawat i potarł nos.

Seagraves spojrział w okno. Jego partner posługiwał się szyfrem, na wypadek gdyby ktoś słuchał. W tych czasach wszędzie należało się spodziewać wścibskich uszu, a już na pewno na Kapitolu.

- Zbliża się front, zapowiadali w wiadomościach. Może przynieść trochę deszczu, ale nie musi.

- Słyszałem, że możliwa jest burza.

Seagraves się ożywił. Wzmianka o burzy zawsze przyciągała jego uwagę. Taką burzą był przewodniczący Izby Reprezentantów Bob Bradley. Teraz spoczywał w rodzinnym Kansas i wahał kwiatki od spodu. Seagraves parsknął śmiechem.

- Wiesz, co mówią o pogodzie? Wszyscy o niej gadają, ale nikt nic w związku z tym nie robi.

Trent też się zaśmiał.

- Tu wszystko wygląda dobrze. Jak zawsze jesteśmy wdzięczni CIA za współpracę.

- Nie wiedziałeś? Akronim CIA oznacza „chętni i altruistyczni”.

- Jesteśmy gotowi, żeby w piątek przyjąć zeznanie DDO? - zapytał, mając na myśli zastępcę dyrektora do spraw operacji CIA.

- Tak. A za zamkniętymi drzwiami potrafimy być bardzo szczerzy.

Trent pokiwał głową.

- Nowy przewodniczący komisji wie, jak grać zgodnie z zasadami. Już przeprowadził głosowanie imienne, żeby zamknąć przesłuchanie.

- Prowadzimy wojnę z terrorystami, więc to zupełnie nowa gra. Wrogowie tego kraju są wszędzie. Musimy podejmować odpowiednie działania. Zabić ich, zanim oni zabiją nas.



- Masz całkowitą rację - zgodził się Trent. - Nowa epoka, nowy rodzaj walki. I absolutnie zgodny z prawem.

- To nie ulega wątpliwości. - Seagraves stłumił ziewnięcie. Miał nadzieję, że jeśli rzeczywiście ktoś przysłuchiwał się ich rozmowie, to był zachwycony tymi patriotycznymi pierdołami. Sam dawno temu przestał się troszczyć o ten kraj czy o jakikolwiek inny, skoro o tym mowa. Obecnie obchodziło go wyłącznie własne dobro: pomyślność suwerennego państwa Rogera Seagravesa. Miał talent, odwagę i dostęp do ogromnie cennych rzeczy, żeby o sobie zadbać. - Dobra, jeśli to wszystko, ruszam w drogę. Ruch o tej porze będzie parszywy.

- A kiedy nie jest? - Trent postukał w książkę odpraw.

Seagraves zerknął na książkę, którą dał Albertowi, i podniósł pchniętą przez niego teczkę. W teczce znajdowało się parę próśb o informacje i wyjaśnienia dotyczące pewnych metod obserwacyjnych stosowanych przez agencję wywiadowczą. Gruba książka odpraw nie zawierała niczego ekscytującego: diabelnie nudne, zbytnio skomplikowane analizy, jakimi jego agencja rutynowo karmiła nadzorującą ich komisję. Był to mistrzowski przykład użycia ponad miliona słów w taki sposób, żeby nie wyrażały absolutnie niczego.

Jeśli jednak ktoś umiał czytać między wierszami, a Seagraves wiedział, że Trent robi to co wieczór, stronicie książki coś ujawniały: zakodowane nazwiska czterech bardzo aktywnych amerykańskich agentów i ich aktualne miejsca pobytu. Prawo do wykorzystania tych nazwisk i adresów już zostało sprzedane dobrze finansowanej organizacji terrorystycznej, która miała zapukać do drzwi tych ludzi w trzech krajach Bliskiego Wschodu i odstrzelić im głowy. Należność, po dwa miliony dolarów za nazwisko, już trafiła na konto, którego nigdy nie skontroluje żaden inspektor bankowy. Obecnie robota Trenta polegała na przerzuceniu skradzionych nazwisk w dół łańcucha pokarmowego.

Seagraves nie narzekał na interesy. W miarę jak wzrastała liczba światowych wrogów Ameryki, rozszerzał działalność i sprzedawał tajemnice muzułmańskim terrorystom, komunistom w Ameryce Południowej, azjatyckim dyktatorom, a nawet krajom członkowskim Unii Europejskiej.

- Przyjemnej lektury - powiedział Trent, mając na myśli zawartość teczki. Tam Seagraves miał znaleźć zaszyfrowane nazwisko „burzy” wraz ze wszystkimi wyjaśnieniami.

Wieczorem w domu Seagraves spojrzał na nazwisko i zaczął planować akcję w zwykły metodyczny sposób. Tym razem realizacja zadania miała wymagać środka znacznie bardziej subtelnego niż karabin z lunetką. Trent przeszedł samego siebie, podając informacje, które znacznie uprościły sprawę. Seagraves wiedział, do kogo zadzwonić.

## **ROZDZIAŁ 5**

Punktualnie o wpół do siódmej w jasny, chłodny, waszyngtoński poranek otworzyły się drzwi dwupiętrowego domu. Stał w nich Jonathan DeHaven, wysoki, szczupły mężczyzna po pięćdziesiątce. Był ubrany w szarą tweedową marynarkę, bładoniebieski krawat i czarne spodnie. Włosy miał srebrne, starannie uczesane. Odetchnął rześkim powietrzem i przez dłuższą chwilę patrzył na imponujące stare rezydencje, które stały po obu stronach ulicy.

DeHavenowi daleko było do najbogatszej osoby w tej dzielnicy, gdzie średnia cena strzelistej ceglanej budowli sięgała kilku milionów dolarów. Poszczęściło mu się, bo odziedziczył dom po rodzicach, którzy mieli dość oleju w głowie, by znaleźć się wśród pierwszych inwestorów w handlu najlepszymi nieruchomościami w Waszyngtonie. Choć znaczną część majątku przekazali na cele dobroczynne, zostawili jednakowi pokaźną sumkę, która uzupełniała rządową pensję i pozwalała mu spełniać pewne zachcianki.

Nieoczekiwany przyływ gotówki sprawił, że DeHaven mógł wieść spokojne życie bez zwracania sobie głowy zarabianiem pieniędzy. Tego podejścia nie podzielali inni mieszkańcy Good Fellow Street. Jednym z jego sąsiadów był handlarz śmierci - choć DeHaven przypuszczał, że politycznie poprawne określenie brzmi „dostawca uzbrojenia”.

Mężczyzna, Cornelius Behan - lubił, gdy zwano go CB - mieszkał w pałacu złożonym z dwóch połączonych ze sobą rezydencji o powierzchni tysiąca czterystu metrów kwadratowych. DeHaven słyszał plotki, że przebudowa wymagała wręczenia łapówek, ponieważ domy stały w historycznej części miasta, podlegającej ścisłemu nadzorowi budowlanemu. Pałac Behana mógł się poszczycić nie tylko czteroosobową windą, ale również odrębnymi kwaterami dla służby, która tam mieszkała.

O dziwnych porach dnia i nocy Behan sprowadzał do swojej rezydencji plejadę absurdalnie pięknych kobiet, chociaż miał na tyle poczucia przyzwoitości, że czekał, aż żona wyjedzie z miasta. Pani Behan często podróżowała do Europy, żeby zaszaleć w tamtejszych sklepach. DeHaven miał nadzieję, że zdradzana kobieta odbija sobie krzywdę po drugiej stronie Atlantyku. Wyobraził sobie elegancką, atrakcyjną damę, leżącą nago na wielkim stole w stylu Ludwika XVI, braną przez młodego francuskiego kochanka przy dźwiękach Bolera. I tak trzymaj, pomyślał.

Przepędził myśli o grzeszkach sąsiadów i żwawym krokiem ruszył do pracy. Jonathan DeHaven był nadzwyczaj dumnym dyrektorem działu dzieł rzadkich i zbiorów specjalnych w Bibliotece Kongresu, w której znajduje się najwspanialsza być może kolekcja białych kruków na świecie. Tak, Francuzi, Włosi i Angole mogą być innego zdania, ale DeHaven, oczywiście stronniczy, wiedział, że księgozbiór amerykański nie ma sobie równych.

Miał do przebycia niespełna pół kilometra po nierównych ceglanych chodnikach. Szedł miarowym tempem, czego nauczył się od matki, która przeszła przez długie życie precyzyjnie odmierzoną krokiem. Dzień przed jej śmiercią DeHaven nie był do końca pewien, czy apodyktyczna matrona nie odpuści sobie pogrzebu, aby pomaszerować prosto do bram nieba, gdzie zażąda wpuszczenia i podejmie rządu. Na rogu wsiadł do zatłoczonego metrobusu i usiadł przy młodym człowieku oprószonym gipsowym pyłem, ze sfatygowanym termosem pomiędzy butami. Dwadzieścia pięć minut później wysiadł przy ruchliwym skrzyżowaniu.

Przeszedł na drugą stronę ulicy do małego baru na poranną filiżankę herbaty, rogalika i lekturę „New York Timesa”. Nagłówki jak zwykle bardzo przygnębiały. Wojny, huragany, możliwa pandemia grypy, terroryzm - to wystarczało, żeby człowiek wpełzł do domu i zabił drzwi gwoździami. Jeden artykuł dotyczył śledztwa w sprawie nieprawidłowości na arenie kontraktów na dostawy sprzętu i usług dla wojska. Padły oskarżenia o korupcję wśród polityków i producentów uzbrojenia. Ale skandal! Afera „dolary za wpływy” doprowadziła do upadku poprzedniego przewodniczącego Izby Reprezentantów. Potem jego następcą, Robert Bradley, został brutalnie zamordowany w Klubie Federalistów. Zbrodnia nie została wyjaśniona, choć do jej popełnienia przyznało się nieznanne dotąd krajowe ugrupowanie terrorystyczne o nazwie Amerykanie Przeciwko 1984, nawiązując do Orwellowskiego arcydzieła o totalitaryzmie. Policyjne śledztwo szło jak po grudzie, przynajmniej według mediów.

DeHaven od czasu do czasu spoglądał przez okno baru na pracowników rządowych, którzy zdecydowanym krokiem szli ulicą gotowi zmierzyć się z całym światem albo przynajmniej z paroma fajtłapowatymi senatorami. To naprawdę bardzo niezwykle miejsce, pomyślał. Masz tutaj heroicznych bojowników walczących o świętą sprawę, którzy tańczą obok podejrzanych spekulantów powiązanych z całą gamą idiotów i intelektualistów, przy czym ci pierwsi, niestety, zajmują wyższe stanowiska. Waszyngton jako jedyne miasto w Stanach Zjednoczonych może wypowiedzieć wojnę, podnieść podatek dochodowy albo zredukować pakiet świadczeń socjalnych. Decyzje podejmowane na tych parunastu kilometrach kwadratowych pomników i szopek wprawiają rzesze ludzi we wściekłość lub w

euforię, a stany te zmieniają się w zależności od tego, kto w danym czasie sprawuje kontrolę nad rządem. Potyczki, manipulacje i spiski obmyślane, a potem przeprowadzane w celu zachowania albo odzyskania władzy, zużywają doszczętnie energię nadzwyczaj inteligentnych i utalentowanych ludzi. Wirująca, zmienna mozaika składa się ze zbyt wielu nieprzewidywalnych elementów, żeby ktoś z zewnątrz miał choćby cień szansy na zrozumienie, co się naprawdę dzieje. To przypomina śmiertelnie groźne przedszkole, do którego nie można przestać chodzić.

Parę minut później DeHaven wszedł po szerokich schodach do nakrytego wielką kopułą gmachu Jeffersona, w którym mieści się Biblioteka Kongresu. Pokwitował odbiór kluczy od bibliotecznej straży i skierował się na piętro do sali LJ239. Tam znajdowała się czytelnia dzieł rzadkich i wiele magazynów zwanych skarbcami, w których przechowywano papierowe skarby narodu. Bibliofilskie bogactwo obejmowało między innymi oryginalny egzemplarz Deklaracji Niepodległości, którą Ojcowie Założyciele opracowali w Filadelfii podczas marszu ku wolności. Co dziś myśleliby o tym miejscu?

DeHaven otworzył masywne zewnętrzne drzwi czytelnicy i rozchylił je, przyciskając skrzydła do ścian. Następnie wystukał skomplikowany kod na klawiaturze, żeby wyłączyć alarm i otworzyć drzwi wewnętrzne. Codziennie wchodził tu pierwszy. Choć zwykle obowiązki trzymały go z dala od czytelnicy, ze starymi książkami łączył go symbiotyczny związek, niepojęty dla laika, ale doskonale rozumiały dla bibliofila cierpiącego nawet na umiarkowaną manię.

Czytelnia w weekendy była nieczynna, dzięki czemu DeHaven mógł jeździć na rowerze, wzbogacać prywatną kolekcję o kolejne białe kruki i grać na fortepianie. Grać nauczył się pod kierunkiem surowego ojca, który chciał zostać pianistą koncertowym, ale brutalna rzeczywistość zmiądzzyła te ambicje - po prostu nie był dość dobry. Niestety, syn też nie. A jednak od śmierci ojca gra sprawiała mu prawdziwą przyjemność. DeHaven, choć czasami buntował się przeciwko wpajającym mu zasadom, prawie zawsze słuchał rodziców.

W rzeczywistości zrobił tylko jedną rzecz sprzeczną z ich wolą, ale wykroczenie było dość poważne. Poślubił kobietę prawie dwadzieścia lat młodszą od siebie, pochodzącą z dołów społecznych, przynajmniej tak mówiła matka. Powtarzała mu to tak często, że po roku zadarczania unieważnił małżeństwo. Jednak żadna matka nie powinna zmuszać syna do porzucenia ukochanej kobiety, a syn nie powinien ulegać matce, nawet pod groźbą wydziedziczenia. Matka DeHavena zniżyła się do pogroźki, że sprzeda wszystkie swoje białe kruki, które obiecała mu zostawić. Mimo to powinien się jej sprzeciwić, posłać ją do diabła. Myślał o tym teraz, oczywiście o wiele za późno. Gdyby tylko miał dość odwagi przed laty.

DeHaven westchnął ze smutkiem, gdy rozpiął marynarkę i wygładził krawat. Całkiem możliwe, że tamten rok był najszczęśliwszym rokiem w jego życiu. Nigdy wcześniej nie spotkał nikogo takiego jak ona i był pewien, że nigdy nie spotka. A jednak pozwoliłem jej odejść, bo matka mnie sterroryzowała, pomyślał. Pisał do niej przez lata, przepraszając. Posyłał jej pieniądze, biżuterię i egzotyczne upominki ze swoich podróży po świecie, ale nie poprosił, żeby wróciła. Nie, nigdy tego nie zrobił. Odpisała parę razy, lecz potem jego paczki i listy wracały nieotwarte. Po śmierci matki zastanawiał się, czy nie spróbować jej odszukać, ale uznał, że jest za późno. Prawdę powiedziawszy, już na nią nie zasługiwał.

Odetchnął głęboko, schował do kieszeni klucze i rozejrzał się po czytelnicy. Wnętrze, wzorowane na georgiańskim splendorze Sali Niepodległości, działało uspokajająco. DeHaven szczególnie lubił miedziane lampy, które stały na wszystkich stołach. Pogładził jedną czule i wrażenie, że poniósł porażkę, tracąc jedyną kobietę, która dała mu szczęście, zaczęło blaknąć.

DeHaven przeszedł przez salę i wyjął kartę magnetyczną. Przesunął ją przed czytnikiem komputera, skinął głową do umieszczonej nad drzwiami kamery ochrony i wszedł do skarbcza. Przychodzenie tutaj każdego ranka było codziennym rytuałem, pomagało mu naładować akumulatory, umocnić przekonanie, że naprawdę liczą się tylko książki.

Spędził nieco czasu w uświęconych ścianach pokoju Jeffersona, wertując kopię pracy Tacyta, Rzymianina podziwianego przez trzeciego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Następnie otworzył kluczem drzwi do Skarbcza Rosenwalda J. Lessinga, byłego szefa sieci sklepów Sears, gdzie na metalowych półkach spoczywały podarowane przez niego inkunabuły i kodeksy. Pomieszczenie było całodobowo klimatyzowane pomimo wysokich kosztów. Biblioteka dysponowała ograniczonymi środkami finansowymi, ale zapewnienie stałej temperatury piętnastu i pół stopnia przy wilgotności względnej sześćdziesiąt osiem procent miało sprawić, że bezcenne dzieła przetrwają co najmniej kolejne sto lat.

Według DeHavena tego typu inwestycje warte były dodatkowych funduszy z budżetu federalnego, który zawsze przeznaczał więcej na wojnę niż na cele pokojowe. Za ułamek ceny jednego pocisku mógłby kupić na wolnym rynku każde dzieło, jakiego biblioteka potrzebowała do uzupełnienia zbioru dzieł rzadkich. A jednak politycy uważali, że pociski zapewniają bezpieczeństwo, podczas gdy w rzeczywistości było to zasługą książek. Z prostego powodu: wojny wybuchają wskutek ignorancji, a ludzie, którzy czytają, rzadko kiedy są ignorantami. Może była to zbyt uproszczona filozofia, lecz DeHaven głęboko w nią wierzył.

Po sprawdzeniu kilku książek, które wróciły z działu konserwacji, ruszył do schodów prowadzących do skarbców nad czytelnią. Tutaj przechowywano kolekcję pierwszych amerykańskich książek medycznych. Na antresoli znajdował się wielki zbiór książek dla dzieci. DeHaven przystanął, żeby z uczuciem poklepać głowę niewielkiego popiersia, które jak tylko sięgał pamięcią, stało na stoliku w kącie.

Chwilę później Jonathan DeHaven osunął się na fotel i zaczął umierać. Nie była to śmierć przyjemna ani bezbolesna, o czym świadczyły konwulsje i bezgłośnie krzyki jej towarzyszące. Znieruchomiał zaledwie pół minuty później, leżąc na podłodze sześć metrów od miejsca, w którym zaczął konać. Zdawało się, że patrzy na zbiór opowiadań z dziewczynkami w kapeluszach na okładkach.

Zmarł, nie wiedząc, co go zabiło. Organizm go nie zawiódł był zdrowy jak ryba. Nikt nie uderzył go tępym narzędziem, nikt go nie zranił, trucizna nie dotknęła jego ust, naprawdę był zupełnie sam.

A jednak Jonathan DeHaven umarł.

\* \* \*

Około czterdziestu kilometrów od Waszyngtonu w domu Rogera Seagravesa zadzwonił telefon. Był to komunikat o pogodzie: słonecznie i bezchmurnie w dającej się przewidzieć przyszłości. Seagraves dokończył śniadanie, zabrał aktówkę i wyszedł do pracy. Uwielbiał, gdy dzień zaczynał się od pozytywnego akcentu.

## **ROZDZIAŁ 6**

Caleb Shaw wszedł do czytelnii dzieł rzadkich i położył na biurku w głębi sali plecak i kask rowerowy. Odpiął pasek na kostce, chroniący nogawkę przed zabrudzeniem smarem z łańcucha, i usiadł w fotelu. Tego ranka miał mnóstwo roboty. Wczoraj wybitny amerykański uczone poprosił o ponad sześćset książek, chcąc przygotować kompleksową bibliografię, a on musi je zgromadzić. Już wyszukał poszczególne pozycje w bibliotecznym katalogu i teraz miał przystąpić do mozolnego wyławiania ich z półek.

Przygładził rozczochrane szpakowate włosy, odrobinę rozluźnił pasek. Był drobnej budowy, ale ostatnio w okolicach talii zaczął odczuwać nieprzyjemny ciężar. Miał nadzieję, że dojeżdżanie rowerem do pracy rozwiąże ten problem. Unikał wszystkiego, co kojarzyło się

z rozsądną dietą; z wielką przyjemnością pochłaniał wino i wysokokaloryczne potrawy. Był również dumny z tego, że od czasów szkoły średniej nawet nie widział wnętrza sali gimnastycznej.

Podszedł do wejścia do skarbcza, przyłożył kartę do czytnika i otworzył drzwi. Trochę się zdziwił, gdy nie zobaczył Jonathana DeHavena. Ten człowiek zawsze zjawiał się przed wszystkimi innymi, a drzwi do czytelnicy już zostały otwarte. Caleb założył, że dyrektor jest albo w gabinecie, albo w którymś ze skarbców.

- Jonathanie? - zawołał, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Popatrzył na listę zamówionych tytułów. Realizacja zamówienia niewątpliwie zajmie mu cały dzień, o ile nie dłużej. Zabrał wózek na książki i przystąpił do pracy, metodycznie przechodząc przez te skarbcze, które zawierały potrzebne pozycje. Pół godziny później, gdy wyszedł ze skarbcza po listę książek, do czytelnicy weszła współpracowniczka.

Wymienili słowa powitania i Caleb wrócił do skarbcza. Wewnątrz panował chłód. Przypomniał sobie, że wczoraj zostawił sweter na trzecim piętrze. Już miał wsiąść do windy, gdy spojrzął na swój rosnący brzuch i zmienił zamiar. Postanowił pójść schodami, a nawet pokonać biegiem ostatnie stopnie. Minął zbiór książek medycznych, wbiegł na następne schody i dotarł na antresolę. Ruszył głównym przejściem do miejsca, gdzie zostawił sweter.

Kiedy zobaczył leżące na podłodze ciało Jonathana DeHavena, ze świstem wciągnął powietrze, zakrzuszył się i zemdlął.

\* \* \*

Wysoki, żylasty mężczyzna wyszedł z domku na niewielki cmentarz, gdzie pracował jako dozorca. Należyte utrzymanie domów zmarłych wymagało mnóstwa pracy. Jak na ironię, sam oficjalnie rezydował w grobie na Narodowym Cmentarzu w Arlington, a większość jego byłych kolegów, którzy pracowali dla rządu, osłupiałaby na wieść, że żyje. Prawdę mówiąc, sam był tym zdziwiony. Agencja, w której kiedyś pracował, usilnie starała się go zlikwidować nie z innego powodu, jak tylko dlatego, że już nie chciał zabijać dla rządu.

Kątem oka dostrzegł ruch stworzenia i sprawdził, czy nikt go nie obserwuje z pobliskiego bloku mieszkalnego. Płynnym ruchem wyjął nóż z pochwy u pasa i odwrócił się na pięcie. Powoli zrobił parę kroków, wycelował i rzucił. Patrzył, jak mokasyn miedziogłowiec wije się przyszpilony nożem do ziemi.

Gadzina niemal go ukąsiła dwa razy w zeszłym tygodniu, chowając się w wysokiej trawie. Gdy zdechła, wyciągnął nóż, wytarł ostrze i wrzucił węża do kosza na śmieci.

Nieczęsto korzystał z dawnych umiejętności, ale czasami się przydawały. Na szczęście dni, kiedy leżał i czyhał, aż cel znajdzie się w zasięgu, od dawna należały do przeszłości. A jednak przeszłość odcisnęła się piętnem na jego obecnym życiu, poczynając od nazwiska.

Od ponad trzydziestu lat nie posługiwał się tym prawdziwym, John Carr. Od dziesiątków lat znany był jako Oliver Stone. Zmienił nazwisko po części po to, żeby udaremnić próby wytropienia go przez starą agencję, a po części dlatego, że rozumiał to jako wyzwanie rzucone rządowi, który, jego zdaniem, był mniej niż uczciwy wobec swoich obywateli. Od dziesiątków lat miał mały namiot w parku Lafayette naprzeciwko Białego i Domu, zaliczając się do garstki „stałych demonstrantów”. Napis na tabliczce obok namiotu oznajmiał lakonicznie: „Żądam prawdy”. Posłuszny temu żądaniu kierował małą, nieformalną organizacją obrony praw obywatelskich zwaną Klubem Wielbłądów, która postawiła sobie za cel dopilnowanie, aby rząd amerykański odpowiadał przed narodem. Poza tym od czasu do czasu słynął z przyklaskiwania teoriom spiskowym.

Inni członkowie klubu, Milton Farb, Reuben Rhodes i Caleb Shaw, nie zajmowali żadnych ważnych stanowisk i nie posiadali żadnych wpływów, ale za to zawsze mieli otwarte

oczy i uszy. To niezwykle, co można osiągnąć, gdy ktoś jest upartym obserwatorem, a potem odważnie i pomysłowo wykorzystuje swoje obserwacje.

Stone popatrzył w niebo, które wróżyło deszcz. Wiatr od nadciągającego frontu zmierzwił mu krótkie białe włosy, które zwykle sięgały do ramion. Ściał je wraz z gęstą potarganą brodą kiedyś zakrywającą mu pierś. Teraz miał kilkuniedniowy zarost. Ta zmiana pomogła mu przeżyć ostatnią przygodę Klubu Wielbłądów.

Stone rzucił garść chwastów do kubła, a potem przez jakiś czas prostował stary nagrobek w miejscu spoczynku wybitnego afroamerykańskiego kaznodziei, który stracił życie w walce o wolność. Dziwne, pomyślał, że trzeba walczyć o wolność w najbardziej wolnym kraju na ziemi. Gdy rozglądał się po cmentarzu Mt. Zion, niegdyś będącym przystankiem na tak zwanej trasie Underground Railroad, która prowadziła zbiegłych niewolników ku wolności, mógł tylko ze zdumieniem myśleć o niezwykłych ludziach spoczywających w tej ziemi.

W trakcie pracy słuchał wiadomości z radia, które postawił na ziemi obok grobu. Spiker właśnie mówił o czterech łącznikach Departamentu Stanu, którzy ponieśli śmierć w czterech różnych wypadkach w Iraku, Indiach i Pakistanie.

Łącznicy Departamentu Stanu? Stone wiedział, co to znaczy. Zdemaskowano i zamordowano agentów amerykańskiego wywiadu. Oficjalna wersja miała ukryć ten fakt przed społeczeństwem. Jak zawsze. Stone chlubił się tym, że jest na bieżąco z aktualnymi wydarzeniami geopolitycznymi. W ramach wynagrodzenia dostawał od Kościoła, który go zatrudniał, trzy codzienne gazety. Wycinał z nich różne artykuły i wklejał do swoich dzienników. Jednocześnie korzystał z nabytego doświadczenia, żeby rozpoznać prawdę ukrytą za socjotechnicznymi chwytami.

Jego rozmyślenia przerwał dzwonek telefonu komórkowego. Zgłosił się, słuchał przez chwilę, bez zadawania pytań. Potem zaczął biec. Jego przyjaciel i kolega z Klubu Wielbłądów, Caleb Shaw, trafił do szpitala, a drugi człowiek, który pracował w Bibliotece Kongresu, leżał martwy. Stone w pośpiechu zapomniał zamknąć bramę.

Martwi bez wątpienia rozumieją, że żywi mają pierwszeństwo.

## **ROZDZIAŁ 7**

Caleb Shaw leżał na szpitalnym łóżku, powoli kręcąc głową. Wokół niego zebrali się pozostali członkowie Klubu Wielbłądów. Reuben Rhodes miał prawie sześćdziesiąt lat, ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i budowę napastnika futbolowego. Z powodu spływających do ramion kędzierzawych włosów, potarganej brody i zadumanych oczu ludzie czasami brali go za szaleńca - i czasami nie bez kozery. Chudy, pięćdziesięciosiedmioletni Milton Farb nosił dość długie włosy, a gładka twarz cherubina ujmowała mu lat.

Reuben był wielokrotnie odznaczonym weteranem wojny w Wietnamie i byłym pracownikiem Agencji Wywiadu Obronnego, obecnie pracującym w magazynie portowym. Alkohol, prochy i głośnie wyrażanie oburzenia na wojnę zwichnęły mu karierę wojskową. Wyszedł z nałogu dzięki Oliverowi Stone'owi, który natknął się na niego na Narodowym Cmentarzu w Arlington, gdy nawalony do nieprzytomności, bezceremonialnie wylegiwał się pod klonem.

Milton był cudownym dzieckiem o ogromnych zdolnościach umysłowych. Jego rodzice pracowali w objazdowym wesołym miasteczku, gdzie prezentował swoje talenty niczym wybryk natury z gabinetu osobliwości. Pomimo to skończył liceum i dostał pracę w Narodowym Instytucie Zdrowia. Ponieważ jednak cierpiał na nerwicę natręctw i inne wyniszczające zaburzenia umysłowe, świat w końcu runął mu na głowę. W konsekwencji został bez środków do życia, a wskutek drastycznego osłabienia kondycji psychicznej na mocy nakazu sądu został umieszczony w zakładzie.

Oliver Stone przybył na ratunek. Pracował jako salowy w szpitalu psychiatrycznym, gdzie Milton przebywał w charakterze pacjenta. Poznawszy się na jego niezwykłych zdolnościach, które obejmowały między innymi idealną fotograficzną pamięć, zdołał nakłonić nafaszerowanego lekami Milтона do wystąpienia w teleturnieju Va Banque. Milton pokonał wszystkich innych uczestników i wygrał mnóstwo pieniędzy. Dzięki pomocy psychologicznej i farmakoterapii wiódł całkiem normalne życie. Obecnie był właścicielem dochodowej firmy projektującej witryny WWW dla korporacji.

Oliver Stone oparł o ścianę wysokie na prawie metr dziewięćdziesiąt ciało i skrzyżował ręce na piersi, patrząc na leżącego przyjaciela.

Caleb, posiadacz dwóch doktoratów z nauk politycznych i literatury osiemnastowiecznej, pracował w czytelni dzieł rzadkich Biblioteki Kongresu od ponad dziesięciu lat. Ponieważ nie miał rodziny, poświęcił życie przyjacielom i pracy, która stała się jego pasją. Jedną ręką gładził prześcieradło, drugą masował skronie.

Chwilę później do pokoju wszedł doświadczony agent Secret Service, Alex Ford, który odegrał zasadniczą rolę, pomagając Klubowi Wielbłądów w przeszłości, i w uznaniu zasług został mianowany członkiem honorowym.

Ford odetchnął z ulgą na wieść, że Caleb wydobrzeje.

- Dbaj o siebie, Caleb - powiedział na zakończenie półgodzinnej wizyty. - I zadzwoń do mnie, gdy będziesz czegoś potrzebował.

- Jak idzie w biurze? - zapytał Stone, mając na myśli waszyngtońskie biuro Secret Service.

- Huk roboty. Przestępcy nie próżnują.

- Mam nadzieję, że doszedłeś do siebie po naszej małej przygodzie.

- Nie nazywaj potencjalnej światowej apokalipsy małą przygodą. I nie sądzę, bym kiedykolwiek w pełni doszedł do siebie.

Po wyjściu Aleksa Forda Caleb zwrócił się do pozostałych:

- To było naprawdę straszne. Po prostu leżał na podłodze.

- A ty zemdlałeś? - zapytał Stone, wpatrując się w twarz przyjaciela.

- Najwyraźniej. Pamiętam, jak skręciłem za róg, szukając swetra, a on tam leżał. Boże, prawie się o niego potknąłem. Zobaczyłem jego oczy. W głowie miałem pustkę. Ścisnęło mnie w piersi. Poczułem zimno. Pomyślałem, że dostałem ataku serca. A potem straciłem przytomność.

Reuben położył rękę na jego ramieniu.

- Mnóstwo ludzi by zemdlało.

- Narodowa Fundacja Psychiatryczna donosi, że znalezienie trupa zajmuje drugie miejsce na liście najbardziej traumatycznych przeżyć - wtrącił Milton.

Reuben uniósł brwi, słysząc ten komentarz.

- Co jest numerem jeden? Zaskoczenie małżonki w łóżku z małpą, która trzyma puszkę przeterminowanego sosu serowego?

- Dobrze znałeś DeHavena? - zapytał Stone Caleba.

- Tak. To naprawdę tragiczne. Był w doskonałej formie. Niedawno zrobił kompleksowe badania w szpitalu Hopkinsa. Ale przypuszczam, że każdy może dostać ataku serca.

- To był atak serca?

Caleb miał niepewną minę.

- A co innego? Może udar?

- Statystycznie rzecz biorąc, prawdopodobnie atak serca - wtrąca Milton. - To główna przyczyna tak zwanej nagłej śmierci w tym kraju. Szczerze mówiąc, każdy z nas może lada chwila paść trupem na miejscu.

- Cholera, Milton - burknął Reuben - musisz być takim optymistą?

- Dopóki nie znamy wyników autopsji, możemy tylko spekulować - zaznaczył Stone. - Nie widziałeś tam nikogo innego, prawda?

Caleb popatrzył na przyjaciela.

- Nie.

- Ale zemdlałeś całkiem szybko, więc jeśli ktoś tam był, mógłbyś go nie zauważyć.

- Oliverze, nie można wejść do skarbcza bez przepustki. Poza tym przy głównych drzwiach jest kamera.

Stone powiedział z zadumą:

- Najpierw morderstwo przewodniczącego Izby Reprezentantów, teraz śmierć dyrektora działu ksiąg rzadkich w nieco tajemniczych okolicznościach.

Reuben czujnie zmierzył go wzrokiem.

- Wątpię, by w dzisiejszych czasach terroryści brali na cel bibliotekarzy, więc nie doszukuj się tu kolejnego wielkiego spisku, który może wstrząsnąć posadami świata. Wielkie dzięki, jestem w stanie znieść tylko jedną apokalipsę miesięcznie.

- Odłożymy tę sprawę, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej - odparł Stone z błyskiem w oku.

- Mogę podrzucić cię do domu, Calebie - zaproponował Reuben. - Mam motor.

Był dumnym właścicielem idealnie odnowionego motocykla indian z 1928 roku z bardzo rzadko spotykanym wózkiem z lewej strony.

- Chyba nie czuję się na siłach - odparł Caleb i dodał: - Szczerze mówiąc, boję się tego twojego wynalazku.

Wpadła pielęgniarka, spisała dane z urządzeń monitorujących i wetknęła sondę do mierzenia temperatury w lewe ucho Caleba.

- Mogę iść do domu? - zapytał. Pielęgniarka spojrzała na odczyt,

- Temperatura się podniosła. Tak, myślę, że doktor już przygotowuje wypis.

Gdy trwały przygotowania do wypisania Caleba ze szpitala, Stone odciągnął Reubena na bok.

- Miejmy go na oku przez jakiś czas.

- Dlaczego? Myślisz, że doznał jakichś obrażeń?

- Nie chce, żeby ich doznał.

- Facet zmarł na zawał, Oliverze. To się zdarza codziennie.

- Ale raczej nie komuś, kto według Johnsa Hopkinsa był okazem zdrowia.

- Dobra, więc pękło mu naczynko albo upadł i rozbił sobie czaszkę. Słyszałeś, co powiedział Caleb, facet był zupełnie sam.

- Caleb nie może wiedzieć tego na pewno.

- Ale kamera i przepustka...

- Masz rację, to może dowodzić, że Jonathan DeHaven był sam w chwili śmierci. Ale to wcale nie świadczy, że nie został zabity.

- Daj spokój, kto mógłby żywić urazę do bibliotekarza?

- Wszyscy mają wrogów. Jedyna różnica polega na tym, że w przypadku niektórych osób trudniej ich wypatrzeć.

## ROZDZIAŁ 8

- Jak się sprawuje? - zapytał Leo Richter, mówiąc do mikrofonu, gdy wcisnął parę przycisków na klawiaturze. Siedział w samochodzie przed bankomatem dla zmotoryzowanych w Beverly Hills. W furgonetce zaparkowanej po drugiej stronie ulicy Tony Wallace, do niedawna nieuczciwy sprzedawca w butik, popatrzył na ekran monitora.



- Idealnie. Widzę twoje palce, gdy wprowadzasz PIN. Mam ostre zdjęcie wsuwanej karty. Przy powiększeniu i zatrzymaniu obrazu mogę wszystko przeczytać.

Wczoraj w nocy usunęli metalową skrzynkę z broszurami, która była przykręcona obok bankomatu, i zastąpili ją modelem wykonanym przez Tony'ego. Tony wcześniej ukradł skrzynkę z innego bankomatu i sporządził wierną kopię w garażu wynajętego domu, w którym Annabelle kazała im się zatrzymać. Replika była taka doskonała, że nawet ona nie mogła się przyczepić. W fałszywej skrzynce umieścił bezprzewodową kamerę wideo z obiektywem wycelowanym w klawiaturę i szczelinę bankomatu. Kamera mogła przysyłać zdjęcia na odległość do dwustu metrów, czyli znacznie dalej, niż stała furgonetka.

Dodatkowo nad szczeliną umieścili skonstruowany przez Tony'ego skaner paska magnetycznego. Urządzenie przechwytywało wszystkie numery karty, łącznie z kodem zapisanym na pasku magnetycznym, i przysyłało dane do odbiornika w furgonetce.

Annabelle siedziała obok Tony'ego. Miejsce naprzeciwko nich zajmował Freddy Driscoll, który do spotkania z Annabelle i Leo handlował podrobionymi roleksami i torebkami od Gucciego na bulwarze w Santa Monica. Freddy obsługiwał drugą kamerę skierowaną w przyciemnione boczne okno furgonetki.

- Mam dobry widok na samochody i tablice rejestracyjne - zameldował.

- Dobra, Leo - powiedziała Annabelle do mikrofonu. - Usuń się z drogi, niech popłyną prawdziwe pieniądze.

- Wiesz - zaczął Tony - w zasadzie nie potrzebujemy kamery przy bankomacie, bo przecież mamy skaner. Przerost patentu.

- Przekazy ze skanera czasami bywają zafałszowane - odparła, patrząc na ekran. - A jeśli zgubisz jeden numer, karta jest bezużyteczna. Poza tym dzięki kamerze zdobywamy informacje, jakich nie dostarcza skaner. Przeprowadzamy akcję bez powtórek. Nie możemy sobie pozwolić na błędy.

Przez następne dwa dni siedzieli w furgonetce, a z kamery i skanera przy bankomacie płynęły informacje dotyczące kart debetowych i kredytowych. Annabelle metodycznie dodawała do nich marki samochodów i numery z tablic rejestracyjnych, zapisując wszystko w arkuszu kalkulacyjnym laptopa. Posegregowała dane pod względem ważności.

- Bugatti veyrony, saleeny, pagani, koenigseggi, maybachy, porsche carrera GT i mercedesy SLR mclareny mają po pięć gwiazdek. Bugatti kosztuje milion i ćwierć, inne od czterystu do siedmiuset tysięcy. Rolls royce'y, bentleye i astony martiny mają cztery gwiazdki. Jaguary, bmw i zwyczajne merce trzy gwiazdki.

- A co saturnami, KIA i yugo? - zażartował Leo. Pod koniec drugiego dnia zebrali się w wynajętym domu.

- Przedkładamy jakość nad ilość - oznajmiła Annabelle. - Trzydzieści kart. To wszystko, czego nam potrzeba.

Leo rzucił okiem na zestawienie.

- Idealnie, bo mamy dwadzieścia jeden pięciogwiazdkowych i dziewięć czterogwiazdkowych dopasowanych do numerów kart.

- Tylko w LA można zobaczyć dwa bugatti veyrony korzystające z tego samego bankomatu - skomentował Tony. - Tysiąc koni mechanicznych, maksymalna prędkość czterysta kilometrów na godzinę i benzyna po trzy dolce za galon. Skąd oni biorą taką forsę?

- Tak jak my, obrabiają ludzi - odparł Leo. - Tylko że prawo stanowi, iż sposób, w jaki to robią, z jakiegoś powodu jest legalny.

- *Walczyłem z prawem i prawo wygrało* - zanucił Tony. Przyjrzał się Annabelle i Leo. - Siedzieliście kiedyś?

Leo zaczął tasować talię kart.

- On jest naprawdę zabawny, no nie?

- Słuchaj, jak wpadłaś na to, żeby fotografować również tablice rejestracyjne? - zapytał Tony.

- Nigdy nie wiadomo, kiedy coś może się przydać - odparła Annabelle wymijająco.

Popatrzyła na Freddy'ego, który w sąsiednim pokoju przeglądał sprzęt rozłożony na wielkim stole. Był tam między innymi stosik białych kart kredytowych i kolorowa drukarka termiczna.

- Masz wszystko, co trzeba? - zapytała.

Skinął głową, z satysfakcją patrząc na narzędzia i przegarniając palcami wełniste włosy.

- Annabelle, kierujesz operacją pierwsza klasa.

Trzy dni później Freddy miał już trzydzieści fałszywych kart płatniczych z kolorową grafiką, paskami magnetycznymi na odwrocie oraz nazwiskiem ofiary i numerem konta wytłoczonym na awersie. Ostatnim akcentem był hologram, zabezpieczenie stosowane przez banki od początku lat osiemdziesiątych. Prawdziwe hologramy są wtopione w kartę, a fałszywe naklejone na powierzchnię, ale bankomat nie wychwytyje różnicy.

- W Internecie, jeśli chcesz, możesz kupić wszystkie numery kart kredytowych - zauważył Tony. - Tam się zaopatrują prawdziwi zawodowcy.

- Możesz mi wierzyć, że żadna z tych „szybkich” kart nie należy do kogoś, kto ma bugatti, chyba że przez przypadek - odparła Annabelle.

Leo przestał tasować karty i zapalił papierosa.

- Pewnie zawodowiec tak ci powiedział, młody, żebyś nie zaczął kombinować i nie zrobił mu konkurencji. Właściwa ocena celu to podstawa.

- Cholera! - zaklął Tony. - Czyżbym był taki głupi?

- Owszem - powiedziała Annabelle. - Słuchajcie, na czym polega plan. - Przysiadła na poręczy fotela. - Wynajęłam dla wszystkich samochody, posługując się fałszywymi dokumentami. Wy weźmiecie po osiem kart, a ja sześć, co łącznie daje trzydzieści. Obskoczycie po czterdzieści bankomatów na terenie miasta, przy każdym przeprowadzając po dwie operacje. Będziecie używali kart na przemian i w ten sposób dokonacie dziesięciu wypłat z każdego konta. Przygotowałam listę bankomatów. Wszystkie są dla zmotoryzowanych i znajdują się blisko siebie. Musimy mieć przebrania z uwagi na kamery. Mam stroje dla nas wszystkich.

- Ale są dobowe limity wypłat z jednego konta - zaznaczył Freddy. - Zabezpieczenie przed złodziejami kart.

- Nasze cele z pewnością mają wysokie limity. Ludzie, którzy jeżdżą wózkami za siedemset patoli, mogą wypłacić więcej niż trzysta dolców. Od swoich kontaktów w banku wiem, że zwykle jednorazowa wypłata wynosi dwa i pół tysiąca. Poza tym fałszywe karty dają nam dostęp do kont, oszczędności, rachunku bieżącego. Jeśli z rachunku oszczędnościowego przelejemy na bieżący więcej, niż będzie wynosiła wypłata, bankomat nie uwzględni limitu, jaki by on nie był.

- Jeśli więc, przykładowo, przelejemy pięć tysięcy z rachunku oszczędnościowego na bieżący i podejmiemy cztery, operacja nawet nie zostanie zarejestrowana jako wypłata gotówkowa z rachunku bieżącego - dodał Leo.

- Zgadza się.

- Jesteś pewna? - zapytał Tony.

- W zeszłym miesiącu zrobiłam próbę generalną z dziesięcioma największymi bankami i działało za każdym razem. To usterka w oprogramowaniu, na którą jeszcze nie zwrócili uwagi. Dopóki tego nie zrobią, będziemy mieli piękny dzień wypłaty.

Leo z uśmiechem wrócił do tasowania kart.

- Założę się, że po tym numerze zwrócą uwagę.

- Może robić po osiem operacji przy każdym bankomacie, po jednej na kartę? - zaproponował Tony. - W ten sposób nie będziemy musieli jeździć po całym mieście.

- Jeśli będziesz wkładał do bankomatu jedną kartę po drugiej, ludziom czekającym za tobą wyda się to trochę podejrzanе, nie sądzisz? - Annabelle nie kryła zniecierpliwienia. - Przy dwóch kartach będzie wyglądać po prostu na to, że się pomyliłeś przy wystukiwaniu i wkładasz kartę drugi raz.

- Ach, przestępna młodości, taka pazerna i ciemna - mruknął Leo.

Rozdała im notesy.

- Są w nich PIN-y każdej karty i kwoty, jakie macie przelać, a następnie wypłacić z konta w poszczególnych bankomatach. Po zakończeniu operacji notesy zostaną spalone. - Wstała, podeszła do szafy i rzuciła im worki marynarskie. - Są w nich przebrania, worków używajcie do przenoszenia pieniędzy. - Usiadła. - Daję wam dziesięć minut na każdy bank. Przez cały czas będziemy w kontakcie. Jeśli w jednym miejscu coś wyda się podejrzanе, odpuście sobie i jedźcie do następnego.

Freddy popatrzył na sumy w dolarach w swoim notesie.

- A jeśli ktoś nie będzie miał forsy na pokrycie przelewu? Czasami nawet bogaci są kompletnie spłukani.

- Ci mają gotówkę. Już sprawdziłam - zapewniła Annabelle.

- Jak? - zapytał Tony.

- Zdzwoniłam do ich banków, podałam się za sprzedawcę i zapytałam, czy kupujący ma dość pieniędzy na koncie, żeby pokryć zobowiązania w wysokości pięćdziesięciu tysięcy.

- I powiedzieli ci?

- Zawsze mówią, młody - odparł Leo. - Po prostu trzeba wiedzieć, jak pytać.

- Poza tym przez dwa ostatnie dni oglądałam domy naszych celów - dodała Annabelle. - Każdy jeden na moje oko wart jest co najmniej pięć milionów. Przy jednej z rezydencji stały dwa saleeny. W bankach będą dolary.

- Oglądałaś domy? - zdumiał się Tony.

- Jak pani już mówiła, tablice rejestracyjne bywają przydatne - zauważył Leo.

- Utarg powinien wynieść dziewięćset tysięcy, średnio po trzydzieści kawałków z karty - podjęła Annabelle. - Banki, jakie obrobimy, robią bilans swoich bankomatów codziennie o dwunastej. Skończymy znacznie wcześniej. - Popatrzyła na Tony'ego. - I tak na wszelki wypadek, gdyby kogoś naszła chętka się zmyć, zapowiadam, że następny numer podwoi sumę, jaką z tego wyciągniemy.

- Daj spokój - zaczął Tony urażonym tonem, przegarniając ręką modną fryzurę. - To bułka z masłem.

- Tylko wtedy, gdy nie dasz się złapać - zaznaczyła Annabelle.

- Złapali cię kiedyś?

- Może zajmiesz się czytaniem tego, co masz w swoim notesie? Dzięki temu nie popełnisz błędów.

- To tylko bankomaty. Wszystko będzie dobrze.

- To nie była prośba - oznajmiła Annabelle chłodno i wyszła z pokoju.

- Słyszałeś, młody - powiedział Leo, nawet nie próbując ukryć uśmiechu.

Tony mruknął coś pod nosem i wymaszerował za nią.

- Trzyma karty przy orderach, prawda? - zauważył Freddy.

- Chciałbyś pracować z kimś, kto tego nie robi? - zapytał Leo.

- Jak się nazywa?

- Annabelle.

- Wiem, a nazwisko? Dziwię się, że wcześniej nasze ścieżki się nie skrzyżowały. Świat oszustów, którzy grają o wysokie stawki, jest dość mały.

- Gdyby chciała, żebyś wiedział, sama by ci powiedziała.

- Daj spokój, Leo, ty wiesz o nas wszystko. A ja kręcę się w kółko. To do niczego nie prowadzi.

Leo zastanowił się i powiedział cicho:

- Dobra, ale musisz przysiąc, że zabierzesz to do grobu. Jeśli zdradzisz, że ci powiedziałem, wyprę się, a potem cię zabiję. Poważnie.

Freddy dał słowo.

- Nazywa się Annabelle Conroy - oznajmił Leo.

- Paddy Conroy? - powiedział natychmiast Freddy. - O nim słyszałem. Zakładam, że są spokrewnieni.

Leo pokiwał głową i podjął cichym głosem:

- Jego córka. Ale to tajemnica. Większość ludzi nie wie, że Paddy miał dzieciaka.

Czasami udawał, że Annabelle jest jego żoną. Trochę dziwne, ale to cały Paddy.

- Nigdy nie miałem przyjemności z nim pracować.

- Tak, cóż, ja miałem tę przyjemność. Stary Paddy Conroy był jednym z największych oszustów swojego pokolenia. I jednym z największych dupków. - Leo nerwowo spojrział w stronę drzwi, przez które wyszli Annabelle i Tony, i ściszył głos do szeptu. - Widziałeś tę bliźnię pod jej prawym okiem? Stary tak ją urządził. Zarobiła za zawalenie kantu, gdy oszukiwali na ruletce w Vegas. Miała raptem piętnaście lat, ale wyglądała na dwadzieścia jeden. Stary stracił trzy kawałki, a ona dostała lanie. I to nie był jedyny raz, tyle ci powiem.

- Cholera - mruknął Freddy. - Tak traktował rodzoną córkę?

Leo pokiwał głową.

- Annabelle nigdy o tym nie mówi. Słyszałem z innego źródła.

- Pracowałeś z nimi wtedy?

- Tak, z Paddym i jego żoną Tammy. Zrobili parę niezłych przekrętów. Paddy nauczył mnie zasad gry w trzy karty. Nie przypuszczałem, że Annabelle zostanie tak dobrą oszustką.

- Jak do tego doszło?

- Ma cechę, jakiej brakowało staremu. Uczciwość. Odziedziczyła po matce. Tammy Conroy była kryształową kobietą, przynajmniej jak na oszustkę.

- Uczciwość? Dziwna cecha u takich jak my - zauważył Freddy.

- Paddy zawsze rządził za pomocą strachu. Jego córka stawia na przygotowania i kompetencje. Ona nigdy, ale to nigdy cię nie wyroluje. Nie mógłbym zliczyć, ile razy Paddy przyskał z łupem. Dlatego w końcu musiał pracować sam. Nikt nie chciał mieć z nim do czynienia. Do licha, nawet Tammy odwróciła się do niego plecami, jak słyszałem.

Freddy milczał przez chwilę, najwyraźniej przetrawiając informacje.

- Wiesz coś o wielkim przekręcie?

Leo pokręcił głową.

- To jej gra. Ja tu tylko pracuję.

Gdy Freddy i Leo wyszli do kuchni, żeby napić się kawy, Tony wyjrzał zza drugich drzwi. Zostawił w pokoju notes i gdy po niego wrócił, miał okazję usłyszeć całą rozmowę. Uśmiechnął się. Uwielbiał wiedzieć rzeczy, o jakie nikt go nie podejrzewał.

## ROZDZIAŁ 9

Zgarnęli na czysto dziewięćset dziesięć tysięcy, bo Tony zrobił się chciwy przy jednym z bankomatów.

- Co ten biedny palant pocznie, odda w rozliczeniu swoje pagani? - zapytał drwiąco.

- Nigdy więcej tego nie rób - wycodziła Annabelle. Siedzieli przy śniadaniu w drugim wynajętym domu kilka kilometrów od pierwszego, który dokładnie wyczyścili, na wypadek gdyby policja złożyła tam wizytę. Odstawili do wypożyczalni Hertza wszystkie samochody, z których korzystali w czasie rabowania trzydziestu kont. Przebrania wyrzucili do kilku kontenerów na śmieci w różnych punktach miasta. Pieniądze ulokowali w czterech skrytkach

depozytowych, które wynajęła Annabelle. Skasowali materiały filmowe i pliki komputerowe, a notesy spalili.

- Masz pretensje, że wyciągnąłem dziesięć kawałków ekstra? - obruszył się Tony. - Do licha, mogliśmy skroić ich na znacznie więcej.

Annabelle mocno dźgnęła go placem w pierś.

- Nie chodzi o pieniądze. Kiedy przedstawiam plan, ty masz się go trzymać. Jeśli nie, stracisz nasze zaufanie. Nie każ mi żałować, że cię wybrałam, Tony. - Gdy pod wpływem jej spojrzenia młody człowiek spuścił oczy, zwróciła się do pozostałych: - Dobra, przechodzimy do drugiego numeru. - Jeszcze raz popatrzyła na Tony'ego. - Teraz w grę wchodzi kontakty osobiste. Jeśli nie będziesz przestrzegał instrukcji i grał perfekcyjnie, trafisz do pierdła, bo margines błędu wynosi zero.

Tony odchylił się na krześle z miną daleką od entuzjastycznej.

- Wiesz, Tony, nie ma nic lepszego niż spotkanie z celem twarzą w twarz i ocena jego i siebie - dodała Annabelle.

- Spoko, dam sobie radę.

- Na pewno? Bo jeśli to jakiś problem, muszę to wiedzieć teraz.

Zerknął nerwowo na pozostałych.

- Nie mam żadnych problemów.

- Dobrze. Jedziemy do San Francisco.

- A co tam jest? - zapytał Freddy

- Listonosz - odparła Annabelle.

\* \* \*

Pojechali do odległego o dwie godziny drogi San Francisco, Leo i Annabelle jednym wozem, Tony i Freddy drugim. Wynajęli na dwa tygodnie mieszkanie w bloku na przedmieściach z widokiem na Golden Gate. Przez cztery dni na zmianę obserwowali kompleks biurowy w eleganckiej części miasta. Celem obserwacji były skrzynki pocztowe, przez większość dni przepełnione, ze stosami listów piętrzącymi się na ziemi. Każdego z tych czterech dni furgonetka pocztowa przybywała pomiędzy siedemnastą a siedemnastą piętnaście.

Piątego dnia, dokładnie o wpół do piątej, Leo w stroju listonosza podjechał do skrzynki pocztową ciężarówką. Annabelle zdobyła ją dzięki znajomości z pewnym człowiekiem, który prowadził działalność godzinę jazdy na południe od miasta. Gość specjalizował się w dostarczaniu różnego rodzaju pojazdów, od furgonów opancerzonych po ambulansy, na zamówienie mniej niż uczciwej klienteli. Annabelle siedziała w samochodzie naprzeciwko skrzynki i patrzyła, jak Leo najeżdża w ciężarówce. Tony i Freddy stali przy wejściu do kompleksu. Mieli uprzedzić Leo przez radio, gdyby prawdziwy listonosz pokazał się wcześniej. Leo miał zabrać tylko pocztę leżącą na ziemi, ponieważ nie miał klucza do skrzynki. Mógłby bez trudu otworzyć zamek wytrychem, ale Annabelle uznała, że nie jest to konieczne. Gdyby ktoś go przyłapał, zostałyby narażona cała operacja.

- Wystarczy to, co leży na ziemi albo wystaje ze skrzynki - zdecydowała.

Gdy Leo wrzucał paczki do ciężarówki, usłyszał w słuchawkach głos Annabelle.

- Biegnie do ciebie dziewczyna, wygląda na sekretarkę.

- Przyjąłem - odparł cicho. Odwrócił się i zobaczył kobietę, która zrobiła zawiedzioną minę.

- A gdzie Charlie?

Charlie, stały listonosz, był wysoki i przystojny.

- Ja mu tylko pomagam, dzisiaj jest dużo roboty - odparł Leo uprzejmie. - Dlatego zjawilem się trochę wcześniej. - Popatrzył na plik listów w jej rękach i podsunął worek pocztowy. - Może je pani wrzucić.

- Dzięki. Dzisiaj wypłata. W kopertach są чеки.

- Poważnie? Zajmę się nimi wyjątkowo starannie. - Uśmiechnął się i podjął ładowanie poczty, a kobieta wróciła do biura.

\* \* \*

W wynajętym mieszkaniu przejrzeni łup, szybko dzieląc listy na użyteczne i niepotrzebne. Annabelle kazała Tony'emu wrzucić te drugie do skrzynki na rogu. Nad pozostałymi śleczła wraz z Freddyem.

Tony po powrocie powiedział:

- Wyrzuciliście mnóstwo czeków z wypłatami. O co tu chodzi?

- Чеки z poborami i należnościami są dla nas bezużyteczne - odparł Freddy z pewnością eksperta. - Są drukowane laserowo i mają zabezpieczone cyfry, więc nie można zmienić sumy.

- Dla mnie to nigdy nie miało sensu - powiedział Leo. - Przecież wysyłają чеки ludziom, których znają.

Freddy podniósł czek.

- Oto, czego potrzebujemy: чеки rozliczeniowe.

- Te są wysyłane do ludzi spoza firmy - zauważył Tony.

- I właśnie to nie ma sensu, młody - dodał Leo. - Zabezpieczasz чеки wysyłane ludziom, którzy dla ciebie pracują albo z którymi robisz interesy. I nie masz absolutnie żadnych zabezpieczeń na czekach, które idą cholera wie, do kogo.

- Wybrałam ten biurowiec, bo mieszczą się w nim regionalne biura kilku firm z listy stu najbogatszych magazynu „Fortune”. Codziennie wypływają z nich tysiące czeków i te konta są pełne pieniędzy - powiedziała Annabelle.

Pięć godzin później Freddy zgromadził osiemdziesiąt czeków. - Te są czyste. Żadnych sztucznych znaków wodnych, żadnych wydumanych zabezpieczeń. - Zaniósł чеки do małego warsztatu, który urządził w jednym z pokojów. Z pomocą kolegów zalepił taśmą podpisy na awersie i rewersie każdego czeku, umieścił je w dużej formie do pieczenia ciasta i zalał zmywaczem do paznokci. Aceton zawarty w zmywaczu szybko rozpuścił wszystko, co nie było wydrukowane. Po zdjęciu taśmy mieli osiemdziesiąt pustych blankietów czekowych z podpisami dyrektora naczelnego lub dyrektora finansowego.

- Kiedyś ktoś wystawił lewy czek na moje konto - powiedział Leo.

- Co zrobiłeś? - zaciekał się Tony.

- Wytropiłem drania. Był amatorem, robił to bardziej dla frajdy, ale mnie wkurzył.

Dlatego dokonałem zmiany adresu na niego, przekierowałem wszystkie rachunki i faceta przez kilka lat nękali wierzyciele. Chodzi mi o to, że takie rzeczy powinno się zostawiać profesjonalistom. - Leo wzruszył ramionami. - Do diabła, mogłem się pod niego podszyc i puścić go z torbami.

- Czemu tego nie zrobiłeś?

- Nie jestem bez serca! - warknął Leo.

- Po wysuszeniu czeków przerobię numery Rezerwy Federalnej - oznajmił Freddy.

- Po co? - zapytał Tony.

- Jesteś pewien, że jesteś oszustem? - zapytał Leo z niesmakiem.

- Moje narzędzia to komputery i Internet, nie zmywacz do paznokci - zachnął się Tony. - Jestem kanciarzem dwudziestego pierwszego wieku. Nie używam papieru.

- Brawa dla tego pana! - parsknął Leo. Annabelle podniosła czek.

- Tu jest numer identyfikujący miejsce rozliczenia czeku - wyjaśniła, wskazując dwie pierwsze cyfry w ciągu liczb na dole czeku. - Informuje bank, do jakiej izby rozrachunkowej należy skierować czek. Izba rozrachunkowa Nowego Jorku ma numer zero-zero. San Francisco - dwanaście. Czeki firm z siedzibą w Nowym Jorku, wydane przez tamtejsze banki, zwykle mają numer izby nowojorskiej. Ponieważ będziemy realizowali czeki tutaj, Freddy zmieni numery na nowojorskie. W ten sposób firma dostanie powiadomienie po dłuższym czasie i nie od razu się połapie, że czek został sfalszowany.

- Co ważniejsze, te wszystkie firmy są wielkie i prowadzą rozliczenia bezgotówkowe - dodała Annabelle. - Mamy więc bardzo duże szanse, że nawet nie zauważą fałszywego czeku, który opiewa na stosunkowo niską kwotę, dopóki nie dostaną miesięcznych sprawozdań. Dziś jest piąty. To znaczy, że mamy prawie miesiąc, zanim odkryją, że coś jest nie w porządku. Wtedy już dawno nas tu nie będzie.

- A jeśli kasjer spojrzy na czek i się połapie, że numer jest niewłaściwy? - zapytał Tony.

- Pewnie nie oglądałeś tego programu w telewizji? - zapytał Leo. - Reporterzy śledczy wpadli do banku z czekiem, na którym wypisali: „Nie realizuj mnie, głupi baranie, jestem fałszywy”. Mimo to głupi baran go zrealizował.

- Nigdy nie słyszałam o kasjerze, który zauważyłby niewłaściwy numer na czeku. O ile nie wzbudisz podejrzeń, nikt się nie zorientuje.

Gdy blankiety wyschły, Freddy zeskanował je do laptopa. Sześć godzin później położył na stole czeki na łączną sumę dwóch milionów stu tysięcy dolarów.

Annabelle przeciągnęła palcem po perforowanym skraju jednego blankietu, zwykłym wskaźniku, że sam czek jest prawdziwy, nawet jeśli sumy i reminenci nie są. Spojrzała na współników.

- A teraz ludzka strona przekrętu. Puszczanie lewych czeków.

- Moja ulubiona część - powiedział Leo z zapałem, gdy skończył kanapkę z szynką i popił ją potężnym łykiem piwa.

## ROZDZIAŁ 10

Zadecydowali, że Annabelle i Leo zrealizują pierwszą partię podrobionych czeków, a Tony przez jakiś czas będzie ich obserwował, żeby zobaczyć, jak to się robi. Wszyscy troje mieli komplety dokumentów, które sporządził dla nich Freddy. Dokumenty identyfikowały ich jako reminentów albo poświadczają, że pracują dla firmy wyszczególnionej jako reminent. Annabelle przykazała Leo i Tony'emu, żeby nosili przy sobie zawsze tylko jeden komplet. Jeśli wpadną, trudno będzie wykaraskać im się z opałów z ośmioma kompletami na różne nazwiska w kieszeniach.

Pewna liczba czeków gotówkowych opiewała na sumy do dziesięciu tysięcy dolarów, ponieważ wyższe wymagałyby powiadomienia urzędu skarbowego. Z powodu tego limitu zgromadzenie docelowej kwoty dwóch milionów stu tysięcy dolarów byłoby praktycznie niewykonalne, gdyż musieliby przeprowadzić zbyt wiele operacji. Dlatego pozostałe czeki zostały wystawione nie na osoby, lecz na firmy, którym Annabelle otworzyła konta w różnych bankach. Tutaj sumy mogły przekraczać dziesięć tysięcy dolarów bez przyciągania uwagi skarbowki. Sęk w tym, że żaden bank nie zrealizuje czeku rozrachunkowego. Cała suma musiała zostać zdeponowana. Z tego powodu Annabelle od miesiący wpłacała i wypłacała pieniądze, żeby założone przez nią konta miały historię. Dobrze wiedziała, że banki robią się nerwowe, gdy na nowy rachunek znieacka zaczyna wpływać mnóstwo forsy - to na kilometr cuchnie praniem brudnych pieniędzy.

Przez dwa dni Annabelle i Leo maglowali Tony'ego, wymyślając wszelkie możliwe przeszkody, na jakie mógłby się natknąć podczas realizowania fałszywych czeków. Po kolei

odgrywali rolę kasjerów, kierowników, ochroniarzy i klientów banku. Tony szybko się uczył, więc pod koniec drugiego dnia, gdy już miał okazję zobaczyć Leo w akcji, powiedzieli mu, że jest gotów zrobić pierwsze kroki w puszczeniu lewych czeków.

\* \* \*

Dziesięć pierwszych operacji poszło gładko. Annabelle zmieniała kolor włosów - raz była rudzielcem, potem blondynką, następnie brunetką. Tył vana przemienił się w przebieralnię z małym stołem z kosmetykami i lustrem. Po puszczeniu kilku czeków oboje z Leo wskakiwali do furgonetki i zmieniali wygląd w drodze do następnego banku. W jednych bankach Annabelle nosiła okulary, w drugich chustkę na głowie, w jeszcze innych miała na sobie spodnie, sportową bluzę i baseballówkę. Odpowiedni makijaż, ubrania, watowane ramiona i fryzura pozwalały jej znacząco zmienić wygląd i zafałszować wiek. Nosiła wyłącznie płaskie obuwie, bo kobieta mająca sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu mniej rzuca się w oczy niż ta, która ma metr osiemdziesiąt na wysokich obcasach. Choć nigdy nie patrzyła na kamery ochrony, zawsze była świadoma ich obecności.

Leo był między innymi biznesmenem, gościem, emerytem i prawnikiem.

Annabelle podchodziła do kasy spokojnym krokiem, bez śladu napięcia. Natychmiast zjednywała sobie siedzącą za ladą osobę, rozmawiając o jej ubraniu czy fryzurze albo o swojej miłości do pięknego miasta nad zatoką - nawet w czasie brzydkiej pogody.

Przy jedenastej kasie wyznała:

- Prowadzę tę firmę konsultingową od czterech lat, ale dotąd nie miałam takiej płatności. Urobiłam sobie ręce po pachy.

- Gratuluję - powiedziała kasjerka, przeprowadzając operację. - Czterdzieści tysięcy dolarów to rzeczywiście nie byle co.

Annabelle uznała, że kobieta trochę zbyt skrupulatnie ogląda czek, idealnie podrobione dokumenty i firmowe papiery. Zauważyła, że nie nosi obrączki, ale od niedawna, bo skóra na palcu była jaśniejsza.

- Mój były zostawił mnie dla młodszej i wyczyścił nasze konta - powiedziała z goryczą. - Musiałam odbudować całe życie. Nie było to łatwe, lecz nie chciałam dawać mu satysfakcji. Przyjmę cholerne alimenty, bo na nie zarobiłam. Ale nie będzie rządził moim życiem.

Zachowanie kasjerki uległo natychmiastowej zmianie.

- Doskonale panią rozumiem - szepnęła i zakończyła operację. - Mój były po dwunastu latach małżeństwa też postanowił wymienić mnie na nowszy model.

- Zafundowali nam gorzką pigułkę, prawda?

- Z przyjemnością odwzajemniłabym się taką z cyjankiem.

Annabelle spojrzała na dokumenty leżące na ladzie i powiedziała lekkim tonem:

- Przypuszczam, że przez pewien czas pieniądze będą zamrożone, prawda? Szkoda, bo muszę spłacić kilku kontrahentów. Z przyjemnością zatrzymałabym całą sumę, ale moja marża zysku wynosi tylko około dziesięciu procent, jeśli mam szczęście.

Kasjerka się zawahała.

- Zwykle tak bywa z czekami na taką sumę. - Popatrzyła na Annabelle, uśmiechnęła się i skierowała spojrzenie na komputer. - Ale na rachunku, na który wystawiony został czek, jest mnóstwo pieniędzy do pokrycia. Poza tym w historii pani konta nie było żadnych problemów. Zapewnię natychmiastową dostępność funduszy.

- To cudownie, jestem ogromnie wdzięczna.

- My, dziewczyny, musimy trzymać się razem.

- Oczywiście - powiedziała Annabelle i odeszła z odcinkiem wpłaty świadczącym, że jej „firma” wzbogaciła się o czterdzieści tysięcy dolarów.



\* \* \*

Tymczasem Leo realizował swoje czeki, zwykle spędzając w kolejnych bankach nie więcej niż dziesięć minut. Wiedział, że szybkość odgrywa kluczową rolę. Szybkość bez niedbałości. Jego metoda przełamywania lodów z kasjerem polegała na żartowaniu, zwykle na własny temat.

- Chciałbym, żeby ten szmal wpłynął na moje konto - powiedział przebrany za gońca. - Wtedy mógłbym zapłacić czynsz. Czy w tym cholernym mieście jest jakieś miejsce, w którym nie żądają pierworodnego jako kaucji za dwupokojowe mieszkanie?

- Ja o takim nie słyszałem - odparł kasjer, współczując. Leo ciągnął:

- Sęk w tym, że nie mam nawet prawdziwego mieszkania, tylko kawalerkę.

- I tak ma pan szczęście. Bank płaci mi tyle, że wciąż mieszkam u rodziców.

- Tak, ale ja mam trzydzieści lat więcej. Jak tak dalej pójdzie, zanim pan zostanie szefem tej instytucji, ja zamieszkam ze swoimi rodzicami.

Młody człowiek wybuchnął śmiechem i podał mu dowód wpłaty osiemnastu tysięcy dolarów.

- Niech pan nie wyda wszystkiego od razu - upomniął żartobliwie.

- Nie ma obawy - odparł Leo. Schował kwit do kieszeni i wyszedł z banku, pogwizdując.

Tego dnia po południu zrealizowali siedemdziesiąty siódmy z osiemdziesięciu czeków. Tony miał za sobą dziesięć operacji i z każdą kolejną nabierał pewności siebie.

- To łatwizna - oznajmił w furgonetce, gdy przebiali się z Leo. Annabelle robiła to samo za zasłonką. - Ci idioci kupują wszystko, co im wciskasz. Nawet nie patrzą na papiery. Nie mam pojęcia, czemu ludzie zawracają sobie głowę napadami z bronią w rękę.

Annabelle wyjrzała zza zaslonki.

- Mamy jeszcze trzy czeki. Weźmiemy po jednym.

- I uważaj na głowę, Tony, gdy będziesz wysiadał z vana - przestrzegł Leo.

- Dlaczego?

- Jest taka wielka, że może nie zmieścić się w drzwiach.

- Do licha, Leo, dlaczego się mnie czepiasz?

- Czepia się, Tony, bo puszczanie lewych czeków wcale nie jest łatwe - odparła

Annabelle.

- Dla mnie jest.

- Dlatego, że Annabelle w swej nieskończonej mądrości dała ci najłatwiejsze - odciął się Leo.

Tony odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

- To prawda?

- Tak - odparła bez ogródek. Nad zasłonką widać było jej nagie ramiona.

- Sam potrafię o siebie zadbać - warknął Tony. - Nie musicie mnie niańczyć.

- Nie robimy tego dla ciebie. Jeśli wpadniesz, pociągniesz nas za sobą. - Annabelle przez chwilę patrzyła na niego z błyskiem w oku, potem złagodniała. - Jesteś utalentowanym oszustem, ale nie ma sensu cię przeciążać. To mogłoby przynieść więcej złego niż dobrego.

Schowała się za zasłonką. Ponieważ przez przyciemnione szyby wpadało nieco światła, zasłonka była lekko przejrzysta. Tony wlepił oczy w sylwetkę Annabelle, gdy zdejmowała i wkładała ubranie.

Leo dał mu sójkę w bok i burknął:

- Trochę szacunku, młody. Tony odwrócił się powoli.

- Niech mnie licho - powiedział po cichu.

- Co, nigdy dotąd nie widziałeś nagiej pięknej kobiety?

- Nie, to znaczy tak, widziałem. - Tony wbił oczy w swoje ręce.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał Leo, Tony podniósł głowę.

- Przed chwilą nazwała mnie utalentowanym oszustem.

## ROZDZIAŁ 11

Była to ostatnia operacja. Tony stał przed kasjerką, uroczą młodą azjatką z włosami do ramion, nieskazitelną cerą i wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi. Mocno zaintrygowany pochylił się i oparł łokcie na ladzie.

- Długo pani tu mieszka? - zapytał.

- Kilka miesięcy, przeprowadziłam się z Seattle.

- Pogoda ta sama.

- Tak - odparła z uśmiechem, nie przerywając pracy.

- Ja przeniosłem się z Vegas. To dopiero rozrywkowe miasto.

- Nigdy tam nie byłam.

- Jest kapitalne, musi pani tam jechać. Jak mówią, wszystko, co dzieje w Vegas, zostaje w Vegas. - Popatrzył na nią wyczekująco. - Z przyjemnością służyłbym pani za przewodnika. Spojrzała na niego z dezaprobatą.

- Nawet pana nie znam.

- W porządku, nie musimy zaczynać od Vegas. Może zaczniemy od lunchu.

- Skąd pan wie, że nie mam chłopaka? - zapytała wyzywająco.

- Wygląda pani wystrzałowio, więc na pewno ma pani faceta. To znaczy, że będą musiał bardziej się starać, żeby pani o nim zapomniała.

Kobieta zarumieniała się i spuściła oczy, ale z uśmiechem. - Jest pan szalony. - Wcisnęła parę klawiszy. - Mogę zobaczyć jakiś dowód tożsamości?

- Tylko jeśli pani obieca, że nie odmówi, gdy oficjalnie poproszę o spotkanie.

Wzięła od niego prawo jazdy, przeciągając palcem po jego palcu. Uśmiechnęła się do niej. Spojrzała na dokument i zrobiła zdumioną minę.

- Czy nie mówił pan przed chwilą, że przeprowadził się z Vegas?

- Zgadza się.

- Ale tutaj jest napisane, że mieszkał pan w Arizonie. - Pokazała mu dokument. - I na tym zdjęciu wygląda pan zupełnie inaczej.

O cholera! Wyciągnąłem nie te papiery, pomyślał Tony. Na przekór przykazaniu Annabelle, która zabroniła zabierać więcej niż jeden komplet dokumentów, on z uporem nosił wszystkie. Na tym zdjęciu miał jasne włosy, kocią bródkę i okulary dwuogniskowe.

- Mieszkałem w Arizonie, ale pracowałem w Vegas, w ten sposób wychodziło taniej - powiedział szybko. - Poza tym postanowiłem zmienić styl. Nowy kolor włosów, soczewki kontaktowe, rozumie pani.

Tłumacząc się kulawo, wiedział, że zawalił. Kasjerka popatrzyła na czek i jej spojrzenie stało się jeszcze bardziej podejrzliwe.

- To czek Banku Kalifornijskiego i firma też jest kalifornijska, ale widnieje na nim numer izby rozrachunkowej Nowego Jorku. Dlaczego?

- Numer izby rozrachunkowej? Nie mam pojęcia, co to takiego - wydukał Tony drżącym głosem. Po minie kasjerki poznał, że już uznała go za winnego oszustwa bankowego.

Spojrzała w stronę strażnika, położyła czek i fałszywe dokumenty na ladzie przed sobą.

- Wezwę kierownika... - zaczęła.

- Co tu się dzieje? - zapytał ktoś cicho. - Proszę mi wybaczyć. - Jakaś kobieta odepchnęła Tony'ego z drogi i stanęła na wprost kasjerki. Była to wysoka, pulchna blondynka z ciemnymi odrostami, ubrana w fioletową bluzkę i czarne spodnie. Na łańcuszku na szyi miała dwuogniskowe okulary. Cichym, ale stanowczym głosem mówiła:

- Stoję tutaj od dziesięciu minut i słucham, jak się migdalicie. Jakie usługi świadczy ten bank? Dlaczego jeszcze nie ma tu kierownika?

Kasjerka odsunęła się o krok, szeroko otworzyła oczy.

- Przepraszam panią, właśnie...

- Wiem, co pani właśnie robiła - przerwała jej gwałtownie kobieta. - Słyszałam, wszyscy w banku słyszeli, jak flirtujecie i dyskutujecie o swoim życiu miłosnym.

Kasjerka poczerwieniała.

- Nie robiliśmy nic takiego, proszę pani.

Kobieta położyła ręce na ladzie i pochyliła się w jej stronę.

- Doprawdy? A rozmowa o chłopakach, Vegas i pani wystrzałowym wyglądzie to co, sprawy urzędowe? Czy tak traktuje pani wszystkich klientów? Czy porozmawia pani ze mną o tym, z kim sypiam?

- Proszę pani, ja...

- Darujmy sobie. Skończyłam. - Kobieta odwróciła się i wyszła.

Tony już zniknął. Leo wyprowadził go w parę sekund po przybyciu odsieczki. Annabelle dołączyła do nich minutę później.

- Zwijamy się, Freddy! - krzyknęła do kierowcy i furgonetka natychmiast ruszyła.

Annabelle ściągnęła jasną perukę i schowała okulary do kieszeni. Zdjęła płaszcz i odpięła poduszki, które pogrubiały ją w talii. Rzuciła Tony'emu dokumenty. Złapał je zawstydzony, a potem zawołał:

- A niech to, mają czek...

Umilkł, gdy Annabelle podniosła starannie złożony czek.

- Przepraszam, Annabelle, naprawdę przepraszam.

Przysunęła się do niego.

- Mała rada, Tony. Nigdy nie podrywaj celu, zwłaszcza gdy udajesz kogoś innego.

- Dobrze, że postanowiliśmy cię wspierać - powiedział Leo.

- Skąd ten pomysł? - zapytał Tony ponuro.

- Wysiadłeś z vana zbyt pewny siebie - odparła Annabelle. - A zbytnią pewnością siebie zabija oszusta. To następna zasada do zapamiętania.

- Mogę pójść do innego banku i puścić czek - zadeklarował szybko Tony.

- Nie. Wystarczy. Nie warto ryzykować.

Tony zaczął protestować, ale po chwili oklapł i umilkł. Leo i Annabelle wymienili spojrzenia, oboje odetchnęli z ulgą.

\* \* \*

Dwa dni później Leo zapukał do sypialni Annabelle w wynajętym mieszkaniu.

- O co chodzi? - zawołała.

- Masz chwilę?

Siedział na łóżku, gdy wkładała ubrania do torby.

- Trzy bańki - powiedział z szacunkiem. - Wiesz, nazywałaś te numery małymi, ale dla większości oszustów byłyby one wielkie. I piękne, Annabelle.

- Każdy na przyzwoitym poziomie mógłby zrobić to samo. Ja tylko odrobinę podniosłam stawkę.

- Odrobinę? Trzy miliony na czworo to nie odrobina.

Spojrzała na niego ostro.

- Wiem, wiem - powiedział szybko. - Ty masz większą dolę, bo to twoja gra. Mimo to moja działka wystarczy mi na parę lat życia na niezłym poziomie. Może nawet wezmę prawdziwy urlop.

- Jeszcze nie. Czeka nas wielki przekręt, Leo. Taka była umowa.

- Racja, ale tylko pomyśl.  
Wrzuciła stosik ubrań do torby.

- Myślałam o tym. Robimy wielki przekręt.  
Leo wstał, obracając w palcach niezapalonego papierosa.

- Dobra, ale co z młodym?  
- O co ci chodzi?  
- Powiedziałaś, że potrzebna jest gwiazdorska obsada. Nie mam zastrzeżeń do Freddy'ego, jego towar jest pierwszorzędny. Ale przez młodego o mało wszyscy nie wpadliśmy. Gdyby cię tam nie było...

- Gdyby mnie tam nie było, coś by wymyślił.  
- Bzdura! Kasjerka miała go na widelcu. Dał jej niewłaściwe papiery. Co za tępa pała!  
- Ty nigdy nie popełniłeś błędu w czasie oszustwa, Leo? Niech pomyślę. A co było w Phoenix? Albo w Jackson Hole?  
- Tak, ale to nie były przekręty na wiele milionów, Annabelle. I niczego mi nie podawano na cholernym talerzu, gdy byłem jeszcze w pieluchach jak Tony.  
- Zazdrość nie poprawi twoich notowań, Leo. A Tony może zdobywać punkty.  
- Może tak, a może nie. Rzecz w tym, że nie chcę tu być, gdy się okaże, że jednak nie może.

- Pozwól, ja będę się tym martwiła.  
Leo poderwał rękę.  
- Wspaniale, martwisz się za nas wszystkich.  
- Cieszę się, że to uzgodniliśmy.  
Leo wbił rękę w kieszenie i zaczął krążyć po pokoju.  
- Jeszcze coś? - zapytała Annabelle.  
- Tak. Na czym ma polegać ten wielki przekręt?  
- Powiem ci, gdy przyjdzie pora. Na razie nie musisz wiedzieć.  
Leo usiadł na łóżku.  
- Nie jestem z CIA. Jestem oszustem. Nigdy nikomu nie ufam. - Popatrzył na jej torbę. - Jeśli mi nie powiesz, nie licz na moje towarzystwo.  
- Wiedziałeś, Leo, w co wchodzisz. Jeśli teraz odejdziesz, nie dostaniesz złamanego centa. Dwa małe numery i jeden wielki przekręt. Taka była umowa.  
- Tak, ale nie było mowy o niańczeniu jakiegoś smarkacza który o mało nie wpakował nas za kratki. Dlatego być może będziemy musieli renegejować umowę, droga pani.  
Spojrzała na niego z pogardą.  
- Co, chcesz mnie puścić w trąbę po tych wszystkich latach? Zapewniłam ci udział w najlepszej akcji, o jakiej słyszałeś.  
- Nie potrzebuję więcej pieniędzy. Muszę się dowiedzieć, na czym polega wielki przekręt, bo jak nie, to na mnie nie licz!  
Annabelle przerwała pakowanie, rozważając jego słowa.  
- Wystarczy, jeśli powiem, dokąd jedziemy?  
- To zależy.  
- Atlantic City.  
Krew odpłynęła mu z twarzy.  
- Odbiło ci? Ostatnim razem było za mało źle?  
- To dawne dzieje, Leo.  
- Dla mnie nigdy nie będą zbyt dawne - warknął. - Dlaczego nie zrobimy czegoś łatwiejszego niż okradanie mafii?  
- At-lan-tic Ci-ty - syknęła z naciskiem.  
- Dlaczego, z powodu twojego starego?  
Nie odpowiedziała.

Leo wstał i wycelował w nią palec.

- Jesteś stuknięta, Annabelle. Jeśli myślisz, że znowu wejdziesz z tobą do tego piekła, bo chcesz coś sobie udowodnić, to nie znasz Leo Richtera.

- Samolot odlatuje o siódmej rano.

Leo nerwowo przestępował z nogi na nogę, patrząc, jak Annabelle się pakuje.

- Lecimy pierwszą klasą? - zapytał po paru minutach.

- Tak, a bo co?

- Bo jeśli ma to być mój ostatni lot w życiu, chciałbym podróżować w luksusie.

- Dla ciebie wszystko, Leo.

Wyszedł z pokoju, a Annabelle wróciła do pakowania.

## ROZDZIAŁ 12

Caleb Shaw pracował w czytelni dzieł rzadkich. Napłynęło kilka próśb o materiały ze skarbcza Lessinga, a ich wydanie wymagało aprobaty kierownictwa. Po załatwieniu tej sprawy przez długi czas rozmawiał przez telefon z profesorem piszącym książkę na temat prywatnej biblioteki Jeffersona. Księgozbiór, który Jefferson sprzedał państwu po tym, jak Brytyjczycy spalili miasto w czasie wojny 1812 roku, stał się zalążkiem obecnej Biblioteki Kongresu. Później Jewell English, starsza pani regularnie bywająca w czytelni, poprosiła go o tomik *Beadles' Dime Novels*. Interesowały ją groszowe powieści i miała ładną kolekcję, o której mu opowiadała. Caleb przypuszczał, że szczupła, skora do uśmiechu siwowłosa pani czuje się samotna. Wyznała, że jej mąż zmarł dziesięć lat temu, a rodzina rozproszyła się po kraju. Z tego powodu wciągał ją w rozmowy, ilekroć przychodziła.

- Masz prawdziwe szczęście, Jewell - powiedział. - Właśnie wróciła z działu konserwacji. Potrzebowała trochę czulej opieki. - Podał jej książkę, pogawędził parę minut o przedwczesnej śmierci Jonathana DeHavena, a potem wrócił do biurka. Patrzył przez chwilę, jak starsza pani powoli zakłada grube szkła i przegląda starą broszurę, sporządzając notatki na przyniesionych kartkach. Z oczywistych względów czytelnicy mogli korzystać tylko z ołówków i luźnych kartek, a przed wyjściem z czytelni sprawdzano ich torby.

Gdy otworzyły się drzwi, Caleb podniósł głowę i zobaczył asystentkę z wydziału administracji. Wstał, żeby ją powitać.

- Cześć, Caleb, mam liścik od Kevina.

Kevin Philips pełnił obowiązki dyrektora po śmierci DeHavena.

- Od Kevina? Czemu nie zadzwonił albo nie przysłał maila?

- Chyba dzwonił, ale albo linia była zajęta, albo ty nie odebrałaś. Z jakiegoś powodu nie chciał korzystać z poczty elektronicznej.

- Fakt, byłem dziś dość zajęty.

- To chyba pilna sprawa. - Podała mu kopertę i wyszła. Chcąc położyć ją na biurku, Caleb potknął się o skraj maty leżącej pod krzesłem, strącił okulary z blatu i przypadkowo na nie nastąpił, miażdżąc szkła.

- Dobry Boże, ale ze mnie niezgara. - Podniósł zniszczone okulary i spojrzał na kopertę. No tak, bez szkieł niczego nie przeczyta. Asystentka powiedziała, że sprawa jest pilna.

- Potknąłeś się o tę matę już kilka razy, Calebie - zauważyła Jewell uprzejmie.

- Dzięki za spostrzegawczość - wycedził przez zaciśnięte zęby. Popatrzył na nią. - Jewell, pożyczysz mi na chwilę okulary, żebym mógł przeczytać list?

- Jestem ślepa jak kret. Mogą nie pasować.

- Nie martw się, ja też jestem ślepy jak kret, przynajmniej jeśli chodzi o czytanie.

- Może ja przeczytam?

- Nie, nie. Wiesz, co to może być.

Klasnęła i wyszeptała:

- Myślisz, że tajne? Ależ to emocjonujące!

Zerkał na kartkę, gdy Jewell podała mu okulary. Założył je, usiadł za biurkiem i przeczytał wiadomość. Kevin Philips prosił go o natychmiastowe stawienie się w administracji na niedostępnym publicznie piętrze budynku Nigdy dotąd nie wzywano go do administracji, przynajmniej nie w taki sposób. Powoli złożył kartkę i schował ją do kieszeni.

- Dzięki, Jewell, pewnie mamy jednakową wadę wzroku, pasowały idealnie. - Oddał jej okulary, przygotował się na najgorsze i wyszedł z czytelni.

Kevin Philips siedział z mężczyzną w ciemnym garniturze. Przedstawił go jako prawnika Jonathana DeHavena.

- DeHaven mianował pana w testamencie wykonawcą odpowiedzialnym za księgozbiór, panie Shaw - powiedział prawnik, podając Calebowi dokument. Dał mu również dwa klucze i świstek papieru.

- Duży klucz jest do domu pana DeHavena. Mniejszy do skarbcza, w którym znajdują się książki. Pierwszy ciąg cyfr na kartce to kod systemu alarmowego. Drugi to kombinacja do skarbcza. Jest zamykany na klucz i zamki szyfrowe.

Caleb popatrzył tępo na podane mu przedmioty.

- Wykonawcą?

- Zgadza się - powiedział Philips. - Jeśli dobrze rozumiem, pomogłeś mu zdobyć parę pozycji do kolekcji.

- W istocie - przyznał Caleb. - Miał dość pieniędzy i wyrafinowanego smaku, by zgromadzić bardzo dobrą kolekcję.

- Najwyraźniej dużo myślał o pańskiej pomocy - powiedział prawnik. - Testament zapewnia panu nieograniczony dostęp do księgozbioru. Zgodnie z wolą DeHavena ma pan zinwentaryzować kolekcję, wycenić, podzielić, jeśli uzna pan to za słuszne, i sprzedać z przeznaczeniem zysku na cele dobroczynne wymienione w testamencie.

- Mam wyprzedać jego książki? A co na to rodzina?

- Moja kancelaria reprezentowała rodzinę DeHavenów od wielu lat. Nie ma żyjących krewnych - odparł prawnik. - Pamiętam, jak jeden z emerytowanych współników mówił, że DeHaven kiedyś był żonaty, wiele lat temu Najwyraźniej małżeństwo nie trwało długo. - Urwał, szukając w pamięci. - Zostało unieważnione, chyba tak to ujął. Wtedy jeszcze nie pracowałem w kancelarii. W każdym razie, nie ma dzieci, więc nikt nic wysunie roszczeń. Otrzyma pan określony procent od sumy, za jaką sprzedana zostanie kolekcja.

- A suma może być znaczna - dodał Philips.

- Zrobię to za darmo - powiedział szybko Caleb.

- Udam, że tego nie słyszałem - zaśmiał się prawnik. - Może być więcej pracy, niż pan sądzi. Czy przyjmuje pan zlecenie?

Po chwili wahania Caleb odparł:

- Tak. Dla Jonathana.

- Dobrze. Proszę podpisać zgodę oraz pokwitować odbiór kluczy i kombinacji. -

Przesunął w jego stronę jednostronicowy dokument. Caleb złożył podpis nie bez trudności, bo nie miał okularów.

- Księgozbiór czeka na pana - powiedział prawnik na zakończenie.

Caleb wrócił do biura i popatrzył na klucze. Parę minut później podjął decyzję.

Zadzwoił do Miliona, Reubena i Stone'a. Powiedział, że nie chce jechać sam do domu Jonathana. Zgodzili się mu towarzyszyć.

## ROZDZIAŁ 13

Tego wieczoru Reuben zajeżdżał pod dom DeHavena na motocyklu Indian, z wysokim Stone'em wciśniętym do bocznego wózka. Caleb i Milton przyjechali zaraz za nimi sędziwym, zapadniętym grafitowoszarym chevroletem nova z kapryśną rurą wydechową. Caleb zabrał zapasową parę okularów, przypuszczał, że czeka go sporo czytania.

- Niezła chata - zauważył Reuben, gdy zdejmował kask gogle. - Całkiem wypasiona jak na rządową pensję.

- Jonathan odziedziczył majątek - wyjaśnił Caleb.

- Musiał być niemały. Ja odziedziczyłem tylko kłopoty. I z wami kolegami co rusz pakuję się w nowe.

Caleb otworzył drzwi i wyłączył system alarmowy.

- Byłem wcześniej w skarbcu - powiedział, gdy weszli. - Możemy jechać windą do piwnicy.

- Winda! - wykrzyknął Milton z przestachem. - Nie lubię wind.

- W takim razie zjeżdż po schodach - poradził Caleb, wskazując w lewo. - Tamtędy.

Reuben powiódł wzrokiem po antycznych meblach, gustownych dziełach sztuki i rzeźbach w klasycznie stylizowanych niszach. Potarł noskiem buta piękny orientalny dywan w salonie.

- Nie potrzebują faceta do pilnowania domu, dopóki wszystko nie zostanie załatwione?

- Nawet o tym nie myśl - odparł Caleb.

Zjechali windą i spotkali się z Miltonem w niewielkim przedsionku.

Drzwi skarbcza były potężne, stalowe, grube na sześćdziesiąt centymetrów, wyposażone w klawiaturę i szczelinę dla specjalnego klucza. Caleb powiedział, że klucz i kombinację należy wprowadzić jednocześnie.

- Jonathan zabrał mnie ze sobą parę razy.

Drzwi odchyliły się bezgłośnie. Skarbiec miało około trzech metrów szerokości, nieco mniej wysokości i około dziesięciu metrów długości. Gdy tylko weszli, zapaliły się światła, które, choć przyćmione, zapewniały dobrą widoczność.

- Ognioodporny i przeciwbombowy. Regulacja temperatury i wilgotności - wyjaśnił Caleb. - Tego wymagają stare książki, zwłaszcza przechowywane w piwnicach, gdzie warunki mogą się dramatycznie zmieniać.

Ściany skarbcza były obstawione półkami. Na półkach leżały książki, broszury i inne dzieła, które nawet dla niewyszkolonego oka wyglądały na rzadkie i cenne.

- Możemy dotykać? - zapytał Milton.

- Lepiej nie - odparł Caleb. - Niektóre pozycje są bardzo kruche. Wiele z nich nie wiedziało światła dziennego od ponad stu lat.

- Niech mnie licho - mruknął Reuben, lekko przeciągając palcami po grzbiecie jakiegoś tomu. - To jak małe więzienie dla książek skazanych na dożywocie.

- To bardzo krzywdzące stwierdzenie - obruszył się Caleb. - Przechowywanie w zamknięciu chroni książki, żeby pewnego dnia mogły się nimi cieszyć następne pokolenia. Jonathan poniósł wielkie koszty, żeby zapewnić zbiorowi jak najlepsze warunki.

- A co to za zbiór? - zapytał Stone. Patrzył na bardzo stary tom, którego okładka wyglądała jak wyrzeźbiona z dębu. Caleb ostrożnie podniósł księgę.

Jonathan zgromadził niezłą kolekcję, choć niezbyt dużą, sam pierwszy by to przyznał. Wszyscy wielcy kolekcjonerzy dysponowali niemal nieograniczonymi funduszami, ale, co ważniejsze, każdy miał wizję i realizował ją z determinacją, którą można nazwać nie inaczej jak tylko obsesją. To tak zwana bibliomania, najszlachetniejsza obsesja świata. Mieli ją wszyscy wielcy kolekcjonerzy. Rozejrzał się po pokoju.

- Najlepsze kolekcje szczycą się dziełami, na jakie Jonathana nigdy nie byłoby stać.

- Na przykład? - zaciekał się Stone.  
- Folio Szekspira. Pierwsze Folio stoi oczywiście na pierwszym miejscu. Ma dziewięćset stron, zawiera trzydzieści sześć sztuk. Nie zachował się ani jeden rękopis barda ze Stratfordu, dlatego Folio są niewiarygodnie cenne. Pierwsze Folio zostało sprzedane kilka lat temu w Anglii za trzy i pół miliona funtów.

Milton gwizdnął przeciągle i pokręcił głową.

- Około sześciu tysięcy dolarów za stronę.

- Są inne cenne dzieła wzbogacające kolekcje - podjął Caleb - William Blake, *Principia Mathematica* Newtona, starodruki Caxtona, pierwszego angielskiego drukarza. J.P. Morgan, jeśli dobrze pamiętam, miał w swojej kolekcji ponad sześćdziesiąt caxtonów. *Mainz Psalter* z tysiąc czterysta pięćdziesiątego siódmego albo dziewiątego, *The Book of St. Albans*, coś Durandusa, jeden z najświetniejszych przykładów sztuki drukarskiej, wyłączając Biblię Gutenberga. Na świecie są tylko trzy idealnie zachowane Biblie Gutenberga. Jedna znajduje się w Bibliotece Kongresu. Są bezcenne.

Caleb powiódł wzrokiem po półce.

- Jonathan ma *Boską komedię* Dantego z tysiąc czterysta siedemdziesiątego drugiego, której nie powstydziliby się najlepszy księgozbiór. Poza tym jest tutaj *Tamerlan* Poego, egzemplarz niezwykle rzadki i trudny do zdobycia. Jakiś czas temu *Tamerlan* został sprzedany prawie za dwieście tysięcy dolarów. Ostatnio Poe wrócił do łask, więc dziś kosztowałby znacznie więcej. W skład kolekcji wchodzi godny uznania zbiór inkunabułów, głównie niemieckich, ale jest też parę włoskich, i sporo pierwszych wydań bardziej współczesnych powieści, wiele z autografami. Jonathan stał mocno w amerykańskich i miał wiele próbek osobistych pism Waszyngtona, Adamsa, Jeffersona, Franklina, Madisona, Hamiltona, Lincolna i innych. Jak powiedziałem, to bardzo ładna kolekcja, choć niewielka.

- A to co? - zapytał Reuben, wskazując słabo oświetlony kąt w głębi skarbca.

Skupili się przed niewielkim portretem mężczyzny w średniowiecznym stroju.

- Nie przypominam sobie, żebym to tu widział - powiedział Caleb.

- I dlaczego obraz wisi w skarbcu? - zapytał Milton.

- I tylko jeden - zaznaczył Stone. - Niewielka kolekcja. - Przyjrzał się portretowi pod różnymi kątami, potem położył palce na skraju ramy i pociągnął. Obraz się odchylił, odsłaniając drzwiczki sejfu wbudowanego w ścianę.

- Sejf w sejfie - stwierdził Stone. - Wystukaj kombinację do głównego skarbca.

Caleb spróbował, ale nic z tego. Bez powodzenia wybił kilka innych ciągów liczb.

- Ludzie zwykle wybierają kombinację łatwą do zapamiętania, bo wtedy nie muszą jej zapisywać. To mogą być litery, cyfry albo jedno i drugie.

- Prawnik dał Calebowi klucz i kombinację do głównego skarbca. Dlaczego nie podał mu szyfru do wewnętrznego sejfu? - zapytał Milton.

- Może uznał, że Caleb go zna - podsunął Reuben. Stone pokiwał głową.

- Zgadza się. Pomyśl, Calebie, może kombinacja ma coś wspólnego z czytelnią dzieł rzadkich.

- Dlaczego? - zapytał Milton.

- Bo tutaj jest swego rodzaju czytelnia dzieł rzadkich DeHavena.

Caleb popatrzył na niego z namysłem.

- Jonathan codziennie otwierał drzwi, jakąś godzinę przed przybyciem pozostałych pracowników. Robił to za pomocą specjalnego zestawu kluczy i wprowadzał kod. Ale ja go nie znam.

- Może chodzi o coś prostszego? Tak prostego, że rzuca się w oczy.

Caleb nagle pstryknął palcami.

- Oczywiście. Codziennie mam to przed oczami. - Wystukał kod na klawiaturze sejfu i drzwiczki się otworzyły.



- Co to za numer? - zapytał Stone.

- LJ dwieście trzydzieści dziewięć. Numer pokoju, w którym mieści się czytelnia dzieł rzadkich. Patrzę na niego codziennie, gdy idę do pracy.

W sejfie znajdował się tylko jeden przedmiot. Caleb ostrożnie wyjął kasetkę i otworzył ją powoli.

- W dość kiepskim stanie - zauważył Reuben.

Była to książka w czarnych okładkach, splekanych i zaczynających się rozpadać. Caleb otworzył ją ostrożnie i spojrzął na pierwszą stronę. Przewrócił kartkę, potem następną.

Wreszcie ze świstem wciągnął powietrze.

- Mój Boże!

- Co to jest? - zapytał Stone.

Calebowi trzęsły się ręce. Odpowiedział powoli, drżącym głosem:

- Myślę... zdaje mi się... jestem pewien, że to pierwsze wydanie *Bay Psalm Book*.

- Stara książka?

Caleb popatrzył na niego zdumiony.

- To najstarsze zachowane drukowane dzieło w Stanach Zjednoczonych, Oliverze. Na całym świecie istnieje tylko jedenaście takich psalterzy i tylko pięć z nich jest kompletnych. Nigdy nie trafiły na rynek. Biblioteka Kongresu ma jeden, ale dostaliśmy go dziesięć lat temu. Nie wydaje mi się, że byłoby nas stać na zakup.

- Skąd więc Jonathan wziął ten egzemplarz?

Caleb z wielką czcią schował książkę i zamknął wieczko. Umieścił kasetkę w sejfie i zatrzasnął drzwiczki.

- Nie wiem. Ostatni psalterz trafił na rynek ponad sześćdziesiąt lat temu i został kupiony za rekordową sumę będącą odpowiednikiem dzisiejszych milionów dolarów. Obecnie jest w Yale. - Pokręcił głową. - Dla kolekcjonerów książek to równoznaczne z odnalezieniem zaginionego obrazu Rembrandta czy Goi.

- Skoro na świecie jest ich tylko jedenaście, łatwo je policzyć. Mogę poszukać w Google - zaproponował Milton.

Caleb, zdeklarowany technofob, popatrzył z politowaniem na Milтона, który chwycił w lot i umiał wykorzystywać wszystkie nowinki komputerowe.

- Nie można szukać psalterza *Bay* w Internecie, Miltonie. I o ile wiem, wszystkie egzemplarze znajdują się w instytucjach takich jak Harvard, Yale, Biblioteka Kongresu.

- Jesteś pewny, że to oryginał? - zapytał Stone.

- Istnieje wiele późniejszych wydań, ale jestem prawie pewien, że ta wersja pochodzi z tysiąc sześćset czterdziestego. Tak jest napisane na stronie tytułowej, a ponadto książka ma inne znane mi cechy oryginału - wyjaśnił jednym tchem Caleb.

- Co to właściwie jest? - zapytał Reuben. - Ledwo zdołałem odczytać parę słów.

- Zbiór hymnów, który purytanie zamówili u swoich duchownych do codziennych praktyk religijnych. W owych czasach prasy drukarskie były bardzo prymitywne, co w połączeniu ze starym krojem czcionki sprawia, że trudno odczytać tekst.

- A jeśli wszystkie jedenaście psalterzy znajduje się w jakichś instytucjach? - zapytał Stone.

Caleb spojrzął na niego z niepokojem.

- Istnieje możliwość, jakkolwiek niewielka, że zachowały się nieznane egzemplarze. Kiedyś pewna osoba natknęła się na strychu na połowę rękopisu Huckleberry Firna. Ktoś inny za zdjęciem w ramce znalazł oryginalny egzemplarz Deklaracji Niepodległości, a w jakiejś starej książce odkryto pisma Byrona. Na przestrzeni setek lat wszystko jest możliwe.

Choć w skarbcu panował chłód, Caleb wytarł kropelką potu z czoła.

- Czy zdajecie sobie sprawę z ogromnej odpowiedzialności, jaka się z tym wiąże? Mówimy o kolekcji zawierającej psalterz *Bay*. *Bay*, na miłość boską!

Stone położył rękę na ramieniu przyjaciela, żeby go uspokoić.

- Nigdy nie spotkałem nikogo, kto miałby lepsze kwalifikacje niż ty. Pomożemy ci, na ile będziemy mogli.

- Tak- powiedział Reuben. - Mam parę dolców, gdybyś chciał opchnąć kilka książek, zanim ściągną prawdziwe grube ryby. Ile wezmiesz za tę *Boską Komedię*. Przydałoby mi się coś do śmiechu.

- Słuchaj - wtrącił Milton - żadnego z nas nie stać nawet na kupno katalogu aukcyjnego.

- Czy to nie piękne? - parsknął Reuben, udając złość. - Teraz pewnie mi powiesz, że nie mogę rzucić tej gównianej roboty w dokach.

- Do licha, co wy tam robicie? - zawołał ktoś. Odwrócili się i zobaczyli intruzów stojących za progiem skarbcza. Dwaj krzepcy mężczyźni w mundurach prywatnej ochrony mierzyli z pistoletów w członków Klubu Wielbłądów. Przed nimi stał niski chudzielec ze strzechą rudych włosów, schludną ryżą bródką i parą żywych niebieskich oczu.

- Pytam, co wy tu robicie? - powtórzył.

- Może powinniśmy spytać o to samo, kolego - warknął Reuben.

Caleb wysunął się do przodu.

- Jestem Caleb Shaw z Biblioteki Kongresu, gdzie pracowałem z Jonathanem DeHavenem. W testamencie mianował mnie wykonawcą odpowiedzialnym za księgozbiór.- Pokazał klucze do domu i skarbcza. - Przyszedłem tutaj za zgodą prawnika Jonathana, aby przejrzeć kolekcję. Przyjaciele mi pomagają. - Sięgnął do kieszeni po legitymację pracownika biblioteki.

Zachowanie mężczyzny szybko się zmieniło, gdy sprawdził dokumenty.

- Oczywiście, przepraszam. Zobaczyłem, że ktoś wchodzi do domu Jonathana, i wyciągnąłem pochopne wnioski. - Dał znać swoim ludziom, żeby schowali broń.

- Nie poznamy pańskiego nazwiska? - zapytał Reuben, podejrzliwie patrząc na mężczyznę.

Zariim ten zdążył odpowiedzieć, Stone oznajmił:

- Sądzę, że mamy przyjemność przebywać w towarzystwie Comeliusa Behana, dyrektora Paradigm Technologies, trzeciego w kraju dostawcy sprzętu dla wojska.

Behan się uśmiechnął.

- Niebawem będzie numerem jeden, gdy postawię na swoim, a zwykle tak się dzieje.

- Więc, panie Behan... - zaczął Caleb.

- Mów mi CB, jak wszyscy. - Mężczyzna przestąpił próg i rozejrzał się po wnętrzu. - Więc to jest kolekcja książek DeHavena.

- Znałeś Jonathana?

- Nie nazwałbym nas przyjaciółmi. Spotkaliśmy się na paru wakacyjnych przyjęciach. Wiem, że pracował w bibliotece i że zbierał książki. Od czasu do czasu mijaliśmy się na ulicy i ucinaliśmy sobie pogawędkę. Zaskoczyła mnie wiadomość o jego śmierci.

- Podobnie jak nas wszystkich - mruknął Caleb ponuro.

- Jesteś więc wykonawcą odpowiedzialnym za księgozbiór. Co to znaczy?

- To znaczy, że w testamencie zlecił mi skatalogowanie i wycenę kolekcji, a następnie wystawienie jej na sprzedaż.

- Jest tu coś dobrego?

- Jesteś kolekcjonerem? - zapytał Stone.

- Tak, byłem znany z kolekcjonowania wielu rzeczy - odparł Behan niejasno.

- To bardzo dobra kolekcja. Zostanie wystawiona na aukcji - wyjaśnił Caleb. -

Przynajmniej najbardziej znacząca część.

- Rozumiem - mruknął Behan z roztargnieniem. - Cos nowego w sprawie śmierci Jonathana?

Caleb pokręcił głową.

- Zdaje się, że miał atak serca.  
- A wyglądał na zdrowego. Myśl o jutrze jest dobrym powodem, żeby codziennie dawać z siebie wszystko, prawda? - Odwrócił się i odszedł na czele swoich ludzi.

Gdy ich kroki ucichły, Stone zwrócił się do Caleba:

- Bardzo ładnie z jego strony, że przyszedł sprawdzić dom człowieka, z którym tylko od czasu do czasu gawędził.

- Był jego sąsiadem, Oliverze - podkreślił Caleb. - To naturalne, że się zainteresował.

- Nie lubię go - oświadczył Milton. - Buduje rzeczy, które zabijają ludzi.

- Mnóstwo ludzi - dodał Reuben. - W moim przekonaniu stary CB to pokretny fiutek.

Ten wieczór i następny spędzili na katalogowaniu książek i innych dzieł. Gdy Caleb miał kompletną listę, Milton wstukał ją do laptopa.

- Co teraz? - zapytał, gdy zamknęli ostatnią książkę.

- Zwykle sprowadza się rzeczoznawcę z domu aukcyjnego Sotheby's albo Christie's - wyjaśnił Caleb. - Ale przyszedł mi na myśl ktoś inny. Moim zdaniem jest najlepszym znawcą białych kruków. Chcę go zapytać, czy wiedział, że Jonathan miał *Bay*.

- Z Nowego Jorku? - zapytał Stone.

- Nie, stąd. Może dwadzieścia minut jazdy.

- Kto to taki? - zapytał Reuben.

- Vincent Pearl.

Stone spojrział na zegarek.

- Zobaczymy się z nim jutro. Już jedenasta.

Caleb pokręcił głową.

- Nie, pora jest idealna. Antykwariat Vincenta Pearl'a jako jedyny jest czynny w nocy.

## ROZDZIAŁ 14

Gdy członkowie Klubu Wielbłądów opuścili dom DeHavena, śledziły ich dwie lornetki. Jedna z górnego okna domu po drugiej stronie ulicy, a druga ze stojącej nieco dalej furgonetki, która miała na boku napis „Roboty publiczne”. Gdy motocykl i nova odjechały, furgonetka ruszyła za nimi. Po odjeździe wszystkich pojazdów lornetka w górnym oknie domu przy Good Fellow Street nadal omiatała teren.

Zgodnie z zapowiedzią Caleba dojazd do sklepu Vincenta Pearl'a trwał dwadzieścia minut. Antykwariat nie miał żadnej nazwy, tylko tabliczkę w oknie z informacją: „Czynne od godziny 20.00 do północy, od poniedziałku do piątku”. Caleb podszedł do drzwi i zadzwonił.

Reuben spojrział na solidne drzwi i zakratowane okno.

- Facetowi nie zależy na reklamie.

- Każdy, kto na poważnie interesuje się zbieraniem książek, dokładnie wie, gdzie znaleźć Vincenta Pearl'a - odparł Caleb rzeczowo.

- Dobrze go znasz? - zapytał Stone.

- Nie, raczej nie działał na poziomie kogoś takiego jak Vincent Pearl. W ciągu ostatnich dziesięciu lat spotkałem go dwa razy, tutaj, w tym sklepie. Ale wcześniej słyszałem jego wykład. Ktoś taki zapada w pamięć.

Na zachodzie wznosiła się oświetlona kopuła Kapitolu. Tutaj stały porośnięte mchem stare budynki mieszkalne z cegły i kamienia oraz inne budowle, które niegdyś tworzyły centrum rozwijającej się stolicy.

- Jesteś pewny, że go zastaliśmy? - zapytał Milton i w tej samej chwili usłyszeli:

- Kto tam?

Milton podskoczył, ale Caleb przemówił do głośnika ledwo widocznego pod bluszczem przy drzwiach.

- Panie Pearl, tu Caleb Shaw. Z Biblioteki Kongresu.

- Kto?

Caleb z lekko zakłopotaną miną szybko powiedział:

- Caleb Shaw. Pracuję w czytelni dzieł rzadkich. Poznaliśmy się kilka lat temu, kiedy do biblioteki przyszedł pewien kolekcjoner pamiątek związanych z Lincolnem, a ja przyprowadziłem go do pana.

- Nie był pan umówiony na dzisiaj. - Ton zdradzał umiarkowaną irytację. Najwyraźniej Pearl nie był zachwycony podesłanym klientem.

- Nie, ale mam pilną sprawę, jeśli zechce pan poświęcić mi kilka minut.

Po chwili drzwi się otworzyły. Gdy jego towarzysze weszli, Stone zauważył, że nad drzwiami coś błysnęło. Mała kamera patrzyła prosto na nich, pomysłowo ukryta w ptasiej budce. W obiektywie odbiło się światło latami. Większość ludzi nie zauważyłaby urządzenia, ale Oliver Stone nie zaliczał się do większości ludzi, a już na pewno nie wtedy, gdy chodziło o aparaty służące do szpiegowania.

Stone zwrócił uwagę jeszcze na dwie rzeczy. Drzwi, choć wyglądały na stare i drewniane, w rzeczywistości były wykonane ze wzmocnionej stali, osadzone w stalowej futrynie i zaopatrzone w zamek antywłamaniowy. W zakratowanym oknie tkwiła gruba na ponad sześć centymetrów szyba z poliwęglanu.

Wnętrze sklepu stanowiło niespodziankę. Stone spodziewał się, że zobaczy ciasną klitkę z zakurzonymi książkami na wygiętych półkach, ze starymi pergaminami i tomami utkanymi we wszystkich zakamarkach. Antykwariat był idealnie czysty, gustownie urządzone i dobrze zorganizowany. Pod ścianami stały wysokie, zdobione regały z suwanymi szklanymi drzwiami. Na długiej prowadnicy, zamontowanej na wysokości prawie trzech metrów, wisiała drabinka na kółkach. Pośrodku długiej, wąskiej przestrzeni stały trzy stoły z wiśniowego drewna, a wokół nich pasujące fotele. Z sufitu zwisały trzy brązowe żyrandole, z których płynęło zaskakująco słabe światło. Mają ściemniacze, pomyślał Stone. Szerokie na metr osiemdziesiąt kręcone schody prowadziły na piętro. Stone dostrzegł z dołu półki i balustradę w stylu chippendale wokół otworu w podłodze.

Na końcu głównego pomieszczenia znajdował się długi drewniany kontuar, a za nim stały kolejne regały. Stone'a zaskoczyło to, czego nie zobaczył. Z miejsca, w którym stał, nie dostrzegł ani komputerów, ani kasy.

- Wygląda na lokal, w którym człowiek z przyjemnością zapaliłby cygaro i wypił ze dwie szklaneczki whisky - zauważył Reuben.

- Tylko nie to! - zachnął się Caleb. - Dym jest zabójczy dla starych książek. A rozlana kropelka zniszczy ponadczasowy skarb.

Reuben chciał coś dodać, gdy za kontuarem otworzyły się rzeźbione drzwi, w których stanął starszy mężczyzna. Wszyscy z wyjątkiem Caleba osłupieli. Starszy pan, wysoki i tęgi, miał długą, spływającą na piersi srebrną brodę i białe włosy, które spadały na ramiona. Jego strój był jeszcze bardziej ekscentryczny: długi do ziemi lawendowy szlafrok ze złotymi paskami na rękawie. Nad wysokim, pomarszczonym czołem starca tkwiły okulary z owalnymi szklami. Stone uznał, że Pearl ma czarne oczy, chyba że przyćmione światło płatało mu figle.

- Jest mnichem? - szepnął Reuben do Caleba.

- Sza! - syknął Caleb, gdy mężczyzna ruszył w ich stronę.

- Słucham - powiedział, wyczekująco patrząc na Caleba. - Pan Shaw?

- Tak.

- Cóż to za pilna sprawa? - Pearl popatrzył na pozostałych. - I kim są ci ludzie?

Caleb przedstawił ich szybko, po imieniu. Spojrzenie Pearl'a zatrzymało się na Stonie.

- Widziałem pana w parku Lafayette, czyż nie? W namiocie, szanowny panie? - zapytał z przesadną formalnością.

- W istocie - odparł Stone.

- Napis na pańskiej tablicy, o ile dobrze pamiętam, głosi: „Żądam prawdy”. Znalazł ją pan?

- Nie mogę tego powiedzieć.

- Cóż, gdybym ja skłaniał się ku poszukiwaniu prawdy, raczej nie zaczynałbym tego naprzeciwko Białego Domu. - Pearl zwrócił się do Caleba: - Co pana sprowadza?

Caleb szybko wyjaśnił, że został mianowany wykonawcą testamentu DeHavena i przedstawił swoją prośbę o wycenę dzieł.

- Tak, to tragiczna śmierć - rzekł Pearl z powagą, - I pan został mianowany wykonawcą?

- dodał, nie kryjąc zaskoczenia.

- Pomagałem Jonathanowi gromadzić kolekcję i pracowaliśmy razem w bibliotece - odparł Caleb obronnym tonem.

- Rozumiem - rzekł krótko Pearl. - Ale najwyraźniej potrzebuje pan oka eksperta. Caleb zarumienił się lekko.

- Hm, tak. Mamy w laptopie Milтона spis kolekcji.

- Wolałbym na papierze - oznajmił Pearl stanowczo.

- Jeśli ma pan drukarkę, mogę się tym zająć - zaproponował Milton.

Pearl pokręcił głową.

- Mam prasę drukarską, ale pochodzi z szesnastego wieku i wątpię, czy współpracuje z pańskim wynalazkiem.

- Nie, z pewnością nie - wymamrotał zaszokowany Milton. Zagorzały miłośnik nowoczesnych rozwiązań był zaskoczony ich brakiem u Pearla.

- W takim razie zrobimy wydruk i przyniesiemy go jutro - rozstrzygnął Caleb. Po chwili wahania dodał: - Panie Pearl, może powiem to od razu. Jonathan ma w swoim zbiorze pierwsze wydanie *Bay*. Czy wiedział pan o tym?

Pearl opuścił okulary na nos.

- Co pan powiedział?

- Jonathan ma psalterz z tysiąc sześćset czterdziestego roku.

- To niemożliwe.

- Trzymałem go w ręku.

- Nie, wykluczone.

- Tak!

Pearl lekceważąco machnął ręką.

- W takim razie to późniejsze wydanie. Nic sensacyjnego.

- Nie ma nut. Nuty dodano w dziewiątym wydaniu, w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym ósmym.

Pearl popatrzył surowo na Caleba.

- Niewątpliwie nie będzie pan zaskoczony, gdy powiem, iż jestem tego świadom. Ale, jak pan zaznaczył, jest siedem innych wydań bez nut.

- Ten egzemplarz pochodzi z tysiąc sześćset czterdziestego. Ten rok jest wydrukowany na stronie tytułowej.

- W takim razie, drogi panie, to albo kopia, albo falsyfikat. Ludzie są bardzo przebiegli. Pewien ambitny gość spreparował *Oath of a Freeman*, druk o rok wcześniejszy od *Bay*.

- Myślałem, że *Bay* jest pierwszą książką wydrukowaną w Ameryce - wtrącił Stone.

- Jest - powiedział Pearl niecierpliwie. - *Oath* to nie książka, tylko jednokartkowy dokument dużego formatu. Jak sugeruje nazwa, była to przysięga, deklaracja wierności, jeśli pan woli, którą składał każdy purytanin, aby móc głosować i cieszyć się innymi przywilejami w kolonii Massachusetts Bay.

- I została podrobiona? - zapytał Stone.

- Jak na ironię, fałszerz wykorzystał faksymile *Bay*, ponieważ jedno i drugie dzieło zostało wydrukowane na tej samej prasie z użyciem tej samej czcionki. - Pearl postukał Caleba w pierś. - Fałszerstwo było na tyle doskonałe, że mało brakowało, a dałaby się nabrać pańska Biblioteka Kongresu. Oszustwo wyszło na jaw dopiero wtedy, gdy specjalista od pras zauważył pewne nieprawidłowości.

- Pracuję w dziale książek rzadkich od dwunastu lat - powiedział Caleb. - Sprawdziałem nasz psalterz. Moim zdaniem egzemplarz Jonathana jest prawdziwy.

Pearl popatrzył na niego podejrzliwie.

- Jak się pan nazywa?

Różowa twarz Caleba zrobiła się czerwona.

- Caleb Shaw!

- Czy poddał pan, Shaw, tę książkę standardowym testom?

- Nie, ale patrzyłem na nią, trzymałem ją i wąchałem.

- Na Boga, człowieku, po tak prymitywnym badaniu niczego nie można być pewnym.

DeHaven po prostu nie miał kolekcji tej miary. *Tamerlan*, kilka inkunabułów, nawet Dante, którego nawiasem mówiąc, mu sprzedałem, stanowiły serce i duszę jego zbioru białych kruków. Pierwsze wydanie *Bay* nigdy nie było jego częścią.

- W takim razie skąd Jonathan wziął tę książkę?

Pearl pokręcił głową.

- Skąd mam to wiedzieć? - Popatrzył na pozostałych. - Jak być może już wiecie od swojego przyjaciela, na świecie zachowało się jedenaście egzemplarzy *Bay Psalm Book*. Tylko pomyślcie, panowie. Dla porównania, mamy dwieście dwadzieścia osiem Pierwszych Folio Szekspira, a *Bay* zaledwie jedenaście. I w tym tylko pięć kompletnych egzemplarzy. - Podniósł prawą rękę i rozcapierzył palce. - Tylko pięć.

Gdy Stone spojrział w błyszczące czarne oczy, które zdawały się wylewać z głębokich oczodołów niczym kałuże ropy, stało się dla niego jasne, że Vincent Pearl również cierpi na bibliomanię.

Księgarz zwrócił się do Caleba:

- Skoro wszystkie psalterze są odliczone, nie wyobrażam sobie, jak jeden mógłby trafić do kolekcji DeHavena.

- Dlaczego więc trzymał fałszyfikat w sejfie?

- Może wierzył, że jest prawdziwy.

- Szef działu książek rzadkich dałby się nabrać? - parsknął Caleb. - Poważnie wątpię.

Ta lekceważąca uwaga nie zrobiła wrażenia na Pearlu

- Jak powiedziałem, mało brakowało, a Biblioteka Kongresu zakupiłaby fałszywy dokument *Oath*. Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć, a kolekcjonerzy książek nie stanowią wyjątku. Z doświadczenia wiem, że złudzenia nie mają granic.

- Może jednak przyjdzie pan do domu Jonathana? Zobaczy pan na własne oczy, że psalterz jest oryginalny - zaproponował Caleb zadziornie.

Gładząc niesforną brodę długimi, delikatnymi palcami, Pearl spojrział na niego miążdżąco.

- Oczywiście, z przyjemnością poznam pańskie zdanie na temat reszty zbioru - dodał Caleb spokojniejszym tonem.

- Może znajdę trochę czasu jutro wieczorem - odparł Pearl obojętnie.

- Wspaniale. - Caleb podał mu wizytówkę. - To mój numer w bibliotece, proszę zadzwonić i potwierdzić spotkanie. Ma pan adres Jonathana?

- Tak, w aktach.

- Myślę, że lepiej nie rozgłaszać tej sprawy, przynajmniej na razie.

- Rzadko kiedy cokolwiek rozgłaszam. Zwłaszcza gdy chodzi o coś, co nie jest prawdą. Caleb zrobił się szkarłatny. Pearl odprowadził ich do drzwi.

- Dobra - powiedział Reuben, gdy założył kask. - Chyba właśnie poznałem profesora Dumbledore'a.

- Kogo? - zapytał Caleb, wciąż rozszłoszczony ciętą uwagą rzuconą przez Pearlę na pożegnanie.

- Dumbledore'a. Z *Harry'ego Pottera*, wiesz.

- Nie, nie wiem - odburknął Caleb.

- Przeklęty mugol - mruknął Reuben, zakładając gogle.

- Pearl wyraźnie nie wierzy, że Bay jest autentycznym.

Po chwili Caleb dodał mniej pewnym tonem: - I być może ma rację. W gruncie rzeczy oglądałem tę książkę tylko przez chwilę.

Tak mu nagadałeś, że byłoby lepiej, gdybyś miał rację - wtrącił Reuben.

Caleb znów poczerwieniał.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłem. Jest sławą w dziedzinie książek. Ja jestem tylko rządowym bibliotekarzem.

- Pierwszorzędnym bibliotekarzem w jednej z największych instytucji świata - zaznaczył Stone.

- Pearl może nie ma sobie równych w swojej dziedzinie, ale naprawdę potrzebuje komputera. I drukarki, która nie pochodzi z szesnastego wieku - dodał Milton.

Nova odjechała. Gdy Reuben zapuścił silnik motocykla, Stone udał, że poprawia się na fotelu w przyczepce i rzucił okiem przez ramię. Furgonetka ruszyła za nimi.

Kiedy Chevy Nova i Indian się rozdzieliły, furgonetka pojechała za motocyklem.

## ROZDZIAŁ 15

Pomimo późnej pory Stone polecił, żeby Reuben podrzucił go nie do stróżówki na cmentarzu Mt. Zion, ale w okolice Białego Domu. Zauważył, że są śledzeni, i chciał w związku z tym coś zrobić.

Wysiadając z wózka, szybko wyjaśnił sytuację Reubenowi i opisał furgonetkę.

- Miej ją na oku - przykazał. - Jeśli pojedzie za tobą, zadzwonię na komórkę.

- Może poprosisz Aleksa Forda o wsparcie? Ostatecznie mianowaliśmy go honorowym członkiem klubu

- Alex już nie jest przydzielony do Białego Domu. I nie chcę zawracać mu głowy czymś, co może okazać się bzdurą. Zresztą są tu inni agenci Secret Service, którzy mogą mi pomóc.

Po odjeździe Reubena Stone powoli minął swój namiot z tablicą „Żądam prawdy”. Tej nocy w parku nie było innych demonstrantów, nawet jego przyjaciółki Adelphii. Ruszył szybko w stronę posągu polskiego generała, który pomagał Amerykanom podczas wojny o niepodległość. W nagrodę za dobrą służbę wystawiono mu wielki pomnik, codziennie obsrywany przez setki ptaków. Stone wspiął się na cokół i zobaczył, że furgonetka zaparkowała na Piętnastej Ulicy przed kwartałem 1600 Pennsylvania Avenue zamkniętym dla ruchu ulicznego.

Zeskoczył z cokołu i podszedł do jednego z umundurowanych strażników, którzy strzegli terenów Białego Domu.

- Co tu robisz, Oliverze? - zapytał wartownik. Pełnił służbę w Białym Domu prawie od dziesięciu lat i dobrze znał Stone'a. Stone ze swej strony zawsze był uprzejmy i ściśle przestrzegał zasad zezwolenia na protestowanie, które nosił w kieszeni.

- Cześć, Joe, chciałem dać ci cynk. To może być drobiazg bez znaczenia, ale wiem, że chłopcy z Secret Service wolą dmuchać na zimne. - Szybko opisał furgonetkę, nie wskazując w jej stronę. - Uznałem, że powinieneś wiedzieć, na wypadek gdybyś chciał to sprawdzić.

- Dzięki, Oliverze. Jestem twoim dłużnikiem.

Stone z wieloletniego doświadczenia wiedział, że gdy chodzi o bezpieczeństwo prezydenta, dla ludzi z Secret Service nie ma drobiazgów bez znaczenia. Parę minut później patrzył z niedaleka, jak Joe w towarzystwie drugiego uzbrojonego wartownika zbliża się do furgonetki z napisem „Roboty publiczne”. Żałował, że nie zabrał lornetki; zostawił ją na biurku w swojej chacie. Spał się, gdy szyba po stronie kierowcy zjechała w dół.

Następnie zobaczył rzecz zdumiewającą. Szyba się podniosła, a dwaj wartownicy zrobili w tył zwrot i odeszli szybkim krokiem. Kierowali się nie w jego stronę, lecz dokładnie w przeciwną, niemal biegnąc. Furgonetka została.

- Cholera - mruknął.

Teraz wiedział. Ludzie w furgonetce należeli do agencji rządowej o takim znaczeniu, że agenci Secret Service pierzchli niczym przestraszone dzieci. Czas uciekać. Ale dokąd? Czy powinien zadzwonić po Reubena? Nie chciał mieszać w to przyjaciela.

Kto z przeszłości w końcu go dopadł?

Szybko podjął decyzję i ruszył przez park, dotarł do Ulicy H i skręcił w lewo. Stacja metra Farragut West znajdowała się tylko kilka przecznic dalej. Sprawdził, która godzina. Cholera! Metro już nie jeździło. Zmienił kierunek, co chwilę spoglądając przez ramię. Postanowił iść dalej, w nadziei że może złapie nocny autobus.

Kiedy dotarł do następnego skrzyżowania, furgonetka zahamowała z wizgiem opon wprost przed nim i drzwi zaczęły się odsuwać.

Nagle Stone usłyszał krzyk.

- Oliver!

Spojrzał w prawo. Reuben wjechał motocyklem na chodnik i pędził prosto na niego. Zwolnił na tyle, żeby Oliver mógł wskoczyć do przyczepki, a potem przeskoczył nad krawężnikiem na jezdnię i dodał gazu. Długie nogi Stone'a sterczały nad wózkiem.

Reuben, który znał ulice Waszyngtonu niemal równie dobrze jak Stone, pokonał wiele zakrętów, nim w końcu zwolnił, wjechał w ciemną alejkę i zatrzymał się za kontenerem na śmieci. Stone usiadł w wózku i popatrzył na przyjaciela.

- Nie mogłeś zjawić się w lepszej chwili, Reubenie. Dzięki.

- Kiedy nie zadzwoniłeś, zawróciłem i pojechałem za vanem.

- Dziwię się, że cię nie spostrzegli. Ten motor rzuca się w oczy.

- Kim, do cholery są ci faceci?

Stone powiedział mu o zachowaniu wartowników.

- Niewiele agencji może zmusić agentów Secret Service do podkulenia ogonów na ich własnym podwórku - zauważył Reuben.

- Mnie przychodzą na myśl dwie. Żadna nie napawa mnie optymizmem.

- Jak sądzisz, czego chcieli?

- Zauważyłem vana przed antykwariatem. Być może śledzili nas wcześniej.

- U DeHavena? - Reuben pstryknął palcami. - Myślisz, że ma to coś wspólnego z tym fiutem Corneliusem Behanem? Pewnie jest za pan brat ze szpiegami.

- Możliwe, biorąc pod uwagę okoliczności - odparł Stone. Może jednak ten incydent nie był związany z jego przeszłością

Reuben nie krył zdenerwowania.

- Oliverze, jeśli jechali za nami, czy mogli też przyczepić ogon Calebowi i Miltonowi?

Stone już dzwonił. Złapał Caleba, powiedział mu ogólnikowo, co się stało, i schował telefon.

- Podrzucił Milтона do domu. Nikogo nie widzieli, ale gdyby ktoś ich śledził, pewnie by się nie zorientowali.

- Ale dlaczego Behan miałby nasyłać na nas agentów? Powiedzieliśmy mu, co tam robimy. Dlaczego miałby interesować się DeHavenem?



- Może wie, jak zmarł. Albo, ściśle rzecz ujmując, jak został zamordowany.  
- Mówisz, że Behan mógł zabić swojego sąsiada? Dlaczego?  
- Jak powiedziałaś, DeHaven był jego sąsiadem. Możliwe, że zobaczył coś, czego nie powinien widzieć.

Reuben parsknął.

- Na Good Fellow Street, wśród tych wszystkich obrzydliwych bogaczy?  
- To tylko spekulacje, ale fakt jest taki, że gdybyś się nie zjawił, nie jestem pewien, co by się ze mną stało.

- Co teraz zrobimy?

- Wygląda na to, że nikt się nami nie interesował, dopóki nie poszliśmy do domu Jonathana DeHavena, dlatego zaczniemy od niego. Spróbujemy się dowiedzieć, czy został zamordowany, czy zmarł śmiercią naturalną.

- Obawiałem się, że to powiesz.

Stone usadowił się w wózku, tym razem z nogami we właściwym miejscu. Reuben zapalił motocykl i ruszyli.

Jak za dawnych czasów, pomyślał Stone. A to zdecydowanie nie było dobre.

\* \* \*

Ludzie z furgonetki złożyli raport bardzo zdenerwowanemu Rogerowi Seagravesowi.  
- Zgarnęlibyśmy starego, mimo iż pojawił się jego kumpel, ale uznaliśmy, że to może być zbyt ryzykowne - powiedział jeden z agentów.

Seagraves przez chwilę patrzył na bezpieczny telefon, zastanawiając się nad swoim następnym ruchem. - Ile czasu spędzili u DeHavena?

- Parę godzin. Byli tam również poprzedniego wieczoru.

- Potem pojechali do antykwariatu, a stamtąd śledziliście ich do Białego Domu.

- Jeden z nich ma namiot w parku Lafayette. Według Secret Service nazywa się Oliver Stone. To jakiś żart!

- Zauważył ogon, więc nie wiem, czy na pewno żart - warknął Seagraves. - I nie podoba mi się, jak błyskacie odznakami, zwłaszcza przed facetami z Secret.

- Wpadliśmy w tarapaty, nie mieliśmy wyjścia. Ale przecież jesteśmy z Agencji - bronił się rozmówca.

- Ale dziś oficjalnie nie pełnicie służby - odpalił Seagraves.

- Co teraz mamy zrobić?

- Nic. Przyjrzę się dokładniej panu Stone'owi. Będę w kontakcie. - Seagraves zakończył rozmowę.

Mężczyzna, który przybrał nazwisko Oliver Stone, ma namiot naprzeciwko Białego Domu, potrafi wypatrzeć obserwatorów i odwiedził dom człowieka, którego zabiłem, pomyślał Seagraves. Czuł, że nadciąga kolejna burza.

## ROZDZIAŁ 16

W Newark padało i było zimno, gdy samolot wylądował. Annabelle miała teraz kasztanowe włosy, wiśniowe usta, eleganckie okulary, modne ciuchy i buty na obcasach. Jej trzej towarzysze byli ubrani w dwuczęściowe garnitury bez krawatów. Lotnisko opuścili osobno. Wszyscy pojechali na południe i spotkali się w wypożyczalni samochodów w Atlantic City.

Wróciwszy do miasta po tylu latach, Annabelle czuła narastające napięcie. Ostatnim razem, gdy tu była, otarła się o śmierć. Tym razem napięcie mogło ją zabić. Miała nadzieję,

że nerwy jej nie zawiodą i zniosą to, co ją czeka. Prawie dwadzieścia lat przygotowywała się na tę chwilę. Nie zamierzała jej zmarnować.

Przez ubiegły tydzień przelewała fundusze z kont firmowych. Pieniądze z podrobionych czeków plus łupy z bankomatów zostały ulokowane na zagranicznym koncie, które nie podlegało amerykańskim regulacjom bankowym. Mieli łącznie trzy miliony kapitału początkowego. Mężczyźni nie mogli się doczekać, kiedy Annabelle w końcu przedstawi im plan wielkiego przekrętu.

Ona jeszcze nie była gotowa, żeby ich wtajemniczyć. Znaczną część pierwszego dnia spędziła na spacerowaniu po mieście, oglądaniu kasyn i rozmowach z pewnymi bezimiennymi ludźmi. Mężczyźni w tym czasie grali w karty i gawędzili. Leo i Freddy zasypywali młodego Tony'ego opowieściami o dawnych oszustwach upiękuszonymi w sposób, jaki mogą zainspirować tylko dawne wspomnienia. Wreszcie Annabelle zwołała zebranie.

- Zamierzam pomnożyć nasze trzy miliony w stosunkowo krótkim czasie - oznajmiła.

- Uwielbiam twój styl, Annabelle - zakpił Leo.

- Ściśle mówiąc, mam zamiar wycisnąć z naszych trzech milionów co najmniej trzydzieści trzy. Ja wezmę trzynaście i pół, a wy podzielicie resztę na trzy części, sześć i pół na głowę. Ktoś ma zastrzeżenia?

Mężczyźni siedzieli oszołomieni przez całą minutę. Wreszcie Leo powiedział za wszystkich:

- O rany, to zwała z nóg.

Ostrzegawczo podniosła rękę.

- Jeśli przekręt nie wyjdzie, możemy stracić część kapitału początkowego, ale nie wszystko. Gotowi wejść do gry? - Mężczyźni pokiwali głowami. - Z powodu sumy, o jakiej mówimy, końcowy etap będzie ryzykowny.

- To znaczy, że ten, kogo obrobimy, nigdy nie przestanie nas szukać - sprecyzował Leo. Zapalił papierosa. - Myślę, że nadszedł czas, abyś nam powiedziała, o kogo chodzi.

Annabelle usiadła i wsunęła ręce w kieszenie. Ani na chwilę nie odrywała oczu od twarzy wpatzonego w nią Leo.

- Naprawdę tak źle? - zapytał nerwowo.

- Uderzymy na Jerry'ego Baggera i kasyno Pompeje - oznajmiła.

- Cholera jasna! - ryknął. Papieros wypadł mu z ust, wylądował na nodze i wypalił dziurkę w spodniach. Leo ze złością strzepnął popiół i wycelował drżący palec w Annabelle. - Wiedziałem! Wiedziałem, że wpadniemy w takie gówno.

Tony popatrzył na nich oboje.

- Kim jest Jerry Bagger?

- Wrednym sukinsynem, jakiego wołałbyś nie spotkać na swojej drodze, synku - uświadomił go Leo.

- Daj spokój, Leo, zachęcenie go do udziału w przekręcie to moja robota - zażartowała Annabelle. - Gadaj tak dalej, a zechce obrobić Jerry'ego na własną rękę.

- Nie obrobię Jerry'ego Baggera ani na trzy, ani na trzydzieści trzy, ani na trzysta trzydzieści trzy miliony z prostego powodu: nie pożyję na tyle długo, żeby nacieszyć się forszą.

- Ale przyjechałeś tutaj z nami. I, jak sam przyznałeś, wiedziałeś, że chodzi o niego. Wiedziałeś, Leo. - Annabelle wstała, obeszła stół i zarzuciła długą rękę na jego ramiona. - I nie uciekaj przed prawdą. Czekałeś dwadzieścia lat, żeby odegrać się na tej gnidzie. Przyznaj, że mam rację.

Leo nagle zrobił zakłopotaną minę, zapalił następnego winstona i wydmuchnął obłoczek dymu pod sufit.

- Każdy, kto miał do czynienia z tym sukinsynem, chciałby go ukatrupić. I co z tego?

- Ja nie chcę go zabijać, Leo. Chcę tylko ukraść mu pieniądze, a to zaboli go najbardziej. Mógłbyś wytłuc mu całą rodzinę, i to nie zmartwiłoby go tak bardzo jak świadomość, że ktoś zgarnął forszę, którą dzień w dzień i minuta po minucie wyciska z tych biednych palantów w kasynie.

- Brzmi super - wtrącił Tony. Freddy wciąż miał niepewną minę.

Leo spojrział z furią na młodego człowieka.

- Super? Myślisz, że to super? Coś ci powiem, ty mały ciemny szczyłu. Jeśli zawalisz z Jerryem Baggerem jak w tamtym banku, nie zostanie z ciebie dość, żeby wysłać twojej mamie w kopercie na pogrzeb. - Leo odwrócił się i wskazał palcem Annabelle. - Wyjaśnijmy sobie coś od razu. Nie obrobię Jerry'ego Baggera. A już na pewno nie obrobię Jerry'ego Baggera do spółki z tym popaprańcem.

- Słuchaj, popełniłem jeden błąd. Ty nigdy nie popełniłeś błędu? - zapytał Tony.

Leo nie odpowiedział. On i Annabelle wciąż mierzyli się wzrokiem.

- Rola Tony'ego jest ograniczona do tego, co umie robić najlepiej - powiedziała cicho Annabelle. - Nie spotka się z Jerryem twarzą w twarz. - Zerknęła na Freddy'ego. - Freddy też będzie pracował na zapleczu. Zrobi nam tylko parę porządných papierów. Powodzenie przekrętu zależy od ciebie, Leo. I ode mnie. Więc nie widzę przeszkód, chyba że uważasz, iż nie jesteśmy dość dobrzy.

- Znają nas, Annabelle. Już tu byliśmy.

Obeszła stół i otworzyła leżącą na nim kopertę. Wyjęła dwa zdjęcia.

- Kto to? - zaciekawił się Freddy. Patrząc na zdjęcia, Leo odparł z niechęcią:

- Ja i Annabelle, w dawnych czasach. W At-lan-tic City.

- Skąd je masz? - zapytał Tony.

- Każde kasyno ma bank twarzy, który nazywa „czarną księgą” - wyjaśniła Annabelle. - Gromadzą zdjęcia ludzi, którzy próbowali ich okantować, i dzielą się informacjami z innymi kasynami. Tony, ty nigdy nie próbowałeś obrobić kasyna, Freddy też nie, i właśnie dlatego was wybrałam. Wciąż mam parę kontaktów w tym mieście i od nich dostałam odbitki. Prawdę mówiąc, nigdy nas nie złapali ani nie sfotografowali. To portrety domniemane, wykonane na podstawie rysopisów. Gdyby to były prawdziwe zdjęcia, nie jestem pewna, czy bym tu przyjechała.

- Ale teraz wyglądacie zupełnie inaczej - zauważył Tony. - Też mi informacje - dodał z drwiącym uśmiechem.

Annabelle wyjęła z teczki dwa kolejne zdjęcia. Te wydawały się bardziej aktualne.

- Jak policja w przypadku zaginionych dzieci, tak kasyna wynajmują specjalistów od cyfrowej obróbki zdjęć, którzy w miarę upływu czasu postarzają twarz sfotografowanej osoby. Wprowadzają portrety do czarnej księgi i systemu nadzoru elektronicznego z oprogramowaniem do rozpoznawania twarzy. Dlatego nie możemy w niczym przypominać siebie sprzed lat, gdy zabierzemy się do Jerry'ego.

- Ja tego nie zrobię - warknął Leo.

- Daj spokój, Leo, będzie zabawa - powiedział Tony.

- Nie wkurzaj mnie, młody. Jakbym potrzebował pretekstu, żeby cię zniechęcić!

- Przejdźmy się, Leo - zaproponowała Annabelle. Podniosła rękę, gdy Tony wstał, żeby pójść z nimi. - Zostań. Niedługo wrócimy.

Słońce wychodziło zza łąty ciemnych chmur. Annabelle zarzuciła kaptur na głowę, a Leo naciągnął głębiej baseballówkę. Oboje włożyli okulary.

Szli bulwarem Broadwalk pomiędzy kasynami i spienionym Atlantykiem, mijając pary, które siedziały na ławkach i patrzyły na ocean.

- Doprowadzili miasto do porządku, odkąd tu byliśmy - powiedziała Annabelle. Kasyna, warte miliardy dolarów pałace hazardu, zaczęły powstawać w podupadającym nadmorskim kurorcie pod koniec lat siedemdziesiątych. W późniejszych latach rozsądny człowiek nie

oddalał się od nich zbyt, bo otaczające je miasto nie było zbyt bezpieczne. Grupy trzymające władzę od dawna obiecywały, że zrobią generalne porządki. Kasyna zapewniały mnóstwo pieniędzy i miejsc pracy, więc wyglądało na to, że w końcu obietnica doczekała się realizacji. Annabelle i Leo przystanęli, patrząc na wielki dźwig podnoszący stalowe belki na szczyt budynku. Tablica informowała, że powstaje tutaj luksusowy apartamentowiec. Wszędzie wokół stały nowe budowle, a w starych przeprowadzano prace remontowe.

Leo skręcił w stronę plaży. Przystanął, żeby zdjąć buty i skarpetki. Annabelle zsunęła sandały i podwinęła nogawki spodni. Szli po piasku skrajem wody. Leo zatrzymał się, podniósł muszelkę i rzucił ją w nadpływającą falę.

- Gotów do rozmowy? - zapytała, przyglądając mu się uważnie.

- Dlaczego to robisz?

- Co? Przekręt? Zajmuję się tym przez całe życie. Powinieneś o tym wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny, Leo.

- Nie, chodzi mi o to, dlaczego tu przyjechałaś i ściągnęłaś mnie, Freddy'ego, młodego.

Do tej akcji mogłaś wziąć każdego

- Nie chcę byle kogo. Wróciliśmy, Leo. Myślałam, że chcesz się odkuć na Jerrym.

Myliłam się?

Leo rzucił następną muszelkę i patrzył, jak znika w wodzie

- Historia mojego życia, Annabelle. Rzucam muszelkami w fale, a one nie przestają przyplýwać.

- Nie filozofuj.

Spojrzał na nią z ukosa.

- To z powodu twojego starego?

- Nie odgrywaj psychiatry. - Odsunęła się lekko od niego, skrzyżowała ręce na piersi i patrzyła na morze, gdzie na horyzoncie powoli płynął statek.

- Mając trzysta milionów dolarów, mogłabym kupić łódź dość dużą, żeby przepłynąć ocean, prawda? - zapytała.

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Pewnie tak. Nigdy nie miałem powodu, żeby interesować się cenami łodzi. -

Popatrzył na swoje białe stopy, wcisnął palce w piasek. - Annabelle, zawsze byłaś sprytna, gdy chodzi o pieniądze, sprytniejsza ode mnie. Po tych wszystkich przekrętach, jakie zrobiłaś, wiem, że nie potrzebujesz gotówki.

- Kto ma dość pieniędzy? - zapytała, wciąż patrząc na statek.

Podniósł i rzucił następną muszelkę.

- Naprawdę chcesz to zrobić, mam rację?

- Część mnie nie chce. Ta część, której słucham, wie, że muszę.

- Kid nic nie mówi?

- Jeśli pójdzie źle, nawet nie chcę myśleć, co się z nami stanie.

- W takim razie dopilnuj, żeby nie poszło źle.

- Czy ty w ogóle masz nerwy?

- Nie zauważyłam. - Podniosła muszelkę i cisnęła nią w nacierającą falę, która omyła jej stopy i łydki. - Jesteśmy dobrzy?

Powoli pokiwał głową.

- Tak, jesteśmy dobrzy.

- Przystaniesz się na mnie wściekać?

Uśmiechnął się.

- Tego nie mogę obiecać żadnej kobiecie.

W drodze do hotelu powiedział:

- Od dawna nie słyszałem niczego o twojej mamie. Jak się miewa Tammy?

- Niezbyt dobrze.

- A twój stary żyje?
- Mnie pytasz? - parsknęła Annabelle.

## ROZDZIAŁ 17

Przygotowania zajęły cały tydzień. Annabelle dała Freddy'emu listę dokumentów i dowodów tożsamości, których potrzebowali. Freddy przeczytał i spojrzął na nią zdumiony.

- Cztery amerykańskie paszporty?

Tony oderwał oczy od ekranu komputera.

- Paszporty? Po co?

Leo popatrzył na niego z politowaniem.

- Po co? Myślisz, że nabruździsz temu wariatowi Jerry'emu Baggerowi i zostaniesz w kraju? Nie osłabiaj mnie. Pojedziesz do Mongolii i przez parę lat będziesz mnichem. Ja wolałbym jeździć w habicie na jaku, niż słuchać wrzasku Baggera, który szatkuje mnie na drobne kawałki, domagając się oddania szmalu. - Wrócił do pracy nad swoim przebraniem.

- Musimy mieć paszporty, żeby wyjechać z kraju na jakiś czas, dopóki sprawa nie przycichnie - wyjaśniła Annabelle.

- Z kraju? - wykrzyknął Tony, unosząc się na krześle.

- Jerry nie jest wszechmocny, ale głupota nie popłaca. Zobaczysz kawałek świata, Tony. Zaczynaj uczyć się włoskiego - poradziła.

- A co z moimi rodzicami?

- Przyślesz im widokówkę - warknął Leo przez ramię zajęty układaniem tupeciku. - Masz swoją pięprzoną szansę na sukces.

- Amerykańskie paszporty trudno podrobić, Annabelle - zaznaczył Freddy. - Na ulicy chodzą po dziesięć kawałków.

Annabelle spojrzała na niego twardo.

- Dostaniesz za nie sześć i pół miliona, Freddy.

Mężczyzna nerwowo przełknął ślinę.

- Rozumiem. Będziesz je miała. - Wyszedł z listą.

- Nigdy nie byłem za granicą - powiedział Tony.

- Najlepiej jechać, gdy jest się młodym - odparła Annabelle, siadając naprzeciwko niego przy stole.

- A ty byłaś?

- Żartujesz? - wtrącił Leo. - Myślisz, że Stany są jedynym miejscem, w którym można robić przekręty? Ha!

- Byłam - przyznała Annabelle.

Tony popatrzył na nią nerwowo.

- Może moglibyśmy jechać razem. Pokazałabyś mi to i owo. Ty i Leo - dodał szybko. - Założę się, że Freddy też nie chciałby jechać sam.

Annabelle pokręciła głową.

- Rozdzielimy się. Każdego z osobna trudniej będzie złapać niż wszystkich razem.

- Jasne, w porządku.

- Będziesz miał mnóstwo forsy na życie - dodała.

Tony się rozpromienił.

- Willa gdzieś w Europie, ze służbą.

- Nie zaczynaj od szastania gotówką. To przyciąga uwagę. Nie śpiesz się. Ja wyciągnę cię z kraju, a potem wszystko będzie zależało od ciebie. - Pochyliła się nad stołem. - Teraz posłuchaj, czego od ciebie chcę. - Szczegółowo opisała jego zadanie. - Dasz radę?

- To żaden problem - odparł bez namysłu. Popatrzyła na niego krytycznie. - Słuchaj, rzuciłem MTT po dwóch latach, bo mi się znudziło!

- Wiem. To drugi powód, dla którego cię wybrałam.

Tony spojrział na laptopa i zaczął pisać.

- Naprawdę już to robiłem. Włamałem się do najlepiej zabezpieczonego miejsca na świecie.

- Co to było, Pentagon? - zakpił Leo.

- Nie. Wal-Mart.

Leo spojrział na niego spod oka.

- Jaja sobie robisz? Wal-Mart?

- Hej, Wal-Mart idzie z duchem czasu.

- Jak szybko możesz to zrobić? - zapytała Annabelle.

- Daj mi kilka dni.

- Nie więcej niż dwa. Chcę przeprowadzić próbę.

- Nie ma problemu - odparł Tony z wielką pewnością siebie.

Leo przewrócił oczami, zmówił bezgłośnie modlitwę, przeżegnał się i wrócił do układania tupeciku.

\* \* \*

Podczas gdy Freddy i Tony pracowali nad swoimi zadaniami, Leo i Annabelle włożyli przebrania i poszli do Pompejów. Było to największe kasyno na Broadwalk i jedno z najnowszych, powstałe na ruinach starszej jaskini hazardu. Zgodnie z nazwą szczyliło się posiadaniem czynnego wulkanu, który „wybuchał” dwa razy dziennie, w południe i o szóstej wieczorem. Z krateru oczywiście nie płynęła lava, tylko sypały się kupony na darmowy poczęstunek i drinki. Ponieważ kasyna praktycznie rozdają alkohol i jedzenie, żeby ludzie nie przerywali gry, było to niewielkie poświęcenie ze strony Baggera. Jednak każdy lubi myśleć, że dostaje coś za darmo, dlatego erupcje przyciągały tłumy. Ludzie wcześniej ustawiali się w kolejkę, a potem wydawali w kasynie znacznie więcej pieniędzy, niż warte były wszystkie kupony ze sztucznego wulkanu.

- Durnie. Robią dobrze Baggerowi. Ustawiają się po to gównu, a potem przepuszczają w kasynie całą wypłatę, upijając się i nabierając tłuszczu - burknął Leo.

- W gruncie rzeczy to całkiem niezły chwyt marketingowy - pochwaliła Annabelle.

- Pamiętam, jak otwarto tu pierwsze kasyno w siedemdziesiątym ósmym.

Annabelle pokiwała głową.

- Resorts International, większe niż wszystkie kasyna w Vegas z wyjątkiem MGM. Przez jakiś czas na początku parę ekip pracowało tutaj dla Paddy'ego.

- Twój stary nie powinien tu wracać z tobą i ze mną! - Leo zapalił papierosa i wskazał rząd kasyn. - Tu zaczynałem. Zatrudniali głównie miejscowych. Pielęgniarki, kierowcy śmieciarek, pracownicy stacji benzynowych - wszyscy nagle zaczęli rozdawać karty, obsługiwać stoły do gry w kości i ruletkę. Byli tak beznadziejni, że człowiek mógł zrobić taki przekręt, jaki tylko chciał. Do licha, nawet nie musiał oszukiwać. Zarabiano na ich błędach. Trwało to jakieś cztery lata. Za forszę, jaką wtedy zgarnąłem, moje dzieciaki skończyły studia.

Popatrzyła na niego.

- Nigdy nie mówiłeś mi o rodzime.

- Tak, ty natomiast jesteś prawdziwą gadułą, jeśli chodzi o te sprawy.

- Znasz moich rodziców. Co mogłabym dodać?

- Wcześniej dorobiłem się dzieci. Dorosły i odeszły, podobnie jak moja stara.

- Wiedziała, jak zarabiasz na życie?

- Po jakimś czasie trudno to ukryć. Lubiła pieniądze, choć nie sposób, w jaki je zarabiałem. Dzieciakom nie powiedzieliśmy. Nie chciałem, żeby się zbliżyły do mojego fachu,

- Mądry człowiek.

- Akurat. Ciągłe mnie rolowały.

- Nie oglądaj się za siebie, Leo, bo zaczniesz wyłazić zbyt wiele żalów.

Wzruszył ramionami i skrzywił twarz w uśmiechu,

- Mieliśmy tu zajebistą robotę na ruletce, co nie? Każdy oszust może kantować w kości i blackjacka, ale tylko prawdziwy profesjonalista na dłuższą metę oszuka ruletkę. Przy stole w kasynie nie można zrobić większego przekrętu. - Popatrzył na nią z podziwem. - Po mistrzowsku przyciągałaś uwagę krupiera i ochrony, Annabelle. Umiałaś rozgrzewać i chłodzić. Kierownicy sali miękli za każdym razem. I zawsze pierwsza zauważałaś skok ciśnienia - dodał, mając na myśli podejrzliwość pracowników kasyna.

- A ty byłeś najlepszym „mechanikiem”, z jakim pracowałam, Leo. Nawet gdy jakiś kanciarz wcinał się w twój ruch, robiłeś swoje, zanim krupier zdążył się obejrzeć.

- Tak, byłem dobry, ale prawda jest taka, że oboje byliśmy siebie wari. Czasami myślę, że twój stary mnie trzymał, bo ty mu kazałaś.

- Zbyt wiele mi przypisujesz. Paddy Conroy robił tylko to, co chciał. W końcu okantował nas oboje.

- Tak, i zostawił Baggerowi na pożarcie. Facet chybił o parę centymetrów. Co by się stało, gdybyś nie była szybka jak kot? - Popatrzył na ocean. - Może bylibyśmy gdzieś tam.

Wyjęła papierosa z jego ust.

- Poklepujemy się po plecach i nurzamy we wspomnieniach. Wracajmy do roboty.

Ruszyli w kierunku wejścia do kasyna, ale nagle się zatrzymali.

- Niech przejdzie ta trzoda - rriuknął Leo.

Każde kasyno ma drogę dojazdową dla autobusów, które zaczynają się zjeżdżać o jedenastej. Wypluwają zwykle starszych ludzi, którzy spędzają w kasynie cały dzień, przepuszczając emerytury i opychając się śmieciowym żarciem. Potem amatorzy hazardu wskakują do autobusu i jadą do domu, praktycznie nie mając za co przeżyć do końca miesiąca, ale z przekonaniem, że się odegrają, kiedy dostaną następny czek.

Leo i Annabelle patrzyli, jak brygady podstarzałych obywateli przypuszczają szturm na Pompeje, żeby zdążyć na pierwszą erupcję, a potem weszli za nimi. Przez kilka godzin kręcili się po kasynie i nawet parę razy zagrali. Leo miał dobrą passę w kości, a Annabelle przy stole do blackjaeka wygrała więcej, niż przegrała.

Spotkali się później i usiedli przy jednym z barów. Gdy Leo patrzył, jak krągła kelnerka w stringach niesie tacę z drinkami do stołu do gry w kości, otoczonego przez trzy rzędy obstawiających, Annabelle powiedziała cicho:

- I jak?

Leo przeżuł parę orzeszków i popił je whisky z colą.

- Stół do blackjaeka numer pięć. Wygląda na małe machlojki z butem - powiedział, mając na myśli urządzenie, w którym znajdowały się talie kart.

- Krupier bierze w nich udział?

- Jasne. A co u ciebie?

Annabelle napiła się wina.

- Stół do ruletki przy kole fortuny. Czteroosobowa ekipa obstawia z poślizgiem i dobrze się sprawia.

- Myślałem, że nauczyli krupierów obserwowania zakładów. I co z tymi wszystkimi nowoczesnymi kamerami, jakie mają w dzisiejszych czasach?

- Sam wiesz, stół do ruletki jest zwariowany, dlatego stał się mekką oszustów. Jeśli jesteś dobry, zrobisz wszystko, co chcesz, pomimo całego tego supernowoczesnego sprzętu.

Leo stuknął szklaneczką w jej kieliszek.

- Kto lepiej od nas miałby to wiedzieć?

- Jak wygląda ochrona?

- Nic nadzwyczajnego. Przypuszczam, że skarbiec kryje się pod tysiącami ton betonu otoczonymi przez milion facetów uzbrojonych w karabiny maszynowe.

- Dobrze, że nie zamierzamy korzystać z tej trasy - odparła cierpko.

- Pewnie, nie chcesz zepsuć manikiuru. - Leo odstawił drinka. - Ile lat ma Jerry?

- Sześćdziesiąt sześć - odparła bez namysłu.

- Założę się, że nie złagodniał z wiekiem.

- Nie.

Annabelle powiedziała to z takim przekonaniem, że spojrzał na nią podejrzliwie.

- Sprawdzaj cel, Leo, pamiętasz? Podstawowa zasada oszusta.

- Cholera, jest dupiek we własnej osobie - syknął Leo i natychmiast odwrócił głowę.

W kasynie pojawiło się sześciu młodych osiłków. Otaczali niższego, ale wysportowanego i barczystego mężczyznę o gęstych białych włosach, ubranego w drogi granatowy garnitur i żółty krawat. Jego opaloną na ciemny brąz twarz przecinała blizna, a nos wyglądał tak, jakby został złamany co najmniej kilka razy. Spod krzaczastych siwych brwi spoglądały chytne oczy. Śmigwały po imperium kart, automatów do gry i zawiedzionych nadziei, rejestrując wszystkie interesujące szczegóły.

Gdy mężczyźni przeszli dalej, Leo odwrócił głowę, z trudem chwytając powietrze.

- Zapiera ci dech, gdy facet jest w drugim końcu kasyna - warknęła wkurzona Annabelle.

- To niezupełnie pasuje do mojego planu.

Leo podniósł rękę.

- Nie gorączkuj się, już wszystko w porządku. - Jeszcze raz odetchnął głęboko.

- Nigdy nawet nie spotkaliśmy się z nim oko w oko. To jego zbiry próbowały nas zabić.

Mało prawdopodobne, że cię rozpozna.

- Wiem, wiem. - Leo dopił drinka. - Co teraz?

- Ruszymy, gdy nadejdzie pora. Na razie pracujemy nad scenariuszem, ćwiczymy role i wypatrujemy wszystkiego, co może zapewnić nam przewagę. Jerry jest tak cholernie nieprzewidywalny, że nawet plan zapięty na ostatni guzik może nie wypalić.

- Wiesz, zapomniałem, jaka z ciebie optymistka.

- Nie ma niczego złego w stwierdzeniu rzeczy oczywistych. Jeśli rzuci nam podkręconą piłkę, musimy być gotowi ją odbić, bo inaczej...

- Wiemy wszystko o „bo inaczej”, prawda?

Oboje patrzyli w milczeniu na Jerry'ego Baggera i jego armię. Mężczyźni wyszli z Pompejów, wsiedli do samochodów i odjechali, być może połamać komuś nogi w kolanach za oszukanie króla kasyna na trzydzieści dolarów. Co zrobią za kradzież trzydziestu milionów?

## ROZDZIAŁ 18

Pod koniec tygodnia byli gotowi. Annabelle włożyła czarną spódnicę, buty na wysokich obcasach i skromną biżuterię. Włosy miała jasne i nastroszone. Nie przypominała osoby ze zdjęcia z czarnej księgi kasyna. Leo zmienił wygląd jeszcze bardziej radykalnie. Miał siwy, przerzedzony tupecik z wyraźnym pasmem włosów pomiędzy głębokimi zatokami, a do tego kozią bródkę, wąskie okulary, trzyczęściowy garnitur i elastyczny gorset, który maskował brzuch.

- Nie mam pojęcia, jak kobiety mogły nosić coś takiego - narzekał.

- Zdziwiłbyś się, ile nadal to nosi.

- Wiesz, jedyną rzeczą, jaka mnie gryzie, jest to, że podkładamy świnię innemu oszustom.



- Myślisz, że nie zrobiliby nam tego samego, gdyby mieli okazję odejść z milionami? Poza tym ci, których zakupujemy, wcale nie są tacy dobrzy. Wpadliby prędzej czy później. I dziś jest inaczej niż za dawnych czasów. Nikt nie grzebie zwłok na pustyni ani nie wrzuca ich do Atlantyku. Oszukiwanie w kasynie jest próbą kradzieży, czymś w rodzaju wykroczenia trzeciego stopnia. Zapłacą grzywnę lub odsiedzą swoje, potem zajmą się kasynami na statkach na Środkowym Zachodzie albo będą nękali Indian w Nowej Anglii. Po jakimś czasie zmienią wygląd wrócą i zaczną wszystko od nowa.

- Tak, ale mimo wszystko to nieuczciwe.

- Jeśli to poprawi ci samopoczucie, zdobędę ich nazwiska i wyślę im po dwadzieścia kawałków na osłodę.

Leo się rozpozgodził, ale zaraz potem zastrzegł:

- Zgoda, tylko nie z mojej doli.

Zostawili Freddy'ego z Tonym i zameldowali się w jednym z najlepszych hoteli na Broadwalk. Od tej chwili mieli unikać bezpośrednich kontaktów. Przed rozstaniem Annabelle przypomniała im, mając na uwadze przede wszystkim Tony'ego, że mieście się roi od szpicli.

- Nie szastajcie forszą, nie żartujcie, nie mówcie nikomu, że kroi się przekręt, bo znajdzie się wielu takich, którzy w te pędy sprzedadzą informacje. Jedno potknięcie, a będziemy skończeni. Wszyscy. Patrząc Tony'emu w oczy, dodała:

- To poważna sprawa, Tony. Nie nawal.

- Możesz na mnie liczyć. Nie będę się wychylał. Słowo - zapewnił.

\* \* \*

Leo i Annabelle pojechali taksówką do Pompejów i natychmiast zajęli stanowiska obserwacyjne. Annabelle przyglądała się grupie, która w różnych kasynach obstawiała na stołach ruletki z poślizgiem, czyli po komendzie „koniec zakładów”. Istnieją różne warianty takiego obstawiania, którego nazwa wywodzi się z torów wyścigów konnych, gdzie gracz robił zakłady po ogłoszeniu wyniku gonitwy. W przypadku ruletki oszustwo polega na ukradkowym wsunięciu wysokiego żetonu na wygrywający numer po tym, jak kulka już wpadnie do przegródki na kole. Niektóre ekipy stosują inną technikę. Gracz ukrywa wartościowe żetony pod tanimi przed wpadnięciem kulki. Jeśli numer przegrywa, dyskretnie ściąga duże żetony ze stołu, a jeśli wygrywa - wrzeszczy z radości, i wszystko to pod nosem krupiera. Druga metoda ma zdecydowaną przewagę, gdyż wyklucza z równania potężne kamery umieszczone pod sufitem. W przypadku wygranej nagranie dowodzi, że obstawiający nie manipulował żetonami. Oszust ściąga je ze stołu tylko wtedy, gdy obstawiony numer przegrywa, a wówczas są mniejsze szanse, że ktoś go przyłapie. Obstawianie z poślizgiem na stole ruletki wymaga ogromnej praktyki, wyczucia czasu, umiejętności pracy w zespole, cierpliwości, wrodzonych zdolności i przede wszystkim stalowych nerwów.

Annabelle i Leo kiedyś byli mistrzami w tej grze. Jednak techniki nadzoru stosowane w dzisiejszych kasynach drastycznie zmniejszyły szanse wszystkich oszustów, z wyjątkiem tych najwytrawniejszych. Poza tym z uwagi na charakter oszustwa można je powtarzać ograniczoną liczbę razy w jednym kasynie, żeby nie przyciągnąć uwagi, i dlatego stawki musiały być wysokie, żeby ryzyko się opłacało.

Leo miał na oku stół do blackjacka i gościa, który grał i wygrywał przez dłuższy czas. Nie zgarniał tyle, żeby wzbudzić podejrzenia, ale Leo ocenił, że wyciąga więcej, niż wynosi pensja minimalna, po prostu siedząc na tyłku i sącząc gratisowe drinki. Zadzwoił z komórki do Annabelle.

- Gotowa? - zapytał..

- Wygląda na to, że moi kanciarze są gotowi do ataku. Ruszamy.

Annabelle podeszła do krępego mężczyzny, który był kierownikiem sali, i szepnęła mu coś do ucha, ruchem głowy wskazując ruletkę, przy której odbywał się przekręt.

- Facet przy stole numer sześć w sektorze trzecim stawia na pojedynczy numer i ściąga żetony. Dwie kobiety siedzące po prawej stronie obstawiają wysoko, żeby przyciągnąć uwagę krupiera. Mechanik siedzi przy końcu stołu. Chudy facet w okularach za lewym ramieniem krupiera robi zamieszanie. Proszę powiadomić ochronę, niech zrobią najazd kamerą i czekają na ściągnięcie.

Stoły ruletki są takie duże, że rutynowo obserwują je dwie kamery wiszące pod sufitem - jedna wycelowana w koło, a druga w stół. Problem polega na tym, że technik może śledzić obraz tylko z jednej kamery naraz. Kierownik sali z namysłem popatrzył na Annabelle, ale nie mógł zignorować jej fachowego opisu. Szybko zagadał do mikrofonu, przekazując polecenie.

Tymczasem Leo podszedł do kierownika w swojej części sali i szepnął:

- Stół do blackjacka numer pięć, macie nieuczciwego krupiera, który markuje przekładanie. Gracz na miejscu numer trzy ma na prawym udzie urządzenie, które liczy i analizuje karty. Z bliska zobaczy pan wybrzuszenie pod nogawką. Ma również słuchawkę w prawym uchu i odbiera informacje z komputera. Kamera pod sufitem nie widzi przekładania, bo ręce krupiera zasłaniają szczelinę, ale jeśli macie na dole przenośną kamerę, możecie go nagrać z boku.

Jak w przypadku Annabelle, kierownik po paru sekundach zadzwonił na górę i ściągnął pracownika, który zrobił zdjęcie.

Pięć minut później zaskoczeni oszuści zostali wyprowadzeni i wezwano policję.

Dziesięć minut później Annabelle i Leo znaleźli się w tej części kasyna, do której nigdy nie zostałyby zaproszona babcia z emeryturą.

Jerry Bagger wbił ręce w kieszenie i wyszedł zza wielkiego biurka w swoim ogromnym gabinecie. Na nadgarstkach i muskularnej, opalonej szyi miał ładną męską biżuterię.

- Proszę mi wybaczyć, że nie dziękuję państwu za zaoszczędzenie mi kilku marnych kawałków - powiedział głosem, który zdradzał jego pochodzenie z Brooklynu, - Faktem jest, że nie przywykłem, aby ktokolwiek wyświadczał mi przysługi. Bezinteresowność sprawia, że włosy stają mi dęba. A nie lubię, gdy włosy stają mi dęba. Jedyna część ciała, która ma prawo stawać ku mojemu zadowoleniu, znajduje się w rozporoku.

Sześciu obecnych w pokoju mężczyzn, ubranych w drogie garnitury z szerokimi ramionami, które nie były skutkiem wotowania, stało z rękami splecionymi na brzuchach, wlepiając oczy w Leo i Annabelle. Annabelle zrobiła krok do przodu.

- Nie mieliśmy zamiaru wyświadczać panu przysługi. Zrobiliśmy to, żeby tu przyjść i zobaczyć się z panem.

Bagger rozłożył ręce.

- Jesteście. Widzicie mnie. Co teraz?

- Propozycja.

Bagger przewrócił oczami. - Aha, o to chodzi. - Usiadł na skórzanej kanapie, wziął orzech ze stołu i rozgniół go w jednej ręce. - Teraz powiecie, że dzięki wam zarobię mnóstwo pieniędzy, chociaż już mam mnóstwo pieniędzy? - Zjadł wyłuskane kawałki orzecha.

- Tak. I jednocześnie przysłuży się pan krajowi.

- Krajowi? - warknął Bagger. - Czy chodzi o ten sam kraj, który pragnie wpakować moją dupę za kratki za robienie czegoś, co jest absolutnie zgodne z prawem?

- Możemy pomóc - oznajmiła Annabelle.

- Aha, jesteście agentami federalnymi? - Popatrzył na swoich ludzi. - Chłopcy, mamy federalnych w kasynie. Dzwońcie po tępicieła szkodników.

Goryle zaśmiali się unisono.

Annabelle usiadła na kanapie obok Baggera i podała mu wizytówkę.

- Pamela Young, International Management - przeczytał. - Gównu to dla mnie znaczy. - Oddał jej wizytówkę. - Chłopcy mówią, że naprawdę znacie się na oszustwach w kasynie. Tego teraz uczą w szkole dla federalnych? Co nie znaczy, że wierzę, iż jesteście agentami.

Leo odezwał się burkliwym tonem:

- Jakie ma pan dzienne obroty, trzydzieści, czterdzieści melonów? Zgodnie z przepisami stanowymi kasyno musi mieć pewne rezerwy, ale i tak zostaje mnóstwo forsy. Co pan robi z nadmiarem gotówki? Śmiało, proszę nam powiedzieć.

Właściciel kasyna popatrzył na niego ze zdumieniem.

- Tapetuję ściany w chałupie, dupku. - Spojrzał na ochroniarzy. - Zabierzcie tego kutasa z moich oczu.

Dwóch osiłków podeszło do Leo i podniosło go między sobą.

- Co by pan powiedział na dziesięć procent zysku z tych pieniędzy? - zapytała Annabelle.

- Powiedziałbym, że to interes do dupy. - Bagger wstał i ruszył do biurka.

- Miałam na myśli dziesięć procent co dwa dni. Zatrzymał się, odwrócił i popatrzył na nią.

- Co pan o tym myśli?

- Zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. - Wyjął z szuflady stalowoszary żeton wartości pięciu tysięcy dolarów i rzucił go Annabelle. - Zabaw się. Nie musisz dziękować. Uznaj to za dar od Boga. I uważaj, żeby przy wychodzeniu drzwi nie przytrzasnęły ci tej ślicznej pupy. - Dał znak swoim ludziom, żeby puścili Leo.

- Niech pan tylko o tym pomyśli, panie Bagger - powiedziała. - Wrócimy jutro. Zgodnie z poleceniem mamy zapytać dwa razy. Jeśli nie przyjmie pan propozycji, Wuj Sam przespaceruje się po Broadwalk i ubije interes z konkurencją.

- Powodzenia.

- Zadziałało w Vegas, zadziała tutaj - oznajmiła śmiało.

- Tak, racja. Chciałbym palić to, co ty.

- Wpływy z gier hazardowych przestały rosnać pięć lat temu, panie Bagger. Jak więc pańscy kumple z Vegas stawiają domy warte miliardy dolarów? Wygląda na to, że drukują pieniądze. - Zamilkła na chwilę. - I drukują. A jednocześnie pomagają krajowi.

Bagger usiadł za biurkiem i po raz pierwszy popatrzył na nią z odrobiną zainteresowania. Na razie to było wszystko, czego potrzebowała.

- Czy zastanawiał się pan, dlaczego żadna z grubych ryb z Vegas od dziesięciu lat nie była przesłuchiwana przez federalnych? Nie mówię o wnoszeniu oskarżeń przeciwko mafii, to nic nowego. Ale oboje dobrze wiemy, co się tam dzieje. A jednak, jak sam pan powiedział, departament sprawiedliwości chce się dobrać do tyłka nie im, lecz panu. - Urwała. - Zdaję sobie sprawę, że człowiek równie mądry jak Jerry Bagger nie wierzy w takie szczęście. - Położyła wizytówkę na biurku. Może pan zadzwonić o dowolnej porze. Ludzie w mojej branży nie mają regulowanego czasu pracy. - Spojrzała na rosnących mężczyzn, którzy wciąż trzymali się blisko Leo. - Wyjdziemy sami, koledzy, dziękujemy.

Wyszli.

Gdy drzwi zamknęły się za nimi, Bagger warknął:

- Śledzić ich.

## ROZDZIAŁ 19

Annabelle i Leo jechali taksówką, jej spojrzenie ani na chwilę nie odrywało się od tylnego okna.

- Są? - zapytał szeptem Leo.

- Jasne. Gdzie mieliby być?

- Przez sekundę myślałem, że ci cholerni goryle wyrzucą mnie przez okno. Dlaczego ja zawsze muszę grać złego glinę, a ty dobrego?

- Bo robisz to niewiarygodnie dobrze.

Leo zadrżał.

- Ten facet jest równie koszmarny jak kiedyś. Widziałaś, jak zgniótł orzech w jednej ręce?

- Daj spokój, to chodzący banan z kiepskiego filmu o mafii.

Taksówka podjechała pod ich hotel i wysiedli. Annabelle przeszła na drugą stronę ulicy. Zastukała w okno stojącego tam hummera. Szyba się opuściła, odsłaniając jednego z osiłków króla kasyna.

- Może pan przekazać panu Baggerowi, że zatrzymałam się w pokoju tysiąc czterysta dwanaście - powiedziała uprzejmie, i prosię wziąć wizytówkę, na wypadek gdyby wyrzucił tamtą. - Wróciła do Leo i razem weszli do hotelu. Zadzwoiła komórka Annabelle. Tony zgłosił, że jest na stanowisku. Annabelle kupiła mu bardzo drogą lornetkę i kazała zameldować się w hotelu naprzeciwko kasyna Pompeje, skąd miał dobry widok na okna gabinetu Baggera.

Telefon, na który czekała, zadzwonił dziesięć minut później. Natychmiast dała znać Leo, który stał przy oknie. Leo szybko wysłał wiadomość tekstową do Tony'ego z palmtopa Blackberry.

Annabelle zawiesiła rękę nad telefonem, a drugą popędzała Leo.

- Szybciej, szybciej.

Telefon zadzwonił pięć razy, sześć, siedem. Po dziewiątym sygnale Leo otrzymał odpowiedź i skinął głową. Annabelle odebrała.

- Słucham?

- Jak to się stało, że tak szybko wypatrzyliście moich chłopców? - ryknął Bagger.

- Kiedy chodzi o inwigilację, mój... pracodawca jest nie do pobicia, panie Bagger - poinformowała. - To tylko kwestia tysięcy agentów w terenie i nieograniczonych funduszy. - Prawda była taka, że Annabelle wiedziała, iż Bagger każe ich śledzić i spoglądała przez okno w taksówce. W czasie wcześniejszego rekonesansu w kasynie zauważyła, że osobista ochrona Baggera jeździ żółtymi hummerami. Nietrudno było ich spostrzec.

- To znaczy, że jestem inwigilowany? - warknął.

- Wszyscy jesteśmy obserwowani, panie Bagger. Nie powinien pan czuć się wybrany.

- Skończ z tym gadaniem po nazwisku. Skąd wiecie tyle o przekrętach, jakie się robi w kasynach, że wypatrzyliście dwa w moim? Coś mi mówi, że jesteście skumani ze światem oszustów.

- Nie ja ich wypatrzyłam. Dzisiaj mieliśmy w Pompejach trzy zespoły, które szukały czegoś, czego mogłabym użyć na przynętę, żeby się do pana dostać. Członkowie tych zespołów są ekspertami od oszustw w kasynach. Przekazali nam informacje, którymi podzieliliśmy się z kierownikami. Proste.

- Dobra, zostawmy to na razie. Czego dokładnie chcecie?

- Myślałam, że już to wyjaśniłam...

- Tak, tak! Wiem, co powiedziałaś. Chcę wiedzieć, jak to rozumieć.

- Nie możemy rozmawiać o tym przez telefon. NS... - zaczęła i powiedziała szybko: - Telefony stacjonarne nie są zbyt bezpieczne.

- Chciałaś powiedzieć NSA, prawda? Szpicle, wiem o nich wszystko.  
- Z całym szacunkiem, nikt nie wie wszystkiego o NSA, nawet POTUS\* - powiedziała, podzuczając starannie przygotowany akronim.

Zapadła cisza.

- Wciąż tam jesteś? - zapytała.

- Jestem! - warknął.

- Chcesz się spotkać w kasynie?

- Odpada. Jestem... już wyjeżdżam z miasta.

- Jeszcze nie. Siedzisz w gabinecie.

Tę informację Tony przesłał mailem.

Połączenie zostało przerwane.

Annabelle odłożyła telefon, popatrzyła na Leo i mrugnęła uspokajająco. Leo westchnął ciężko.

- Wpływamy na głębokie wody, Annie.

Zrobiła rozbawioną minę.

- Nazywałaś mnie w ten sposób tylko wtedy, gdy byłeś naprawdę zdenerwowany.

Wytarł strumyczek potu z czoła i zapalił winstona.

- Tak. Pewne rzeczy się nie zmieniają, prawda?

Zadzwoił telefon. Annabelle odebrała.

- To moje miasto - oznajmił Bagger złowieszczo.- Nikt nie będzie mnie szpiegował w moim własnym mieście.

- Panie Bagger, skoro ta sprawa pana irytuje, to ją zamkniemy - powiedziała Annabelle spokojnie. - Zgłoszę, że odrzucił pan drugą i ostatnią propozycję. Nie będzie miał pan więcej powodów do zmartwienia. Jak powiedziałam, udam się do kogoś innego.

- Nie ma tu kasyna, które uwierzyłoby w tę durną bajeczkę

- To nie bajeczka. Nie liczymy, że kuci na cztery nogi właściciele kasyn przyjmą nasze słowa na wiarę. Dlatego przeprowadzamy próbę. Pozwalamy im zarobić bardzo szybko mnóstwo pieniędzy, a potem decydują. Albo wchodzą do gry albo nie. Niezależnie od decyzji zatrzymują zyski.

Usłyszała, jak Bagger głośno wciągnął powietrze.

- Ile pieniędzy? - zapytał.

- A ile pan chce?

- Dlaczego rząd miałby proponować mi taki interes?

- Rząd ma wiele form. To, że jedna z nich nieszczególnie się o pana troszczy, wcale nie musi oznaczać, że inne nie dostrzegają pańskich zalet. My jesteśmy zainteresowani choćby dlatego, że ściga pana departament sprawiedliwości.

- Dlaczego uważa to pani za zaletę?

- Kto uwierzy, że rząd Stanów Zjednoczonych prowadzi interesy z kimś takim jak pan?

- Jest pani z NSA?

- Nie.

- Z CIA?

- Na każde tego typu pytanie odpowiem kategorycznie „nie”. I w takich sytuacjach nie noszę odznaki ani legitymacji.

- Mam w kieszeni polityków z Waszyngtonu. Jeden telefon i będę wiedział.

- Niczego się pan nie dowie, bo politycy nie mają pojęcia o branży, w jakiej pracuję. Ale niech pan dzwoni. Do CIA. Są w Langley w McLean, stan Wirginia, na wypadek gdyby pan nie wiedział. Mnóstwo ludzi myśli, że centrala agencji mieści się w Waszyngtonie. Proszę wierzyć lub nie, ich numer naprawdę jest w książce telefonicznej. Niech pan prosi z zarządem

\* - *President of the United States - prezydent Stanów Zjednoczonych*

operacji. Ale zaoszczędzę panu kłopotu. Powiedzą, że nigdy nie słyszeli o Pameli Young ani o spółce International Management.

- Skąd mam wiedzieć, czy to nie jest prowokacja federalnych?

- Nie jestem prawnikiem, ale powiedziałabym, że to byłby całkiem prymitywny przypadek prowokacji.

- Jak wygląda próba? - zapytał Bagger.

- Wciśnięcie paru klawiszy na klawiaturze komputera

- Proszę wyjaśnić.

- Nie przez telefon. Twarzą w twarz.

Usłyszała westchnienie.

- Jadła pani kolację? - zapytał.

- Nie.

- W Pompejach, za dziesięć minut. Będę czekał przy głównym wejściu.

Rozłączył się.

Annabelle powoli odłożyła telefon i popatrzyła na Leo.

- Zaczynamy przedstawienie? - zapytał.

- Zaczynamy przedstawienie - zgodziła się Annabelle.

## ROZDZIAŁ 20

Godzinę później kończyli wyborną kolację przygotowaną przez osobistego kucharza właściciela kasyna. Bagger zabrał szklaneczkę bourbona, a Annabelle i Leo kieliszki z winem, i usiedli w wygodnych skórzanych fotelach przy mrugającym kominku gazowym.

- Dobra, brzuchy pełne, wątroby zamarynowane. Gadać - polecił Bagger. Podniósł palec.

- Najpierw, co kombinujecie. Potem o pieniądzach.

Annabelle usiadła wygodnie z kieliszkiem w ręku, zerknęła na Leo i zapytała:

- Pamięta pan aferę Iran-Contras?

- Jak przez mgłę.

- Niekiedy w interesie Ameryki leży udzielanie pomocy krajom i organizacjom, które nie cieszą się u nas szerokim poparciem.

- Jak dawanie karabinów Osamie, żeby walczył z Rosjanami? - zapytał Bagger drwiąco.

- To wybór mniejszego zła. Tak się dzieje przez cały czas.

- A co to ma wspólnego ze mną?

- Mamy pieniądze z tajnych źródeł, w tym z prywatnych, ale trzeba je wysublimować przed rozdysponowaniem - odparła Annabelle, sącząc wino.

- To znaczy wyprać - powiedział Bagger.

Uśmiechnęła się z fałszywą skromnością.

- Nie, wysublimować.

- Wciąż nie widzę związku.

- El Primero Banco de Caribe. Zna pan?

- A powinienem?

Leo włączył się do rozmowy.

- Czy nie tam lokuje pan część gotówki ze swojego kasyna? Specjalizują się w znikaniu pieniędzy, za określoną cenę. Bez podatków.

Bagger na wpół uniósł się z fotela.

- Musimy wiedzieć takie rzeczy, to nasza robota - powiedziała Annabelle. - Proszę nie brać tego do siebie. Nie jest pan jedynym, na którego mamy teczkę.

Bagger usiadł i popatrzył na jej nastroszone włosy.

- Nie wygląda pani na szpiega.

- I o to chodzi, prawda? - powiedziała uprzejmie, podnosząc się, żeby dolać sobie wina.  
- Słuchaj, skąd mam wiedzieć, czy mówicie prawdę? Jeśli zadzwonię do tej czy innej agencji, powiedzą mi, że nigdy o was nie słyszeli. Co mi pozostaje?

- Pieniądze mówią same za siebie - powiedziała, siadając.

- A dokładnie co to znaczy?

- Niech pan wezwie człowieka, który zajmuje się finansami.

Bagger przez chwilę patrzył na nią podejrzliwie, po czym sięgnął po telefon. Pracownik pojawił się minutę później.

- Słucham?

Annabelle podała mu wyjętą z kieszeni karteczkę.

- Proszę wczytać to konto na swoim komputerze. To jednorazowe hasło z numerem rachunku w El Primero Banco de Caribe. Po powrocie proszę podać panu Baggerowi stan konta.

Mężczyzna popatrzył na Baggera, a gdy ten pokiwał głową, wyszedł i wrócił po paru minutach.

- I co? - zapytał Bagger niecierpliwie. - Trzy miliony dwanaście tysięcy dolarów i szesnaście centów, proszę pana.

Bagger spojrział na Annabelle tym razem z szacunkiem. Ruchem ręki odprawił pracownika. Kiedy drzwi się zamknęły, powiedział:

- Dobra, słucham.

- Aby jeszcze bardziej uśmierzyć ludzkie troski, zwykle przeprowadzamy próbę albo próby i możemy zrobić to w tym przypadku.

- Wspomniała pani. Jak to działa?

- Wpłaca pan pieniądze do El Banco na wybrane przez nas konto. Po dwóch dniach dostaje pan „odsetki”, a pieniądze wracają na pańskie konto w pańskim banku.

- O jakiej sumie mówimy?

- Zwykle miliona dolarów. Przelane pieniądze są „mieszane” z innymi. Po dwóch dniach ma pan sto tysięcy zysku. Można powtarzać operację co dwa dni, jeśli pan chce.

- Mieszane? Nie sublimowane - zauważył Bagger. Podniosła kieliszek.

- Szybko się pan uczy.

A jednak Bagger miał nachmurzoną minę.

- Miałbym przelać milion dolarów na wskazane przez was konto i czekać dwa dni, aż spłynie do mnie forsa z odsetkami? Myślisz, że mam krowie łajno zamiast mózgu?

Annabelle usiadła obok niego i delikatnie dotknęła jego ramienia.

- Coś ci powiem, Jerry... mogę mówić ci Jerry, prawda?

- W tej chwili mi to zwisa.

- Przez dwa dni, gdy twoje pieniądze będą za granicą, ja i mój towarzysz zatrzymamy się w twoim hotelu, a twoi chłopcy będą nas obserwowali dzień i noc. Jeśli pieniądze nie wrócą z obiecany odsetkami, zrobisz z nami, co tylko chcesz. Nie wiem, jak ty, ale ja, choć jestem sługą publicznym, za bardzo lubię swoje życie, żeby oddać je za szmal, którego nigdy nawet nie zobaczę.

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, pokręcił głową, wstał, podszedł do okna i wyjrzał przez kuloodporną szybę.

- W życiu nie słyszałem bardziej zwariowanej propozycji. I muszę być szalony, skoro jej słucham.

- To nie szaleństwo, jeśli spojrzysz się na dzisiejszy świat. Trzeba robić pewne rzeczy, aby chronić ten kraj, przy czym działania te nie zawsze są do końca legalne czy popularne. Gdyby Amerykanie wiedzieli, co naprawdę się dzieje... - Wzruszyła ramionami. - Ale to nie moja działka. Moja robota polega na dopilnowaniu, żeby pieniądze trafiły tam, gdzie trzeba. W zamian za pomoc dostaniesz nadzwyczajną premię, to proste.

- Ale te pieniądze są elektroniczne. Dlaczego musicie je prac?  
- Nawet cyfrowe dolary można wytropić, Jerry. W rzeczywistości to łatwiejsze niż w przypadku żywej gotówki. Legalne środki finansowe należy połączyć z pieniędzmi, które pochodzą ze źródeł pozarządowych. Wszystko razem jest poddawane praniu elektronicznemu, to swego rodzaju wycieranie odcisków palców z pistoletu. Dopiero wtedy fundusze mogą popłynąć tam, gdzie są potrzebne.

- I mówisz, że w Vegas już to robią? Jeśli więc zadzwonię i zapytam...

Przerwała mu.

- Nic ci nie powiedzą, bo takie mają instrukcje. - Podniosła się i stanęła obok niego. - Możesz dużo zyskać, Jerry, ale też wiele stracić. Pozwól mi to wyjaśnić. Na razie znasz tylko miłą stronę układu.

Poprowadziła go z powrotem do kanapy.

- Jeśli kiedykolwiek dojdzie do szusu pewnych ludzi, że pisałeś komuś słowo...

Bagger parsknął śmiechem.

- Nie próbuj mi grozić, mała. To ja wynalazłem sztukę zastraszania.

- Nie chodzi o zastraszanie, Jerry - powiedziała cicho, patrząc mu prosto w oczy. - Jeśli powiesz komuś o tym układzie, znajdą cię, gdziekolwiek będziesz. Nie będą się bali tych, których wynajmiesz do ochrony. Nie wiąże ich prawo tego kraju i zabiją wszystkich, którzy są ci bliscy, mężczyźni, kobiety, dzieci. A potem zabiorą się za ciebie. - Zamilkła, dając mu czas na przetrawienie informacji. - Jestem w branży od dawna i zrobiłam parę rzeczy, które pewnie nawet ciebie by zaskoczyły, ale z tymi ludźmi nie chciałabym mieć do czynienia, nawet gdyby otaczało mnie komando Foki. Oni nie są najlepszymi z najlepszych, Jerry. Są najgorszymi z najgorszych. A twoje ostatnie wspomnienie będzie następujące: jak może tak cholernie boleć?

- Ci spece od mokrej roboty są na liście płac naszego rządu?! - wybuchnął Jerry. - Nic dziwnego, że jesteśmy tacy popieprzeni. - Napił się bourbona. Annabelle i Leo zauważyli, że zdrząła mu ręką. - Dlaczego więc, do cholery, miałbym...

Spodziewając się, co powie, Annabelle nie pozwoliła mu dokończyć.

- Ale, jak powiedziałam zwierzchnikom, Jerry Bagger będzie milczał jak grób. Zgarnie swoje nadzwyczajne zyski i nie puści pary z ust. Ja nie rzucam strzałkami w nazwiska na ścianie, Jerry. Faceci tacy jak ty idealnie nadają się do naszych celów. Masz łeb, jaja, forszę i lubisz ostrą grę. - Uważnie przyjrzała się Baggerowi i dodała: - Nie sprawi mi przyjemności dawanie szansy innemu kasynu, Jerry, ale moja misja jest jasna.

Po minucie uśmiechnął się szeroko i poklepał ją po udzie.

- Jestem takim patriotą jak każdy inny sukinsyn. Do diabła, zróbmy to.

## ROZDZIAŁ 21

Nazajutrz rano po wizycie w domu DeHavena Klub Wielbłądów pośpiesznie zwołał zebranie w stróżówce na cmentarzu. Stone szczegółowo opowiedział Miltonowi i Calebowi, co się stało zeszłej nocy.

- Mogą nas obserwować - powiedział przestraszony Caleb, wyglądając przez okno.

- Zdziwiłbym się, gdyby nie obserwowali - odparł Stone spokojnie.

Jego domek był mały i oszczędnie umeblowany: stare łóżko, duże porysowane biurko zasłane papierami i gazetami, półki pełne książek w różnych językach, jakimi władał gospodarz, kuchenka z poobijanym stołem, maleńka łazienka i zbieranina foteli ustawionych przed dużym kominkiem, który był głównym źródłem ciepła.

- I to cię nie martwi? - zapytał Milton.



- Martwiłoby mnie znacznie bardziej, gdyby chcieli mnie zabić, a mogli zrobić to z łatwością pormmo wyczynu Reubena.

- I co teraz? - zapytał Reuben. Stał przed kominkiem, próbując się rozgrzać. Spojrzał na zegarek. - Muszę iść do pracy.

- Ja też - mruknął Caleb.

- Calebie, muszę wejść do skarbcza w bibliotece - oznajmił Stone. - Czy to możliwe?

Jego przyjaciel miał niepewną minę.

- W normalnych okolicznościach byłoby możliwe. Chodzi mi o to, że mam prawo wprowadzać ludzi do skarbców, ale muszę podać powód. Szefostwo nie lubi, gdy pracownicy przyprowadzają znajomych i rodziny bez zapowiedzi. Po śmierci Jonathana przepisy zostały zaostrzone.

- A jeśli gość będzie zagranicznym uczonym? - zapytał Stone.

- Oczywiście, to zupełnie co innego. - Caleb spojrzął na niego. - Znasz jakiegoś zagranicznego naukowca?

- Myślę, że on mówi o sobie - wtrącił Reuben. Caleb popatrzył surowo na przyjaciela.

- Oliver! Na miłość boską, nie mogę pomagać w oszukiwaniu Biblioteki Kongresu.

- Desperackie czasy wymagają desperackich środków. Sądzę, że staliśmy się celami jakichś bardzo niebezpiecznych ludzi, bo byliśmy w domu Jonathana DeHavena. Musimy się dowiedzieć, czy zmarł śmiercią naturalną, czy ktoś mu pomógł. Gdy rozejrzę się po czytelniku, może zdołam to rozstrzygnąć.

- Wiemy, jak umarł - odparł Caleb. Gdy przyjaciele popatrzyli na niego ze zdziwieniem, dodał szybko: - Dowiedziałem się dziś rano. Zadzwoił do mnie znajomy z biblioteki. Jonathan zmarł wskutek zatrzymania oddechu i krążenia, tak wykazała autopsja.

- Wszyscy na to umierają - skomentował Milton. - To po prostu oznacza, że serce przestało bić.

Stone popatrzył na niego w zadumie.

- Milton ma rację. To również oznacza, że lekarz przeprowadzający autopsję nie wie, co zabiło DeHavena. - Wstał i spojrzął na Caleba. - Chcę dziś wejść do skarbcza.

- Oliverze, nie możesz zjawić się bez zapowiedzi jako jakiś naukowiec.

- Dlaczego nie?

- Tak się nie robi. Są regulaminy, trzeba przestrzegać przepisów.

- Powiem, że przyjechałem w odwiedziny do rodziny i pod wpływem impulsu postanowiłem zobaczyć największy księgozbiór świata.

- To może się udać - przyznał Caleb niechętnie. - Ale jeśli zadadzą ci jakieś pytania, a ty nie będziesz umiał odpowiedzieć?

- Nie ma nic łatwiejszego niż udawanie naukowca - zapewnił go Stone. Ta uwaga wyraźnie uraziła Caleba. Nie zwracając uwagi na jego naburmuszoną minę, dodał: - Będę w bibliotece o jedenastej. - Napisał coś na kartce i podał ją Calebowi. - Oto, za kogo się podam.

Caleb przeczytał i popatrzył na niego zdumiony.

Zebranie Klubu Wielbłądów zostało zamknięte, ale Stone wziął Milтона na stronę i zaczął cicho z nim rozmawiać.

\* \* \*

Parę godzin później Caleb zaniósł książkę Normanowi Janklowowi, starszemu bywalcowi czytelnika.

- Proszę. - Podał mu egzemplarz *Pożegnania z bronią*, pierwsze wydanie z dedykacją. Janklow był wielbicielem Ernesta Hemingwaya.

- Oddałbym życie za tę książkę - westchnął.

- Wiem, Norman, ja też. - Caleb wiedział, że pierwsze wydanie podpisane przez Hemingwaya kosztuje co najmniej trzydzieści pięć tysięcy dolarów. Cena przekraczała jego możliwości finansowe, Janklowa zapewne również. - Ale przynajmniej możesz ją potrzymać.

- Zaczynam pisać biografię Ernesta.

- Wspaniale. - Staruszek „zaczynał pisać” co najmniej od dwóch lat, ale ponieważ wydawał się uszczęśliwiony swoim pomysłem, Caleb chętnie szedł mu na rękę.

Janklow z pietyzmem pogładził tom.

- Zreperowali okładkę - zauważył z irytacją.

- Zgadza się. Wiele naszych pierwszych wydań amerykańskich arcydzieł przechowywano w warunkach dalekich od ideału, zanim dział ksiąg rzadkich ruszył pełną parą. Od lat nadrabiamy zaległości. Ten egzemplarz już dawno powinien trafić w ręce konserwatorów. Administracyjne przeoczenie, jak sądzę. To się zdarza, kiedy ma się prawie milion tomów pod jednym dachem.

- Szkoda, że nie zachowują ich w oryginalnym stanie.

- Naszym głównym celem jest ochrona zbiorów. Możesz się cieszyć tą książką dzięki temu, że została poddana konserwacji.

- Kiedyś spotkałem Hemingwaya.

- Mówiłeś mi, pamiętam. - Ponad sto razy, pomyślał Caleb.

- Był prawdziwym oryginałem. Piliśmy razem w kawiarni w Paryżu.

- Tak, dobrze pamiętam tę historię. Zostawię cię teraz, zajmij się swoimi badaniami.

Janklow włożył okulary do czytania, wyjął kartki i ołówek i zatracił się w świecie przygód, jaki stworzyła bujna wyobraźnia Ernesta Hemingwaya i jego zwarty styl.

Punktualnie o jedenastej do czytelnicy wszedł Oliver Stone. Był ubrany w pomięty trzyczęściowy tweedowy garnitur, w rękę trzymał laskę. Białe włosy miał starannie uczesane, brodę schludnie przystrzyżoną, oczy skryte za dużymi czarnymi okularami. Przygarbiony, wsparty na lasce, wyglądał dwadzieścia lat starzej. Caleb podniósł się zza biurka, ledwo rozpoznając przyjaciela.

Gdy jedna z asystentek ruszyła w stronę gościa, Caleb zabiegł jej drogę.

- Ja się nim zajmę, Dorothy. Znam tego pana.

Stone teatralnym gestem wyjął białą wizytówkę.

- Jak obiecałem, Herr Shaw, przyszedłem zobaczyć książki - powiedział z doskonale udawanym niemieckim akcentem.

Gdy Dorothy popatrzyła na niego zaciekawiona, a Caleb wyjaśnił:

- To doktor Aust. Poznaliśmy się przed laty na konferencji bibliotekarzy w... we Frankfurcie?

- Nie, w Moguncji - poprawił Stone. - Dobrze pamiętam, ponieważ była to pora *spargel*, białych szparagów. Zawsze jeździłem na konferencje do Moguncji i jadłem białe szparagi. - Uśmiechnął się do Dorothy, która odwzajemniła uśmiech i wróciła do pracy.

Do czytelnicy wszedł ktoś jeszcze.

- Calebie, chcę z tobą pomówić.

Caleb pobrał.

- O, cześć, Kevin. To doktor Aust z Niemiec. Doktorze, Kevin Philips, tymczasowy dyrektor działu ksiąg rzadkich. Po śmierci Jonathana...

- Tak, przedwczesnej śmierci Herr DeHavena - powiedział Stone. - Bardzo smutne. Bardzo smutne.

- Znał pan Jonathana? - zaciekawił się PhiUps.

- Tylko ze słyszenia. Jego praca na temat metrycznego tłumaczenia *Dystychów moralnych* Katona przez Jamesa Logana nie ma sobie równych, prawda?

Philips miał zakłopotaną minę.

- Przyznam, że nie czytałem.

- Warto zgłębić analizę pierwszego tłumaczenia klasyków w Ameryce Północnej - poradził Stone uprzejmie.

- Z pewnością dodam ją do mojej listy lektur. Jak na ironię, niekiedy bibliotekarze nie mają czasu na czytanie.

- W takim razie nie będę pana obarczał moimi pracami - rzekł Stone z uśmiechem. - Są zresztą po niemiecku - dodał, chichocząc pod wąsem.

- Korzystając z wizyty doktora Austa w mieście, zaprosiłem go na zwiedzanie skarbców - wyjaśnił Caleb. - Pod wpływem impulsu.

- Rozumiem. To dla nas wielki zaszczyt. - Philips ściszył głos. - Calebie, słyszałeś raport o Jonathanie?

- Tak.

- Czy to znaczy, że miał po prostu atak serca?

Caleb zerknął na Stone'a, który stojąc za linią wzroku Philipsa, lekko skinął głową.

- Tak, z pewnością.

Philips pokręcił głową.

- Boże, był młodszy ode mnie. To skłania do zastanowienia, prawda? - Popatrzył na Stone'a. - Doktorze Aust, oprowadzić pana?

Stone uśmiechnął się i ciężko wsparł na lasce.

- Nie, Herr Philips, wolałbym, żeby poświęcił pan ten czas na zaznajomienie się z pracą swojego przyjaciela o *Dystychach moralnych*.

Philips się zaśmiał.

- Dobrze wiedzieć, że wybitni uczeni mają zdrowe poczucie humoru.

Gdy Philips ich zostawił, Caleb i Stone skierowali się do skarbcza.

- Skąd się dowiedziałeś o pracy Jonathanana? - zapytał Caleb.

- Poprosiłem Milтона, żeby trochę poszperał. Znalazł opracowanie w Internecie i wydrukował. Przejrzałem je, na wypadek gdybym natknął się na kogoś w rodzaju Philipsa i musiał dowieść, że jestem uczonym.

Caleb nie krył niezadowolenia.

- O co ci chodzi? - zapytał Stone.

- Cóż, gdy człowiek widzi, jak łatwo udawać naukowca, to trochę rani jego ego.

- Jestem pewien, że to twoje słowa zrobiły największe wrażenie na szefie.

Caleb pojaśniał.

- Tak, z pewnością trochę się przyczyniłem do sukcesu - przyznał skromnie.

- W porządku, odtwórzmy teraz dokładnie wszystko, co robiłeś tamtego dnia.

Caleb posłuchał i razem weszli na najwyższe piętro. Wskazał miejsce na podłodze.

- Tutaj leżało ciało. - Zadrżał. - Boże, to było straszne.

Stone rozejrzał się i wskazał coś na ścianie.

- Co to?

Caleb spojrział.

- Dysza instalacji przeciwpożarowej.

- Używacie wody przy tych wszystkich książkach?

- Jasne, że nie. To system halonowy.

- Halonowy?

- Halon tysiąc trzysta jeden to gaz, a w zasadzie ciecz, która zamienia się w gaz, gdy wylatuje z dyszy. Dusi ogień bez niszczenia książek.

- Dusi! Mój Boże! - wykrzyknął podekscytowany Stone. Przyjaciel popatrzył na niego pytająco. - Calebie, nie rozumiesz?

Caleb nagle pojął, o co mu chodzi.

- Dusi? Nie, Oliverze, nie. Halon nie mógł spowodować śmierci Jonathanana.

- Dlaczego nie?

- Miałyby kilka minut na ucieczkę, zanim zaczęłyby odczuwać negatywne skutki. Dlatego używanie halonu jest dopuszczalne w pomieszczeniach, w których przebywają ludzie. Poza tym przed puszczeniem gazu wyje syrena ostrzegawcza. Obecnie zmieniamy środek gaśniczy, ale nie dlatego, że ten jest niebezpieczny.

- Zatem dlaczego?

- Halon niszczy warstwę ozonową. Wciąż można go stosować i przetwarzać do innych celów, ale produkcja w Stanach Zjednoczonych jest zakazana od połowy lat dziewięćdziesiątych. Choć rząd wciąż zużywa największe jego ilości.

- Zdaje się, że sporo wiesz o halonie.

- Wszyscy pracownicy zostali zaznajomieni z systemem, kiedy został zainstalowany.

Poza tym czytałem na ten temat

- Dlaczego?

- Bo często przychodzę do tego skarbcza, a nie chciałem umrzeć straszną śmiercią - wyznał. - Wiesz, że nie mam za grosz odwagi.

Stone przyjrzał się dyszy.

- Gdzie przechowuje się halon?

- Gdzieś w piwnicy budynku. Jest doprowadzany przewodem.

- Mówisz, że jest przechowywany w postaci płynnej, a tutaj wylatuje jako gaz?

- Tak. Rozpręża się, wylatując z dyszy, i ciecz przechodzi w gaz.

- Musi być bardzo zimny.

- Gdybyś stał przed dyszą, mógłbyś zamarznąć.

- Jeszcze coś?

- Gdybyś przebywał w pomieszczeniu dostatecznie długo pewnie mógłbyś się udusić.

Zdrowy rozsądek mówi, że gdy nie wystarcza tlenu do podtrzymania ognia, jest go za mało do podtrzymania życia.

- Czy ten gaz może spowodować atak serca?

- Nie wiem, ale to nie ma znaczenia. Instalacja się nie włączyła. Syrenę byłoby słychać w całym budynku. Jonathan nie usłyszałby jej tylko wtedy, gdyby już nie żył.

- A jeśli alarm został odłączony?

- Kto miałby to zrobić? - zapytał Caleb sceptycznie.

- Nie wiem.

W czasie rozmowy Stone przyglądał się kracie wbudowanej w jedną z kolumn podtrzymujących półki.

- To wylot systemu klimatyzacji? - zapytał. Caleb skinął głową. - Coś musiało w niego uderzyć - dodał, wskazując dwa wygięte pręty.

- Zdarza się, gdy ludzie kręcą się z wózkami na książki.

- Powiem Miltonowi, żeby przejrzał informacje na temat instalacji halonowej, może znajdzie coś nowego. A Reuben ma paru kumpli w FBI i w wydziale zabójstw z czasów, gdy służył w wywiadzie wojskowym. Poproszę, żeby do nich zadzwonił i zobaczył, czy można się czegoś dowiedzieć o postępach śledztwa.

- Dziś wieczorem mamy się spotkać z Vincentem Pearlem w domu Jonathana. Nie sądzisz, że lepiej odwołać spotkanie uwagi na ostatnie wydarzenia?

Stone pokręcił głową.

- Nie. Ci ludzie mogą znaleźć nas wszędzie. Jeśli rzeczywiście coś nam grozi, wolę spróbować odkryć prawdę niż czekać, aż spadnie cios.

Gdy wychodzili ze skarbcza, Caleb mruknął:

- Czemu nie wstąpiłem do spokojnego, nudnego klubu książki?

## ROZDZIAŁ 22

Wieczorem wszyscy pojechali do domu DeHavena nową Caleba. Milton, który zdążył się sporo dowiedzieć o środkach gaśniczych, zdał sprawozdanie.

- Halon jest bezwonny i bezbarwny, gasi ogień w ten sposób, że przerywa proces spalania, obniżając stężenie tlenu. Szybko paruje, nie pozostawiając śladów. Po uruchomieniu instalacji butla opróżnia się mniej więcej w dziesięć sekund.

- Może być zabójczy? - zapytał Stone.

- Jeśli zbyt długo przebywasz w pomieszczeniu, w którym jest duże stężenie tego środka, możesz się udusić. Halon może również spowodować atak serca.

Stone triumfalnie spojrział na Caleba.

- Ale wyniki autopsji mówią, że DeHaven zmarł z powodu zatrzymania oddechu i krążenia - przypomniał mu Milton. - Gdyby miał atak serca, przyczyna śmierci zostałaby sprecyzowana jako zawał mięśnia sercowego. Atak serca albo udar mózgu zostawiają bardzo wyraźne ślady fizjologiczne. Lekarz nie mógłby ich przeoczyć.

Stone pokiwał głową.

- W porządku. Ale powiedziałeś, że może dojść do uduszenia.

- Nie sądzę - odparł Milton. - Nie po wcześniejszej rozmowie z Calebem.

- Przyjrzałem się lepiej instalacji halonowej w bibliotece - wyjaśnił Caleb. - Jest sklasyfikowana jako NOAEL\*, co znaczy, że przy najwyższym stężeniu nie powoduje niekorzystnych objawów zdrowotnych. Standard NOAEL gwarantuje, że ilość środka gaśniczego niezbędna do ugaszenia ognia nie jest szkodliwa dla ludzi przy zachowaniu zalecanych środków ostrożności. Krótko mówiąc, masz mnóstwo czasu na ucieczkę, zanim stanie się coś złego. A gdyby nawet syreny z jakiegoś powodu zostały odłączone, Jonathan usłyszałby szum gazu wypadającego z dyszy. Halon nie mógłby obezwładnić go na tyle szybko, żeby uniemożliwić ucieczkę.

- Hm, wygląda na to, że moja teoria na temat śmierci Jonathana DeHavena jest niepoprawna - przyznał Stone. Popatrzył przed siebie. Właśnie wjechali na Good Fellow Street. - Czy to nie Vincent Pearl?

Caleb pokiwał głową i powiedział z irytacją:

- Wcześniej przyjechał. Pewnie nie może się doczekać, aby udowodnić, że się pomyliłem w kwestii Bay.

Reuben parsknął.

- Ciekawe, czy zostawił w domu swoje szaty.

- Miejcie oczy szeroko otwarte - polecił Stone, gdy wysiedli z wozu. - Bez wątplenia jesteśmy obserwowani.

Miał rację. Gdy spotkali się z Pearlem i szli do domu, z okna po drugiej stronie ulicy śledziła ich ta sama lornetka co wcześniej. Obserwator miał aparat fotograficzny i zrobił kilka zdjęć.

W domu Stone zaproponował, żeby antykwariusz poszedł do skarbca tylko z Calebem.

- Tam jest niewiele miejsca, a wy dwaj jesteście ekspertami - wyjaśnił. - Zaczekamy na was na górze.

Słyszając te słowa, Caleb zrobił nieszczęśliwą minę, a Pearl przez chwilę patrzył na Stone'a podejrzliwie. W końcu wzruszył ramionami.

- Wątpię, czy wykazanie, że nie jest to pierwsze wydanie *Bay*, zajmie mi dużo czasu.

- Proszę się nie śpieszyć! - zawołał za nimi Stone, gdy wsiedli do windy.

- Nie dajcie się pokąsać molom książkowym - dodał Reuben.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, Stone powiedział:

\* - *No Observed Adverse Effect Level*.

- Dobra, szybko, przeszukajmy dom.

- Dlaczego nie zaczekamy na odjazd Pearl? - zapytał Milton. - Wtedy będziemy mieli mnóstwo czasu i Caleba do pomocy.

- Pearl mnie nie obchodzi. Nie chcę, żeby Caleb wiedział o rewizji, bo niewątpliwie miałby zastrzeżenia.

Rozdzielili się i przez pół godziny sprawdzili tyle, ile zdołali.

- Nic - oznajmił zawiedziony Stone. - Ani dziennika, ani listów.

- Znalazłem to w szafce w sypialni - powiedział Reuben, pokazując oprawioną w ramkę fotografię mężczyzny i kobiety. - To DeHaven. Rozpoznałem go ze zdjęcia w gazecie.

Stone przyjrzał się fotografii i odwrócił ją na drugą stronę.

- Nie ma nazwiska ani daty. Sądząc z wyglądu DeHavena, została zrobiona przed laty.

- Caleb mówił, że prawnik wspominał, iż DeHaven był kiedyś żonaty - przypomniał sobie Milton. - Może to jego żona?

- Szczęściarz z niego, jeśli tak - skomentował Reuben. - Oboje wyglądają na szczęśliwych, co oznacza początek małżeństwa. Z czasem wszystko się zmienia, możecie mi wierzyć.

Stone wsunął zdjęcie do kieszeni.

- Na razie zakończymy. - Popatrzył w górę. - Ten dom ma spadzisty dach.

- I co z tego? - zapytał Reuben.

- Domy ze spadzistymi dachami zwykle mają strychy.

- Nie widziałem wejścia na górze - powiedział Milton.

- Nie zobaczyłbyś, jeśli jest ukryte.

Reuben spojrzał na zegarek.

- Co specem od książek zabiera tyle czasu? Myślicie, że się biją?

- Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, jak tych dwóch rzuca w siebie pierwszymi wydaniem - westchnął Milton.

- Cokolwiek robią, miejmy nadzieję, że będą zajęci jeszcze przez jakiś czas. Miltonie, zostań na dole i czuwaj. Gdy usłyszysz windę, zawołaj nas.

Po paru minutach myszkowania Stone znalazł wejście na strych za wieszakiem z ubraniami w szafie wnękowej DeHavena. Drzwi były zamknięte, ale Stone miał przy sobie wytrych i zamek szybko poddał się jego zabiegom.

- Musieli dostawić szafę później - powiedział Reuben. Stone pokiwał głową.

- Takie szafy nie były zbyt popularne w siedemnastym wieku.

Weszli po schodach. Stone zapalił małą latarkę, która trochę oświetlała im drogę. Stanęli u szczytu schodów i rozejrzeli się po przestronnym strychu. Wyglądał na niezmienny od dnia, kiedy zbudowano dom. Stało tam kilka pudeł i starych walizek, ale szybka kontrola wykazała, że są albo puste, albo pełne starych rupieci.

Reuben spostrzegł ją pierwszy, ustawioną przed półkolistym oknem z szybkami oprawionymi w ołów.

- Co tu robi luneta?

- Raczej nie trzymałbyś jej w piwnicy, prawda?

Reuben spojrzał.

- A niech mnie!

- Co? - zawołał Stone.

- Jest wymierzona w sąsiedni dom.

- Czyj?

- Skąd mam... - Reuben urwał i nastawił ostrość. - Cholera!

- O co chodzi? Daj popatrzeć.

- Zaczekaj trochę, Oliverze. Pozwól mi na długą przyjemną obserwację.

Stone po dłuższej chwili odepchnął przyjaciela na bok. Przetarł okular i zajął przez okno do domu sąsiadującego z siedzibą DeHavena. Zastłony były zaciągnięte, ale nie przysłaniały półkolistej górnej części okna. Tylko z tak wysoka można było zajrzeć do pokoju. Stone zobaczył, co przykuło uwagę Reubena. Zaglądał do sypialni. Comelius Behan siedział nagi na wielkim łóżu z wysokimi narożnymi słupkami, podczas gdy wysoka, piękna brunetka powoli robiła striptiz. Sukienka już leżała na wypolerowanej podłodze obok czarnej halki. Kobieta rozpiniała biustonosz. Kiedy spadł, została w stringach i w butach na dziesięciocentymetrowych obcasach.

- Dawaj, Oliverze, moja kolej! - zawołał Reuben, kładąc wielką łapę na jego ramieniu. Stone ani drgnął. - Hej, to nieuczciwe, ja pierwszy zobaczyłem tę cholerną lunetę.

Gdy Stone patrzył, młoda kobieta zsunęła majtki po długich nogach i rzuciła je Behanowi, który błyskawicznie przycisnął je do pewnej części swojej anatomii. Kobieta roześmiała się i wykonała profesjonalny taniec na rurze. Kiedy zdjęła buty i naga szła ku siedzącemu jak na szpilkach Behanowi, Stone odsunął się od lunety.

- Widziałem w gazecie zdjęcie pani Behan. To nie ona.

Reuben poprawił ostrość.

- Cholera, wszystko rozregulowałeś - burknął.

- A ty zaparowałeś szkło.

Reuben usiadł i zaczął patrzeć.

- Mały brzydał i taka wystrzałowa babka. Jak to możliwe?

- Mogę podać ci miliard powodów. - Stone dodał z zadumą: - Więc DeHaven był podglądaczem.

- Dziwisz mu się? O rany, to chyba boli. Nie, w porządku. Wyglądało gorzej, niż było... Rany, panienka jest gibka. Ja cię kręcę, pięty nad głową.

Stone nagle się ożywił.

- Co to było?

Reuben był zbyt zajęty relacją na żywo, żeby odpowiedzieć.

- Dobra, są na podłodze. Aha, nie do wiary, teraz ona uniosła go w powietrze.

- Reuben, Milton woła, Caleb i Pearl jadą na górę.

Reuben ani drgnął.

- Co jest, do licha? Coś takiego widziałem tylko w małpiarni. Ten żyrandol musi być porządnie przymocowany do sufitu.

- Reuben! Idziemy!

- Cholera, jak ona to robi bez pomocy rąk?

Stone złapał go za kołnierz i pociągnął do drzwi.

- Szybko!

Reuben nie przestawał narzekać, gdy Stone ciągnął go po schodach. Stanęli na parterze, w chwili gdy drzwi windy się otworzyły.

Milton spojrzął na Stone'a i Reubena z mordem w oczach, bo o mało się nie spóźnili. Antykwariusz wyglądał na oszołomionego, a Caleb nie krył triumfu.

- Wiem, to musiał być szok - powiedział, poklepując Pearlę po ramieniu. - Ale mówiłem, że psalterz jest oryginałem.

- Naprawdę pochodzi z tysiąc sześćset czterdziestego roku? - zapytał Stone.

Pearl w osłupieniu pokiwała głową.

- A ja go trzymałem, miałem w rękach. - Usiadł na krześle. - Prawie zemdlałem. Shaw musiał przynieść mi wody.

- Wszyscy popełniamy błędy - rzekł Caleb współczująco, czemu przeczył szeroki uśmiech.

- Dziś rano zadzwoniłem do wszystkich instytucji, które posiadają *Bay*. Yale, Biblioteka Kongresu, Old South Church w Bostonie, wszędzie. Potwierdzili, że mają swoje egzemplarze.

- Pearl przetarł twarz chusteczką.

Caleb podjął opowieść:

- Sprawdziliśmy książkę według wszystkich przyjętych punktów autentyczności. Dlatego trwało to tak długo.

- Przyszedłem w przekonaniu, że to falsyfikat - przyznał Pearl. - Ale, choć sprawdziliśmy całą książkę, już od pierwszych stron wiedziałem, że jest prawdziwa. Poznałem to głównie po nierównym druku. Drukarz czasami rozcieńczał farbę, bo gdzieś tam trafiają się kleksy. W pierwszych wydaniach zawsze można zobaczyć plamy zaschniętego tuszu pomiędzy literami, co bardzo utrudnia czytanie. Wtedy mycie czcionek nie było regułą. Znalazłem wszystkie inne cechy, jakie człowiek spodziewa się zobaczyć... jakie musi zobaczyć w pierwszym wydaniu. Wszystkie - powtórzył z naciskiem.

- Oczywiście autentyczność będzie musiała zostać potwierdzona przez zespół ekspertów, którzy przeprowadzą analizy stylistyczne, historyczne i naukowe - dodał Caleb.

- Zgadza się - przyznał Pearl. - Ale w głębi serca wiem, jak będzie brzmiała ich odpowiedź.

- Że to dwunasty egzemplarz *Bay* - podsunął Stone.

- W istocie - przyznał Pearl cicho. - Pomyśleć, że miał go Jonathan DeHaven. - Pokręcił głową. - Nie mogę uwierzyć, że mi nie powiedział. Posiadał jedną z najcenniejszych książek świata, nieosiągalną dla największych kolekcjonerów wszech czasów, i trzymał ją w tajemnicy. Dlaczego? - Bezradnie popatrzył na Caleba. - Dlaczego, Shaw?

- Nie wiem.

- Ile coś takiego jest warte? - zapytał Reuben.

- Warte?! - wykrzyknął Pearl. - Warte?! Ta książka jest bezcenna!

- Jeśli zamierzacie ją sprzedać, ktoś musi określić cenę.

Pearl podniósł się i zaczął krążyć po pokoju.

- Cenę określi najwyższa oferta. Licytacja dojdzie do wielu milionów dolarów. Niektórzy kolekcjonerzy i instytucje mają mnóstwo pieniędzy, a *Bay* wzbudzi nadzwyczajne zainteresowanie. Od ponad sześćdziesięciu lat nie było psałterza na rynku. Bezsprzecznie będzie to ostatnia szansa na wzbogacenie o niego kolekcji. - Przestał chodzić i popatrzył na Caleba. - Byłbym zaszczycony, organizując aukcję. Mógłbym zrobić to wspólnie z Sotheby's albo Christie's.

Caleb odetchnął głęboko.

- Mam dużo spraw do przemyślenia, panie Pearl. Proszę dać mi parę dni, potem do pana zadzwonię.

Pearl był wyraźnie zawiedziony, ale zdobył się na uśmiech.

- Będę z niecierpliwością czekał na telefon.

Po jego wyjściu Stone powiedział:

- Calebie, gdy byliście w skarbcu, przeszukaliśmy dom.

- Co takiego? To oburzające! Jestem w tym domu tylko jako wykonawca testamentu odpowiedzialny za księgozbiór. Nie mam prawa przeglądać innych rzeczy, wy też nie.

- Powiedz mu o lunecie - podsunął Reuben z uśmiechem zadowolenia.

Stone zrobił to, a wówczas złość Caleba ustąpiła zdumieniu.

- Jonathan podpatrywał, jak ludzie uprawiają seks? To wstrętne.

- Nie, wcale nie - oznajmił Reuben poważnie. - W pewien sposób to bardzo... pobudzające. Chcesz iść ze mną i się przekonać?

- Nie, Reubenie - sprzeciwił się Stone stanowczo. Pokazał Calebowi zdjęcie młodej kobiety i DeHavena.



- Jeśli była żoną DeHavena, to się rozstali, zanim go poznałem - powiedział Caleb.  
- Skoro zachował zdjęcie, mógł być z nią w kontakcie - zasugerował Milton.  
- To może powinniśmy ją odszukać? - Stone spojrzał na książkę, którą trzymał Caleb. -  
Co to?

- Książka z kolekcji Jonathana, trzeba się nią zająć. Została uszkodzona przez wodę. Nie zwróciłem na to uwagi, gdy byliśmy tu zeszłym razem. Zabiorę ją do działu konserwacji w bibliotece. Nasi ludzie są najlepsi na świecie. Jeden z nich dorabia na boku. Jestem pewien, że zdoła ją naprawić.

Stone pokiwał głową i powiedział ostrzegawczym tonem: - Jonathan DeHaven w niewyjaśniony sposób wszedł w posiadanie jednej z najcenniejszych książek świata. Szpiegował wiarołomnego handlarza bronią i być może zobaczył coś więcej niż seks. Nikt nie wie, jak naprawdę umarł. - Popatrzył na przyjaciół. - Myślę, że to robota specjalnie dla nas.

- Dlaczego mielibyśmy cośkolwiek robić? - zapytał Reuben.

Stone popatrzył na niego.

- Jonathan DeHaven mógł zostać zamordowany. Ktoś nas śledził. Caleb pracuje w bibliotece i został mianowany wykonawcą testamentu DeHavena. Jeśli Cornelius Behan maczał palce w śmierci DeHavena, może podejrzewać, że Caleb coś wie. Caleb może znaleźć się w niebezpieczeństwie. Im prędzej poznamy prawdę, tym lepiej.

- Cudownie - prychnął Caleb z sarkazmem. - Mam tylko nadzieję, że jakoś to przeżyję.

## **ROZDZIAŁ 23**

Dostaniesz e-mail od moich ludzi - powiedziała Annabelle. Stała w centrum operacyjnym kasyna Pompeje z Baggerem i kilkoma jego ludźmi. - Będzie zawierał szczegółowe instrukcje.

- Nie lubimy otwierać e-maili, gdy nie wiemy, skąd pochodzą - zastrzegł jeden z nich.

Annabelle pokiwała głową.

- Przeskanujcie go wszystkimi swoimi programami antywirusowymi. Jestem pewna, że macie najnowsze oprogramowanie.

- Jasne - odparł mężczyzna z przekonaniem.

- W takim razie róbcie, co pani każe, i sprawdźcie porządnie - powiedział Bagger niecierpliwie.

Leo siedział w kącie, czujnie obserwując mężczyzn. Jego zadanie polegało na wypatrywaniu oznak podejrzliwości czy niepokoju w czasie występu Annabelle. Sytuacji nie szkodziło to, że miała na sobie bardzo obcisłą, krótką spódniczkę bez pończoch i bluzkę z rozpiętymi dwoma guzikami od góry. Wszyscy faceci wodzili wzrokiem po jej udach i zaglądali w dekolt, a wskutek tego nie myśleli tak jasno, jak powinni. Annabelle Conroy, o czym Leo wiedział od dawna, umiała wykorzystać wszelką broń ze swego arsenału.

- Komunikacja będzie się odbywać wyłącznie przez zabezpieczony portal podany w e-mailu. Pod żadnym pozorem nie wolno używać telefonu ani faksu, gdyż jedno i drugie może być monitorowane. Poprawka - dodała, spoglądając na Baggera. - Jedno i drugie jest monitorowane.

Bagger uniósł brwi, ale powiedział:

- Słyszeliście panią. Tylko i wyłącznie Internet. - Bagger czuł się bezpieczny, gdyż wierzył, że ma asa, a ściśle rzecz biorąc, dwa asy w rękawie. Do czasu wypłynięcia pieniędzy Annabelle i Leo mieli być jego zakładnikami.

- E-mail będzie zawierał informacje, gdzie i jak przelać pieniądze. Dwa dni później cała suma wraz z odsetkami zostanie automatycznie przelana na twoje konto.

- I w ciągu paru dni z miliona zrobi się milion sto tysięcy? - Bagger chciał się upewnić.

Annabelle pokiwała głową.

- Zgodnie z umową, Jerry. Niezły dzień wypłaty.

- Lepiej, żeby tak było - wycedził złowieszczo. - Kiedy zaczynamy?

Spojrzała na zegarek.

- E-mail już powinien być w twoim komputerze.

Bagger pstryknął palcami i jeden z jego ludzi sprawdził pocztę.

- Jest. - Wcisnął parę klawiszy. - Przepuszczę go przez dodatkowe zabezpieczenia, aby mieć pewność, że jest czysty.

Po dwóch minutach popatrzył na szefa i zameldował:

- W porządku, czysty.

- Otwórz - polecił Bagger.

- Możesz przeprowadzać operacje finansowe, prawda? - zapytała Annabelle, choć dzięki starannym przygotowaniom znała odpowiedź.

- Nasz system jest połączony z bankowym. Nie lubię, gdy osoby trzecie kontrolują moje pieniądze albo wiedzą dokąd je wysyłam. Sami dokonujemy transferów elektronicznych. Tak lubię.

Ja też, pomyślała Annabelle.

Dziesięć minut później milion dolarów Jerry'ego Baggera był w drodze na specjalne konto.

Wychodząc z biura, Bagger powiedział do Annabelle:

- W porządku, jesteś moim gościem przez następne czterdzieści osiem godzin. Będziemy mieli okazję lepiej się poznać. - Uśmiechnął się i zmierzył wzrokiem jej wysoką, gibką figurę.

- Brzmi niezłe - odparła.

- Tak, całkiem niezłe - dodał Leo.

Bagger spojrzał na niego tak, jakby zapomniał, że on też bierze udział w operacji.

- Zgadza się - nrruknął.

W ciągu następnych dwóch dni Annabelle i Leo jadali wszystkie posiłki w towarzystwie Baggera. Ochroniarze albo stali przed drzwiami ich pokoi w hotelu Pompeje, albo towarzyszyli im wszędzie tam, dokąd się udawali. Annabelle do późnej nocy przesiadywała z królem kasyna, sącząc drinki i umiejętnie odtrącając jego awanse w taki sposób, żeby nie stracił nadziei. Ostrożnie zdradzała „fakty” ze swojej przeszłości, pozostawiając tyle niedomówień, żeby zagwarantować intrygę i podtrzymać zainteresowanie. Bagger opowiadał jej o sobie z brawurą i zarozumiałstwem, jakiego można się spodziewać po takim człowieku.

- Myślę, Jerry, że byłbyś dobrym szpiegiem - powiedziała z podziwem, gdy siedzieli na kanapie z kieliszkami martini. - Masz rozum i odwagę, to rzadkie połączenie.

- Patrzcie tylko, i kto to mówi? - Przysunął się do niej poklepał po udzie. Chciał ją pocałować, ale odwróciła głowę.

- Jerry, napytam sobie biedy.

- Kto cię wyda? Słuchaj, jesteśmy zupełnie sami. Wiem, nie jestem pierwszej młodości, ale codziennie ćwiczę i myślę, skarbie, że w łóżku zrobiłbym ci niespodziankę.

- Daj mi trochę czasu. Nie chodzi o to, że mnie nie pociągasz, ale w tej chwili mam sporo na głowie. - Cmoknęła go w policzek i wreszcie się odsunął.

Pod koniec drugiego dnia Bagger wzbogacił się o sto tysięcy.

- Chcesz spróbować z pięcioma milionami, Jerry? Zyskasz pół miliona odsetek w czterdzieści osiem godzin. - Annabelle przysiadła niedbale na jego biurku, krzyżując długie nogi, a Leo usadowił się na kanapie.

- Pod warunkiem że będziesz w pobliżu do czasu sfinalizowania operacji - powiedział Bagger.

Puściła do niego oko.

- To warunek umowy, Jerry. Cała jestem twoja.

- Miło to słyszeć. Nawiasem mówiąc, dokąd płynie moja forsa?  
- Już mówiłam, do Banco de Caribe.  
- Nie, chcę wiedzieć, jaka zagraniczna operacja jest z niej finansowana.  
- Mogłaby ci powiedzieć, ale wtedy musiałbym zabić was oboje - wtrącił Leo. Po chwili krępującego milczenia Annabelle parsknęła śmiechem. Leo jej zawtórował, a potem Bagger też się zaśmiał, choć w sposób trochę wymuszony.

Dwa dni później pięć milionów dolarów powiększyło się o pięćset tysięcy.

- Cholera - mruknął Bagger - to lepsze niż drukowanie pieniędzy. - Znów był w swoim gabinecie z Annabelle i Leo. - Wiem, że Wuj Sam ma mnóstwo szmalu, ale jak rząd może sobie na to pozwolić?

Annabelle wzruszyła ramionami.

- Nie może. Dlatego mamy miliardy dolarów deficytu. Gdy potrzebujemy więcej pieniędzy, sprzedajemy więcej bonów skarbowych Saudyjczykom i Chińczykom. To nie może trwać wiecznie, ale na razie wystarczy. - Popatrzyła na Baggera i położyła rękę na jego ramieniu. - Jeśli współczujesz Wujowi Samowi, Jerry, możesz udostępnić nam swoją forszę za darmo.

Roześmiał się.

- Moja dewiza nie zmieniła się od czterdziestu lat. Każdy sobie rzepkę skrobie.

Ta dewiza nigdy nie pasowała do nikogo lepiej niż do ciebie, pomyślała Annabelle, patrząc na niego z udawanym podziwem.

Bagger pochylił się w fotelu, zerkając na Leo. Cichym głosem zapytał:

- Czy ty kiedykolwiek uwalniasz się od cienia?

- To zależy - odparła.

- Od czego?

- Jak dobrymi zostaliśmy przyjaciółmi.

- Wiem, jak możemy zostać naprawdę dobrymi przyjaciółmi.

- Powiedz.

- Zagramy za dziesięć milionów dolarów, a ja dostanę okrągły milion za fatygę. Czy Wuj Sam jest wypłacalny?

- Wyślij pieniądze, Jerry.

- A ty zostaniesz tutaj, dopóki nie dostanę ich z powrotem?

- Oboje zostaniemy - zapewnił go Leo.

Bagger skrzywił się i jeszcze ciszej, żeby Leo nie słyszał, powiedział:

- Wdepnąłbym w głębokie gówno, gdybym go załatwił, prawda?

- Pamiętasz o tych najgorszych z najgorszych, o których ci mówiłam? Tknij go palcem, a zapukają do twoich drzwi. Nie radzę.

- Niech to szlag.

- Niewiele tracisz, Jerry. W dwa dni zarobisz milion dolców za jedzenie i picie w moim towarzystwie.

- Chcę czegoś więcej, wiesz o tym, prawda?

- Jerry, wiem od chwili, gdy próbowałeś wsunąć rękę pod moją kieckę.

Bagger ryknął śmiechem.

- Podoba mi się twój styl, pani. Jesteś za dobra dla rządu. Powinnaś pracować dla mnie. Ustawilibyśmy to miasto na nowym poziomie.

- Zawsze jestem otwarta na propozycje. Ale może na razie zarobimy dla ciebie następny milion? Chcę, żebyś mógł zapewnić mi takie utrzymanie, do jakiego przywykłam. Poczula jak przebiegł go dreszcz.

- Zabijasz mnie, skarbie - jęknął żałośnie.

- Och, nie, to dopiero nastąpi.

## ROZDZIAŁ 24

Dwa dni później Bagger był bogatszy łącznie o milion sześćset tysięcy dolarów, oczywiście nie zdając sobie sprawy, że pieniądze pochodzą z trzech milionów, które Annabelle i Leo zebrali z dwóch pierwszych małych numerów. Tony autoryzował transfer „odsetek” z ich konta na konto Baggera. Koncepcja była podobna do systemu argentyńskiego, który prawie zawsze ma charakter autodestrukcyjny. Annabelle nie zamierzała dopuścić, żeby tak się stało tym razem.

Bagger promieniował wręcz namacalnym zadowoleniem, głównie dlatego, że rachunek płacił jego budzący postrach antagonistą, rząd. Annabelle siedziała w luksusowym pokoju, pełnym kwiatów od Baggera i po ostatniej wypłacie podniesionym przez niego do rangi apartamentu prezydenckiego. Przeglądała gazetę za gazetą, szukając potrzebnego tematu. Nie mogła swobodnie rozmawiać z Leo na terenie kasyna. Musieli założyć, że każde ich słowo zostanie podsłuchane elektronicznie albo bezpośrednio przez szpicli Baggera. Porozumiewali się wyłącznie za pomocą subtelnych znaków dawanych ręką i oczami opracowanych przed laty i niezrozumiałych dla nikogo innego.

Gdy mijali się w korytarzu, Annabelle powiedziała „dzień dobry”, a potem poprawiła obrączkę na palcu wskazującym prawej ręki. Leo odpowiedział na powitanie, a następnie dotknął węzła krawata i potarł nos, potwierdzając odbiór wiadomości i dając do zrozumienia, że podejmie określone działania.

Przed wejściem do windy, która miała zwieźć ją do gabinetu Baggera, Annabelle odetchnęła głęboko. W przeciwieństwie do tego, co twierdził Leo, miała nerwy. Ten ostatni krok, do jakiego się szykowała, był kwintesencją całej gry. Jeśli nie zrobi go idealnie, wszystkie dokonania kilku ostatnich tygodni obróć się wniwecz. Nie dość, że straci pieniądze, które dała Baggerowi, to nie pożyje na tyle długo, żeby nacieszyć się swoją dolą z pozostałego miliona czterystu tysięcy.

Na górze ochroniarze, przyzwyczajeni do jej widoku, natychmiast wprowadzili ją do gabinetu. Bagger powitał ją uściskiem, opuszczając rękę niżej, niż powinien. Sięgnął palcami do jej pośladka i ścisnął delikatnie. Annabelle za każdym razem pozwalała mu posuwać się coraz dalej, ale wiedziała, że w tej chwili nie potrzebuje niczego więcej. Bagger odsunął się i z uśmiechem powiedział:

- Co mogę dziś zrobić dla mojego czarodziejskiego dzinna?

Ściągnęła brwi.

- Złe wieści, Jerry. Zostałam wezwana do biura terenowego.

- Co? Do licha, co to znaczy?

- Wyznaczono mi inne zadanie.

- Gdzie? - Popatrzył jej w oczy i mruknął: - Wiem, nie możesz powiedzieć.

Pokazała mu gazetę, którą ze sobą przyniosła.

- Być może to coś ci podpowie.

Wziął gazetę i spojrział na wskazany artykuł. Opisywał sensacyjną rządową aferę korupcyjną, w którą zamieszany był rosyjski kontrahent.

Bagger popatrzył na nią osłupiały.

- Przechodzisz od kasyn do nieuczciwych kontrahentów z Moskwy?

Odłożyła gazetę.

- To nie jest pierwszy lepszy kontrahent.

- Znasz ich?

- Mogę tylko powiedzieć, że w najlepszym interesie Stanów Zjednoczonych leży, aby ta sprawa nigdy nie trafiła do sądu. To moje zadanie.

- Jak długo cię nie będzie?

- Trudno powiedzieć. Po Rosji trafię w jakieś inne miejsce. - Potarła skroń. - Masz może jakiś?

Otworzył szufladę biurka i podał jej butelkę. Połknęła trzy tabletki, popijając szklanką wody, którą jej nalał. Usiadł.

- Nie wyglądasz zbyt dobrze.

Przysiadła na skraju biurka i powiedziała zmęczonym głosem:

- Jerry, w zeszłym roku byłam w tylu miejscach, że straciłam rachubę. Gdybym posługiwała się prawdziwymi paszportami, zużyłabym dwadzieścia. Czasami człowieka opada zniechęcenie. Nie martw się, nic mi nie będzie.

- Dlaczego się nie wycofasz?

Zaśmiała się gorzko.

- Wycofać się? I co, pieprzyć emeryturę? Zainwestowałam zbyt wiele lat. Nawet sędzi publiczni muszą jeść.

- Przejdź do mnie. W ciągu jednego roku dostaniesz więcej niż za dwadzieścia lat harówki u tych błaznów.

- Tak, pewnie.

- Mówię poważnie. Podobasz mi się. Jesteś dobra.

- Podoba ci się to, że dzięki mnie zarobiłeś ponad półtora miliona zielonych.

- Zgoda, nie przeczę. Ale zdążyłem cię poznać. I spodobało mi się to, co zobaczyłem,

Pam.

- Nie mam na imię Pam. Oto, jak mnie znasz.

- To tylko zwiększa zabawę. Pomyślisz o tym?

Po chwili wahania odparła:

- Ostatnio sporo myślę o swojej przyszłości. Nie jestem zamężna, moje życie jest pracą i vice versa. I też już mam swoje lata.

Wstał i objął jej ramiona.

- Nie żartuj! Jesteś zachwycająca. Każdy mężczyzna, który mógłby cię mieć, byłby cholernym szczęściarzem.

Poklepała go po ramieniu.

- Nie widziałeś mnie rano, zanim wypiję kawę i zrobię makijaż.

- Och, skarbie, powiedz tylko słowo, a się przekonamy. - Objął ją w talii, delikatnie pocierając plecy. Wcisnął przycisk na konsoli, żeby opuścić rolety.

- Co robisz? - zapytała, unosząc brwi.

- Lubię prywatność. - Jego ręka opuściła się jeszcze niżej. W tej samej chwili zadzwonił jej telefon. Annabelle spojrzała na numer.

- Cholera. - Wstała i odeszła od Baggera, patrząc na ekran.

- Kto to? - zapytał.

- Szef mojej sekcji. Jego numer wyświetla się jako zero. - Opanowała się i odebrała. - Słucham?

Po kilku minutach słuchania bez słowa zakończyła połączenie.

- Kurwa mać, co za duppek! - wrzasnęła.

- Co się stało, skarbie?

Szybkim krokiem zatoczyła kółko i stanęła, wrzała z wściekłości.

- Mój szacowny szef uznał za stosowne zmienić rozkazy z biura. Zamiast do Rosji pojedę do Portland w Oregonie.

- W Oregonie? Potrzebują szpiegów w Oregonie?

- To cmentarz, Jerry. Tam trafiają ludzie z mojej agencji, jeśli nie podobają się tym na górze.

- Jak to się stało, że w ciągu jednego przedpołudnia zostałam skierowana do Rosji i do Oregonu?

- Rosyjska robota została zlecona przez szefa biura terenowego. Oregon to pomysł szefa sekcji, który stoi szczebel wyżej. Jego polecenie ma pierwszeństwo.

- Co ma do ciebie szef sekcji?

- Nie wiem. Może za dobrze pracuję. - Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale umilkła.

Bagger dał się złapać.

- Wyrzuć to z siebie. Śmiało, może będę mógł pomóc.

Westchnęła.

- Sądzę, że facet chce się ze mną przespać. Tylko że jest żonaty i kazałam mu się odczepić.

Bagger pokiwał głową.

- Sukinsyn! Zawsze to samo gówno. Jak pani nie da dupy, to wynocha z chałupy.

Annabelle wbiła oczy w swoje ręce.

- To zwichnie moją karierę, Jerry. Portland! Niech to cholera! - Rzuciła telefonem o ścianę z taką siłą, że pękł na pół. Osunęła się na fotel. - Może jednak powinnam się z nim przespać.

Bagger zaczął masować jej ramiona.

- Bez sensu. Tacy faceci właśnie tego się spodziewają. Potem im się znudzisz albo wpadnie im w oko świeży towar. A wtedy koniec, tak czy siak zabieraj słodką pupę do Portland.

- Z jaką przyjemnością udupiłabym tego małego sukinsyna.

Bagger się zadumał.

- Może da się to zrobić.

Popatrzyła na niego nieufnie.

- Jerry, tego faceta nie można stuknąć.

- Nie o tym myślę, skarbie. Powiedziałaś, że mógł się wkurzyć, bo za dobrze pracujesz.

Co to znaczy?

- Załatwiam za dużo pieniędzy i zaczynam piąć się w górę i staję się zagrożeniem dla jego stołka. Wierz lub nie, Jerry, niewiele kobiet zajmuje się tym co ja. Niektóre z przyjemnością zobaczyłyby inną kobietę na stanowisku szefa sekcji. Jeśli nadal będę werbowała ludzi takich jak ty i wspierała nasze zagraniczne operacje wysublimowaną gotówką to zaszkodzę jemu, a pomogę sobie.

- Do diabła, tylko w sektorze rządowym można zostać udupionym za nadprodukcję. - Zastanawiał się przez chwilę. - W porządku, zobaczą, jak możemy zmienić sytuację na niekorzyść tego palanta.

- O czym ty mówisz?

- O następnej operacji w El Banco.

- Jerry, przenoszą mnie. Wieczorem razem ze swoim partnerem będę w samolocie.

- Dobra, dobra. Ale proponuję interes. Przed wyjazdem możesz przeprowadzić ostatnią operację, prawda?

Annabelle udała, że się namyśla.

- Tak, mam autoryzację. Ale nawet za milion dolców w odsetkach nie zajmę narożnego gabinetu tego gnojka.

- Nie mówię o nędznym milionie. - Popatrzył na nią. - Jaka jest najwyższa suma, którą można jednorazowo wysublimować?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Większość przelewów wynosi od jednego do pięciu milionów. Ale w Vegas zrobiłam piętnaście. I dwadzieścia w Nowym Jorku, ale to było dwa lata temu.

- Drobnostka.

- Drobnostka? Faktycznie!

- Powiedz mi, jaka suma naprawdę zabolalaby tego faceta?

- Jerry, nie wiem. Trzydzieści milionów.  
- Niech będzie czterdzieści. I niech to trwa cztery dni zamiast dwóch. - Przeliczył szybko w pamięci. - Dwadzieścia procent zamiast dziesięciu, czyli osiem milionów dla szczerze ci oddanego. Ładne wysublimowanie.  
- Masz czterdzieści milionów w gotówce?  
- Do licha, jak myślisz, z kim rozmawiasz? Mam forsy jak lodu.  
- W takim razie dlaczego chcesz to zrobić?  
- Nikt nie kicha na osiem milionów w cztery dni, nawet facet taki jak ja. - Pogłaskał ją po karku. - Poza tym, jak już mówiłem, podobasz mi się coraz bardziej, pani.  
- Ale i tak wyjeżdżam do Oregonu. Nie mogę nie wykonać rozkazów.  
- W porządku, jedź do Oregonu. Ale potem pomyśl o wycofaniu się i powrocie do mnie. Dam ci dziesięć procent od ośmiu milionów i urządzę ładne mieszkanie.  
- Nie zamierzam zostać twoją utrzymanką, Jerry. Mam swój rozum.  
- Z którego ty i ja zrobimy dobry użytek. Wraz z całą resztą ciebie. - Przesunął rękę po jej plecach. - Zadzwońię po chłopców.  
- Ale, jak powiedziałam, wieczorem lecę prywatnym samolotem do Oregonu.  
- Rozumiem.  
- Mówię, Jerry, że nie odzyskasz swoich pieniędzy przed moim wyjazdem.  
Roześmiała się.  
- Chodzi ci o zakładników? Myślę, kotku, że to już mamy za sobą. Zarobiłaś dla mnie milion sześćset tysięcy, więc chyba się sprawdziłaś.  
- Tylko pod warunkiem że jesteś tego absolutnie pewien. Czterdzieści milionów to kupa szmalu.  
- Hej, to był mój pomysł, nie twój. Ja się tym zajmę.  
Wstała.  
- Prowadzę wiele takich operacji, Jerry, i dla mnie to tylko robota. - Urwała. - Wszyscy inni chcieli tylko wiedzieć ile, ile? Chciwe sukiny. - Znowu umilkła, jakby szukała słów, choć ćwiczyła tę kwestię od dawna. - Jesteś pierwszym, który zrobił coś dla mnie. Jestem ci wdzięczna. Bardziej, niż zdajesz sobie sprawę. - Było to prawdopodobnie pierwsze prawdziwe stwierdzenie, jakie wygłosiła w obecności Baggera.  
Popatrzyli na siebie, a potem Annabelle powoli objęła ramiona rękami. On natychmiast wziął ją w objęcia. Niemal się zakrztusiła mocnym zapachem wody kolońskiej. Jego silne dłonie szybko znalazły drogę pod jej spódnicę, a ona się nie broniła, w milczeniu znosząc prymitywne obmacywanie. Miała ochotę trzasnąć go kolanem w krocze. Wytrzymaj, Annabelle, dasz radę. Musisz. - Och, skarbie - wyjęczał Bagger do jej ucha. - Śmiało, zrobmy to. Jeden raz, zanim wyjedziesz. Tutaj, na kanapie. Umieram. Umieram.  
- Wierz mi, czuję go na nodze- powiedziała, gdy wreszcie zdołała się od niego oderwać. Poprawiła bieliznę i obciągnęła spódnicę. - W porządku, ogierze, widzę, że dłużej nie zdołam ci się opierać. Powiedz mi, byłeś w Rzymie?  
- Nie - zdumiał się. - A dlaczego?  
- Co roku wynajmuję tam willę, gdy mam krótki urlop. Zadzwońię i podam ci szczegóły. Spotkamy się za dwa tygodnie  
- Dlaczego nie teraz?  
- Zyskam czas na przedłożenie raportu z nowego zadania i może dzięki czterdziestu milionom zahaczę się w miejscu lepszym niż Portland.  
- Ale moja propozycja pozostaje aktualna. A potrafię być cholernie przekonujący. Powoli przeciągnęła palcem po jego ustach.  
- Pokażesz mi, na ile przekonujący, w Rzymie, skarbie.  
Polecenie przelewu czterdziestu milionów dolarów opuściło kasyno Pompeje dwie godziny później. E-mail, który Tony wysłał do centrum operacji w Pompejach, zawierał

specjalny element: supernowoczesny program szpiegowski, który pozwolił mu przejąć kontrolę nad systemem komputerowym Pompejów. Dzięki temu tajemnemu dostępowi wpisał nowy kod do ich programu przelewów elektronicznych.

Trzy wcześniejsze przelewy trafiły do El Banco, ale gdy wysłano czterdzieści milionów, pieniądze zostały automatycznie przekierowane do innego zagranicznego banku na konto zarządzane przez Annabelle Conroy. Dla ludzi Baggera będzie wyglądać to tak, że pieniądze dotarły do El Banco - otrzymają fałszywe elektroniczne potwierdzenie - lecz ani jeden cent nie wróci do króla kasyna. Plan Annabelle służył zasadniczo jednemu celowi: umieszczeniu narzędzia szpiegowskiego w systemie komputerowym Baggera. Gdy to się stało, była panią sytuacji. Odegrała swoją rolę i pozwoliła, żeby Baggera pogrążyły jego własna chciwość i żądza, bo najlepszy sposób na oszukanie celu polega na doprowadzeniu do sytuacji, w której cel sam proponuje oszustwo.

Dokładnie za cztery dni co do minuty, Bagger zacznie się denerwować, gdy nie zobaczy swoich pieniędzy. Godzinę później poczuje ssanie w dołku. Po kolejnej godzinie zrobi się niebezpieczny dla otoczenia. A Annabelle i jej załoga będą już daleko mając do towarzystwa czterdzieści jeden milionów dolarów wolnych od podatku.

Annebelle Conroy będzie bardzo bogata. Będzie mogła kupić łódź i żeglować do końca życia, zostawiając za sobą niezliczone oszustwa. A jednak to za mała kara, pomyślała, gdy wyszła z gabinetu Baggera, żeby spakować walizkę. Zdecydowała, że najpierw weźmie prysznic, żeby zmyć z siebie brud tego mężczyzny.

Kąpiąc się, znowu pomyślała, że strata pieniędzy sprawi za mały ból człowiekowi, który zamordował jej matkę z powodu dziesięciu tysięcy zielonych ukradzionych przez Paddy'ego Conroya. Czegoś takiego nie wynagrodzi nawet największy ból. A jednak nawet ona musiała przyznać, że czterdzieści milionów to ładny początek.

## **ROZDZIAŁ 25**

Roger Seagraves dowiedział się, gdzie mieszka Stone, i w dogodnym momencie, gdy nie było go w domu, wysłał tam swoich ludzi. Dokładnie przeszukali dom, nie pozostawiając śladów swojej obecności. Co ważniejsze, wyszli z odciskami palców Stone'a: jeden komplet zdjęli ze szklanki, a drugi z blatu w kuchni.

Seagraves sprawdził odciski w ogólnej bazie danych CIA i niczego nie znalazł. Używając hasła skradzionego koledze, zajrzał do bazy ściśle tajnej. Uzyskał dostęp i umieścił wydruk odcisków w skanerze. Po chwili został skierowany do podkatalogu 666, z którym był dobrze zaznajomiony. Tutaj polecenie sprawdzenia odcisków palców Stone'a spotkało się z odmową dostępu. Seagraves znał podkatalog 666, bo tam były przechowywane jego dane osobowe, przynajmniej te oficjalne. Często śmiał się z etykiety „666”, uważając, że jest trochę zuchwała, choć trafna.

Seagraves wyszedł z systemu komputerowego i rozważył sytuację. Wnosząc z wieku, Stone pracował dla CIA dawno temu. Prawdopodobnie był „eliminatorem”. Agencja nie przyznawała kategorii Potrójnej Szóstki tym, którzy temperowali ołówki albo stukali w klawiaturę. W chwili obecnej nie całkiem wiedział, jak rozumieć to odkrycie. Zdążył już się dowiedzieć, że pracujący w bibliotece przyjaciel Stone'a ma się zająć sprzedażą księgozbioru DeHavena. Niestety, Stone nabrał podejrzeń, gdy ścigali go jego ludzie. A człowiek z Potrójnej Szóstki przychodzi na świat z wrodzoną paranoją, co jest tylko jedną z licznych cech wymaganych w tej robocie.

Czy mam go teraz zabić? A może pokopać jeszcze głębiej? Seagraves w końcu zrezygnował z nieodwracalnego kroku. Tę możliwość będzie miał zawsze. Do diabła, sam to



zrobię, postanowił. Jedna Potrójna Szóstka załatwi drugą. Młody kontra stary, a młodzi zawsze wygrywają bitwę. Możesz żyć, Oliverze Stone. Na razie.

Ale coś musi zrobić z tym człowiekiem. I to jak najszybciej.

\* \* \*

Dwa dni po ostatniej wizycie w domu DeHavena Stone i Reuben pojechali na motorze do antykwariatu w Starym Mieście Alexandria. Sklep nosił łacińską nazwę, która w tłumaczeniu brzmiała „Księga Czterech Sentencji”. Kiedyś nazywał się po prostu „Książki u Douga”, dopóki Caleb, który był współwłaścicielem, nie wpadł na genialny pomysł, żeby skupić się na bogatej klienteli z tej bardzo zamożnej okolicy. Stone przyjechał tu nie dlatego, że chciał obejrzeć jeszcze więcej starych książek. Przechowywał w antykwariacie parę rzeczy, których teraz potrzebował.

Właściciel księgarni, wspomniany wyżej Doug, który obecnie przedstawiał się bardziej formalnie jako Douglas, zapewniał Stone’owi swobodny dostęp do kryjówki. Robił to nie z dobroci serca, ale dlatego, że panicznie się bał Olivera Stone’a. Caleb (za podszeptem Olivera) opisał go jako niebezpiecznego dla otoczenia szaleńca, który przebywa na wolności tylko wskutek jakiegoś niedopatrzania.

Tajny pokój Stone’a znajdował się w piwnicy za fałszywą ścianą otwieraną przez pociągnięcie za drut wiszący w przyległym kominku. Tak zwany księży schowek w starym budynku zawierał obecnie wiele pamiątek z przeszłości Stone’a także zbiór albumów z wycinkami z gazet i czasopism.

Z pomocą Reubena Stone wyszukał kilka dzienników i zabrał je z sobą. Reuben podrzucił go do domku na cmentarzu.

- Uważaj na siebie, Oliverze - przestrzegł. - Jeśli ten dupek Behan jest w to zamieszany, ma za sobą mnóstwo siły i znajomości.

Stone zapewnił go, że będzie ostrożny, pożegnał się i wszedł do domu. Zaparzył mocną kawę, usiadł przy biurku i zaczął przeglądać albumy. Artykuły, jakie wybrał, dotyczyły zabójstwa przewodniczącego Izby Reprezentantów, Roberta „Boba” Bradleya, i prawie równoczesnego zniszczenia jego domu, co tylko najbardziej naiwni mogli uznać za zbieg okoliczności. Jednak wydawało się, że nie ma związku pomiędzy oczywistym morderstwem Bradleya, który rzekomo zginął z rąk krajowego ugrupowania terrorystycznego o nazwie Amerykanie Przeciwko 1984, a pozornie naturalną śmiercią Jonathana DeHavena. FBI otrzymało list od terrorystów, którzy oświadczyli, że śmierć Bradleya jest pierwszym krokiem w wojnie przeciwko rządowi federalnemu, instytucji według tych oszołomów kontrolowanej przez bogaczy, Żydów i katolików z pomocą czarnych Amerykanów określonych przez nich słowem okrutnym i poniżającym. Terrorysty zapowiedzieli kolejne ataki, a w odpowiedzi w Waszyngtonie zwiększono środki bezpieczeństwa.

Gdy Stone przewracał kartki dziennika, coś nie dawało mu spokoju, ale nie potrafił tego sprecyzować. Bradley był przewodniczącym Izby przez krótki czas, po politycznym wstrząsie, wskutek którego ówczesny przewodniczący wraz z liderem większości został skazany za sprzedawanie wpływów i pranie pieniędzy na kampanie polityczne. W normalnych okolicznościach stanowisko przewodniczącego zająłby człowiek z kierownictwa partii, ale ponieważ dwóch członków elity partyjnej trafiło za kratki, zastosowano nadzwyczajne środki. Tak oto Bob Bradley, przewodniczący potężnego komitetu, mający nieskazitelną reputację i stojący daleko od splamionego kierownictwa partii, stał się politycznym Mojżeszem zobowiązanym do wyciągnięcia swoich ludzi z tego moralnego bagna.

Zaczął od obietnicy, że robi etyczne porządki w Izbie Reprezentantów i położy kres uprawianiu polityki partyjnej. Wielu obiecywało to samo, przy czym tylko nieliczni

próbowali dotrzymać słowa, a jednak przeważała opinia, że jeśli ktokolwiek może tego dokonać, to tylko Bob Bradley.

Stone sięgnął po następny dziennik i znalazł inny artykuł. Ten dotyczył Corneliusa Behana i opisywał, jak obecny potentat przybył do tego kraju bez grosza przy duszy, a dzięki odwadze i ciężkiej pracy stworzył międzynarodowy koniec. Dostawcy uzbrojenia mają reputację, często zasłużoną, ludzi łamiących zasady etyczne. Opłacanie kongresmanów za pewne usługi jest jedną z najstarszych gier w Waszyngtonie, a producenci czołgów i samolotów rozgrywają ją równie dobrze jak wszyscy inni.

Stone przeczytał artykuł o Behanie wyszczególniający jego dwa wielkie, niedawne zwycięstwa. Jednym było zamówienie Pentagonu na system pocisków konwencjonalnych nowej generacji, a drugim budowa potężnego nowego bunkra pod Waszyngtonem, w którym mogliby się schronić członkowie Kongresu w przypadku katastrofalnego ataku. Wprawdzie niektórzy cynicy twierdzili, że wyeliminowanie tego czcigodnego gremium byłoby jedynym pozytywnym skutkiem kataklizmu, Stone jednak uważał, że kraj potrzebuje kontynuacji rządu.

Każdy z tych kontraktów wart był miliardy i Behan wygrał oba. Jak wyjaśniał artykuł, pokonał konkurencję pod każdym decydującym względem. „Jakby umiał czytać w myślach”, napisał reporter. Stone nie wierzył w czytanie w myślach, ale ponieważ w młodości był szpiegiem, wierzył w kradzież tajemnic.

Stone usadowił się wygodnie i popijał kawę. Jeśli poprzednik Bradleya siedział w kieszeni Behana, a Bradley zapowiedział rozprawienie się z korupcją, może warto było wyeliminować tego współczesnego krzyżowca. Nie istniała żadna gwarancja, że następca Bradleya będzie bardziej skłonny do współpracy z ludźmi pokroju Behana, ale w grę wchodził również czynnik zastraszenia. Czy nowy przewodniczący ruszy całą naprzód, żeby zrealizować obietnicę Bradleya, skoro być może właśnie ta obietnica doprowadziła do jego gwałtownej śmierci? Ugrupowanie terrorystyczne mogło być tylko zasłoną dymną, i to nie do sprawdzenia.

Stone zaczął rozmyślać o śmierci Bradleya, ponieważ dostrzegł jeden element wiążący to zabójstwo ze zgonem DeHavena. Elementem tym był Cornelius Behan, człowiek, który zarobił miliardy dolarów na sprzedaży niezliczonych rzeczy służących do zabijania ludzi, oczywiście w imię pokoju.

Czy w furgonetce robót publicznych siedzieli ludzie Behana? Czy mogli w jakiś sposób zmusić agentów Secret Service do ucieczki z podkulonymi ogonami? A może inna agencja, ściśle współpracująca z Behanem, wzięła na siebie zadanie usuwania mu przeszkód z drogi? Ludzie od dziesiątków lat debatowali nad istnieniem kompleksu militarno-przemysłowego. Stone nigdy się nad tym nie zastanawiał. Przez długie lata stanowił jego część. Jeśli obecny kompleks przypominał ten sprzed trzydziestu lat, to stanowił potęgę, z jaką należało się liczyć. Potęga ta nie wahała się eliminować ludzi, którzy wchodziłi jej w drogę. O tym też wiedział z własnego doświadczenia. Przecież był kiedyś jednym z „eliminatorów”.

Zadecydował, że każe Miltonowi dowiedzieć się jak najwięcej o Bradleyu i Behanie. Milton potrafił wchodzić do baz danych, którymi nie powinien się interesować, a które zawsze były najbardziej interesujące. Sam postanowił pójść do zniszczonej siedziby Bradleya i zobaczyć, czy tam coś nie wyniknie. Chciał też wrócić do domu Jonathana DeHavena, żeby jeszcze raz spojrzeć przez lunetę - wcale nie dlatego, że jego wyobraźnię rozpałały seksualne wyczyny Behana. Nie, tam musiało być coś bardzo oczywistego, co przeoczył.

Poczuł nagły chłód i wstał, żeby rozpalić ogień. Zatrzymał się i potarł twarz. Była zimna, bardzo zimna. Do licha, co powiedziała tamta kobieta? Próbował przypomnieć sobie jej słowa. „Temperatura się podnosi”. Tak, to powiedziała pielęgniarka opiekująca się Calebem. Uznał to za dziwne, ponieważ w szpitalu człowiek zwykle słyszy, że wraca do zdrowia, gdy temperatura spada. Ona jednak stwierdziła, że się podnosi, był tego pewien.

Ogarnęło go narastające podniecenie. Coś wreszcie zaczęło nabierać sensu. Wyjął komórkę, żeby zadzwonić do przyjaciół, ale nagle znieruchomiał i spojrzał w okno. Miał z niego bezpośredni widok na ulicę biegnącą wzdłuż cmentarza. Parkowała na niej biała furgonetka robót publicznych. Widział ją wyraźnie pod latarnią.

Stone natychmiast odsunął się od okna. Zadzwoił do Reubena, ale nie uzyskał połączenia. Popatrzył na komórkę. Nie zobaczył paska zasięgu, choć na tym terenie sygnał zawsze był silny. Wyrzwał przez okno. Zagłuszenie. Podniósł słuchawkę telefonu stacjonarnego. Głuchy.

Złapał płaszcz i pobiegł do tylnych drzwi. Chciał przeleźć przez ogrodzenie i labiryntem ulic Georgetown przemknąć do opuszczonego mieszkania, którego czasami używał jako kryjówki. Ostrożnie otworzył drzwi i wyszedł. Widział ogrodzenie.

Strzał w pierś zatrzymał go w pół kroku i rzucił na kolana. Tracąc przytomność, popatrzył na stojącego nad nim człowieka w czarnym kapturze oburącz trzymającego pistolet. Miał wrażenie, że mężczyzna się uśmiechnął, gdy on, jego ofiara, ciężko upadł na ziemię i znieruchomiał.

## ROZDZIAŁ 26

Spowijały go ciemności przesłuchania. Stone rozpoznał je, gdy tylko oprzytomniał. Nie tylko nie widział swojego ciała, ale w absolutnej czerni miał wrażenie, że w ogóle go nie posiada. Boso, stał na palcach z rękami związanymi nad głową. Było bardzo zimno. W takich miejscach zawsze jest zimno, ponieważ w zimnie człowiek słabnie szybciej niż w ciepłe. Czuł, że jest nie tylko boso, ale również nagi. Głos zawołał z ciemności:

- Przytomny?

Stone pokiwał głową.

- Powiedz - rozkazał głos.

- Przytomny - odparł. Postanowił, że poda im tylko minimum, nic więcej. Przechodził przez to wcześniej, choć trzydzieści lat temu, kiedy misja się nie powiodła i został więźniem w kraju, w którym żaden Amerykanin nie chciałby zostać schwytany.

- Nazwisko.

Właśnie tego się bał.

- Oliver Stone.

Coś twardego uderzyło go w tył głowy i na chwilę pozbawiło przytomności.

- Nazwisko?

- Oliver Stone - powtórzył powoli, zastanawiając się, czy nie pękła mu czaszka.

- Na razie niech ci będzie, Oliver. DeHaven?

- Kto?

Poczuł, że coś łapie go za łydkę. Chciał wierzgnąć, ale miał unieruchomione nogi. To coś pełzło jak wąż po prawej nodze. Odetchnął głęboko i starał się zdusić panikę. To nie wąż, tylko symulacja, przekonywał sam siebie. Potem coś zaczęło go szturchać, nie kąsać, ale nacisk narastał. Boże, to prawdziwy wąż. Może boa? W zupełnych ciemnościach nawet jego stalowe nerwy zaczęły się strzępić.

- DeHaven? - powtórzył głos.

- Co chcecie wiedzieć?

Nacisk odrobinę zelżał, ale pogrożka wciąż nie była zbyt subtelna.

- Jak umarł?

- Nie wiem.

Nacisk natychmiast wzrósł. Teraz to coś owijało się wokół jego brzucha. Trudno mu było oddychać. Bolały go ręce i nogi, a ścięgnię Achillesa groziły pęknięciem wskutek długotrwałego stania na palcach.

- Chyba został zamordowany - wysapał.

Nacisk znowu zelżał. Stone zaczerpnął tchu, płuca rozciągnęły się boleśnie.

- Jak?

Rozpaczliwie próbował wymyślić odpowiedź. Nie miał pojęcia, kim są ci ludzie, i nie chciał zbyt wiele zdradzić. Kiedy milczał, nacisk zniknął. Zdumiony odprężył się. Powinien być mądrzejszy.

Upadł na podłogę, gdy zwolniono więzy. Poczuł, jak chwytają go silne, ubrane w rękawice dłonie. Zamachnął się odruchowo i uderzył w coś mocno: szkło i metal w miejscu, gdzie powinna być twarz porywacza. Mieli noktowizory.

Podnieśli go i dokądś przenieśli, rzucili na coś twardego, jakby długą deskę, i przywiązali. Przechylił go do tyłu i zakryli mu twarz celofanem. Woda uderzyła mocno, wciskając celofan w oczy, usta i nos. Zakrztusił się. „Przytapienie” jest bardzo skuteczną metodą tortur. Niewiele rzeczy przeraża człowieka bardziej niż przekonanie, że tonie, zwłaszcza gdy leży głową w dół w absolutnej ciemności, przywiązany mocno do deski.

Nagle potok ustał i oprawcy zdjęli mu celofan z twarzy. Gdy tylko wypuścił powietrze, jego głowa znalazła się w zimnej wodzie. Znow się zakrztusił i wyteżył mięśnie, chcąc się uwolnić. Jego serce biło tak szybko, że wiedział, iż prawdopodobnie odmówi mu posłuszeństwa, zanim go utopią.

Wyciągnęli go z wody. Zwymiotował, treść żołądka spłynęła na twarz.

- Jak? - zapytał chłodno głos.

Tak, facet zadający pytania zawsze jest spokojny, pomyślał Stone, próbując pozbyć się wymiocin z oczu. Pewnie siedzi w przytulnym ciepłym pokoju z kubkiem kawy, podczas gdy ja sram ze strachu.

- Został uduszony - wykrztusił, - To samo chcecie zrobić ze mną, kutasie!

Jego głowa znow znalazła się pod wodą. Sprowokował ich celowo, żeby zmyły się wymiociny. Zdażył zrobić szybki wdech, zanim go zanurzyli, i wyłonił się względnie czysty.

- Jak? - powtórzył głos.

- Nie halonem, czymś innym.

- Czym?

- Jeszcze nie wiem.

Stone poczuł, że deska się przechyliła do kolejnego zanurzenia.

- Ale mogę się dowiedzieć! - wrzasnął gorączkowo. Głos nie odpowiedział od razu.

Stone uznał to za dobry znak. Przesłuchujący nie cierpią, gdy nie wiedzą, co powiedzieć.

Potem usłyszał:

- Przejrzeliśmy twoje dzienniki. Czytałeś o Bradleyu. Dlaczego?

- Podejrzany zbieg okoliczności. Najpierw jego śmierć, zaraz potem DeHavena.

- Jedno nie miało nic wspólnego z drugim.

- Tak myślisz?

Stone nabrał powietrza w płuca, ale trzymali go pod wodą tak długo, że prawie się utopił. Po wynurzeniu mózg pękał mu z braku tlenu, ręce i nogi drżały, organizm zaczął się wyłączać.

- Co według ciebie łączy te sprawy? - zapytał głos.

- Jeszcze jedno zanurzenie, a mnie zabijecie, jeśli więc takie są wasze plany, skończcie z tym raz na zawsze - powiedział słabym głosem. Był gotów na następne przechylenie, ale deska się nie poruszyła.

- Co według ciebie łączy te sprawy? - powtórzył głos. Stone odetchnął płytko, bo nie miał siły na nic więcej, i zastanowił się, czy odpowiedzieć. Jeśli powie nie to, co chcą usłyszeć, będzie po nim. Ale i tak był prawie martwy. Zebrał siły i odparł:

- Cornelius Behan.

Przygotował się na ostatnie zanurzenie.

- Dlaczego Behan? - zapytał głos.

- Bradley walczył z korupcją. Behan wygrał dwa ważne kontrakty za starych rządów. Może Bradley poznał jakąś jego tajemnicę. Dlatego Behan go zabił, spalił jego dom i zrzucił winę na ugrupowanie terrorystyczne.

Zapadła długa cisza. Stone słyszał tylko wytężone bicie własnego serca. Odgłosy były przerażające, ale przynajmniej dowodziły, że jeszcze żyje.

- DeHaven?

- Był sąsiadem Behana.

- Tak? - mruknął głos wyraźnie rozczarowany. Stone poczuł, że deska opada,

- To nie wszystko! Na strychu u DeHavena znaleźliśmy lunetę skierowaną na dom Behana. DeHaven mógł zobaczyć coś, czego nie powinien. Dlatego trzeba było go zabić, ale inaczej niż Bradleya.

- Dlaczego?

- Zamach na przewodniczącego to żadna niespodzianka. Ale DeHaven był bibliotekarzem, a Behan mieszka po sąsiedzku. Morderstwo musiało zostać upozorowane na wypadek i popełnione daleko od ich domów. Inaczej podejrzenie mogłoby paść na Behana.

Stone czekał w milczeniu, zastanawiając się, czy udzielił właściwej odpowiedzi.

Wzdrygnął się, czując bolesne ukłucie w ramię. Sekund później zamknął oczy, wydał długie westchnienie i znieruchomiał.

Z kąta pokoju Roger Seagraves patrzył, jak wynoszą Stone'a. Potraktował go dość brutalnie. Wyobrażał sobie, że trzydzieści lat temu stary mógł być równie dobry jak on. Teraz przynajmniej wiedział, że podejrzewał Corneliusa Behana. I z tego powodu Oliver Stone miał przeżyć kolejny dzień.

## ROZDZIAŁ 27

Okna pokoju wychodziły na Central Park i Annabelle pod wpływem impulsu postanowiła pospacerować. Znowu zmieniła wygląd. Miała krótkie, ciemne włosy z przedziałkiem i wyglądała tak jak na zdjęciu w paszporcie, który zrobił dla niej Freddy. Ubrała się w sposób typowy dla Nowego Jorku, czyli na czarno i z klasą. Spacerowała po parkowych ścieżkach w kapeluszu i okularach słonecznych. Kilka mijanych osób przyjrzało się jej uważnie, być może myśląc, że jest kimś sławnym. Jak na ironię, Annabelle nigdy nie szukała sławy. Przez całe życie trzymała się krzepiących cieni anonimowości, gdzie utalentowany oszust mógł znaleźć punkt zaczepienia.

Kupiła miękki precel od ulicznego sprzedawcy, zabrała go do pokoju, usiadła na łóżku i przejrzała papiery podrózne. Rozstała się z Leo na lotnisku w Newark. Freddy już wyjeżdżał z kraju. Nie zapytała żadnego z nich, dokąd się udają. Nie chciała wiedzieć.

Po przybyciu do Nowego Jorku skontaktowała się z Tonym. Jak obiecała, poczyniła przygotowania, żeby mógł polecieć do Paryża. Później miał być zdany wyłącznie na siebie, ale powinien sobie poradzić z niebudzącymi zastrzeżeń, choć fałszywymi dowodami tożsamości, dokumentami podróznymi i milionami dolarów na koncie. Udzieliła mu ostatniego ostrzeżenia.

- Bagger nigdy cię nie widział, ale będzie wiedział, że potrzebowałam specjału do komputerów, a ty jesteś z tego znany. Dlatego przyczaj się na jakiś rok za granicą. I nie

szastaj forszą. Znajdź jakieś spokojne miejsce, zakop się w nim, ucz się języka i nie dawaj znaku życia.

Tony obiecał, że posłucha jej rady.

- Zadzwoń i powiem ci, gdzie jestem.

- Nie.

Miała jeszcze trzy dni, zanim Bagger odkryje, że został oszukany. Oddałaby połowę łupu, żeby zobaczyć jego reakcję. Pewnie najpierw zabije facetów od komputerów i rachunkowości. Potem ruszy przez kasyno z pistoletem, rozwalając starszych obywateli grających na automatach. Może brygada antyterrorystyczna z New Jersey zrobi nalot i wyświadczy światu przysługę, skracając łajdakowi cierpienia. Było to mało realne, ale zawsze mogła pofantazjować.

Jej zaplanowana trasa ucieczki wiodła przez Europę Wschodnią i Azję. Podróż miała potrwać około roku. Później osiadzie na południowym Pacyfiku, na wysepce, którą odkryła przed laty i na którą nigdy nie wróciła ze strachu, że za drugim razem nie będzie już taka doskonała. W tej chwili była niemal idealnie szczęśliwa.

Swój udział w łupie ulokowała na kilku zagranicznych kontach. Odsetki i inwestycje zapewnią jej utrzymanie do końca życia. Zdecydowała, że najwyżej od czasu do czasu będzie uszczuplała kwotę główną. Może nawet kupi łódź, choć niewielką, i będzie żeglowała. Nie dokoła świata, krótkie wycieczki po tropikalnej zatoczce w zupełności jej wystarczą.

Zastanawiała się, czy nie wysłać Baggerowi triumfalnego listu, lecz w końcu doszła do wniosku, że takie przechwałki byłyby niegodne ani jej, ani przekrętu, który zrobiła. Niech król kasyna do końca życia zgaduje, kto mu wyciął ten numer. Mała dziewczynka Paddy'ego Conroya nie chciała zająć wysokiego miejsca na jego liście podejrzanych. Była pewna, że Bagger nawet nie wiedział, iż Paddy miał córkę. Jej relacje z ojcem miały naprawdę wyjątkowy charakter i Paddy nigdy nie przedstawił jej światu oszustów jako swojego dziecka. Leo i paru innych, z którymi pracowali, w końcu odkryło prawdę, ale na tym koniec.

Tym razem dzięki licznym kamerom w kasynie Pompeje mieli jej zdjęcie. Wiedziała, że Bagger roześle je po świecie oszustów, płacąc albo nawet torturując ludzi, żeby ustalić jej tożsamość. Wszyscy oszuści, których знаła, będą zacierali ręce z uciechy, że wykantowała Baggera. Może jednak znajdzie się ktoś, kto spojrzy na zdjęcie i zdradzi jej nazwisko, jeśli Bagger mu zagrozi. Cóż, pomyślała, niech próbuje. Może stwierdzi, że jest mu trudniej zabić, niż sobie wyobraża. W walce liczy się nie wielkość psa, lecz jego bojowość. Jak na ironię, usłyszała to nie od ojca, lecz od matki.

Tammy Conroy, pomimo życia na bakier z prawem, była dobrą kobietą i wiele wycierpiała jako żona Paddy'ego. Była kelnerką koktajlową, zanim związała się z czarującym Irlandczykiem. Paddy miał w zapasie niezliczone zabawne opowieści i potrafił zaśpiewać każdą melodię głosem, którego chciała słuchać bez końca. Gdziekolwiek się znalazł, zawsze był najważniejszy. Może dlatego nigdy nie wykorzystał w pełni wszystkich swoich zawodowych możliwości. Najlepsi oszuści cechują się tym, że nikt ich nie zauważa. Paddy wcale się tym nie przejmował, wierząc, że za każdym razem uratują go irlandzkie szczęście, hart ducha i uśmiech. I w większości przypadków tak było. Ale to nie ocaliło Tammy Conroy.

Jerry Bagger osobiście wpakował jej kulkę w głowę, gdy nie chciała wydać męża. Paddy nie odwzajemnił lojalności żony. Związał, gdy Bagger zaczął mu deptać po piętach. Annabelle nie mogła nawet uczestniczyć w pogrzebie matki, bo król kasyna i jego ludzie czekali na cmentarzu. Zdarzenie miało miejsce przed laty, ale Bagger prawdopodobnie wciąż szukał jej ojca. Z powodu marnych dziesięciu kawałków - więcej wydawał na garnitury. Annabelle wiedziała, że nie chodziło o pieniądze. Chodziło o szacunek. A w świecie Baggera jedynym sposobem na zachowanie szacunku było wymierzenie pięciu ciosów za każdy jeden, jaki się otrzymało. Obojętnie, czy skradziono dziesięć tysięcy, czy dziesięć milionów, Bagger miał

polować na złodzieja i ukarać go przykładowo, jeśli tylko zdoła go dorwać. Dlatego po sypnięciu kanciarzy w Pompejach Annabelle zadzwoniła na policję. W obecności glin na terenie kasyna Bagger nie mógł nikomu połamać nóg. Jeśli oszuści są mądrzy, zmyją się natychmiast po odsiadce.

Bagger mógł być chodzącą karykaturą szefa kasyna z kiepskiego filmu o mafii, ale jedna jego cecha nie była sztuczna ani zabawna - brutalność. Jeśli oszukasz jakieś inne kasyno, pójdiesz siedzieć. Jeśli oszukasz Baggera... Bagger był reliktem z czasów, kiedy w Vegas uznawano tylko jeden sposób postępowania z uprzykrzonym oszustem: najpierw łamano mu nogi, a następnie kark. Próba przeniesienia tej metody w dzisiejsze czasy zakończyła się totalną porażką i spowodowała jego wygnanie z Miasta Grzechu. W Atlantic City, choć nie zrezygnował z dawnych rozwiązań, postępował znacznie bardziej dyskretnie.

W zwyczajnych okolicznościach oszustwo na dziesięć kawałków nie doprowadziłoby do śmierci Tammy Conroy. Sprawę skomplikował fakt, że Bagger od dawna prowadził wojnę z jej mężem. Paddy trzymał się z daleka od jego kasyn, ale wysyłał falangi pracujących dla niego pomocników, łącznie z nastoletnią wówczas córką i znacznie młodszym Leo. Mało brakowało, a ostatnia wizyta tych dwojga w Atlantic City zakończyłaby się w oceanie, gdzie trafiliby jako karma dla ryb. Z biegiem lat Bagger powiązał Paddy'ego ze swoimi kłopotami w kasynie. W końcu pewnej nocy zjawił się w jego domu daleko od Jersey, ale Paddy'ego nie zastał. Niektórzy mówili, że dostał cynk i zdążył w porę się zmyć. Jeśli tak, zapomniał powiadomić żonę.

Oczywiście nie było dowodów wiążących Baggera z morderstwem, a on miał milion alibi, więc nie postawiono go w stan oskarżenia. Jednak pewni dobrze zorientowani starsi oszuści, z którymi rozmawiała Annabelle, byli absolutnie pewni, że to on jest winien. Ale gdyby nawet któryś z nich widział egzekucję na własne oczy, nie zgodziłby się zeznawać przeciwko królowi kasyna.

Przebywając z nim tak często w ciągu zeszłego tygodnia, Annabelle myślała o przyłożeniu mu pistoletu do czoła i pociągnięciu za spust. W ten sposób wyrównałaby stary dług, ale przypłaciłaby to życiem. Nie, oszustwo było znacznie lepsze. Jej ojciec nigdy nie lubił wielkich przekrętów, dowodził, że zabierają zbyt wiele czasu i są zbyt ryzykowne. Tammy Conroy natomiast doceniłaby mistrzostwo i wykonanie planu. Annabelle miała nadzieję, że jeśli matka poszła do nieba, to będzie patrzyła z wysoka, gdy Jerry Bagger odkryje, że został wykołowany na czterdzieści milionów zielonych.

Podniosła pilota i przełączała kanały, jedząc precla. Wiadomości były takie same jak zawsze, wszystkie złe. Więcej zabitych żołnierzy, więcej ludzi umierających z głodu, więcej tych, którzy wysadzają w powietrze siebie i innych w imię Boga. Wyłączyła telewizor i wzięła gazetę. Ponieważ trudno jest wykorzenić stare nawyki, niejedną raz przyłapała się na rozważaniu, jak wykorzystać wyczytane informacje do udanego, pomysłowego oszustwa. To już koniec, powiedziała sobie. Obrobienie Baggera było zwieńczeniem jej kariery, teraz nie miała innej drogi jak tylko w dół.

Ostatni przeczytany artykuł sprawił, iż usiadła tak szybko, że precel z musztardą upadł na łóżko. Szeroko otwierając oczy, patrzyła na małe, ziarniste zdjęcie, które towarzyszyło tekstowi na ostatniej stronie. Był to krótki hołd oddany wybitnemu uczonemu i znawcy literatury. Nie podano przyczyny śmierci Jonathana DeHavena, wspomniano tylko, że zmarł nagle w Bibliotece Kongresu, gdzie pracował. Choć zmarł jakiś czas temu, dopiero tego dnia zakończyły się przygotowania do pogrzebu, który miał odbyć się jutro w Waszyngtonie. Annabelle nie mogła wiedzieć, że opóźnienie wynikało z problemów, jakie lekarze mieli z określeniem przyczyny zgonu. Ponieważ nie doszukali się żadnych podejrzanych okoliczności, stanęło na przyczynach naturalnych i ciało zostało wydane domowi pogrzebowemu.

Annabelle złapała torbę i zaczęła upychać w niej ubrania. Jej plany podrózne właśnie uległy zmianie. Leciała do Waszyngtonu pożegnać się z byłym mężem, Jonathanem DeHavenem, jedynym człowiekiem, który naprawdę podbił jej serce.

## ROZDZIAŁ 28

- Oliver! Oliver!

Stone powoli doszedł do siebie i z trudem usiadł. Leżał ubrany na podłodze w domku, z wciąż wilgotnymi włosami.

- Oliver! - Ktoś łomotał do drzwi.

Stone wstał, podszedł chwiejnym krokiem i otworzył. Reuben spojrział na niego rozbawiony.

- Do licha, co się dzieje? Znowu pociągasz tequilę?

Spostrzegł, że Stone cierpi i natychmiast spoważniał. - Nic ci nie jest?

- Żyję. Poczytuję to za plus.

Ruchem ręki zaprosił Reubena do domu i przez dziesięć minut opowiadał, co go spotkało.

- Cholera! Nie masz pojęcia, kim oni są?

- Kimkolwiek są, znajdują się na torturowaniu - rzekł Stone oschle, pocierając guza na głowie. - Nie sądzę, żebym kiedykolwiek choćby napił się wody.

- Więc wiedzą o związku Behana?

Stone skinął głową.

- Nie jestem pewien, czy było to dla nich kompletną niespodzianką. Ale myślę, że informacje o Bradleyu i DeHavenie zdecydowanie były nowością.

- Mówiąc o DeHavenie, dzisiaj pogrzeb. W związku z tym przyszedłem. Caleb idzie razem z większością pracowników Biblioteki Kongresu. Milton też. Ja zamieniłem się z kolegą w pracy, żeby pójść na pogrzeb. Uznaliśmy, że to może być ważne.

Stone wstał i zaraz się zachwiał.

Reuben złapał go za ramię.

- Oliverze, może nie powinieneś się ruszać.

- Jeszcze jedna taka sesja, a przyjdziecie na mój pogrzeb. Ale fakt, dzisiejsza ceremonia może być ważna. Choćby tylko dla tych, którzy będą czynnie w niej uczestniczyli.

\* \* \*

Na nabożeństwo w kościele św. Jana obok parku Lafayette przyszło wiele osób z biblioteki i rządu. Zjawił się również Cornelius Behan z żoną, drobną, szczupłą i bardzo atrakcyjną kobietą po pięćdziesiątce, z włosami fachowo ufarbowanymi na blond. Cechowała ją wyniosłość intrygująco połączona z nieufnością i delikatnością. Cornelius Behan był dobrze znany w Waszyngtonie i ludzie wciąż podchodzili do niego, ściskali mu rękę i składali hołdy. Znosił to wszystko z dużym wdziękiem, ale Stone zauważył, że przez cały czas trzyma dłoń na ramieniu żony, jak gdyby mógł upaść bez takiego wsparcia.

Na prośbę Stone'a członkowie Klubu Wielbłądów rozproszyli się, dzięki czemu mogli obserwować ludzi zajmujących miejsca w różnych częściach kościoła. Choć było jasne, że tajemniczy porywacze wiedzą o jego związkach z innymi, Stone nie chciał im przypominać, że ma trzech przyjaciół, którzy mogliby się stać ich celami. Sam siedział z tyłu i omiatał tłum doświadczonego wzrokiem, a w końcu zatrzymał oczy na siedzącej z boku kobiecie. Gdy odwróciła głowę, zakładając włosy za ucho, przyjrzał się jej uważnie. Dawne szkolenie



nauczyło go zapamiętywania rysów, a ten profil już widział, choć kobieta, na którą teraz patrzył, była starsza.

Gdy wychodzili, Behan szepnął coś do żony, po czym odwrócił się i odezwał do idącego za nim Caleba:

- Smutny dzień.
- W istocie - rzekł Caleb chłodno. Popatrzył na panią Behan.
- Moja żona, Marilyn - przedstawił ją Behan. - To...
- Caleb Shaw. Pracowałem w bibliotece z Jonathanem.

Przedstawił jej pozostałych członków Klubu Wielbłądów. Behan spojrział na ludzi wynoszących trumnę.

- Kto by pomyślał? Wyglądał jak okaz zdrowia.  
- Wielu ludzi tak wygląda tuż przed śmiercią - powiedział Stone z roztargnieniem. Nie odrywał oczu od zauważonej wcześniej kobiety. Miała czarny kapelusz i ciemne okulary, była ubrana w długą czarną suknię i botki. Wysoka i smukła, prezentowała się wspaniale pomimo żałoby.

Behan spojrział na niego badawczo, chcąc sprawdzić, na kogo patrzy, ale Stone zdążył odwrócić głowę.

- Mam nadzieję, że są pewni przyczyny śmierci - powiedział Behan i dodał szybko: - Chodzi mi o to, że czasami dochodzi do pomyłek.

- Jeśli się pomylili, z pewnością kiedyś się o tym dowiemy - odparł Stone. - Media potrafią wyszperać takie rzeczy.

- Tak, dziennikarze są w tym dość dobrzy - przyznał Behan z lekkim niesmakiem.
- Mój mąż dobrze się zna na nagłej śmierci - oświadczyła niespodziewanie Marilyn.

Kiedy wszyscy na nią spojrzeli, pośpiesznie wyjaśniła: - Tym zajmuje się jego firma.

Behan uśmiechnął się do członków Klubu Wielbłądów.

- Proszę nam wybaczyć.

Mocno ujął żonę pod rękę i odszedł. Stone zastanowił się, czy rzeczywiście dostrzegł cień rozbawienia w jej oczach. Reuben odprowadził ich wzrokiem.

- Teraz widzę tego faceta nie inaczej jak tylko z majtkami powiewającymi na wacku. Musiałem wciskać pięść w gębę, żeby się nie śmiać w czasie nabożeństwa.

- Ładnie z jego strony, że przyszedł - powiedział Stone. - Przecież łączyła ich tylko luźna znajomość:

- Jego stara wygląda na niezły numer - skomentował Caleb.

- Robi wrażenie dość bystrej, by wiedzieć o zdradach męża. Trudno uwierzyć, że przestali się kochać.

- A jednak są razem - dodał Milton.

- Z miłości do pieniędzy, władzy, pozycji społecznej - podsumował Caleb z niesmakiem.

- Hej, ja nie miałbym nic przeciwko temu w moich związkach - palnął Reuben. - Miałem miłość, przynajmniej przez jakiś czas, lecz nic poza tym.

Stone patrzył teraz na kobietę w czerni.

- Czy ona nie wygląda znajomo?

- Skąd można wiedzieć? - zapytał Caleb. - Ma kapelusz i okulary.

Stone wyjął zdjęcie.

- To chyba ona.

Skupili się wokół niego, a potem Caleb i Milton spojrzeli wprost na kobietę i jeden przed drugim zaczęli ją sobie pokazywać.

- Nie możecie być bardziej dyskretni? - syknął Stone.

Kondukt skierował się na cmentarz. Po zakończeniu modlitw nad grobem ludzie ruszyli do samochodów. Kobieta w czerni została przy trumnie. Dwóch grabarzy w dżinsach i niebieskich koszulach czekało w pobliżu. Stone rozejrzał się i zauważył, że Behan i jego żona

już wsiedli do limuzyny. Omiótł wzrokiem okolicę, wypatrując ludzi, dla których stosowanie tortur wodnych mogło być chlebem powszednim. Można takich zauważyć, gdy człowiek wie, jak ich rozpoznać. On wiedział. Obserwacja niczego nie wykazała. Skinął na przyjaciół i ruszył do kobiety w żałobie. Stała z ręką na wieku palisandrowej trumny i chyba coś mówiła, może słowa modlitwy. Czekali, aż skończy. Kiedy odwróciła się w ich stronę, Stone zagadnął:

- Jonathan był w kwiecie wieku. To tragiczne.

Nie zdejmując okularów, zapytała:

- Skąd pan go znał?

- Pracowałem z nim w bibliotece - odparł Caleb. - Był moim szefem. Wszystkim będzie go bardzo brakowało.

Kobieta pokiwała głową.

- Tak, z pewnością.

- A pani skąd go zna? - zapytał Stone lekkim tonem

- To było dawno temu - odparła mgliście.

- Długotrwałe przyjaźnie są coraz rzadsze w dzisiejszych czasach.

- Tak, w istocie. Proszę mi wybaczyć. - Ominęła ich i odeszła.

- To ciekawe, że lekarz nie mógł stwierdzić przyczyny zgonu - powiedział Stone na tyle głośno, że musiała usłyszeć. Słowa wywarły zamierzony skutek. Kobieta zatrzymała się i odwróciła.

- Gazety podały, że zmarł na atak serca. Caleb pokręcił głową.

- Zmarł, bo serce się zatrzymało, ale nie miał ataku. Jak sądzę, to tylko założenie dziennikarzy.

Zrobiła kilka kroków w ich stronę.

- Nie dosłyszałam nazwisk panów.

- Caleb Shaw. Pracuję w czytelni dzieł rzadkich w Bibliotece Kongresu. To mój przyjaciel...

Stone wyciągnął rękę.

- Sam Billings, miło panią poznać. - Wskazał pozostałych dwóch członków Klubu Wielbłądów. - Ten wielki gość to Reuben, a to Milton. A pani?

Zignorowała go i skupiła uwagę na Calebie.

- Skoro pracuje pan w bibliotece, musi pan kochać książki równie mocno jak Jonathan.

Caleb pojaśniał, gdy rozmowa zeszła na jego ulubiony temat.

- Zdecydowanie. Szczerze mówiąc, Jonathan wyznaczył mnie w testamencie wykonawcą odpowiedzialnym za księgozbiór. Obecnie inwentaryzuję kolekcję, która po wycenie zostanie sprzedana, a zysk pójdzie na cele dobroczynne. Umilkł, gdy zobaczył, że Stone gestem każe mu się zamknąć. - Cały Jonathan - podsumowała. - Zakładam, że jego rodzice nie żyją?

- Ojciec zmarł przed laty, matka dwa lata temu. Jonathan odziedziczył dom.

Stone miał wrażenie, że po usłyszeniu ostatniej informacji kobieta na siłę powstrzymuje się od uśmiechu. Co prawnik powiedział Calebowi? Że małżeństwo zostało unieważnione? Może nie przez żonę, tylko przez męża pod naciskiem matki?

- Miło byłoby go zobaczyć - powiedziała do Caleba. - I kolekcję. Jestem pewna, że znacznie się powiększyła.

- Wie pani o jego kolekcji?

- Mieliśmy z Jonathanem wiele wspólnego. Nie będę w mieście zbyt długo, może więc dziś wieczorem?

- Tak się składa, że będziemy tam dzisiaj - odparł Stone. - Jeśli zatrzymała się pani w hotelu, możemy po panią wstąpić.

Kobieta pokręciła głową.

- Spotkam się z wami na Good Fellow Street. - Odeszła szybko do czekającej taksówki.

- Myślicie, że zapraszanie jej do domu Jonathana jest mądrym posunięciem? - zapytał Milton. - Wcale jej nie znamy.

Stone wyjął z kieszeni zdjęcie.

- Chyba znamy. Albo przynajmniej poznamy dość szybko. Na Good Fellow Street - dodał z zadumą.

## ROZDZIAŁ 29

Gdy zakończyło się składanie zeznań za zamkniętymi drzwiami przed komisją do spraw wywiadu, Seagraves i Trent wypili kawę w bufecie, a później wyszli na przechadzkę wokół Kapitolu. Ponieważ z racji oficjalnych obowiązków spędzali razem dużo czasu, spacer nie powinien wzbudzić niczyich podejrzeń.

Seagraves przystanął, żeby rozwinąć listek gumy do żucia, a Trent się pochylił, żeby zawiązać sznurowadło.

- Naprawdę sądzisz, że ten facet jest byłym agentem? - zapytał Trent.

Seagraves skinął głową.

- Potrójna Szóstka, wiesz o nich, prawda?

- Nic konkretnego. Nie miałem takiego wysokiego poziomu dostępu. Agencja zwerbowała mnie z powodu moich zdolności analitycznych, nie terenowych. I po dziesięciu latach tych bzdetów miałem dość.

Seagraves skrzywił usta w uśmiechu.

- Przejście na stronę politykierów naprawdę jest lepsze?

- Dla nas takie było.

Seagraves patrzył, jak jego kolega starannie zaczesuje tuzin pasemek, jakimś sposobem układając je równo na łysinie bez korzystania z lustra.

- Dlaczego nie ostrzyżesz się na zero? Mnóstwo babek leci na taki wygląd macho. I dlaczego nie doprowadzisz się do formy?

- Po zakończeniu pracy zawodowej będę miał tyle forsy, że w zagranicznym kraju, w którym osiadę, babki będą leciały na mnie niezależnie od aparycji.

- Twoja sprawa.

- Ten facet z Potrójnej Szóstki może stwarzać problemy. Być może mówimy o stanie burzy.

Seagraves pokręcił głową.

- Jeśli tak, może się zrobić naprawdę gorąco. Z tego, co wiem, gość wciąż ma powiązania. Jeśli go sprzątnę, będę musiał załatwić jego przyjaciół. Mnóstwo możliwości, żeby popełnić błąd i wzbudzić podejrzenia niewłaściwych osób. Na razie sądzi, że winny jest Behan. Jeśli to się zmieni, prognoza pogody może brzmieć inaczej.

- Jesteś pewien, że to dobra strategia?

Twarz Seagravesa lekko pociemniała.

- Trzymajmy się faktów, Trent. Podczas gdy ty siedzisz bezpiecznie za biurkiem w miłym, przytulnym Waszyngtonie, ja nadstawiam dupę w miejscach, które boisz się oglądać nawet w telewizji. Rób, co do ciebie należy, a strategię zostaw na mojej głowie. Chyba że myślisz, iż możesz to zrobić lepiej.

Trent chciał się uśmiechnąć, lecz strach mu nie pozwolił.

- Nie podważam twojego autorytetu.

- Ale tak to zabrzmiało. - Seagraves nagle wyszczerzył zęby i zarzucił rękę na wąskie ramiona Trenta. - Nie pora na potyczki, Albercie. Wszystko będzie dobrze. Mam rację? - Ścisnął mocno i rozluźnił uścisk dopiero wtedy, gdy poczuł, jak Trent skręca się z bólu. Miło było czuć z bliska cierpienie drugiego człowieka. - Mam rację?

- Absolutnie. - Trent potarł ramiona i zrobił taką minę, jakby zaraz miał się rozplakać. Na placu zabaw musiałeś codziennie dostawać w dupę, pomyślał Seagraves. Zmienił temat.

- Czterech łączników Departamentu Stanu nie żyje. Rząd wymyślił jakąś niezbyt oryginalną bajeczkę. - Znał jednego z zabitych; razem służyli. Był porządnym człowiekiem, ale miliony dolarów bez trudu przebijały każdą przyjaźń.

- Spodziewałeś się, że będą kreatywni? Co jest następne na liście?

Seagraves rzucił papierosa i popatrzył na swojego towarzysza.

- Dowiesz się w swoim czasie, Albercie. - Naprawdę zaczynał mieć dość młodszego partnera. Po części dlatego utarł mu nosa, jasno dając do zrozumienia, że był i zawsze będzie podwładnym. Jeśli sytuacja zrobi się ryzykowna i będzie wyglądało na to, że domek z kart może się rozsypać, zabije Trenta w pierwszej kolejności z jednego prostego powodu: myszy zawsze pękają pod naciskiem.

Rozstał się z kolegą i poszedł do samochodu stojącego na parkingu dla pracowników. Pomachał do strażnika, który znał go z widzenia.

- Pilnujesz moich czterech kótek? - zapytał z uśmiechem.

- Jak wszystkich innych - odparł strażnik, gryząc wykałaczkę. - A pan pilnuje bezpieczeństwa kraju?

- Robię, co w mojej mocy. - W rzeczywistości Seagraves przygotowywał się do przekazania Trentowi materiałów, które zawierały kluczowe elementy najnowszego planu strategicznej obserwacji zagranicznych terrorystów przez NSA. Media zawsze zakładały, że Agencja Bezpieczeństwa Narodowego działa poza prawem. Nie wiedziały o połowie tych działań, podobnie zresztą jak te barany z Kapitolu. Ale niektórzy nadziani wrogowie Ameryki, żyjący ponad dziesięć tysięcy kilometrów dalej i co najmniej osiem stuleci w przeszłości, skłonni byli zapłacić miliony dolarów za informacje. A pieniądze, człowieku, pieniądze zawsze zwyciężają, pieprzyć patriotyzm. Jediną rzeczą, jaką patrioci dostają za fatygę, jest złożona flaga. Główny problem polega na tym, że aby ją dostać, trzeba być trupem

Seagraves pojechał do biura, trochę popracował i ruszył do domu, trzydziestoletniego, dwupoziomowego, z trzema sypialniami i dwiema łazienkami, stojącego na dziesięcioarowej działce wymagającej melioracji. Połowę pensji wydawał na kredyt hipoteczny i podatki od nieruchomości. W domu wykonał serię szybkich, ale intensywnych ćwiczeń, potem zszedł do piwnicy i otworzył drzwi niewielkiej szafy wnękowej chronionej przez system alarmowy.

Wewnątrz na ścianach i półkach znajdowały się pamiątki jego dotychczasowych dokonań. Była tam między innymi lamowana futrem brązowa rękawiczka w szklanej gablotce, guzik od płaszcza w pudełeczku po pierścionku, okulary w plastikowym etui, but zwisający z kołka na ścianie, zegarek, dwie damskie bransoletki, mały pusty notes z monogramem APW, turban, podniszczony Koran pod szkłem, futrzana czapka i śliniaczek. Śliniaczek zbudził w nim lekkie wyrzuty sumienia. Ale przecież gdy zabija się rodziców, często trzeba poświęcić również dziecko. Bomba podłożona w samochodzie nie odróżnia, kogo unicestwia. Każdy przedmiot w szafie, opatrzony numerem od jednego do ponad pięćdziesięciu, miał historię znaną tylko jemu i paru innym osobom z CIA.

Seagraves zadał sobie wiele trudu i podejmował znaczne ryzyko, żeby zebrać te trofea. Stanowiły one jego kolekcję. Wszyscy świadomie lub nieświadomie są kolekcjonerami. Mnóstwo ludzi skupia się na zwyczajnym końcu spektrum, zbierając znaczki, monety i książki. Za nimi plasują się kolekcjonerzy złamanych serc albo seksualnych podbojów, a dalej ci, którzy czerpią radość z gromadzenia zatraconych dusz. Na dalekim krańcu Roger Seagraves zbierał osobiste rzeczy ludzi, których zamordował, a raczej wyeliminował, bo przecież działał pod sztandarem służby krajowi. Co nie znaczy, że martwym czyniło to jakąś różnicę.

Przyszedł tutaj, żeby dodać dwa nowe przedmioty - pióro Roberta Bradleya i skórzaną zakładkę do książek Jonathana DeHavena. Jedno zajęło honorowe miejsce na półce, a drugie spoczęło w pudełeczku pod szkłem. Do obu przyczepił numerki.

Zbliżał się do sześćdziesięciu eksponatów. Przed laty brał pod uwagę setkę i miał dobry start, gdyż w owym czasie na świecie było wielu takich, których jego kraj chciał się pozbyć. W ostatnich latach tempo pracy znacznie spadło; przyczyną był rząd bez kręgosłupa i jeszcze słabsza biurokracja CIA. Seagraves już dawno zrezygnował z pierwotnego celu. Przełożył jakość nad ilość.

Każda zdrowa na umyśle osoba po wysłuchaniu historii tych przedmiotów mogłaby uznać go za perwersyjnego psychopatę, który obsesyjnie zbiera osobiste drobiazgi zamordowanych ludzi. Myliłaby się. W rzeczywistości w ten sposób składał hołd tym, których pozbawił najcenniejszej własności. Miał nadzieję, że jeśli kiedyś zginie z czyjejś ręki, to zabójca okaże się godnym przeciwnikiem i odda mu podobne honory. Zamknął swoją kolekcję i poszedł na górę zaplanować następny ruch. Musiał coś odzyskać, a ponieważ DeHaven został już pogrzebany, nadszedł odpowiedni czas.

Annabelle Conroy siedziała w wypożyczonym samochodzie na rogu Good Fellow Street. Minęło wiele lat, odkąd tu była, lecz okolica prawie się nie zmieniła. W powietrzu wciąż unosił się stęchły zapach starych pieniędzy, choć teraz zmieszany z równie cuchnącą wonią nowej waluty. Annabelle oczywiście nie wniosła w posagu ani jednego, ani drugiego, co szybko zaczęła jej wytykać Elizabeth, matka Jonathana DeHavena. Brak pieniędzy i kindersztuby, pewnie powtarzała w kółko synowi, aż słowa te zakorzeniły się w jego podatnym umyśle i doprowadziły do unieważnienia małżeństwa. Annabelle nie protestowała, bo jaki byłby w tym sens?

A jednak nie czuła urazy do byłego męża. Pod wieloma względami był dużym dzieckiem, uczonym, życzliwym, hojnym i uczuciowym. Niestety, nie miał za grosz charakteru i uciekał przed konfrontacją niczym mały okularnik przed klasowym terrorystą. Nie miał szans w starciu z wszechwładną matką o jadowitym języku, ale czy był jedynym uległym synem świecie? Po rozpadzie małżeństwa pisał do niej pełne miłości, wzruszające listy, zasypywał ją prezentami i zapewniał, że myśli o niej przez cały czas. Nie wątpiła w to. Nie umiał oszukiwać, co było dla niej czymś zupełnie nowym - najwyraźniej przeciwieństwa rzeczywiście się przyciągają.

Nigdy nie poprosił jej, żeby wróciła. Jednak w porównaniu z mężczyznami, którzy tak jak ona stali po złej stronie równania dobra i zła, był światłem czystej niewinności. Podawał jej rękę i zawsze otwierał drzwi przed swoją „panią”. Rozmawiał z nią na tematy ważne w normalnym świecie, który dla niej był miejscem obcym jak daleka gwiazda. W czasie krótkiego małżeństwa Jonathan sprawił, że ten świat stał się mniej dziwny i bliższy.

Annabelle musiała przyznać, że się przy nim zmieniła. On też, choć zawsze tkwił po konserwatywnej stronie, przesunął się lekko ku niej, może ciesząc się życiem w sposób, jakiego wcześniej nawet sobie nie wyobrażał. Był dobrym człowiekiem. Było jej przykro, że umarł.

Ze złością wytarła łzę, która zbyt chętnie spłynęła po policzku. Uczucie było niezwykle i nieproszone. Od dawna nie płakała. Nie zbliżyła się do nikogo na tyle, żeby płakać po jego śmierci. Nie opłakiwała nawet matki. Prawda, pomściła Tammy Conroy, ale przy okazji się wzbogaciła. Czy zrobiłaby jedno bez drugiego? Annabelle nie była pewna. Czy to miało znaczenie? Prawie siedemnaście milionów powodów na koncie w zagranicznym banku mówiło, że nie.

Patrzyła, jak szara nova z grzechotem podjeżdża do krawężnika przed domem DeHavena. Wysiadło z niej czterech mężczyzn. Byli to poznani na cmentarzu dziwacy, którzy powiedzieli, że w zasadzie nie stwierdzono przyczyny zgonu Jonathana. Cóż, już się

pożegnała z Jonathanem. Teraz pochodzi po jego domu po raz pierwszy bez nadzoru mamy DeHaven, która krzywym okiem patrzyła na rozkołysane biodra synowej. A potem wsiądzie do samolotu. Annabelle nie chciała przebywać na tym samym kontynencie, gdy Jerry Bagger odkryje, że jest uboższy o czterdzieści milionów dolarów, i wybuchnie na większą skalę niż jego sztuczny wulkan.

Potok wrzącej lawy mógł z łatwością dotrzeć do Waszyngtonu.

Wysiadła z samochodu i ruszyła w kierunku domu i życia, które mogłaby wieść, gdyby wypadki potoczyły się inaczej.

## ROZDZIAŁ 30

Po oprowadzeniu Annabelle po parterze wszyscy zeszli do skarbca z książkami. Caleb nie otworzył małego sejfku za obrazem. Nie miał zamiaru pokazywać *Bay* nikomu innemu. Po obejrzeniu kolekcji wrócili na górę. Annabelle rozglądała się po elegancko urządzonych pokojach z większym zainteresowaniem, niż zapewne chciała okazać.

- Była więc pani tu wcześniej? - zapytał Stone. Popatrzyła na niego obojętnie.

- Nie przypominam sobie, abym mówiła, czy tak, czy nie.

- Wiedziała pani, że Jonathan mieszkał na Good Fellow Street.

- Po prostu tak założyłem.

- Ludzie nie powinni zbyt wiele zakładać, tak jest dla nich lepiej. - Nie przestawała się rozglądać. - Niewiele się zmieniło - powiedziała, pośrednio odpowiadając na pytanie. - Ale przynajmniej pozbył się co brzydszych mebli. Zapewne po śmierci matki. Nie sądzę, żeby to było możliwe, zanim Elizabeth wydała ostatnie tchnienie.

- Gdzie poznała pani Jonathana? - zapytał Caleb, lecz Annabelle zignorowała pytanie. - Może kiedyś wspomniał pani nazwisko, tylko że go nie znam - naciskał, przyciągając ostrzegawcze spojrzenie Stone'a.

- Susan Farmer. Poznaliśmy się na zachodzie.

- Tam go pani poślubiła? - strzelił Stone.

Był pod wielkim wrażeniem, bo nawet nie drgnęła. Ale też nie odpowiedziała. Postanowił zagrać kartą atutową. Wyjął zdjęcie z kieszeni.

- Powiedziano nam, że małżeństwo Jonathana zostało unieważnione. Skoro nie lubi pani przypuszczeń, to powiem, iż z pani tonu wywnioskowałem, że to Elizabeth DeHaven była pomysłodawcą. Jonathan zatrzymał zdjęcie. Ta kobieta jest niezwykle do pani podobna. Z doświadczenia wiem, że mężczyźni nie zachowują zdjęć kobiet, gdy nie mają ku temu powodu. Myślę, że była pani dla niego kimś wyjątkowym.

Podał jej fotografię. Tym razem zareagowała. Gdy wzięła zdjęcie, jej ręka, przez wszystkie te lata solidna jak skała, zatrzęsa się lekko, a oczy rozszerzyły i jakby zwilgotniały. Powiedziała ze smutkiem:

- Jonathan był bardzo przystojny. Wysoki, miał gęste brązowe włosy, a jego oczy sprawiały, że człowiek nabierał lepszego zdania o sobie.

- A ja mogę powiedzieć, że jest pani równie piękna jak wtedy - oznajmił Reuben szarmancko.

Annabelle chyba go nie usłyszała. Zrobiła coś, czego nie robiła od długiego czasu: uśmiechnęła się, szczerze, z głębi serca.

- To zdjęcie z dnia naszego ślubu. Nie miałam białej sukni, choć mogłam. Było to moje pierwsze i jedyne małżeństwo.

- Gdzie się pobraliście? - zapytał Caleb.

- W Vegas, gdzieżby indziej? - odparła, wpatrując się w zdjęcie. - Jonathan przyjechał do miasta na jakieś targi książki. Wpadliśmy jedno drugiemu w oko, przypadliśmy sobie do serca

i wzięliśmy ślub. Wszystko w ciągu tygodnia. Szaleństwo, wiem. Przynajmniej tak postrzegala to jego matka. - Poglądziła palcem zastygłe w uśmiechu usta Jonathana. - Ale byliśmy szczęśliwi. Przez jakiś czas. Po ślubie mieszkaliśmy tutaj z jego rodzicami, dopóki nie znaleźliśmy mieszkania.

- To całkiem duży dom - powiedział Caleb.

- Dziwne, wtedy wydawał się o wiele za mały - zauważyła cierpko.

- Pani też była w Vegas na targach? - zapytał Stone uprzejmie.

Oddała mu zdjęcie, a on schował je do kieszeni.

- Czy naprawdę muszę odpowiadać?

- W porządku. Kontaktowała się pani z Jonathanem po rozstaniu?

- Czemu miałabym to panu mówić?

- Nie ma powodu - wtrącił Reuben, patrząc gniewnie na Olivera. - Pytania naprawdę stają się zbyt osobiste.

Stone'a uraziły zdradzieckie słowa wyraźnie zadurzonego przyjaciela, ale powiedział:

- Robimy wszystko, co tylko możliwe, żeby wyjaśnić okoliczności śmierci Jonathana, i potrzebujemy wszelkiej pomocy.

- Serce przestało mu bić i umarł. Czy to takie niezwykle?

- Lekarz sądowy nie zdołał określić przyczyny zgonu - wyjaśnił Milton. - A Jonathan niedawno zrobił kompleksowe badania kardiologiczne w szpitalu Johns Hopkinsa. Nie zmarł na atak serca ani nic podobnego.

- Myślicie, że ktoś go zabił? Dla kogo mógł stać się problemem? Przecież był bibliotekarzem.

- Co nie znaczy, że bibliotekarze nie mają wrogów - zaznaczył Caleb. - Znam kolegów, którzy po wypiciu paru kieliszków czerwonego wina potrafią robić się wyjątkowo wredni.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Tak, z pewnością. Ale nikt nie uśmierca drugiej osoby tylko dlatego, że dostał grzywnę za niezwróconą w terminie książkę.

- Coś pani pokażę - powiedział Stone. - Na strychu.

Na górze oznajmił:

- Luneta jest wycelowana w sąsiedni dom.

- Tak, w okno sypia... - dodał Reuben.

- Ja wyjaśnię, Reubenie - przerwał mu Oliver - jeśli nie masz nic przeciwko. - Uniósł brwi i spojrzał na Annabelle.

- W porządku - odparł Reuben. - Śmiało, mów, Oliv... to znaczy Frank, prawda? Czy Steve?

- Dzięki, Reuben! - warknął Stone. - Jak powiedziałem, luneta jest wycelowana w sąsiedni dom. Dom należy do szefa Paradigm Technologies, jednego z największych dostawców sprzętu i usług dla wojska. Facet nazywa się Cornelius Behan.

- Lubi, jak nazywa się go CB - dodał Caleb.

- Rozumiem - powiedziała Annabelle powoli.

Stone spojrział przez lunetę, omiótł bok domu Behana oddzielonego wąskim trawnikiem od posesji od DeHavena.

- Tak myślałem. - Ruchem ręki dał znać Annabelle, żeby zajęła jego miejsce. Spojrzała przez lunetę.

- Biuro albo gabinet - stwierdziła.

- Zgadza się.

- Sądzi pan, że Jonathan szpiegował tego faceta?

- Możliwe. I być może przypadkiem zobaczył coś, co doprowadziło do jego śmierci.

- Więc ten Cornelius Behan zabił Jonathana?

Stone pokręcił głową.

- Nie mamy dowodu. Ale działy się dziwne rzeczy.

- Co takiego?

Stone zawałał się. Nie miał zamiaru mówić jej o porwaniu.

- Powiedzmy, że jest tyle pytań, iż warto dokładniej przyjrzeć się sprawie. Myślę, że Jonathan DeHaven na to zasłużył.

Annabelle patrzyła na niego przez chwilę, a potem jeszcze raz spojrzała przez lunetę.

- Proszę powiedzieć coś więcej o tym CB.

Stone scharakteryzował pokrótce Behana i jego firmę. Następnie wspomniał o morderstwie przewodniczącego Izby Reprezentantów Boba Bradleya.

Annabelle miała sceptyczną minę.

- Sądzi pan, że ma to związek z Jonathanem? Myślałam, że do zamachu przyznali się terroryści.

Stone opowiedział jej o kontraktach, jakie Behan wygrał za starych rządów.

- Poprzednik Bradleya został skazany za nieetyczne postępowanie, można więc śmiało założyć, że Behan miał go w kieszeni. Potem na scenę wszedł Bradley i rzucił hasło wielkiego sprzątnia. Behan mógł sobie nie życzyć, aby wnikał w pewne sprawy. Dlatego Bradley musiał umrzeć.

- A pan uważa, że Jonathan natknął się na spisek i został zabity, żeby nie mógł nikomu o tym powiedzieć? - Wciąż jeszcze wątpiła, ale teraz w jej głosie dało się usłyszeć wahanie.

- Mamy dwa niewyjaśnione zgony ludzi pracujących dla rządu. Cornelius Behan jest wspólnym mianownikiem i sąsiadem jednego ze zmarłych.

- Behan był dzisiaj na pogrzebie - dodał Caleb.

- Jak wygląda? - zapytała Annabelle ostro.

- Mały rudzielec...

Annabelle dokończyła:

- Z wysokim mniemaniem o sobie. Towarzyszyła mu smukła farbowana blondynka, która nim gardzi.

Stone był pod wrażeniem.

- Szybko poznaje się pani na ludziach.

- Zawsze uważałam, że ma to dobre strony. Dobrze, jaki jest nasz następny ruch?

Stone nie krył zaskoczenia.

- Nasz?

- Tak, skoro już zafundowaliście mi intensywny kurs teorii, które najwyraźniej trzymacie w tajemnicy, może przejdziemy do działania.

- Panno Farmer... - zaczął Stone.

- Mów mi Susan.

- Czy nie mówiłaś, że nie zabawisz długo w mieście?

- Zmiana planów.

- Mogę spytać, dlaczego?

- Możesz. Możemy spotkać się jutro rano?

- Oczywiście - odparł Reuben. - A jeśli potrzebujesz miejsca do spania...

- Nie potrzebuję.

- Możemy spotkać się w moim domu - zaproponował Stone.

- Gdzie to jest?

- Na cmentarzu - odparł Milton usłużnie.

Annabelle nawet nie uniosła brwi.

Stone zapisał adres i wskazówki dotyczące dojazdu. Annabelle podeszła, żeby wziąć od niego kartkę. Nagle potknęła się i złapała go za klapę marynarki, żeby nie upaść.



- Przepraszam - powiedziała, zamykając rękę na zdjęciu w jego kieszeni. Wyjęła je sekundę później. Potem stało się coś, co nigdy wcześniej nie miało miejsca. Ręka Stone'a zacisnęła się na jej nadgarstku.

Cichym głosem, żeby tylko ona usłyszała, szepnął:

- Wystarczyło poprosić. - Puścił ją, a ona płynnym ruchem wsunęła zdjęcie do swojej kieszeni, patrząc z zaskoczeniem na jego ponurą twarz. Odzyskała panowanie nad sobą i odwróciła się do pozostałych.

- Do zobaczenia jutro.

Reuben ujął jej dłoń i ucałował delikatnie w stylu francuskiego dżentelmena z minionej epoki.

- Chcę, abyś wiedziała, Susan, że spotkanie z tobą sprawiło mi prawdziwą przyjemność. Uśmiechnęła się znacząco.

- Dzięki, Reubenie. Och, stąd roztacza się ładny widok na pokój, który, jak sędzę, jest sypialnią Behana. Ma tam teraz jakąś gorącą cizję. Może chcesz popatrzeć?

Reuben okręcił się na pięcie.

- Oliverze, nic mi nie powiedziałaś.

Annabelle spojrzała na doprowadzonego do rozpaczy Stonesa.

- Nie szkodzi, Olwerze, Susan też nie jest moim prawdziwym imieniem. Prawdziwa niespodzianka, co?

Odeszła. Minutę później usłyszeli, jak zamykają się frontowe drzwi. Reuben szybko zajął stanowisko przy lunecie i jęknął.

- Cholera, już skończyli. - Odwrócił się w stronę Stone'a i szepnął z nabożeństwem: - Boże, co za kobieta.

Tak, pomyślał Stone, co za kobieta.

\* \* \*

Annabelle wsiadła do samochodu, zapuściła silnik i wyjęła zdjęcie, pocierając bolący nadgarstek. Facet o imieniu Oliver przyłapał ją na przetrząsaniu kieszeni. Nawet w dzieciństwie, gdy ojciec kazał jej okradać turystów w Los Angeles, nie została przyłapana na gorącym uczynku. Jutrzejszy dzień może okazać się bardzo interesujący.

Skupiła uwagę na fotografii. Zdumiewające, że jedno zdjęcie może wywołać tyle wspomnień. Tamten rok był jedynym normalnym w jej życiu. Niektórzy mogliby uznać go za nudny albo przynajmniej spokojny. Ona uważała go za cudowny. Spotkała mężczyznę, który się w niej zakochał. Bez żadnego ukrytego motywu, bez tajnego planu, bez myśli o zysku z większego oszustwa w przyszłości. Po prostu się zakochał. Erudyta i oszustka. Ich związek nie miał szans, ona zaś dobrze wiedziała, że tylko głupiec stawia na przekór szansom.

Popatrzyła na duży stary dom. Kto wie, może w innym życiu ona i Jonathan mogliby tu mieszkać z gromadką dzieci? Prawdopodobnie byłoby to dobre życie. Prawdopodobnie byłaby kiepską matką.

Wróciła myślą do rzeczywistości. Jerry Bagger za dwa dni wybuchnie. Mądry ruch polegałby na natychmiastowym wyjeździe z kraju i puszczaniu w niepamięć jutrzejszego spotkania z dziś poznanymi mężczyznami. Podjęcie decyzji nie zajęło jej dużo czasu. Zostanie i doprowadzi sprawę do końca. Może jest to winna Jonathanowi. Może jest to winna sobie.

## ROZDZIAŁ 31

Nazajutrz o siódmej rano Annabelle spotkała się z członkami Klubu Wielbłądów w domku Stone'a.

- Ładna chata - pochwaliła, rozglądając się po małym wnętrzu. - I masz takich cichych sąsiadów - dodała, patrząc przez okno na nagrobki.

- Towarzystwo pewnych zmarłych przedkładam nad kontakty z pewnymi żywymi - odparł Stone zwięźle.

- Potrafię to zrozumieć - powiedziała wesoło, siadając przed pustym kominkiem. - Zaczynajmy, panowie.

Reuben przycupnął obok niej. Wyglądał jak wielki szczeniak, który ma nadzieję na drapanie za uszami. Caleb, Milton i Stone zajęli miejsca naprzeciwko nich.

- Oto mój plan - zaczął Stone. - Milton dowie się jak najwięcej o Bobie Bradleyu. Może dokopie się do czegoś pożytecznego. Ja zajrzę do domu Bradleya, a raczej do tego, co z niego zostało, i zobaczę, czy można tam coś znaleźć. Reuben kiedyś stacjonował w Pentagonie. Wykorzysta znajomości, żeby zasięgnąć języka o militarnych kontraktach Behana, które pomógł przepchnąć zdetronizowany poprzednik Bradleya.

Annabelle spojrzała na Reubena, - Pentagon, co?

Spróbował zrobić skromną minę.

- Plus trzy tury w Wietnamie. Dość medali, żeby przystroić choinkę. To wszystko na temat służby twojemu krajowi.

- Nie miałam pojęcia. - Annabelle zwróciła się do Stone'a: - A co ze śmiercią Jonathana? Jak się dowiemy, czy ktoś go zabił?

- Mam pewną teorię, ale żeby ją sprawdzić, trzeba pójść do Biblioteki Kongresu i obejrzeć instalację przeciwpożarową. Problem w tym, że nie wiemy, gdzie znajduje się sterownia. Caleb nie mógł się dowiedzieć, bo z jakiegoś powodu lokalizacja pomieszczenia jest utajniona. Pewnie dlatego, żeby zminimalizować prawdopodobieństwo sabotażu, chociaż myślę, że właśnie do tego doszło. Gmach jest taki wielki, że nawet gdybyśmy mogli przeszukać wszystkie pomieszczenia, zajęłoby to całą wieczność. Musimy również obejrzeć wylot systemu klimatyzacji w pokoju, w którym zmarł Jonathan.

- Co ma do rzeczy instalacja przeciwpożarowa? - zapytała Annabelle.

- Mam pewną teorię. - Stone nie chciał powiedzieć ani słowa więcej.

- Czy architekt budynku ma plany, na których byłaby instalacja gaśnicza i klimatyzacyjna?

- Z pewnością - odparł Stone. - Gmach Jeffersona został zbudowany pod koniec dziewiętnastego wieku, ale jakieś piętnaście lat temu przeszedł gruntowny remont. Architekt Kapitolu ma plany, my jednak nie mamy do nich dostępu.

- Czy do remontu zatrudnili prywatną firmę?

Caleb pstryknął palcami.

- Wiesz, faktycznie, miejscową. Teraz sobie przypominam, bo rząd próbował ożywić lokalną gospodarkę i zaczął wchodzić w spółki z przedsiębiorstwami prywatnymi.

- Oto twoja odpowiedź - powiedziała Annabelle.

- Nie nadażam - przyznał Stone. - Wciąż nie mamy dostępu do planów.

Popatrzyła na Caleba.

- Możesz zdobyć nazwę firmy?

- Chyba tak.

- Pytanie, czy pozwolą nam sfotografować plany. Wątpię. Skopiowanie pewnie też nie wchodzi w grę. - Gdy rozmyślała na głos, członkowie Klubu Wielbłądów patrzyli na nią zdziwieni. Spozrzęgała to i oznajmiła: - Wprowadzę nas do firmy architektonicznej, ale musimy skopiować plany, jeśli chcemy zlokalizować sterownię różnych instalacji w budynku.

- Mam fotograficzną pamięć- powiedział Milton. - Jeśli raz spojrzę na plany, zdołam je zapamiętać.

Popatrzyła na niego sceptycznie.

- Słyszałam już takie twierdzenia i nigdy nie były do końca prawdziwe.

- Zapewniam cię, w moim przypadku jest inaczej - oświadczył wyniośle.

Podawała mu książkę z półki.

- Przeczytaj tę stronę. - Zrobił to i skinął głową. Annabelle odebrała mu książkę i spojrzała na tekst. - W porządku, panie Foto, słucham.

Milton wyrecytował tekst, łącznie ze znakami przestankowymi, bez jednego błędu.

Po raz pierwszy, odkąd się poznali, Annabelle była pod wrażeniem.

- Byłeś w Vegas? - zapytała. Pokręcił głową. - Może kiedyś spróbujesz?

- Czy liczenie kart nie jest sprzeczne z prawem?- zapytał Stone, szybko odgadując, o co jej chodzi.

- Nie, dopóki nie używasz komputera ani innych urządzeń mechanicznych.

- O rany! - zawołał Milton. - Mógłbym zbić fortunę.

- Lepiej nie rób sobie nadziei. Wprawdzie używanie mózgu nie jest nielegalne, ale jeśli cię złapią, to porządnie przetrzepią ci skórę.

- W takim razie lepiej dam sobie spokój - odparł zalękniony Milton.

Annabelle zwróciła się do Stone'a:

- Jak według ciebie zabili Jonathana? I koniec z owijaniem w bawełnę, bo inaczej wychodzę.

Stone przyjrzał się jej uważnie i podjął decyzję.

- Caleb znalazł ciało Jonathana. Zaraz potem zemdłał. Pielęgniarka w szpitalu powiedziała, że mu się polepsza, bo temperatura rośnie. Rośnie, nie spada.

- I co z tego?

- W instalacji przeciwpożarowej w bibliotece stosuje się substancję zwaną halonem tysiąc trzysta jeden - wyjaśnił Caleb. - W rurach ma postać ciekłą, ale z dyszy wydobywa się jako gaz. Gasi ogień częściowo poprzez obniżanie stężenia tlenu w powietrzu.

- To znaczy, że Jonathan mógł się udusić! Dobry Boże, policja nie wzięła pod uwagę takiej możliwości. Nikt nie sprawdził, czy butla z gazem nie jest pusta - powiedziała Annabelle ze złością.

- Nic nie wskazywało, że system został uruchomiony - zaznaczył Stone. - Syrena nie zawyła. Caleb dowiedział się, że była sprawna, ale przecież ktoś mógł ją odłączyć i później podłączyć. Poza tym gaz nie zostawia śladów.

- I na dodatek halon nie mógłby zabić Jonathana, nie w stężeniu używanym do tłumienia ognia w bibliotece - uzupełnił Caleb. - Sprawdziłem. Dlatego można go stosować w pomieszczeniach, w których przebywają ludzie.

- Dokąd więc prowadzi ten wątek? - zapytała Annabelle. - Zdaje się, że mówicie o dwóch sprzecznych sprawach. To był gaz, ale to nie był gaz. O co tu chodzi?

Stone przejął pałeczkę.

- Rozprężający się gaz obniża temperaturę w pomieszczeniu. Caleb powiedział, że zobaczył Jonathana, zrobiło mu się zimno i zemdłał. Jestem pewien, że źródłem zimna był gaz, i dlatego pielęgniarka powiedziała, że Calebowi rośnie temperatura. Myślę, że zemdłał, bo poziom tlenu w pomieszczeniu był niski, choć nie na tyle, żeby go zabić. Przeżył, bo wszedł tam jakieś pół godziny po Jonathanie.

- A więc to nie był halon - powiedziała Annabelle. - Coś innego?

- Otóż to. Musimy się dowiedzieć.

Annabelle wstała.

- Dobra, muszę zacząć przygotowania.

Stone stanął naprzeciwko niej.

- Susan, zanim naprawdę się zaangażujesz, musisz wiedzieć, że w tę sprawę są zamieszani bardzo niebezpieczni ludzie. Miałem okazję przekonać się o tym na własnej skórze. Gra może być bardzo ryzykowna.

- Oliverze, ujmę to następująco: jeśli okaże się bardziej niebezpieczna niż ta, w której brałam udział w zeszłym tygodniu, to kaktus mi na dłoni wyrośnie.

Stone zrobił zdumioną minę i cofnął się o krok. Annabelle wzięła Milтона pod ramię.

- Miltonie, spędzimy razem trochę czasu.

Reuben był załamany.

- Dlaczego nie ze mną?

- Bo Milton jest moją małą kserokopiarką. - Uszczypnęła go w policzek, a on natychmiast poczerwieniał. - Ale najpierw musimy go ubrać w odpowiednim stylu.

- Co jest nie w porządku z moim ubraniem? - zapytał Milton, patrząc na czerwony sweter i dżinsy, nieskazitelnie czyste i wyprasowane.

- Absolutnie nic złego. Nie nadaje się do moich celów, to wszystko. - Wskazała na Caleba. - Zadzwoń do Milтона i podaj mu nazwę firmy, gdy tylko ją poznasz. - Pstryknęła palcami. - Idziemy, Miltie.

Ruszyła do drzwi. Zszokowany Milton popatrzył bezradnie na przyjaciół i syknął:

- Miltie?

- Miltonie! - zawołała Annabelle już zza drzwi. - No chodź!

- I co ja teraz mam począć, Reuben? - zapytał Stone. - Ta kobieta to huragan i trzęsienie ziemi w jednym.

- Nie wiem, może... to znaczy... - Reuben opadł na fotel i burknął: - Niech to licha, dlaczego ja nie mam fotograficznej pamięci?

- Dziękuj za to Bogu - powiedział Caleb z niesmakiem.

- Czemu tak mówisz? - zaperzył się Reuben.

- Bo wtedy nazwałaby cię Ruby, a tego bym nie zniósł.

## ROZDZIAŁ 32

Caleb wysłał e-mail do biur administracji biblioteki. Godzinę później znalazł nazwę prywatnej firmy architektonicznej, która przeprowadzała renowację gmachu Jeffersona. Zadzwoił do Milтона i przekazał mu informacje.

- Jak ci idzie z tą babką? - zapytał cicho.

Milton odszepnął:

- Właśnie kupiła mi czarny garnitur i wściekle jaskrawy krawat, a teraz chce mi zmienić fryzurę. Wiesz, żeby mnie podpiciować.

- Powiedziała ci po co?

- Jeszcze nie. - Umilkł na chwilę. - Calebie, ona mnie trochę przeraża. Jest tak bardzo pewna siebie. - Milton nie mógł o tym wiedzieć, ale nigdy jego słowa nie były bliższe prawdzie.

- Cóż, wytrzymaj jeszcze trochę. Miltie.- Caleb rozłączył się ze śmiechem.

Następnie zadzwonił do Vincenta Pearla świadom, że będzie musiał nagrać się na automatyczną sekretarkę, ponieważ antykwariat był nieczynny do wieczora. Nie chciał rozmawiać z nim osobiście, bo jeszcze nie zdecydował, co zrobić z księgozbiorem Jonathana, a przede wszystkim we wiedział, co począć z *Bay*. Ujawnienie istnienia psalterza wywołało w świecie białych kruków prawdziwą burzę, a on znalazł się w samym jej środku. Ta myśl go przerażała, lecz również intrygowała. Trafienie na jakiś czas w światła reflektorów nie było takie złe, zwłaszcza dla osoby przywykłej do pracy w bibliotecznym mroku.

Jedna natrętna myśl powstrzymywała go przed pójściem na całość. A jeśli Jonathan zdobył psalterz nielegalnie? To mogło tłumaczyć jego dyskrecję. Caleb nie chciał zrobić niczego, co rzuciłoby cień na dobre imię przyjaciela.

Odpędził te niepokojące myśli i ruszył do Jewell English, która, podobnie jak wielbiciel Hemingwaya, Norman Janklow, od kilku lat regularnie bywała w czytelnicy.

Gdy szedł w jej stronę, Jewell zdjęła okulary, schowała starannie notatki do małej tekturowej teczki i ruchem ręki wskazała mu miejsce obok siebie. Kiedy usiadł, wzięła go za rękę i powiedziała podniecona:

- Calebie, mam namiary na *Beadle'a* w idealnym stanie. *Maleska, indiańska żona Białego Myśliwego*. To numer jeden.

- Chyba mamy egzemplarz - odparł po namyśle. - Sprawdź, czy naprawdę jest w idealnym stanie, Jewell. *Beadles* były kiepsko szyte.

Jewell English klasnęła w rękę.

- Ale czyż nie jest to ekscytujące? Pierwszy numer!

- Tak, bardzo ekscytujące. Jeśli chcesz, żebym obejrzał książkę przed kupnem, zrobię to z przyjemnością.

- Jesteś kochany. Muszę kiedyś zaprosić cię na drinka. Mamy tyle wspólnego. - Poklepała go po ramieniu i wymownie uniosła wyrysowane kredką brwi.

Zaskoczony Caleb powiedział pospiesznie:

- Tak, będzie miło. Pewnego dnia... W przyszłości... Kiedyś... Może... - Starał się nie biec, gdy wracał do swojego biurka. Podrywanie przez siedemdziesięciolatkę nie schlebiało jego próżności. Szybko odzyskał dobry humor i rozejrzał się po czytelnicy. Naprawdę lubił patrzeć na Jewell i bibliofilów w rodzaju Normana Jankłowa siedzących przy pięknych stołach i przeglądających stare książki. To sprawiało, że świat wydawał się znacznie bardziej normalny, niż był w rzeczywistości. Caleb uwielbiał ulegać tej iluzji, przynajmniej przez parę godzin dziennie. Ile bym dał za powrót świata papieru i gęsich piór, choćby tylko na chwilę, pomyślał.

Pracował przy biurku, gdy jakieś dwadzieścia minut później usłyszał, że otwierają się drzwi do czytelnicy. Podniósł głowę i zamarł. W kierunku informatorium szedł Cornelius Behan. Zapytał o coś kobietę za biurkiem, a ona wskazała na niego. Caleb wstał, gdy Behan podszedł z wyciągniętą ręką. Był bez obawy. Może ochrona ich nie przepuściła z uwagi na broń.

- Pan Behan? - Caleb nagle wyobraził sobie Behana ze spuszczoneymi spodniami. Musiał zdławić śmiech. - Przepraszam, powietrze trafiło w niewłaściwą dziurkę.

- Mów mi CB, proszę. - Uścisnęli sobie ręce. Behan rozejrzał się po sali. - Nie miałem pojęcia o istnieniu tego miejsca. Powinniście się lepiej reklamować.

- Moglibyśmy bardziej się przykładać do podnoszenia świadomości społecznej - przyznał Caleb - ale w kurczącym się budżecie trudno jest znaleźć pieniądze.

- Wierz mi, wiem wszystko o deficycie rządowym.

- Ty jednak dobrze sobie radzisz - skomentował Caleb i natychmiast tego pożałował, bo Behan spojrział na mego badawczo.

- To był ładny pogrzeb - powiedział, nagle zmieniając temat. - Oczywiście, o ile pogrzeby mogą być ładne.

- W istocie. Miło było poznać twoją żonę.

- Tak. W każdym razie przyjechałem do centrum na spotkanie z paroma gośćmi z Kapitolu i przyszło mi na myśl, że wstąpię. Przez tyle lat byłem sąsiadem Jonathana, a nigdy nie widziałem miejsca, w którym pracował.

- Lepiej późno niż wcale.

- Jonathan pewnie uwielbiał tę pracę.

- Tak. Zawsze przychodził pierwszy.

- Miał tu mnóstwo przyjaciół. Jestem pewien, że wszyscy go lubili. - Popatrzył na Caleba pytająco.

- Sądzę, że Jonathan był ze wszystkimi w dobrych stosunkach.

- Jak rozumiem, wczoraj byłeś w jego domu z jakąś kobietą.

Caleb przyjął spokojnie tę drugą nagłą zmianę tematu.

- Mogłeś zajrzeć, skoro nas widziałeś.

- Byłem zajęty.

Jasne, pomyślał Caleb.

- Paru moich ludzi was widziało. Są dobrymi strażnikami. Co to za kobieta?

- Specjalistka od rzadkich książek. Zaprosiłem ją, żeby rzuciła okiem na niektóre pozycje Jonathana i pomogła je wycenić. - Caleb był z siebie dumny, że tak szybko wymyślił kłamstwo.

- Co się stanie z domem Jonathana?

- Pewnie zostanie sprzedany. To mnie naprawdę nie interesuje.

- Pomyślałem sobie, że może go kupię i przerobię na dom gościnny.

- Twój jest za mały? - palnął Caleb bez zastanowienia. Na szczęście Behan się roześmiał.

- Tak, wiem. Myśl, co chcesz, ale przyjmujemy mnóstwo gości. Uznałem, że masz dojście do informacji, co z nim zrobią. Może rozejrzałeś się po domu - dodał od niechcienia.

- Nie. Pracuję w skarbcu.

Behan przyglądał mu się uważnie przez długą chwilę.

- Zadzwoń do prawników, niech zapracują na swoje pieniądze. - Po chwili wahania dodał: - Mógłbyś mnie oprowadzić, skoro już tu jestem? Jak rozumiem, macie tu naprawdę rzadkie księgi.

- Stąd nazwa, czytelnia ksiąg rzadkich. - Caleb nagle wpadł na pewien pomysł. Było to wbrew bibliotecznym regulaminom, ale pał je lichem. To mogło pomóc w odkryciu, kto zabił Jonathana. - Chciałbyś zajrzeć do skarbców?

- Jasne - odparł Behan równie skwapliwie.

Caleb oprowadził go i zakończył wycieczkę w pobliżu miejsca śmierci Jonathana DeHavena. Czy to sobie wyobraził, czy rzeczywiście spojrzenie Behana zatrzymało się na dyszy instalacji przeciwpożarowej? Jego podejrzenia się potwierdziły, gdy Behan wyciągnął rękę i zapytał:

- Co to takiego?

Caleb wyjaśnił rolę instalacji.

- Zamierzamy zastąpić używany obecnie gaz środkiem, który jest bardziej przyjazny dla powłoki ozonowej.

- Rozumiem. Dziękuję za oprowadzenie.

Po odejściu Behana Caleb zadzwonił do Stone'a i zdał mu relację ze spotkania.

- To ciekawe, że w zawaalowany sposób dopytywał, czy Jonathan miał wrogów - zauważył Stone. - Może szuka możliwości zrobienia kogoś w morderstwo. Wiele mówi również to, że chciał wiedzieć, czy przejrzelśmy cały dom Jonathana. Ciekawe, czy wiedział, że sąsiad był podglądaczem.

Po zakończeniu rozmowy z Oliverem Caleb zabrał książkę, którą przyniósł ze skarbcza DeHavena, i szeregiem podziemnych tuneli przeszedł do gmachu Madisona, gdzie mieści się dział konserwacji i renowacji. Dział zajmuje dwa wielkie pomieszczenia, w jednym znajdują się książki, a w drugim wszystko inne. Tutaj prawie stu konserwatorów pracuje nad poprawianiem stanu dzieł rzadkich i mniej rzadkich. Caleb wszedł do pokoju z książkami i zbliżył się do stołu, przy którym chudy mężczyzna w zielonym fartuchu ostrożnie przewracał kartki niemieckiego inkunabułu. Wokół niego leżały narzędzia, od ultradźwiękowych spawarek i teflonowych łopatek po staroświeckie prasy śrubowe i noże z wymiennymi ostrzami. - Cześć, Monty.

Monty Chambers spojrział zza grubych czarnych szkieł i potarł łysą głowę dłonią w rękawiczkę. Był gładko ogolony i miał słabo zarysowany, jakby wtopiony w twarz podbródek. Nie odezwał się, tylko skinął głową. Dobrze po sześćdziesiątce, od dziesiątków lat był najlepszym konserwatorem w bibliotece.

Dostawał najtrudniejsze zadania i nigdy nie zawiódł. Powiadano, że potrafi przywrócić do życia nawet najbardziej zniszczone i zaniedbane książki. Ceniono go za zręczność i wyczucie, pomysłowość i nowatorstwo w odnawianiu starych dzieł, a także za rozległą wiedzę na temat technik konserwacji i renowacji.

- Mam dla ciebie robotę, Monty, jeśli masz czas. - Caleb podniósł książkę. - *Wściekłość i wrzask*. Woda zniszczyła okładki. Należała do Jonathana DeHavena. Zajmują się sprzedażą jego kolekcji.

Monty obejrzał powieść i zapytał wysokim głosem: - Na kiedy?

- Masz mnóstwo czasu. Jesteśmy na wczesnych etapach.

Konserwatorzy rangi Monty'ego często zajmowali się jednocześnie kilkoma poważnymi i mniej ważnymi projektami. Pracowali do późna i czasami nawet w weekendy, gdy nie chcieli, żeby im przeszkadzano. Caleb wiedział, że Monty ma w pełni wyposażoną pracownię także w domu, dokąd czasami zabierał pracę.

- Odwracalnie? - zapytał Monty.

Obecnie standardowe procedury wymagają, żeby każda naprawa książki miała charakter odwracalny. Pod koniec dziewiętnastego wieku i na początku dwudziestego konserwacja książek polegała głównie na „upiększaniu”. Niestety, w ten sposób wiele starych tomów uległo nieodwracalnym zmianom, oryginalne okładki zostały wyrzucone, a stronicę oprawione w jasną, tłoczoną skórę, niekiedy z wymyślnymi zatrzaskami. Wyglądały ładnie, lecz utraciły wartość historyczną, a naprawienie szkód nie było możliwe.

- Tak - odparł Caleb. - I czy zechciałbyś napisać, co zamierzasz zrobić? Dołączymy dokumentację do książki, gdy zostanie wystawiona na sprzedaż.

Monty pokiwał głową i zajął się pracą.

Caleb wrócił do czytelnika. W tunelu zaśmiał się cicho.

- Miltie - szepnął. - I jego nowa fryzura. - Nie mógł wiedzieć, że przez długi czas nie będzie miał powodów do śmiechu.

## ROZDZIAŁ 33

- Regina Collins. - Annabelle przedstawiła się energicznie, podając asystentce wizytówkę. - Dzwoniłam, żeby umówić się na spotkanie z panem Kellerem. - Razem z Miltonem stali w recepcji firmy architektonicznej Keller & Mahoney mieszczącej się w wysokiej kamienicy w pobliżu Białego Domu. Annabelle miała na sobie eleganckie czarne spodnie i strój pięknie podkreślał jej obecnie jasnorude włosy. Milton stał za nią, na przemian poprawiając pomarańczowy krawat i gładząc schludny kucyk, w jaki zebrała jego długą, niesforną czuprynę.

Minutę później zjawił się wysoki mężczyzna po pięćdziesiątce z falującymi siwymi włosami. Nosił prążkowaną koszulę z monogramem i zielone szelki.

- Pani Collins? - Wymienili uściski dłoni i Annabelle podała mu wizytówkę.

- Panie Keller, co za przyjemność. Dziękuję, że tak prędko znalazł pan dla nas czas. Mój asystent miał zadzwonić do pana przed wyjazdem z Francji. Dość powiedzieć, że mam już nowego asystenta. - Wskazała Miltona. - Mój współpracownik Leslie Haynes.

Milton zdołał wykształcić słowa powitania i uściskać dłoń mężczyzny, choć było widać, że nie czuje się swobodnie.

- Proszę wybaczyć, jesteśmy nieco zmęczeni zmianą stref czasowych - wyjaśniła Annabelle szybko, zauważając skrępowanie Milтона. - Zwykle lecimy rejsem popołudniowym, ale tym razem nie było miejsc. Musieliśmy wstać przed świtem czasu paryskiego. Prawdziwa mordęga.

- Nic nie szkodzi, potrafię zrozumieć. Zapraszam do siebie - powiedział Keller uprzejmie.

W gabinecie usiedli przy małym stole konferencyjnym.

- Wiem, że jest pan zajęty człowiekiem, więc od razu przejdę do rzeczy. Jak powiedziałam przez telefon, jestem redaktorem naczelnym czasopisma architektonicznego, które niedługo ukaże się w Europie.

Keller spojrział na wizytówkę, którą Annabelle kazała wydrukować tego dnia rano. - „Le Balustrade”. Pomysłowy tytuł.

- Dziękuję. Agencja reklamowa długo się nad nim głowiła, rzecz jasna za nasze pieniądze. Z pewnością pan rozumie.

Keller parsknął śmiechem.

- Oczywiście. Przechodziliśmy przez to samo, a potem postanowiliśmy nazwać firmę sami.

- Żałuję, że nie mieliśmy takiego wyboru.

- Ale pani nie jest Francuzką?

- To stare dzieje. Jestem Amerykanką, która zakochała się w Paryżu, gdy była na studiach w ramach programu wymiany. Władam językiem na tyle dobrze, żeby zamówić kolację, butelkę dobrego wina i czasami wpaść w tarapaty. - Powiedziała parę słów po francusku.

Keller zaśmiał się z zakłopotaniem.

- Niestety, nie rozumiem.

Otworzyła skórzaną aktówkę i wyjęła notes.

- W pierwszym numerze chcemy zamieścić artykuł o renowacji gmachu Jeffersona przeprowadzanej przez waszą firmę we współpracy z architektem Kapitolu.

Keller skinął głową.

- Był to dla nas wielki zaszczyt.

- I długa praca. Od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego do dziewięćdziesiątego piątego, prawda?

- Odrobiła pani pracę domową. Projekt obejmował również przebudowę gmachu Adamsa po drugiej stronie ulicy oraz oczyszczenie i konserwację malowideł ściennych w gmachu Jeffersona. Mogę powiedzieć, że zdominował moje życie na dziesięć lat.

- Wykonał pan wspaniałą robotę. Jak rozumiem, przebudowa samej tylko głównej czytelnicy była herkulesową pracą. W grę wchodziło wiele kwestii odpornościowych i problemy z nośnością kolumn, przy czym szczególne wyzwanie stanowiła kopuła, a jak słyszałam, pierwotna konstrukcja kratowa pozostawiała wiele do życzenia. - Rano Milton ściągnął z Internetu setki stron informacji, a Annabelle wprawnie wydobyła z nich najważniejsze rzeczy i teraz wykorzystywała wiedzę tak gładko, że patrzył na nią zdumiony.

- Tak, były problemy, ale należy pamiętać, że gmach został wzniesiony ponad sto lat temu. Biorąc to pod uwagę, ówczesni budowniczowie spisali się na medal.

- Muszę powiedzieć, że pokrycie płomienia Pochodni Wiedzy na szczycie kopuły dwudziestotrzypółkaratowym złotem było genialnym akcentem.

- Cóż, to nie moja zasługa, ale przyznam, że Pochodnia wygląda niesamowicie na tle zaśniedziałego miedzianego dachu.

- Ale może pan przypisać sobie zasługę za stosowanie nowoczesnych rozwiązań i technik budowlanych.



- To prawda. Gmach z łatwością przetrwa co najmniej kolejnych sto lat. Powinien, za cenę osiemdziesięciu milionów dolarów.

- Nie będziemy mogli zrobić zdjęć planów konstrukcyjnych, prawda?

- Niestety, nie. Kwestie bezpieczeństwa i tak dalej.

- Doskonale rozumiem, ale musiałam spytać. A czy możemy chociaż na nie spojrzeć? Kiedy będziemy pisali artykuł, chciałabym w pełni oddać charakter niesłychanej pomysłowości jaką pańska firma wniosła do projektu. Poza tym może widok planów ułatwi panu komentowanie interesujących nas zagadnień. Nasz magazyn będzie sprzedawany w ośmiu krajach. Oczywiście, wasza firma nie potrzebuje reklamy, ale odrobina rozgłosu nie zaszkodzi.

Keller uśmiechnął się szeroko.

- Wygląda na to, że artykuł wyjdzie nam na dobre. Prawdę mówiąc, zamierzamy otworzyć filię w Europie.

- W takim razie to prawdziwe zrzączenie losu - odparła Annabelle.

- Zależy pani na obejrzeniu jakiejś konkretnej fazy?

- Naprawdę interesuje mnie wszystko, ale może skupimy się na piwnicach i pierwszym piętrze, które, jak słyszałam, stanowiło poważne wyzwanie.

- Wszystko było wyzwaniem, pani Collins.

- Proszę mówić mi Regina. A zmiany instalacji grzewczej, klimatyzacyjnej i wentylacyjnej?

- To było wyjątkowo trudne.

- Już teraz mogę powiedzieć, że artykuł będzie wspaniały - zaszczębiotała Annabelle.

Keller podniósł słuchawkę i parę minut później mieli przed sobą plany architektoniczne. Milton ustawił się w taki sposób, żeby widzieć każdy cal kwadratowy rysunków, i rejestrował je w tych zakamarkach mózgu, do których większość ludzi nie ma dostępu. Keller omawiał różne zagadnienia, ale Annabelle umiejętnie skierowała jego uwagę i wypowiedzi na umiejscowioną w piwnicy sterownię różnych instalacji oraz na skarbce czytelnicy dzieł rzadkich.

- Sterownia ze sprzętem gaśniczym umiejscowiona jest centralnie, a przewody przechodzą przez tę płytę? - zapytała, wskazując palcem część planu.

- Zgadza się. Istniejący system kanałów umożliwił taką lokalizację. Obecnie zmieniają środek gaśniczy.

- Halon tysiąc trzysta jeden - powiedział Milton sam z siebie, za co Annabelle nagrodziła go uśmiechem. - Potwór pożerający ozon. Mamy ten sam problem po drugiej stronie sadzawki.

- No właśnie - zgodził się Keller.

- A ten kanał biegnie prosto do skarbców skupionych wokół czytelnicy. - Annabelle pokazała na planie.

- Tak, realizacja projektu była dość trudna ze względu na ograniczoną przestrzeń, ale część głównych przewodów pociągnęliśmy w kolumnach, które podtrzymują półki.

- Nie umniejszając ich nośności. Bardzo pomysłowe - pochwaliła Annabelle.

Przez pół godziny omawiali plany, aż w końcu Annabelle oznajmiła, że jest w pełni usatysfakcjonowana.

- Leslie - zwróciła się do Milтона - chcesz zobaczyć jeszcze coś?

Pokręcił głową i z uśmiechem przyłożył palec do skroni.

- Mam wszystko tutaj.

Annabelle się roześmiała, a Keller szybko jej zawtórował.

Zrobiła zdjęcie Kellerowi i jego współnikowi Mahoneyowi i obiecała przysłać im egzemplarz magazynu, gdy tylko się ukaże. Nie czekajcie ze wstrzymanym oddechem, panowie, pomyślała.

Gdy wychodzili, Keller powiedział:

- Gdyby miała pani więcej pytań, proszę śmiało dzwonić.

- Nawet pan sobie nie wyobraża, jak bardzo nam pomógł - odparła zgodnie z prawdą.

Gdy wsiedli do wynajętego forda, Milton odetchnął z ulgą.

- Dzięki Bogu, że już po wszystkim. Mam tak spocone dłonie, że ledwo zdołałem otworzyć drzwi.

- Milton, jesteś wielki. Ta uwaga o halonie, wtrącona w odpowiednim momencie, uspokoiła cel... to znaczy Kellera.

- Naprawdę było przyjemnie, chociaż parę razy paskudnie ścisnęło mnie w dołku.

- Nie przejmuj się, to typowy objaw. Co więcej, pokazałeś pewien styl, gdy stwierdziłeś, że masz wszystko tutaj.

Milton natychmiast się rozpromienił.

- Podobało ci się? Samo wyszło.

- Przyznam, że jesteś w tym naturalny.

Popatrzył na nią.

- Zdaje się, że ty też znasz się na rzeczy.

Wrzuciła bieg.

- Szczęście nowicjusza.

## ROZDZIAŁ 34

Podczas gdy Annabelle i Milton odbywali spotkanie z architektem, Stone wyruszył do dzielnicy Boba Bradleya. Ubrany w kapelusz z opadającym rondem, za duży płaszcz i workowate spodnie prowadził na smyczy Goffa, kundla Caleba, który nosił imię po pierwszym dyrektorze działu ksiąg rzadkich. Spacerowanie z psem było sztuczką, którą stosował nie po raz pierwszy i którą opanował w czasie dawnej pracy dla rządu. Ludzie nie podejrzewają kogoś, kto przechadza się z psem. Stone oczywiście nie miał pojęcia, że Roger Seagraves wykorzystał ten sam wybieg, gdy uciekał po zamordowaniu Roberta Bradleya.

Idąc ulicą, zobaczył, że po siedzibie Bradleya zostało rumowisko zwęglonych belek i osmalony ceglany komin. Wybuch poważnie uszkodził również dwa sąsiednie domy. Stone rozejrzał się po okolicy. Ta część miasta nie była szczególnie zamożna. Wbrew poglądom niektórych osób urząd kongresmana wcale nie jest taki dochodowy. Członkowie Kongresu muszą utrzymywać dwa mieszkania, jedno w rodzinnym stanie i drugie w stolicy, a koszty w Waszyngtonie są nadzwyczaj wysokie. Niektórzy, zwłaszcza nowi, często wynajmują kwatery na spółkę albo nawet sypiają w swoich biurach. Weteran Bradley mógł sobie pozwolić na samodzielne lokum.

Miltonowi udało się zdobyć pewne informacje na jego temat a poza tym Stone przejrzał gazety, które przechowywał w swojej kryjówce. Wspólnymi siłami stworzyli portret Bradleya. Urodzony w Kansas, robił typową polityczną karierę - jeśli coś takiego istniało. Przez dwanaście kadencji zasiadał w Izbie Reprezentantów, pnąc się w górę, przez ponad dziesięć lat przewodniczył komisji, a następnie objął urząd przewodniczącego Izby. Zginął w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat, zostawiając w Kansas żonę i dwoje dorosłych dzieci. Z informacji zdobytych przez Stone'a wynikało, że był człowiekiem uczciwym i jego reputacji nie splamił nigdy żaden skandal. Cel oczyszczenia Kongresu, jaki sobie wyznaczył, mógł przysporzyć mu wielu wrogów i doprowadzić do jego śmierci. Niektórzy mogli uważać, że zabójstwo człowieka, który był trzeci w kolejce do urzędu prezydenta, jest posunięciem zbyt śmiałym. Stone nie miał złudzeń; skoro można zabijać prezydentów, nikt nie może być bezpieczny.

Oficjalnie wciąż prowadzono dochodzenie w sprawie śmierci Bradleya, choć media, po lawinie artykułów na ten temat, obecnie zachowywały nietypowe milczenie. Może policja zaczynała podejrzewać, iż rzekome ugrupowanie terrorystyczne nie istnieje i że śmierć Bradleya była skutkiem intrygi znacznie bardziej złożonej niż knowania bigoteryjnych, agresywnych szaleńców.

Stone zatrzymał się przy drzewie, żeby Goff mógł się odlać, wyczuwał wokół siebie obecność władz. Siedział w szpiegowskim biznesie na tyle długo, by wiedzieć, że ciężarówka zaparkowana na końcu ulicy jest pojazdem zwiadowczym. Zadanie dwóch siedzących w niej mężczyzn polegało na obserwowaniu domu zamordowanego i wypatrywaniu pożytecznych szczegółów. Jedną z pobliskich rezydencji bez wątplenia obsadzał zespół śledczy FBI pracujący dwadzieścia cztery godziny na dobę. W tej chwili lornetki i aparaty fotograficzne agentów z pewnością kierowały się prosto na niego. Naciągnął kapelusz głębiej na oczy, jakby osłaniał się przed wiatrem.

Gdy się rozejrzał, zobaczył coś niepokojącego. Natychmiast zawrócił i ruszył w drugą stronę, w pośpiechu ciągnąc Goffa. Biała furgonetka z napisem „Roboty publiczne” wyjechała zza rogu i zmierzała w jego stronę. Nie miał zamiaru sprawdzać, czy naprawdę należy to robót publicznych, czy jest pełna ludzi, którzy specjalizują się w sprawianiu innym ogromnego bólu.

Skręcił w prawo na następnym rogu, modląc się, żeby furgonetka nie pojechała za nim. Chociaż w okolicy roilo się od federalnych, nie mógł zakładać, że to go ochroni. Równie dobrze agenci FBI mogli wrzucić go do furgonetki z oprawcami i pomachać na pożegnanie. Przeszedł jeszcze dwie przecznice i dopiero wtedy zwolnił. Pozwolił Goffowi podreptać przy krzaku, a sam obejrzał się powoli. Ani śladu furgonetki. A jednak mógł to być podstęp mający na celu uspienie jego czynności. Z myślą, że prześladowcy mogą nadjechać z innej strony, zadzwonił na komórkę Reubena. Wielki mężczyzna właśnie odbijał kartę zegarową w magazynie.

- Będę za pięć minut - obiecał. - Dwie przecznice dalej jest posterunek policji. Idź w tamtą stronę. Jeśli ci dranie spróbują coś zrobić, wrzeszcz jak obdzierany ze skóry.

Stone ruszył we wskazanym kierunku. Nie mógłby mieć przyjaciela bardziej lojalnego i dzielnego niż Reuben, pomimo wszystkich jego wad.

Wierny danemu słowu Reuben zjawił się ryczącym pick-upem. Stone wsiadł razem z Goffem.

- Gdzie motor? - zapytał.

- Te kutasy go widziały. Pomyślałem, że lepiej się z nim nie afiszować.

Kiedy oddalili się od byłego domu Bradleya, Reuben zwolnił i stanął.

- Patrzyłem w boczne lusterko, Oliverze - zameldował. - Niczego nie zauważyłem.

Stone nie wyglądał na przekonanego.

- Musieli widzieć mnie na ulicy.

- Twoje przebranie wyprowadziło ich w pole.

Pokręcił głową.

- Takich ludzi niełatwo nabrać.

- Może trzymają cię na krótkiej smyczy, w nadziei, że doprowadzisz ich do garnca złota?

- Obawiam się, że długo będą czekali.

- Zadzwonił do mnie kumpel z Pentagonu. Nie miał wiele do powiedzenia o Behanie i tym wojskowym kontrakcie, chociaż powiedział coś interesującego. Wiem, że w ukazały się doniesienia o wykradaniu tajemnic i przecieki, ale sprawa jest znacznie gorsza. Mój przyjaciel powiedział, że krety sprzedają kraj naszym wrogom, między innymi na Bliskim Wschodzie i w Azji.

Bawiąc się smyczą Goffa, Stone zapytał:

- Odezwali się twoi znajomi z wydziału zabójstw albo FBI?

- Wiesz, to naprawdę dziwne. Nikt nie oddzwonił. Nie rozumiem.  
Ale ja rozumiem, pomyślał Stone. Rozumiem doskonale.

## ROZDZIAŁ 35

Wieczorem spotkali się w domku Stone'a. Annabelle i Leo zrelacjonowali przebieg spotkania z architektami. Polegając na swojej zdumiewającej pamięci, Milton wyrysował szczegółowy plan lokalizacji sterowni i linii instalacji.

Caleb przyjrzał się szkicom.

- Dobrze wiem, gdzie to jest. Myślałem, że to zwyczajny magazyn.

- Jest zamknięty? - zapytał Stone.

- Tak sądzę.

- Na pewno mam klucze, które będą pasowały.

Caleb nie krył zaskoczenia.

- Klucze? Co to ma znaczyć?

- To chyba znaczy, że on planuje włamanie - odparła Annabelle.

- Oliverze, nie mówisz poważnie. Wbrew rozsądkowi pozwoliłem ci udawać niemieckiego uczonego, ale absolutnie nie zgodzę się na włamanie do Biblioteki Kongresu.

Annabella spojrzała na Stone'a z większym szacunkiem.

- Udawałeś niemieckiego uczonego? Imponujące.

- Błagam, nie zachęcaj go - burknął Caleb. - Oliverze, jestem pracownikiem rządowym.

- Czy kiedykolwiek mieliśmy ci to za złe? - zażartował Reuben.

- Calebie, jeśli nie wejdziemy do tego pomieszczenia, trud zdobycia planów pójdzie na marne. - Stone wskazał szkic. - Widzisz, ze sterowni wychodzi również przewód klimatyzacji, który biegnie do skarbcza. Możemy jednocześnie sprawdzić jedno i drugie.

Caleb pokręcił głową.

- To pomieszczenie leży przy głównym korytarzu w piwnicy. Zwykle chodzi tamtędy mnóstwo ludzi. Przyłapią nas.

- Jeśli będziemy zachowywali się tak, jakbyśmy mieli prawo tam przebywać, nikt nas nie zaczepi.

- On ma rację, Calebie. - Annabelle poparła Stone'a.

- Ja też pójdę - oświadczył Reuben. - Mam dość ciągłego wyłączania z zabawy.

- A co z nami? - wtrącił Milton.

- Nie mogę iść z całą armią - sprzeciwił się Caleb.

- Możemy stanowić wsparcie, Miltonie - zaproponowała Annabelle. - Każdy plan powinien przewidywać różne ewentualności.

Stone popatrzył na nią dziwnie.

- Dobrze, możecie być naszym wsparciem. Idziemy dziś wieczorem.

- Dzisiaj?! - krzyknął Caleb. - Potrzebuję co najmniej tygodnia, żeby zebrać się na odwagę. Jestem mięczakiem. Z początku pracowałem jako bibliotekarz w szkole podstawowej, ale nie mogłem znieść stresu.

- Dasz radę - zapewnił go Milton. - Dzisiaj czułem to samo, ale możesz mi wierzyć, nabijanie ludzi w butelkę wcale nie jest trudne. Skoro ja mogłem nabrać architektów, ty możesz zrobić to samo w miejscu pracy. Czy mogą spytać cię o coś, czego nie będziesz wiedział?

- Nie wiem, gdzie ja miałem rozum, godząc się to zrobić? Poza tym budynek zostanie zamknięty, zanim tam dojedziemy.

- Nie zdołasz nas wprowadzić po godzinach z twoją legitymacją pracownika biblioteki?

- Nie wiem. Może tak, może nie - odparł Caleb wymijająco.

- Calebie - rzekł Stone chłodno - musimy to zrobić.

Caleb westchnął.

- Wiem. Wiem. - Dodał ostro: - Przynajmniej nie pozbawiajcie mnie satysfakcji udawania, że walczę.

Annabelle z uśmiechem położyła rękę na jego ramieniu.

- Przypominasz mi kogoś, kogo znam. Ma na imię Leo. Lubi psioczyć i narzekać, zachowuje się jak mięczak, ale w końcu zawsze daje sobie radę.

- Pewnie mam uznać to za komplement - odparł Caleb sucho.

Stone chrząknął i otworzył jeden z albumów, które ze sobą przyniósł.

- Chyba doszedłem, z czym mamy do czynienia, przynajmniej częściowo.

Wszyscy skupili na nim uwagę. Zanim zaczął mówić dalej, włączył radio i w pokoju zabrzmiała muzyka klasyczna.

- Na wypadek podsłuchu - wyjaśnił. Znów chrząknął i opowiedział im o wycieczce do zrujnowanej siedziby Bradleya. - Zabili człowieka i wysadzili w powietrze jego dom. Z początku myślałem, że zrobili to dla uwiarygodnienia przykrywki ataku terrorystycznego. Teraz uważam, że powód mógł być inny. Na przekór reputacji człowieka uczciwego Bob Bradley był skorumpowany. I dowody korupcji znikły w wybuchu.

- Niemożliwe - sprzeciwił się Caleb. - Poprzednik był łapówkarzem, nie Bradley. Wynieśli go na eksponowane stanowisko, żeby zrobić porządek.

Stone pokręcił głową.

- Orientuję się w waszyngtońskiej polityce na tyle, by wiedzieć, iż nikt nie zdobywa stołka przewodniczącego Izby dlatego, że zapowiada walkę z korupcją. Każdy przez wiele lat zabiega o poparcie i pielęgnuje sojusze. Mimo to nominacja Bradleya była niezwykła. Gdyby lider większości nie został oskarżony wraz z byłym przewodniczącym, stanowisko przeszłoby mu koło nosa. Kierownictwo tak się skompromitowało, że Bradley został ściągnięty niczym szeryf spoza miasta, by zaprowadzić porządek. Ale nie mówię o tego rodzaju korupcji.

- Rola przewodniczącego przysłania inne znaczące stanowisko, jakie piastował Bradley: przewodniczącego komisji do spraw wywiadu. Pełniąc tę funkcję, wiedział dosłownie o każdej tajnej operacji prowadzonej przez amerykańskie agencje wywiadowcze, łącznie z CIA, NSA i Pentagonem. Wraz ze swoim biurem był wtajemniczony we wszystkie sekrety i znał tajne dokumenty, które są wiele warte dla naszych wrogów. - Stone przewertował dziennik z wycinkami. - Od kilku lat pojawiają się liczne doniesienia o szpiegowaniu przeciwko amerykańskim agencjom wywiadowczym, co w niektórych przypadkach doprowadziło do śmierci naszych tajnych agentów. Ostatnio zginęło czterech, nazwanych w prasie łącznikami Departamentu Stanu. Zdaniem źródeł Reubena sytuacja jest znacznie gorsza, niż podają media.

- Mówisz, że Bradley był szpiegiem? - zapytał Milton.

- Mówię, że istnieje taka możliwość.

- Ale jeśli Bradley pracował z wrogami Ameryki, to dlaczego go zabili? - chciał wiedzieć Caleb.

- Są dwie możliwości - odparł Stone. - Mógł zażądać więcej pieniędzy za swoje usługi, a oni, zamiast dać mu podwyżkę, postanowili go zabić. Albo...

- Albo to my go zabiliśmy - dokończyła Annabelle. Stone zerknął na nią i lekko skinął głową. Pozostali mężczyźni wyglądali na zdeorientowanych.

- My? - zawołał Caleb. - Czyli nasz rząd!

- Dlaczego zabić? Dlaczego nie postawić przed sądem? - zapytał Milton.

- Bo wtedy wszystko wyszłoby na jaw - wyjaśnił Stone.

- Może CIA i Pentagon nie chcą, żeby społeczeństwo wiedziało, że zostali pokonani przez drugą stronę - dodał Reuben.

- A CIA nie słynie z miłosierdzia - dodał Stone oschle. - Nawet przewodniczący Izby Reprezentantów może się znaleźć na ich liście celów.

- Ale jeśli stoi za tym nasz własny rząd, to kim byli ci, którzy cię porwali i torturowali, Oliverze? - zapytał Milton. Annabelle rzuciła okiem na Stone'a.

- Byłeś torturowany?

- Zostałem przesłuchany przez ludzi z dużym doświadczeniem.

- Chcieli cię utopić - warknął Caleb. - Polewali cię wodą.

Reuben ze złością klepnął się po udach.

- Polewali wodą! Na litość boską, Caleb, polewają się klauni w wesołym miasteczku. Oni przytapiali Olivera na desce, a możesz mi wierzyć, że to zupełnie coś innego.

- Odpowiadając na twoje pytanie, Miltonie, jeszcze nie wiem, jaką rolę odgrywają moi porywacze. Jeśli zabili Bradleya na polecenie rządu, nie interesowałyby ich nasze odkrycia. To nie ma sensu. Przecież już to wiedzą.

- Ma sens, jeśli agencja, która zabiła Bradleya, zrobiła to na własną rękę, a inna próbuje nadążyć za grą - podsunęła Annabelle. - Może dwie agencje gryzą się między sobą?

Stone popatrzył na nią z jeszcze większym szacunkiem.

- Interesująca teoria. Chociaż w tej chwili trudno powiedzieć, jakie znaczenie ma dla nas.

- Wciąż uważasz, że zabójstwo Bradleya ma związek ze śmiercią Jonathana? - zapytała.

- Od początku wspólnym mianownikiem był Cornelius Behan - odparł. - W świetle jego wizyty w bibliotece i zainteresowania instalacją gaśniczą nasze podejrzenia wydają się jeszcze bardziej uzasadnione. Cornelius Behan jest naszym łącznikiem z Jonathanem. Aby dotrzeć do sedna, trzeba się dowiedzieć, jak umarł Jonathan.

- Dlatego musimy się włamać do Biblioteki Kongresu - jęknął Caleb.

Stone położył rękę na ramieniu przyjaciela. - Jeśli to poprawi ci samopoczucie, to nie będzie pierwszy rządowy budynek, do którego się włamię.

## ROZDZIAŁ 36

Caleb zdołał wprowadzić Stone'a i Reubena do biblioteki, pokazując ochronie swoje dokumenty. Skłamał, choć niechętnie i tym samym niezbyt gładko, że towarzyszące mu osoby są ważnymi gośćmi pragnącymi obejrzeć ekspozycję po godzinach.

Gdy jechali windą do piwnicy, poskarżył się:

- Nie uważam, aby to się różniło od popełnienia poważnego przestępstwa.

- Przystępstwo dopiero nastąpi - powiedział Stone, pokazując przyjacielowi kółko ze specjalnymi kluczami. - Dotąd popełniłeś zaledwie wykroczenie.

Caleb spiorunował go wzrokiem.

Stanęli przed wielkimi dwuskrzydłowymi drzwiami. Stone szybko znalazł klucz pasujący do zamka. Chwilę później weszli do przestronnego pomieszczenia. Sprzęt przeciwpożarowy znajdował się pod ścianą.

- Teraz rozumiem, po co te wielkie drzwi - powiedział Stone.

Butle były ogromne, każda musiała ważyć prawie tonę, i nie zmieściłyby się w normalnych drzwiach. Kilka było podłączonych do rur, które znikwały w suficie.

Etykiety informowały, że zawierają halon 1301.

- Fire Control - Stone odczytał nazwę firmy, która instalowała wyposażenie. Następnie przyjrzał się instalacji. -

Tutaj jest ręczny wyłącznik do puszczenia gazu. Te rury muszą biec do wielu pomieszczeń poza skarbcami. Nie wiadomo, która butla obsługuje twoją czytelnię.

Reuben spojrzął nad jego ramieniem.

- I nie sposób stwierdzić, czy z którejś wypuszczono gaz.

Stone podszedł do przewodu klimatyzacji i wyjął szkic Miliona. Spojrzał na tę część przewodów, która biegła do sufitu.

- Dlaczego interesujemy się klimatyzacją, Olwerze? - zapytał Reuben.

- Jeśli do zabicia Jonathana został użyty jakiś gaz, zabójca musiał wiedzieć, że ofiara będzie we właściwym miejscu, zanim uruchomił instalację.

- Racja, nie pomyślałem - przyznał Caleb. - Skoro na górze nie było ognia, który spowodowałby samoczynny wypływ, gaz musiał zostać puszczony ręcznie. Ale żeby to zrobić, trzeba być tutaj. Skąd zabójca wiedział, że Jonathan będzie w tej części skarbcza?

- Myślę, że znał porządek dnia Jonathana. Zawsze pierwszy przychodził do skarbcza i regularnie odwiedzał pewne miejsca, łącznie z tym, w którym zmarł.

Reuben pokręcił głową.

- Dobrze, ale Caleb powiedział, że znalazł ciało jakieś sześć metrów od dyszy. To znaczy, że DeHaven stał w idealnym miejscu, aby zabił go gaz. Ale skąd zabójca wiedział o tym na dole?

Stone popatrzył na szkic Miliona, a potem wskazał kanał klimatyzacji.

- Ta magistrala biegnie prosto do skarbcza, przez wszystkie poziomy.

- I co z tego?

Stone dokładnie obejrzał instalację. Po zakończeniu inspekcji wskazał coś, co było niewidoczne ze środka pomieszczenia. Reuben i Caleb spojrzeli.

- Po co te drzwiczki w kanale? - zainteresował się Reuben.

Stone otworzył je i zajrzał do środka.

- Calebie, pamiętasz otwór wentylacyjny w pobliżu miejsca, gdzie leżało ciało Jonathana? Kratka była wygięta.

- Tak, pamiętam, zwróciłeś na to uwagę. O co chodzi?

- Jeśli ktoś umieścił kamerę z długim przewodem w kanale i wygiął kratę, zyskał dobry widok na tę część skarbcza, którą rano odwiedzał Jonathan. I jeśli był tu na dole z monitorem podłączonym do kamery, przypuszczam, że mógł zobaczyć wszystko, co się działo na górze.

- Cholera - mruknął Reuben. - Wykorzystali kanał...

- Ponieważ tylko tamtędy można przeciągnąć kabel. Sygnał radiowy mógłby nie przeniknąć przez beton i inne przeszkody - wyjaśnił Stone. - Myślę, że gdy sprawdzimy kanał w skarbcu za wygiętą kratką, znajdziemy dowody świadczące o tym, że wisiała w nim kamera. Człowiek czeka tu na dole, widzi Jonathana i przekręca ręczny przełącznik, wcześniej odłączywszy syrenę. W ciągu dziesięciu sekund gaz wypełnia skarbiec i Jonathan umiera.

- Ale przecież sprawca musiał odzyskać kamerę. Dlaczego nie wyprostował kratki? - zapytał Reuben.

- Może próbował, ale kiedy raz wygnie się coś takiego, trudno to idealnie wyprostować. - Stone popatrzył na Caleba. - Dobrze się czujesz?

Caleb był popielaty.

- Jeśli masz rację, w takim razie Jonathana zabił ktoś, kto pracuje w bibliotece. Nikt inny nie mógłby wejść sam do skarbcza.

- Co jest, do licha? - syknął Reuben. Zaalarmowany Stone spojrzął na drzwi.

- Ktoś idzie. Szybko, tutaj.

Wcisnęli się za system instalacji, przy czym Reuben musiał prawie nieść przerażonego Caleba. Ledwo zniknęli z pola widzenia, drzwi się otworzyły. Weszli czterej mężczyźni w niebieskich kombinezonach. Zaraz za nimi wjechał wózek widłowy kierowany przez piątego człowieka. Szósty, najwyraźniej szef, trzymał podkładkę do pisania. Pozostali skupili się wokół niego.

- Dobra, bierzemy tę, tę i tę - powiedział, wskazując trzy butle, łącznie z dwiema podłączonymi do instalacji. - Wymieniamy je na te z wózka.

Mężczyźni zaczęli ostrożnie odłączać wielkie butle od rur. Stone i jego przyjaciele obserwowali ich z kryjówki.

Reuben spojrzął na Stone'a, który pokręcił głową i przyłożył palec do ust. Caleb trząsał się tak bardzo, że Stone złapał go za jedną rękę, a Reuben za drugą, żeby nie stracił równowagi.

Pół godziny później trzy stare butle stały na wózku, a robotnicy zajęli się podłączaniem trzech przywiezionych. Później wózek wyjechał na korytarz, a ludzie wyszli za nim. Gdy tylko drzwi się zamknęły, Stone podszedł do świeżo zainstalowanych butli i odczytał etykiety.

- FM-dwieście. Calebie, mówiłeś, że biblioteka rezygnuje z systemu halonowego. Zastępują go tym środkiem.

- Chyba tak.

- Dobra, musimy iść za nimi - oznajmił Stone.

- Błagam, Oliverze, nie - jęknął Caleb.

- Musimy.

- Nie... chcę... UMRZEC!

Stone potrząsnął nim mocno.

- Weź się w garść. Natychmiast!

Caleb popatrzył na niego z pełnym niedowierzaniem zdumieniem i wybuchnął:

- Nie podoba mi się, że na mnie wrzeszczysz!

Stone nie zwrócił na niego uwagi.

- Gdzie jest rampa ładunkowa?

Caleb podał wskazówki Szli w tamtą stronę, gdy zabrzączała komórka Olivera. Dzwonił Milton. Stone powiedział mu, co się stało.

- Śledzimy butle. Będziemy cię informowali.

\* \* \*

Milton zakończył rozmowę i popatrzył na Annabelle. Siedzieli w jej pokoju w hotelu. Powtórzył słowa Stone'a.

- To może być niebezpieczne - powiedziała. - Nie wiedzą, w co się pakują.

- Ale co możemy zrobić?

- Jesteśmy ich wsparciem, pamiętasz?

Podbiegła do szafy, wyjęła torbę, a z niej niewielkie pudełko Milton poczuł się trochę skrępowany, bo było to pudełko z tamponami.

Zauważyła jego zakłopotanie.

- Nie wstydz się, Miltonie. Kobiety zawsze chowają to, co nie powinno zostać znalezione, w pudełku z tamponami. - Otworzyła pudełko, wyjęła jakiś przedmiot i wsunęła do kieszeni. - Powiedzieli, że firma nazywa się Fire Control. Przypuszczam, że pojadą do magazynu. Możesz go znaleźć?

- Ten hotel ma bezprzewodowy Internet, więc mogę sprawdzić - odparł, już stukając w klawiaturę.

- Dobrze. Czy w pobliżu jest jakiś sklep z kostiumami?

Zastanawiał się przez chwilę. .

- Tak. Mają też rekwizyty do robienia magicznych sztuczek. Jest otwarty do późna.

- Doskonale.



## ROZDZIAŁ 37

Nova jechała w bezpiecznej odległości za ciężarówką Fire Control. Caleb prowadził, Stone siedział obok niego, a Reuben z tyłu.

- Czemu nie zadzwonimy na policję i nie przekazemy im tej sprawy? - zapytał Caleb gderliwie.

- A co im powiemy? - zapytał Stone. - Mówiłeś, że w bibliotece zmieniają środek gaśniczy. Z tego, co wiemy, w , to robili ci ludzie. Poza tym powiadomienie policji mogłoby ostrzec niewłaściwe osoby, że jesteśmy na tropie. Musimy działać ukradkowo, bez glin.

- Super! - warknął Caleb. - I dlatego zamiast policji ja mam się narażać? Ciekawe, po jaką cholerę płacę podatki.

Ciężarówka skręciła w lewo, a potem w prawo. Minęli okolicę wzgórza Kapitolu i wjechali do zaniedbanej części miasta.

- Zwolnij - polecił Stone. - Ciężarówka się zatrzymuje.

Caleb podjechał do krawężnika, Ciężarówka stanęła przed bramą z siatki, którą otwierał ktoś od wewnątrz.

- To magazyn - stwierdził Stone.

Brama została zamknięta, gdy tylko ciężarówka wjechała na teren Fire Control.

- Nic więcej nie możemy zrobić. - Caleb odetchnął z ulgą. - Wracajmy. Boże, muszę się napić cappuccino po tym koszmarnym wieczorze.

- Musimy wejść za ogrodzenie - oznajmił Stone.

- Zgadza się - poparł go Reuben.

- Obaj jesteście obłąkani! - krzyknął Caleb.

- Czekaj w samochodzie, Calebie - polecił Stone. - Ja muszę sprawdzić, co tam się dzieje.

- A jeśli cię złapią?

- Wtedy wszyscy wpadniemy. Myślę, że warto zaryzykować.

- A ja mam zostać w samochodzie - zaczął Caleb powoli. - To nieuczciwe, skoro wy dwaj nadstawiacie...

Stone nie pozwolił mu dokończyć.

- Jeśli będziemy musieli szybko uciekać, lepiej, żebyś tu był, gotowy do odjazdu.

- Racja - zgodził się Reuben.

- Cóż, skoro tak mówicie. - Caleb z determinacją zacisnął ręce na kierownicy. - Byłem znany z tego, że czasami paliłem gumy.

Stone z Reubenem wysiedli i podeszli do ogrodzenia. Schowani za stertą starych desek przed magazynem patrzyli, jak ciężarówka parkuje w kącie kompleksu. Robotnicy weszli do głównego budynku. Parę minut później, ubrani w codzienne ubrania, odjechali swoimi wozami. Strażnik zamknął za nimi bramę i wrócił do magazynu.

- Najlepiej wspiąć się na ogrodzenie tam, gdzie stoi ciężarówka - powiedział Reuben. - W ten sposób będziemy osłonięci od strony budynku, gdyby wyszedł strażnik.

- Dobry plan - pochwalił Stone.

Przebiegli na drugą stronę kompleksu. Zanim zaczęli się wspinać, Stone rzucił patykiem w siatkę.

- Lepiej sprawdzić, czy nie jest pod napięciem.

- Jasne.

Wspięli się powoli, szybko zeskoczyli po drugiej stronie i zastygli w głębokim przysiadzie. Po chwili, pochyleni, ruszyli do ciężarówki. W połowie drogi Stone zatrzymał się i ruchem ręki kazał Reubenowi przypaść do ziemi. Rozejrzeli się, ale nikogo nie zobaczyli. Oczekali minutę i ruszyli dalej. Stone nagle skręcił w stronę niewielkiego betonowego budynku, który stał niedaleko tylnego ogrodzenia. Reuben pośpieszył za nim.

Drzwi były zamknięte, ale jeden z kluczy Olivera pasował do zamka.

Wewnątrz stało mnóstwo wielkich butli. Stone wyjął z kieszeni małą latarkę i poświecił dokoła. Zobaczyli warsztat zarzucony narzędziami, a w kącie mały pistolet do malowania, puszki z farbą i rozcieńczalnikiem. Na ścianie wisiała butla z tlenem i maska. Stone oświetlił butle i na głos przeczytał napisy: FM-200. INERGEN. Halon 1301, CO<sub>2</sub>, FE-25. Wrócił do butli z CO<sub>2</sub>, uważnie przyglądając się oznaczeniom.

Reuben trącił go łokciem.

- Patrz - szepnął, wskazując tablicę na ścianie.
- Fire Control. Wiemy - mruknął Stone ze zniecierpliwieniem.
- Przeczytaj nazwę poniżej.

Oliver z sykiem wciągnął powietrze.

- Fire Control jest filią Paradigum Technologies.
- Firmy Corneliusa Behana.
- Co znaczy, iż Behan okłamał Caleba, kiedy powiedział, że nie wie, do czego służy dysza w skarbcu.

\* \* \*

Caleb wiercił się w samochodzie, nie odrywając oczu od ogrodzenia.

- Szybciej - mruczał. - Co tak długo was zatrzymuje?

Nagle położył się na fotelu. Mijało go jakieś auto, zmierzając do magazynu. Gdy się wyprostował, serce zmarło mu w piersi. Był to radiowóz prywatnej ochrony, z tyłu siedział wielki owczarek niemiecki.

Caleb wyjął komórkę, żeby zadzwonić do Stone'a, ale bateria się wyczerpała. Często zapominał naładować to cholerstwo, bo nie lubił przez nie rozmawiać.

- Dobry Boże! - jęknął. Nabrał powietrza w płuca. - Możesz to zrobić, Calebie Shaw. Dasz radę. - Zrobił wydech, skupił się, a potem dla kurażu zaczął recytować jeden z ulubionych poematów. - *Sponad grzyw, sponad grzyw, sponad grzyw, w pędzie, patrzyło prosto w Śmierć sześciuset mężnych. Naprzód, Lekka Brygada! Wziąć działa! - rozkaz pada: Jak ma nie pognać w Śmierć sześciuset mężnych?\**. Umilkł i spojrzał przed siebie. Zanościł się na prawdziwy dramat z atakiem psów i uzbrojonych ludzi, i jego odwaga zaczęła gwałtownie topnieć. Jej resztki wyparowały, gdy zastanowił się nad faktem, że przecież Lekka Brygada została starta z powierzchni ziemi.

- Tennyson nie miał pojęcia o prawdziwym niebezpieczeństwie! - burknął.

Wysiadł z samochodu i z wahaniem ruszył w stronę ogrodzenia.

\* \* \*

Stone i Reuben zmierzali w stronę ciężarówki.

- Pilnuj, a ja się rozejrzę. - Oliver podbiegł do ciężarówki. Skrzynia była otwarta, wyposażona w drewniane listwy do mocowania ładunku. Zapalił latarkę, żeby odczytać oznaczenia namalowane na butlach. Na wszystkich poza jedną widniały napisy „Halon 1301”. Jedna miała oznaczenie FM-200. Wyjął z kieszeni niewielki pojemnik z terpentyną i szmatę zabraną z magazynu. Zaczął pocierać butlę FM-200.

- Szybciej, szybciej - naglił go Reuben, strzelając oczami we wszystkie strony.

Gdy powłoka farby zaczęła się rozpuszczać, Stone przestał trzeć i zaświecił na zamalowaną etykietę. Potarł jeszcze trochę i wreszcie zobaczył.

- Dwutlenek węgla - przeczytał. - Pięć tysięcy dwieście części na milion.
- O cholera! - syknął Reuben. - W nogi, Oliver.

\* *Szarża Lekkiej Brygady, tłum. Stanisław Barańczak*

Stone wyrzwał z ciężarówki. Zobaczył radiowóz ochrony, z którego właśnie wyskakiwał pies.

Stone zeskoczył ze skrzyni. Kryjąc się za ciężarówką, razem pobiegli do ogrodzenia. Ciężarówka jednak nie mogła ukryć ich zapachu. Usłyszeli szczekanie, a potem tupot psich łap i kroki dwóch ochroniarzy.

Zaczęli się wspinać po siatce. Pies skoczył za nimi i zatopił zęby w nogawce Reubena.

Caleb patrzył bezradnie z kryjówki za bramą. Nie wiedział, co zrobić, ale próbował zebrać się na odwagę, żeby coś przedsięwziąć.

- Stać! - zawołał ktoś. Reuben próbował uwolnić nogę, ale pies mocno zaciskał zęby.

Stone zobaczył strażników z bronią gotową do strzału.

- Złaź, bo inaczej pies urwie ci nogę - warknął ostrzegawczo jeden z nich. - Natychmiast!

Stone i Reuben zeszli powoli z ogrodzenia. Ten sam strażnik odwołał psa. Zwierzę cofnęło się, ale nie schowało zębów.

- To jakieś nieporozumienie - zaczął Stone.

- Jasne, powiesz to glinom - zadrwił drugi strażnik.

- My się tym zajmujemy, chłopcy - zawołał kobiecy głos. Wszyscy spojrzeli w stronę, z której dobiegał. Za bramą obok czarnego sedana stała Annabelle. Towarzyszył jej Milton ubrany w niebieską wiatrówkę i baseballówkę z napisem „FBI”.

- Kim jesteście, do cholery? - zapytał ochromarz.

- Agenci FBI McCallister i Dupree. - Annabelle podniosła legitymację i odchyliła połą kurtki, żeby mogli zobaczyć odznakę i rewolwer w kaburze u pasa. - Otwórzcie bramę i trzymajcie z daleka tego pieska.

- Co, do cholery, robi tutaj FBI? - zapytał nerwowo mężczyzna, biegnąc do bramy.

Annabelle i Milton weszli na teren firmy. Annabelle powiedziała do Milтона:

- Odczytaj im prawa i skuj ich. - Milton wyjął dwie pary kajdanek, podchodząc do Stone'a i Reubena.

- Chwileczkę - zaproponował drugi strażnik. - W przypadku złapania osób niepowołanych na naszym terenie mamy wezwać policję.

Annabelle spojrzała w pulchną twarz młodego człowieka i zmierzyła go wzrokiem od góry do dołu. - Jak długo pracujesz w ochronie, chłopcze?

- Trzydzieści miesięcy. Mam zezwolenie na broń - odparł wyzywająco.

- Nie wątpię. Ale schowaj tego cholernego gnata, zanim przez przypadek kogoś postrzelisz, na przykład mnie. - Gdy niechętnie schował broń, Annabelle znowu uniosła legitymację. - To za każdym razem przebijają gliny, zgadza się? - Wiarygodnie wyglądające dokumenty, które Freddy podrobił na wszelki wypadek, Annabelle trzymała w pudełku po tamponach.

Strażnik nerwowo przełknął ślinę.

- Ale nas obowiązują przepisy. - Wskazał Stone'a i Reubena, których skuwał Milton. Na plecach jego wiatrówki również widniał akronim FBI. Kupili stroje wraz z atrapami broni, odznakami i kajdankami w sklepie z przebraniami. - A oni popełnili wykroczenie, wchodząc bezprawnie na nasz teren.

Annabelle parsknęła śmiechem.

- Wykroczenie! - Wzięła się pod boki. - Czy wiecie, kogo tu mamy? Wiecie?

Strażnicy popatrzyli jeden na drugiego.

- Dwóch starych meneli? - powiedział jeden z nich.

- Słuchaj, ty mały sukinsynu! - ryknął w udawanej furii Reuben i rzucił się na niego.

Milton natychmiast wyciągnął pistolet i przyłożył mu do skroni, krzycząc:

- Stul pysk, tłusty dupku, bo rozwalę ci łeb!

Reuben natychmiast znieruchomiał.

Annabelle powiedziała:

- Ten wielki przyjemniaczek to Randall Weathers poszukiwany pod zarzutem handlu narkotykami, prania brudnych pieniędzy, dwóch morderstw pierwszego stopnia i podłożenia bomby w domu sędziego federalnego w Georgii. Drugi to Paul Mason alias Peter Dawson znany również pod szesnastoma innymi fałszywymi nazwiskami. Drań ma bezpośrednie powiązania z bliskowschodnią komórką terrorystyczną, która działa w cieniu Kapitolu. Założyliśmy podsłuch w jego telefonie i monitorujemy jego pocztę elektroniczną. Dziś wieczorem wpadliśmy na trop, który doprowadził nas tutaj. Wygląda na to, że przeprowadzali rozpoznanie, planując ukraść jakiś niebezpieczny gaz. Przypuszczamy, że tym razem mieli na celowniku Sąd Najwyższy. Chcieli zaparkować ciężarówkę pełną tego gówna z urządzeniem zegarowym i patrzeć, jak wszystkich dziewięciu sędziów leci prosto do piekła. - Z odrazą spojrzęła na Stone'a i Reubena. - Tym razem nie ujdzie wam to na sucho - dodała złowieszczo.

- Cholera, Earl - powiedział podnieconym głosem jeden ze strażników. - Terrorysty! Annabelle wyjęła notes.

- Podajcie mi nazwiska. Biuro będzie chciało wiedzieć, komu udzielić pochwały za pomoc w aresztowaniu. - Uśmiechnęła się. - Myślę, że niedługo dostaniecie porządną podwyżkę.

Strażnicy popatrzyli na siebie z szerokimi uśmiechami.

- Niech mnie licho! - wykrzyknął ten o imieniu Earl. Obaj podali nazwiska, a potem Annabelle zwróciła się do Miltona:

- Zabieraj ich do wozu, Dupree. Im prędzej te gnidy trafią do naszego biura, tym lepiej. - Do strażników powiedziała: - Sprowadzimy gliny, ale dopiero po przesłuchaniu tych chłopców w stylu FBI. - Mrugnęła do nich. - Ale nie słyszeliście tego ode mnie.

Obaj uśmiechnęli się porozumiewawczo.

- Dajcie im popalić - powiedział Earl.

- Jasne. Będziemy w kontakcie.

Zapakowali Stone'a i Reubena na tył sedana i odjechali.

Caleb zaczekał, aż strażnicy znikną z pola widzenia, potem popędził do nowy i pojechał za wozem Annabelle. W sedanie Milton zdjął kajdanki przyjaciółom.

- Milton, wstawiłeś niezłą gadkę - powiedział Reuben z podziwem.

- Kiedy mówisz, że służysz wsparciem, to można ci wierzyć - Stone zwrócił się do Annabelle. - Dzięki.

- Jeśli się powiedziało A, trzeba powiedzieć B - odparła. - Dokąd teraz?

- Do mnie. Musimy pogadać.

## ROZDZIAŁ 38

Roger Seagraves siedział za kierownicą wynajętego wozu, niespiesznie przemierzając spokojne ulice zamoznej dzielnicy Waszyngtonu. Skręcił na Good Fellow Street. O tej porze w większości wielkich domów już nie paliły się światła. Minął siedzibę Jonathana DeHavena, nie okazując, że się jej przygląda. Nadciągała kolejna burza. Był trochę zmęczony zmienną pogodą. Ale nadarzała się naprawdę idealna okazja; nie mógł jej przepuścić. Jechał powoli, jak turysta podziwiający stare rezydencje. Skręcił w przecznicę i ruszył ulicą równoległą do Good Fellow Street, starannie zapamiętując układ architektoniczny.

Ale obserwacja i obmyślenie planu to dwie zupełnie różne sprawy. Potrzebował czasu do namysłu. Jedna rzecz zwróciła jego uwagę: dom naprzeciwko rezydencji Behana. Był tam człowiek z lornetką. Co obserwował? Niezależnie od tego, jak brzmiała odpowiedź, musiał wziąć jego obecność pod uwagę w czasie opracowywania planu. A w sytuacji, gdy ktoś patrzył, był tylko jeden sposób, żeby zabić i uciec.

Po rekonesansie Seagraves zaparkował przy hotelu. Zabrał z wozu aktówkę i wszedł do baru, wypił drinka, a potem pojechał windą na górę, jak gdyby do swojego pokoju. Odczekał godzinę i zszedł po schodach. Wyszedł z budynku innymi drzwiami i wśliznął się do auta czekającego na przyległym parkingu. Poza zaplanowaniem kolejnego morderstwa miał do zrobienia coś jeszcze.

Pojechał do motelu, wyjął z kieszeni specjalny klucz. Wystarczyło parę szybkich kroków, a znalazł się przed pokojem na piętrze od strony parkingu. Wszedł i nie zapalając światła, zbliżył się do drzwi łączących ten pokój z sąsiednim. Otworzył je i przestąpił próg. Wyczuł czyjąś obecność, ale się nie odezwał. Zdjął ubranie i wsunął się do łóżka. Kobieta była miękka, krągła, ciepła i, co najważniejsze dla jego celów, nadzorowała jedną zmianę w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

Godzinę później oboje byli usatysfakcjonowani. Seagraves ubrał się i palił papierosa, a ona brała prysznic. Wiedział, że podjęła podobne środki ostrożności, żeby uniknąć śledzenia, choć NSA zatrudnia tylu pracowników, że śledzenie ich wszystkich jest po prostu niemożliwe. Poza tym kobieta nigdy nie wzbudziła niczyich podejrzeń, dlatego między innymi zwerbował ją do tej operacji. Oboje byli wolni, więc gdyby nawet odkryto ich schadzki, uznano by je za intymne spotkania świadomych swoich czynów dorosłych, którzy przypadkiem są pracownikami federalnymi. Jak dotąd to nie było zakazane w Ameryce.

Prysznic ucichł. Seagraves zapukał do drzwi łazienki. Pomógł kobiecie wyjść z kabiny, uszczypnął ją w gołą pupę i pocałował w usta.

- Kocham cię - szepnęła, muskając wargami jego ucho.
- Chcesz powiedzieć, że kochasz pieniądze.
- To też - wymruczała, opuszczając rękę do jego krocza i przytulając się do niego.
- Raz w ciągu nocy - zaznaczył. - Już nie mam osiemnastu lat.

Chwyciła jego muskularne ramiona.

- Mnie nie nabierzesz, kochanie.

- Następnym razem - powiedział, dając jej porządnego klapsa, po którym został czerwony ślad.

- Bądź brutalem - wydyszała w jego ucho. - Spraw, żeby bolało.
- Nie umiem inaczej.

Pchnęła go pod ścianę, jej wilgotne piersi zmoczyły mu koszulę, gdy złapała go za włosy, próbując wsunąć język do jego gardła.

- Boże, jesteś cholernie seksowny - jęknęła.

- Tak mi mówią.

Próbował się uwolnić, ale nie chciała go puścić.

- Pieniądze zgodnie z planem? - zapytała pomiędzy dźgnięciami językiem.

- Gdy tylko dostanę forszę, ty dostaniesz swój udział, skarbie.

Zamruczała i tym razem go puściła, gdy wymierzył jej kolejnego mocnego klapsa, zostawiając ślad na drugim pośladku.

Tak, głupcze, naprawdę chodzi o pieniądze.

Gdy ubierała się w łazience, Seagraves przeszedł do drugiego pokoju, zapalił światło, wziął jej torebkę z szafki nocnej i z wewnętrznej kieszeni wyjął aparat cyfrowy. Wysunął ze szczeliny dwudziestogigowy twardy dysk i paznokciem zadrapał czarną okleinę z tyłu długiego na cal napędu. Przez parę sekund patrzył na miniaturowy przedmiot. Choć taki maleńki, wart był co najmniej dziesięć milionów dolarów dla kupca z Bliskiego Wschodu, któremu nie podobało się, że Ameryka poznaje jego plany zniszczenia przeciwników.

Informacje zawarte w tej czarnej perle miały zrównoważyć siły, przynajmniej na jakiś czas, dopóki Agencja Bezpieczeństwa Narodowego nie opracuje nowego programu inwigilacji w miejsce tego, który został spalony. Po zmianie Seagraves dostanie następny telefon, a potem sam zadzwoni. Parę dni później pojedzie do innego motelu, znowu przeleci

kobietę, zerwie następną okleinę i dostanie kolejną ośmiocyfrową zapłatę. Ten cykl stanowił podstawę jego utrzymania. Mieli go powtarzać, dopóki NSA się nie połapie, że kret działa gdzieś blisko. Wtedy Seagraves zakończy swoją operację, a raczej zawiesi, bo przecież biurokraci zwykle mają krótką pamięć. W tym czasie będzie szukał kolejnego celu. A było ich wiele.

Gumą do zucia przykleił za jednym z przednich zębów kawałek okleiny, która zawierała zapisane w formie cyfrowej szczegóły programu inwigilacyjnego NSA. Potem przeszedł do pierwszego pokoju, gdzie w szafie wisiały ubrania na zmianę. Wziął prysznic, przebrał się i wyszedł z motelu. Kilka przecznic dalej złapał autobus, pojechał do wypożyczalni, wsiadł do wynajętego wozu i wrócił do domu.

Jedną godzinę spędził na wydobywaniu informacji z maleńkiego urządzenia, a drugą na nadawaniu im formy odpowiedniej do przekazania w kolejne ręce. Będąc szpiegiem, od dawna z entuzjazmem interesował się szyframi i historią kryptologii w ogólności. W dzisiejszych czasach komputery automatycznie kodują i rozkodowują wiadomości. W najlepiej zabezpieczonych systemach stosowane są klucze złożone z tysięcy cyfr - znacznie dłuższe niż zaszyfrowana wiadomość. Złamanie najsilniejszego z tych kluczy wymaga ogromnej mocy obliczeniowej i tysięcy, jeśli nie milionów lat. Współcześni kryptolodzy zakładają, że zaszyfrowane wiadomości zostaną przechwycone i na taką ewentualność opracowują systemy kodujące. Ich credo mogłoby brzmieć następująco: Możesz to przejąć, ale nie zdołasz przeczytać.

Seagraves wolał starszą metodę szyfrowania, która z uwagi na sposób przekazywania wiadomości mogła być jeszcze trudniejsza do złamania niż najnowocześniejsze, komputerowo generowane kolosy. Powód był prosty: jeśli nie przechwycisz wiadomości, nie zdołasz jej przeczytać. Stare sposoby, pomyślał, mają jeszcze coś do powiedzenia w dzisiejszych czasach. Nawet NSA ze swoją technologiczną potęgą mogłaby się czegoś z nich nauczyć. Po skończeniu zadania rzucił się na łóżko. Zamiast spać, rozmyślał o następnym morderstwie. Jego bezcenna „kolekcja” powiększy się o kolejny okaz.

\* \* \*

Po powrocie do domu Stone szybko opowiedział pozostałym, co znaleźli z Reubenem. Kiedy wspominał o zamalowanym napisie na butli, „CO<sub>2</sub>, 5.000 ppm, Milton natychmiast usiadł do laptopa, w którym przechowywał ważne pliki ściągnięte z Internetu. Gdy Stone umilkł, powiedział:

- Dwutlenek węgla jako środek gaśniczy prawie nigdy nie jest używany w zamkniętych pomieszczeniach z uwagi na to, że może spowodować uduszenie, gdyż błyskawicznie obniża zawartość tlenu w powietrzu. W stężeniu pięciu tysięcy części na milion jest zabójczy dla każdego, kto znajduje się w pobliżu. Człowiek pada, nie mając szans na ucieczkę. I śmierć nie jest przyjemna.

Annabelle zakaszlała, wstała i podeszła do okna.

- I przypuszczam, że obniża temperaturę - powiedział Stone szybko, patrząc na nią z troską.

Milton skinął głową i spojrzął na ekran.

- Sprężony pod wysokim ciśnieniem rozpręża się w postaci cząsteczek suchego lodu. Nazywają to „efektem śniegu”, bo szybko pochłania ciepło, chłodzi otoczenie i zapobiega ponownemu rozpaleniu się ognia. W normalnej temperaturze paruje i nie zostawia śladu.

- Zanim znaleziono Caleba i DeHavena, zawartość tlenu pewnie wróciła do normy, a ewentualny chłód uznano za wyjątkowe, choć z jakiegoś względu uzasadnione obniżenie temperatury przez system sterowania - dodał Stone.

- Ale jeśli DeHavena zabił dwutlenek węgla, czy autopsja by tego nie wykazała? - zapytał Reuben.

Gdy rozmawiali, palce Miltona pomykały po klawiaturze.

- Niekoniecznie. Te informacje ściągnąłem wcześniej ze strony sponsorowanej przez krajową organizację lekarzy sądowych. Zatrucie tlenkiem węgla można wykryć pośmiertnie, gdyż skóra ma charakterystyczny wiśniowy odcień, ale dwutlenek węgla nie zostawia równie oczywistych śladów. - Czytając z ekranu, Milton mówił: - Jedyne sposoby wykrycia niedoboru tlenu u człowieka polega na zrobieniu gazometru, badania pozwalającego określić stosunek tlenu do dwutlenku węgla w krwi. Ale przeprowadza się je tylko u żywych, żeby sprawdzić, czy nie trzeba podać tlenu. Nie wykonuje się go pośmiertnie z prostej przyczyny - martwy tlenu nie potrzebuje.

- Jak słyszałem, zgon Jonathana stwierdzono już w skarbcu - dodał Caleb. - Nie zabrano go nawet na ostry dyżur.

- Z oczywistych powodów zainteresowałem się butlą FM-dwieście, tą, którą zabrali z biblioteki - oznajmił Stone.

- Nie rozumiem - powiedział Reuben.

- Biblioteka rezygnuje z halonu. Jeśli przywieźli butlę pełną zabójczego dwutlenku węgla, nie mogli zamaskować jej etykietą halonu, bo dostarczanie halonu z powrotem do biblioteki wzbudziłoby podejrzenia.

- Racja, musieli dostarczyć dwutlenek węgla jako gaz, którym zastępują halon. FM-dwieście - dodał Caleb. - I zabrali go razem z butlami halonu. Gdyby nas tam nie było, nikt by tego nie zauważył.

Stone pokiwał głową.

- Jestem pewien, że butla, którą dziś podłączyli do instalacji, jest pełna halonu. Ta, która zawierała dwutlenek węgla, prawdopodobnie została odłączona od instalacji zaraz po opróżnieniu. Gdyby policjanci przypadkiem postanowili tam zajrzeć, nie znaleźliby niczego niezwykłego. Z pewnością nie sprawdzaliby wszystkich butli. A gdyby nawet, wysłaliby je w tym celu do Fire Control. Wątpię, czy dostaliby odpowiedź zgodną z prawdą, ponieważ ten, kto dokonał zamiany, jest oczywiście zatrudniony przez firmę.

- Morderstwo doskonałe - powiedziała Annabelle ponuro, gdy usiadła. - Pytanie, dlaczego? Dlaczego komuś tak bardzo zależało na śmierci Jonathana?

- To prowadzi nas z powrotem do Corneliusa Behana - stwierdził Stone. - Teraz wiemy, że butla z dwutlenkiem węgla, który zabił DeHavena, została podłożona na miejsce tej z halonem. Wiemy również, że Fire Control jest własnością Behana. Najwyraźniej to on zabił DeHavena. Przyszedł do czytelnicy zobaczyć się z Calebem tego samego dnia, gdy z biblioteki zabrano butle. Jestem pewien, że próbował osądzić, czy ktoś interesował się dyszą. Musi też istnieć jakiś związek pomiędzy Behanem i Bobem Bradleyem.

- Może Bradley i Behan wchodzili w skład szajki szpiegowskiej, jaka być może tu działa - podsunął Reuben. - Bradley przyszedł do domu Behana, a Jonathan zobaczył albo usłyszał coś, czego nie powinien. Albo może natknął się na coś, co wiąże Behana z morderstwem Bradleya. Behan dowiedział się o tym i musiał go zabić, zanim DeHaven komuś powie i naprowadzi dochodzenie na niego.

- To możliwe - przyznał Stone. - Ta sprawa ma wiele wątków, musimy więc się rozdzielić. Caleb, jutro z samego rana wejdiesz do skarbcza i poszukasz za kratką wentylacyjną dowodów, że była tam kamera. Następnie przejrzyś taśmy z kamer ochrony pod kątem osób wchodzących do skarbcza.

- Co takiego? - wykrzyknął Caleb. - A dlaczego?

- Sam powiedziałaś, że ten, kto zabił Jonathana, musiał mieć dostęp do biblioteki i skarbcza. Chcę wiedzieć, kto tam wchodził w ciągu kilku dni przed śmiercią Jonathana i po morderstwie.

- Nie mogę tak po prostu pójść do ochrony i poprosić o pokazanie nagrań. Jaki powód miałbym podać?
  - Pomogę ci coś wymyślić - zaproponowała Annabelle.
  - Wspaniale - szepnął Reuben. - Najpierw Milton, teraz Caleb. Ale *moi*? Niecee.
  - Reubenie - kontynuował Stone - zadzwonisz anonimowo na policję i dasz im cynk o butli z dwutlenkiem węgla. Dzwon z budki, żeby nie mogli cię namierzyć. Nie wiem, czy potraktują zgłoszenie poważnie. Zresztą zanim dotrą do magazynu, pewnie będzie za późno, ale musimy spróbować.
  - Ale czy w ten sposób pewni ludzie nie dowiedzą się, że mamy ich na oku? - zapytał Caleb.
  - Możliwe- przyznał Stone - ale na razie to nasz jedyny dowód, że DeHaven został zamordowany. Gdy powiadomisz policję, Reuben, wieczorem rozpoczniesz obserwację na Good Fellow Street.
  - Nie jest to najlepsze miejsce do szpiegowania ludzi. Gdzie mam się ulokować?
  - Caleb da ci klucz i kod do domu DeHavena. Możesz się wśliznąć od tyłu i nikt cię nie zobaczy. C
  - A ja co mam zrobić? - zapytał Milton.
  - Dowiesz się jak najwięcej o wszelkich powiązaniach świętej pamięci Boba Bradleya z Corneliussem Behanem. Nie wolno przeoczyć żadnego szczegółu.
  - A ty czym się zajmiesz, Oliverze? - zapytała Annabelle
  - Zamierzam pomyśleć.
- Gdy inni wychodzili, Annabelle odciągnęła Caleba na bok.
- Ufasz swojemu kumpłowi, Oliverowi?
- Caleb zbladł.
- Powierzyłbym mu życie. W rzeczywistości już kiedyś to zrobiłem.
  - Przyznam, że chyba wie, co robi.
  - Z całą pewnością - odparł Caleb lojalnie. - Powiedziałaś, że pomożesz mi zdobyć materiał z biura ochrony. Jak?
  - Dowiesz się pierwszy, gdy coś wykombinuję.

## ROZDZIAŁ 39

O dziesiątej piętnaście rano czasu wschodnioamerykańskiego stan New Jersey został nawiedzony przez pierwsze trzęsienie ziemi za ludzkiej pamięci. Epicentrum znajdowało się w Atlantic City na Broadwalk, a dokładnie w kasynie Pompeje. Z początku Jerry Bagger wybuchał powoli. Punktualnie o dziesiątej, kiedy nie wróciło jego czterdzieści osiem milionów, pojawiły się zapowiedzi erupcji: gazy i wzrost temperatury. Pół godziny później, kiedy nadal nie było wiadomo, gdzie są pieniądze, zaczęli się od niego odsuwać nawet ochroniarze. Pięć minut później człowiek odpowiedzialny za finanse skontaktował się z El Banco, a następnie zameldował, iż król kasyna nie tylko, że nie dostanie ośmiu milionów odsetek, ale też czterdziestu milionów, ponieważ bank nigdy ich nie otrzymał.

Pierwszą rzeczą jaką zrobił Bagger, była próba zabicia posłańca. Nie panując nad wściekłością pobiłby go na śmierć, gdyby nie został powstrzymany przez ochroniarzy, którzy przekonywali, że morderstwa nie da się zatuszować. Bagger chwycił telefon i zadzwonił do El Banco. Zagroził, że wsiądzie do samolotu, polecą na Karaiby i kolejno powyrywa im serca. Prezes banku rzucił mu otwarte wyzwanie, bezpieczny w przekonaniu, że jego instytucji strzeże cała armia, łącznie z czołgami i artylerią.

Bagger dostał sprawozdanie, z którego wynikało, że pierwsze trzy przekazy pieniężne zostały odebrane przez bank. Zdeponowana suma została powiększona o dziesięć procent z



innego konta, a po dwóch dniach odesłana wraz z odsetkami. Ta sytuacja powtórzyła się trzy razy. Czwarty przelew nigdy do banku nie dotarł. Kiedy dokładniej sprawdzono elektroniczne potwierdzenie przelewu, które odebrał wydział operacji bankowych Baggera, okazało się, że widnieje na nim niekompletny kod autoryzacji banku, choć znalezienie subtelnej rozbieżności wymagało bardzo wnikliwej kontroli.

Po wysłuchaniu tych wieści Bagger zaatakował nieszczęsnego szefa wydziału operacji jego własnym krzesłem biurowym. Dwie godziny później po dokładnych oględzinach okazało się, że w systemie komputerowym Pompejów zostało umieszczone supernowoczesne oprogramowanie szpiegowskie umożliwiające kontrolowanie przelewów z kasyna do osób trzecich. Po tej rewelacji Bagger zażądał „czystego” pistoletu i polecił szefowi działu informatycznego stawić się w gabinecie. Nieszczęśnik okazał się dość mądry, żeby wziąć nogi za pas, ale ludzie Baggera dopadli go w Trenton. Po przesłuchaniu, z jakiego dumna byłaby CIA, stało się jasne, że nie brał udziału w oszustwie, lecz został oszukany. Jediną rzeczą, jaką zarobił, była kulka w mózg wystrzelona własnoręcznie przez króla kasyna. Późną nocą ciało trafiło na wysypisko odpadów. Trzęsienie ziemi, choć już wyzwoliło morderczą energię, trwało nadal.

- Zabiję tę sukę, słyszycie! - Bagger stał przy oknie w gabinecie, wrzeszcząc do ludzi daleko w dole na ulicach Broadwalk. Popędził do biurka i wyjął jej wizytówkę. Pamela Young, International Management. Podarł wizytówki i dzikim wzrokiem popatrzył na szefa ochrony. - Chcę kogoś zabić. Muszę kogoś zabić, w tej chwili, cholera jasna!

- Szefie, proszę, my się tym zajmiemy. Facet od finansów jest w szpitalu razem z tym od przelewów. Osobiście załatwił pan informatyka. To dużo jak na jeden dzień. Prawnik mówi, że trudno będzie utrzymać policję z daleka.

- Muszę ją znaleźć - warknął Bagger, znów wyglądając przez okno. - Znajdę ją. I zabiję. Powoli.

- Bóg cię wysłucha, szefie - powiedział ochroniarz krzepiąco.

- Moje czterdzieści milionów dolarów. Czterdzieści milionów! - wrzeszczał Bagger jak obłąkany.

Krzepki szef ochrony cofnął się do drzwi.

- Dopadniemy ją szefie, przysięgam. Wreszcie Bagger nieco ochłonął.

- Chcę mieć wszystko, co zdołasz wykopać o tej dziwce i tym kutasie. Wyciągnij wszystkie nagrania z kamer, przejrzyj je i zidentyfikuj oboje. Ona nie jest pierwszą lepszą oszustką. I niech paru gliniarzy, których mamy na liście płac, pójdzie do jej pokoju i zdejmie odciski palców. Zadzwoń do wszystkich moich kontaktów.

- Załatwione. - Szef odwrócił się do wyjścia.

- Czeka! - warknął Bagger. Mężczyzna odwrócił się z wahaniem. - Nikt nie może wiedzieć, że zostałem wykantowany, rozumiesz? Jerry Bagger nie może być niczym celem. Czy to jasne?

- Jak słońce, szefie. Jak słońce.

- Do roboty!

Mężczyzna czmychnął z pokoju.

Bagger usiadł za biurkiem i spojrzał na rozrzucone po dywanie strzępki wizytówki Annabelle. Ona będzie wyglądała tak samo, pomyślał, kiedy z nią skończy.

## ROZDZIAŁ 40

- Wyglądasz dziś niezwykle radośnie, Albercie - zauważył Seagraves. Siedzieli w biurze Trenta na Kapitolu, sącząc kawę ze styropianowych kubków.

- Wczoraj nastąpił gwałtowny wzrost na giełdzie, akcje mojego planu emerytalnego prezentują się całkiem nieźle.

Seagraves przesunął po stole plik papierów.

- Świetnie. To najnowsze materiały z CIA. Macie tydzień na przetrwanie raportu, a potem omówimy go na formalnym spotkaniu z dwoma pracownikami wyższego szczebla.

Trent zabrał kartki i skinął głową.

- Sprawdź harmonogram członków komisji i zaproponuję ci parę terminów. Jakies niespodzianki? - zapytał, postukując w plik papierów.

- Sam przeczytaj.

- Nie ma obawy, zawsze tak robię.

Seagraves wiedział, że Trent zabierze papiery do domu i niedługo później będzie miał wszystko, czego potrzebuje, żeby wyprawić wykradzione tajemnice NSA w następny etap podróży.

Zbiegł po stopniach Kapitolu. Pomyśleć, że szpiegdy po prostu podrzucali materiały w parku i odbierali zapłatę w skrzynce kontaktowej albo w skrytce pocztowej. W obu tych miejscach zwykle dochodziło do aresztowania. Seagraves pokręcił głową. Nie skończę na ścianie w CIA wśród podobizn Aldricha Amesa i innych aresztowanych dupków, którzy bawili się w szpiegów, obiecał sobie. Jako zabójca na usługach rządu zdręczał się nawet najdrobniejszymi szczegółami. Jako szpieg nie widział powodu, żeby zmieniać sposób działania.

W tej chwili pewien szczegół nie dawał mu spokoju. Dostał telefon od swojej wtyczki w Fire Control i usłyszał parę niemiłych informacji. Zeszłej nocy na terenie firmy złapano dwóch facetów, ale wynajęci gliniarze przekazali ich FBI. Seagraves sprawdził to u paru znajomych w biurze. Według nich takie aresztowanie nie miało miejsca. Kret z Fire Control powiedział mu również, że ochrona zauważyła trzeciego faceta uciekającego z terenu firmy. Wsiadł do starego rżęcha, novy. Seagraves kojarzył opis samochodu i kierowcy, choć nigdy go nie spotkał. Zdecydował, że nadeszła odpowiednia chwila, aby nadrobić braki w wiedzy na ten temat. W jego świecie mozolnie gromadzonych szczegółów nigdy nie było wiadomo, co i kiedy może się przydać.

\* \* \*

Caleb zjawił się w pracy wcześniej i zastał Kevina Philipsa, p.o. dyrektora, w trakcie otwierania drzwi do czytelnicy. Porozmawiali chwilę o Jonathanie i projektach realizowanych w bibliotece. Caleb zapytał szefa, czy wie o wymianie środka gaśniczego. Philips zaprzeczył.

- Nie jestem nawet pewien, czy poinformowali o tym Jonathana. Wątpię, czy w ogóle wiedział, jaki gaz jest używany.

- Święta racja - szepnął Caleb.

Po wyjściu Philipsa, zanim zjawili się inni pracownicy, Caleb znalazł w biurku mały śrubokręt i latarkę. Stojąc plecami do kamery, wsunął jedno i drugie do kieszeni, a potem udał się do skarbca. Szybko wszedł na najwyższe piętro i zatrzymał się przy otworze wentylacyjnym, odwracając spojrzenie od miejsca w którym zmarł jego przyjaciel. Odkręcił śrubokrętem osłonę zauważając z satysfakcją, że śruby wychodzą łatwo, jakby ktoś niedawno robił to samo. Odłożył kratę na półkę i zaświecił w głąb otworu. Z początku nie zobaczył niczego niezwykłego, ale kiedy trzeci raz omiół wewnątrz światłem w tylnej ścianie przewodu, dostrzegł małą dziurkę. Tutaj mógł tkwić wkret użyty do zawieszenia kamery. Zakrył wylot

osłoną i popatrzył uważnie. Sądząc z pozycji otworka i wykrzywionej kratki, kamera miała czyste pole widzenia na pokój.

Caleb zamocował kratkę i opuścił skarbiec. Zadzwoił do Stone'a i zameldował, co znalazł. Zabierał się do pracy, gdy ktoś wszedł do czytelnicy.

- Cześć, Monty. Co tam masz?

Monty Chambers, naczelny konserwator książek w bibliotece, stanął przy biurku z paroma tomami. Był ubrany w zielony roboczy fartuch i miał podwinięte rękawy koszuli.

- *Docirina* i *Constable's Pocket-Book* - odparł zwięźle.

- Napracowałeś się. Nawet nie wiedziałem, że *Doctrina* poszła do konserwacji. - Pisma *Doctrina breve* Juana de Zumarragi, pierwszego biskupa Meksyku, ukazały się w roku 1554 i były najstarszą kompletną książką na półkuli zachodniej, jaka przetrwała stulecia. *Constable* pochodził z roku 1710.

- Kevin Philips złożył zamówienie - wyjaśnił Chambers. - Trzy miesiące temu. Na *Constable'a* też. Drobiazg, lecz miałem zaległości. Ty do skarbcza czy ja?

- Co? Aha, ja je wezmę. Dzięki. - Caleb ostrożnie wziął od kolegi zapakowane książki i położył na biurku. Starał się nie myśleć o tym, że przez chwilę będzie miał w rękach małą historyczną fortunę.

Niebawem zajmę się twoim Faulknerem - mruknął Chambers. - Może mi to zabrać trochę czasu. Zniszczenia wodne są trudne.

- Dzięki, z pewnością sobie poradzisz. - Gdy Chambers odwrócił się do wyjścia, Caleb powiedział: - Monty, posłuchaj.

Chambers popatrzył na niego z lekkim zniecierpliwieniem.

- Tak?

- Sprawdzałeś ostatnio nasz egzemplarz *Bay*? - W czasie pobytu w skarbcu Calebowi nasunęła się pewna straszna myśl. Gdy wziął od Chambersa cenne książki, koszmarne teoria skrytykowała się w formie niezgrabnego pytania.

Chambers zrobił podejrzliwą minę.

- *Bay*? Po co? Coś złego?

- Nie, nie. Chodzi mi tylko o to, że sam od dawna nie widziałem psalterza. Od lat, prawdę mówiąc.

- Ja też nie. Nikt nie wchodzi tak po prostu do działu skarbów narodowych, żeby obejrzeć *Bay*.

Caleb pokiwał głową. Miał prawo obejrzeć dosłownie każdą książkę w skarbcach, ale *Bay* i kilka innych dzieł zaliczało się do „skarbów narodowych”, najważniejszej kategorii w Bibliotece Kongresu. Dzieła te były ponumerowane i przechowywane w specjalnej części skarbców. Na wypadek wojny albo katastrofy naturalnej miały zostać błyskawicznie przeniesione w bezpieczne miejsce. Caleb żywił nadzieję, że po takim czy innym kataklizmie zostaną jacyś ludzie, aby się nimi cieszyć.

Chambers kontynuował z nietypową dla siebie gadatliwością:

- Mówiłem im dawno temu, że powinniśmy naprawić okładkę, zszyć na nowo i wzmocnić grzbiet, wszystko oczywiście odwracalnie, ale nie chcieli mnie słuchać. Nie mam pojęcia, dlaczego. Ale jeśli czegoś nie zrobią *Bay* długo nie wytrzyma. Może ty im to powiesz?

- Dobrze. Dzięki, Monty. - Po wyjściu Chambersa Caleb zastanawiał się, co zrobić. A jeśli egzemplarz *Bay* zaginął? Boże, to niemożliwe. Ostami raz widział książkę co najmniej trzy lata temu. Zdecydowanie przypominała tę, którą znalazł w kolekcji Jonathana. Sześć z jedenastu istniejących psalterzy było niekompletnych i mniej lub bardziej zniszczonych. Wydanie Jonathana zachowało się w całości, choć w opłakanym stanie, podobnie jak to w bibliotece. Jedyne sposoby na uzyskanie pewności, czy przypadkiem nie jest to ten sam egzemplarz, polegał na obejrzeniu psalterza bibliotecznego. Kevin Philips prawdopodobnie

pozwole mu to zrobić. Caleb zdecydował, że wymyśli jakiś pretekst, może opierając się na tym, co powiedział Monty. Tak, to na pewno się uda.

Wpisał do systemu książki, które przyniósł Chambers, i odniósł je do skarbca. Potem zadzwonił do Philipsa. Philips, choć sprawiał wrażenie lekko zdziwionego, upoważnił go do sprawdzenia *Bay*. Ze względów bezpieczeństwa i aby wykluczyć oskarżenie o zniszczenie psalterza, Caleb zabrał z sobą współpracownika. Po obejrzeniu książki mógł powiedzieć, że Chambers miał rację, psalterz wymagał konserwacji. Jednak nie miał pojęcia, czy jest to ten sam egzemplarz, który widział trzy lata temu. Wyglądał podobnie. Z drugiej strony przypominał ten z kolekcji Jonathana. Caleb pomyślał, że jeśli Jonathan jakimś sposobem wyniósł *Bay* z biblioteki, to trzy lata temu mógł przecież oglądać podłożony falsyfikat.

Zaraz, zaraz. To głupie. Wszystkie białe kruki były zaopatrzone w tajny kod umieszczony dokładnie na tej samej stronie i potwierdzający, że dana pozycja jest własnością Biblioteki Kongresu. Caleb znalazł tę stronę i przyjrzał się uważnie. Symbol znajdował się na swoim miejscu. Odetchnął z ulgą, ale zaraz potem znowu się zasępił. Przecież znak też mógł zostać podrobiony, a Jonathan nie miałby z tym najmniejszego problemu. I czy psalterz z jego kolekcji też miał taki symbol? Trzeba sprawdzić. Jeśli tak, to będzie dowodem, że Jonathan wykradł psalterz z biblioteki. Co wtedy? Caleb przeklął dzień, w którym został mianowany wykonawcą testamentu. Myślałem, że mnie lubiłeś, Jonathanie.

Przez resztę popołudnia realizował zamówienia kilku uczonych, odpowiadał na pytania poważnego kolekcjonera, odbierał telefony z uniwersytetów w Anglii i Szwajcarii, a także pomagał czytelnikom.

Tego dnia Jewell English i Norman Janklow razem przebywali w czytelnicy. Choć byli w zbliżonym wieku i łączyła ich kolekcjonerska pasja, nigdy ze sobą nie rozmawiali, a wręcz się unikali. Caleb wiedział, od czego zaczęła się ta zimna wojna, był to jeden z najbardziej bolesnych momentów w jego życiu zawodowym. Pewnego dnia English wyraziła zachwyty nad *Beadles Dime Novels*. Odpowiedź Jankłowa była, delikatnie mówiąc, trochę niespodziewana. Caleb dokładnie pamiętał jego słowa. „*Beadles* to idiotyczny chłam, papierki po cukierkach dla bezmyślnej ciemnej masy, i na dodatek wyjątkowo liche papierki”.

Co zrozumiałe, Jewell English nie przyjęła życzliwie tej miażdżącej krytyki swojej życiowej pasji. I nie miała zamiaru puścić obelgi płazem. Wiedząc, kto jest ulubionym autorem Jankłowa, nazwała Hemingwaya co najwyżej drugorzędym pisarzyną, który posługiwał się uproszczonym językiem, ponieważ innego nie znał. A to, że dostał Nobla za swoje wypociny, w jej oczach jeszcze bardziej zdeprecjonowało tę nagrodę. Jakby tego było mało, dodała, że Hemingway niegodzien jest lizać lakierków F. Scotta Fitzgeralda i - Caleb skrzywił się na to wspomnienie - dała do zrozumienia, iż męski myśliwy i rybak Ernest wołał mężczyzn niż panie, przy czym im byli młodszy, tym lepiej.

Janklow tak poczerwieniał, że Caleb był pewny, iż staruszek dostanie zawału. Po raz pierwszy i jak dotąd jedyny musiał rozdzielać zaciętrzewionych czytelników, i to będących grubo po siedemdziesiątce. Mało brakowało, a naprawdę doszłoby do wymiany ciosów. Zabrał z ich stołów cenne książki, żeby nie użyli ich jako broni. Przypomniawszy im o właściwym zachowaniu w bibliotece i nawet zagroził odebraniem przywilejów, jeśli nie zakończą tego cyrku. Janklow miał taką minę, jakby chciał się na niego zamachnąć, ale nie ustąpił mu pola. Z łatwością pokonałby zasuszonego staruszka.

Caleb podniósł głowę, żeby sprawdzić, czy znów nie dojdzie do sprzeczki. Janklow z zadowoleniem przewracał kartki. Jego wielki ołówek leniwie sunął po papierze, zatrzymując się tylko czasami, gdy staruszek przecierał grube szkła okularów. Jewell English siedziała z nosem w książce. Podniosła głowę, zobaczyła, że Caleb na nią patrzy, zamknęła książkę i skinęła na niego.

Gdy usiadł obok niej, szepnęła.

- Pamiętasz *Beadle 'a*, o którym ci mówiłam?

- Tak, z numerem jeden?
- Mam go. Mam. - Bezgłośnie klasnęła w ręce.
- Gratuluję, to cudownie. Jest w dobrym stanie?
- Och, tak, inaczej bym cię nie wołała. To ty jesteś ekspertem.
- Hm - mruknął Caleb skromnie.

Z zaskakującą siłą złapała go sękatą ręką.

- Chciałbyś kiedyś przyjść do mnie, żeby go obejrzyć?

Spróbował delikatnie uwolnić się ze szponiastych palców ale nie dał rady.

- Uch... muszę zajrzeć do terminarza. Coś ci powiem, kiedy przyjdiesz następnym razem, podaj mi parę dat, a ja sprawdzę, czy znajdę czas.

- Och, Calebie, ja zawsze mam czas - powiedziała kokieteryjnie i zatrzepotała sztucznymi rzęsami.

- Czy to nie miłe? - Znów próbował wyrwać rękę, ale starsza pani trzymała mocno.

- Wybierzmy datę teraz - zaproponowała słodko.

Zrozpaczony Caleb popatrzył na Janklowa, który łypał na nich podejrzliwie. Norman i Jewell zwykle walczyli o jego względy niczym wilki o ochłap mięsa. Wiedział, że musi spędzić parę minut z Janklowem, żeby przywrócić równowagę, inaczej staruszek tygodniami będzie narzekał. Gdy patrzył na starszego pana, nagle coś wpadło mu do głowy.

- Jewell, założę się, że jeśli poprosisz, Norman z przyjemnością obejrzy twoją nową książkę. Jestem pewien, że strasznie żałuje tamtego wybuchu.

Natychmiast go puściła.

- Nie rozmawiam z troglodytami - wycodziła cierpko. Otworzyła torebkę, żeby mógł sprawdzić zawartość, i sztywnym krokiem wyszła z czytelnicy.

Caleb z uśmiechem potarł rękę i posiedział trochę z Janklowem, w duchu dziękując mu za mimowolne wybawienie z opresji. Potem wrócił do pracy.

A jednak jego myśli wciąż skakały od tajemniczego egzemplarza *Bay* do martwego Jonathana DeHavena do równie martwego przewodniczącego Izby Reprezentantów, Boba radley'a i do żywego Corneliusa Behana, bogatego, wiarołomnego dostawcy sprzętu i usług dla wojska, który najwyraźniej zamordował swojego sąsiada.

I pomyśleć, że został bibliotekarzem po części dlatego, iż nienawidził życia w stresie. Może powinien złożyć podanie o pracę w CIA, choćby po to, żeby trochę odetchnąć.

## ROZDZIAŁ 41

Annabelle zamówiła kolację do pokoju, wzięła prysznic, owinęła się ręcznikiem i zaczęła czesać włosy. Rozmyślała, siedząc przed lustrem. Nadszedł czwarty dzień i Jeny Bagger już wiedział, że jest uboższy o czterdzieści milionów dolarów. Od tego człowieka powinno ją dzielić co najmniej dziesięć tysięcy kilometrów, a przebywała w odległości krótkiego lotu samolotem na południe. Dotychczas zawsze realizowała plan ucieczki, ale z drugiej strony nikt wcześniej nie zamordował jej byłego męża.

Intrygował ją przede wszystkim Oliver Stone i Milton, ale Caleb też był nieco „szczególny”, a Reuben bardziej niż trochę zabawny z tym swoim szczenięcym zadurzeniem. Musiała przyznać, że lubi przebywać w towarzystwie tych oryginałów. Mimo iż miała charakter samotnika, zawsze wchodziła w skład zespołu i poniekąd wciąż tego potrzebowała. Zaszczepione w dzieciństwie przez rodziców zamiłowanie do pracy zespołowej rozciągnęło się na jej dorosłe życie, gdy zaczęła kierować własnymi ekipami. Oliver i jego przyjaciele zaspokajali tę jej życiową potrzebę, aczkolwiek w inny sposób. Ale mimo wszystko nie powinno jej tu być.

Skończyła czesać włosy, zsunęła ręcznik i włożyła długą bawełnianą koszulkę. Podeszła do okna i spojrzała na leżącą dziesięć pięter niżej ruchliwą ulicę. Patrząc na mknące pojazdy i spieszących się przechodniów, przemyślała wszystko, co dotąd zrobiła. Udawała wydawcę czasopisma, pomogła Oliverowi włamać się do Biblioteki Kongresu i popełniła przestępstwo, podając się za agentkę FBI. Teraz miała wymyślić, w jaki sposób Caleb mógłby obejrzeć taśmy ochrony, aby się dowiedzieć, co spotkało Jonathana. Jeśli Oliver miał rację, pewni ludzie mogą być jeszcze bardziej niebezpieczni niż rozjuszony Jerry Bagger.

Odwróciła się od okna, usiadła na łóżku i zaczęła nacierać emulsją długie nogi.

- To szaleństwo, Annabelle - powiedziała do siebie. - Bagger poruszy niebo i ziemię, żeby cię zabić, a ty jeszcze nie wyjechałaś z tego cholernego kraju. - Ale przecież obiecała, że im pomoże. - Czy mam zostać i liczyć na to, że radar Jerry'ego nie sięgnie do Waszyngtonu? - zapytała na głos. Ktoś zabił Jonathana. A ona pragnęła zemsty choćby dlatego, że była wściekła, iż ktoś powziął decyzję i zakończył jego życie na długo przed tym, niż było mu pisane.

Nagle coś wpadło jej do głowy. Spojrzała na zegarek. Postanowiła zadzwonić. Nie miała pojęcia w jakiej strefie czasowej przebywa, ale musiała o coś zapytać. Podeszła do biurka i podniosła komórkę. Wcisnęła kilka klawiszy i czekała niecierpliwie, słuchając sygnału. Podała mu swój numer, żeby mogli kontaktować się przez jakiś czas po przekręceniu. Umówili się, że jeśli któryś z nich usłyszy coś o Jerrym, bezzwłocznie zadzwoni. Wreszcie Leo się zgłosił.

- Cześć.

- Cześć. Już myślałam, że nie odbierzesz.

- Byłem w basenie.

- W basenie, jak miło. Gdzie?

- W głębokim końcu.

- Nie, w jakiej części świata?

- Nie mogę powiedzieć. A jeśli przy tobie stoi Bagger?

- Rozumiem. Miałaś jakieś wieści od innych?

- Ani słowa.

- Co u Baggera?

- Nie wiem, usunąłem starego Jerry'ego ze swojego spisu telefonów - odparł cierpko.

- Pytam, czy słyszałaś coś o skutkach.

- Tylko parę plotek. Nie chciałem przebywać zbyt blisko, rozumiesz. Facet jest niebezpieczny dla otoczenia.

- Wiesz, że będzie nas szukać póki tchu w piersi.

- W takim razie módlmy się o rozległy zawal. Nie chcę, żeby cierpiał. - Po chwili wahania Leo podjął: - Jest coś, Annabelle, co powinien powiedzieć ci wcześniej. Tylko się nie wkurzaj.

Wyprostowała się na krześle.

- Co takiego?

- W rozmowie z Freddy'ym wysnęło mi się parę słów o tobie.

Wstała.

- Ile?

- Nazwisko, twoje pokrewieństwo z Paddy'ym.

- Odbiło ci? - wrzasnęła do telefonu.

- Wiem, wiem, to było głupie. Wyrwało mi się. Chciałem tylko, aby wiedział, że nie lubiłaś swojego starego. Ale Tony'emu nie powiedziałem. Aż taki głupi nie jestem.

- Dzięki, Leo, wielkie dzięki.

Rozłączyła się i stanęła pośrodku pokoju. Freddy zna jej nazwisko i wie, że jest córką Paddy'ego Conroya, śmiertelnego wroga Baggera. Jeśli Jerry go dorwie, zmusi go do

mówienia. A potem przyjdzie po nią. Mogła bez trudu przepowiedzieć swój los. Jerry wpakuje ją do rębarki, kawałek po kawałku. Annabelle zaczęła pakować torbę. Wybacz, Jonathanie.

\* \* \*

Kiedy Caleb podjechał wieczorem pod swój blok, ktoś czekał na niego na parkingu. - Panie Pearl, co pan tu robi?

Tym razem Vincent Pearl nie przypominał profesora Dumbledore'a głównie dlatego, że nie miał na sobie długiego lawendowego szlafroka. Nosił dwuczęściowy garnitur, koszulę rozpiętą pod szyją i lśniące buty, a jego długie gęste włosy i broda były starannie uczesane. W garniturze wydawał się szczuplejszy. Puszysty Caleb zanotował sobie w pamięci, żeby nigdy nie chodzić w szlafroku. Pearl w okularach zsuniętych do połowy nosa patrzył na niego tak protekcjonalnie, że trochę się zdenerwował.

- O co chodzi? - zapytał w końcu.

- Nie odpowiada pan na moje telefony - odparł Pearl głębokim, urażonym tonem. - Uznałem, że gdy zjawię się osobiście, przyspieszy to bieg sprawy.

- Racja, rozumiem.

- Chciałbym z panem porozmawiać. - Rozejrzył się. - Parking wydaje się miejscem niezbyt odpowiednim do rozmowy o jednej z najważniejszych ksiąg świata.

Caleb westchnął.

- Dobrze, zapraszam na górę.

Pojechali windą, a potem usiedli naprzeciwko siebie w małym salonie.

- Obawiałem się, że postanowił pan pójść z *Bay* prosto do Sotheby's albo Christie's.

- Nie, nic podobnego. Po pańskiej wizycie nawet nie byłem w domu Jonathana. Nie dzwoniłem, bo wciąż się namyślałem.

Pearl odetchnął z ulgą.

- Wypadłoby przynajmniej przeprowadzić rozstrzygające badania psalterza. Znam kilka firm o nieposzlakowanej reputacji, które mogą się tym zająć. A jak rozumiem, nie ma potrzeby czekać.

- Hm... - mruknął Caleb z wahaniem.

- Im dłużej będzie pan zwlekał, tym większa możliwość, że społeczeństwo dowie się o istnieniu dwunastego egzemplarza *Bay*.

- Co pan przez to rozumie? - zapytał Caleb ostro, pochylając się w stronę gościa.

- Nie jestem pewny, Shaw, czy w pełni zdaje pan sobie sprawę z rangi tego odkrycia.

- Przeciwnie, doskonale rozumiem, jak jest ważne.

- Chodzi mi o to, że może dojść do przecieków.

- Jak? Ja nikomu nie powiedziałem.

- A pańscy przyjaciele?

- Są absolutnie godni zaufania.

- Rozumiem. Cóż, proszę mi wybaczyć, że nie podzielał pańskiego przekonania. Ale jeśli nastąpi przeciek, być może zaczną padać oskarżenia. Reputacja Jonathana może bardzo ucierpieć.

- Jakie oskarżenia?

- Na litość boską, człowieku! - wykrzyknął zniecierpliwiony. - Powiem wprost: oskarżenia o kradzież książki.

Caleb wrócił myślą do swojej teorii, że psalterz w bibliotece jest falsyfikatem. A jednak z żarliwością, na jaką było go stać, wybuchnął:

- Kradzież? Kto dałby temu wiarę?

Pearl wziął głęboki oddech.

- Na świecie istnieje jedenaście znanych psalterzy *Bay*. W czasie długiej, uświęconej historii kolekcjonerstwa nikt nie taił faktu posiadania jednego z tych skarbów. Do teraz.

- Myśli pan, że Jonathan nie pochwalił się nim światu, bo go ukraść? To niedorzeczne. Był z niego taki złodziej jak z pana czy ze mnie. - Proszę, proszę, niech to będzie prawdą, błagał w duchu.

- Ale mógł nabyć go od złodzieja, może nieświadomie, a może świadomie. Być może żywił pewne podejrzenia, co tłumaczyłoby, dlaczego trzymał książkę w tajemnicy.

- A niby skąd miałyby zostać skradziona? Powiedział pan, że skontaktował się ze wszystkimi właścicielami psalterzy. Odpowiedzieli, że mają swoje egzemplarze.

- Do licha, a co spodziewały się pan usłyszeć? - warknął Pearl. - Myśli pan, że ktoś by się przyznał, gdyby jego psalterz został skradziony? Zresztą ofiara nawet nie musiałaby być świadoma kradzieży. A jeśli w miejsce oryginału złodziej podłożył idealny falsyfikat? Właściciel nie sprawdza codziennie, czy jego egzemplarz jest autentyczny. Czy znalazł pan jakieś dokumenty związane z *Bay*? Dowód sprzedaży? Coś, co wskazywałoby na pochodzenie psalterza?

- Nie - przyznał Caleb ze ściśniętym sercem. - Ale nie przeglądałem osobistych papierów Jonathana. Moja praca ogranicza się do księgozbioru.

- Nie, pańska praca rozciąga się na wszystkie dokumenty dotyczące książek. Naprawdę wierzy pan, że Christie's albo Sotheby's wystawią *Bay* na aukcję bez absolutnej pewności, iż psalterz jest autentycznym nabytym zgodnie z prawem?

- Oczywiście jestem świadom, że będą musieli to wiedzieć.

- Cóż, Shaw, na pana miejscu natychmiast zabrałbym się do szukania dowodów. Jeśli nie pan nie znajdzie, stanie się jasne, że Jonathan wszedł w posiadanie psalterza w sposób niemożliwy do zweryfikowania. W świecie białych kruków to równoznaczne ze stwierdzeniem, że go ukraść albo świadomie kupił od złodzieja.

- Zapytam prawników, czy mogę przejrzeć jego papiery. A może sami to zrobią jeśli im powiem, czego szukać.

- Jeśli postąpi pan w ten sposób, będą chcieli znać przyczynę. A kiedy im pan powie, sytuacja wymknie się spod pańskiej kontroli.

- Sam mam szukać?

- Tak! Jest pan wykonawcą testamentu, niech więc pan robi to, co do niego należy.

- Nie podoba mi się stawianie sprawy w ten sposób - powiedział Caleb ze złością.

- Dostanie pan procent od sprzedaży na aukcji?

- Nie muszę odpowiadać.

- Uznam to za potwierdzenie. Jeśli spróbuje pan wystawić *Bay* na aukcji bez żelaznego dowodu, że DeHaven zdobył go uczciwie, a później się okaże, że było inaczej, ucierpi nie tylko jego reputacja, prawda? Kiedy w grę wchodzi wielkie pieniądze, ludzie zawsze zakładają najgorsze.

Caleb w milczeniu przetrwał jego słowa. Uznał je uwłaczające. Lecz Pearl miał rację. Przykro było myśleć że ucierpi dobre imię zmarłego przyjaciela, ale też zdecydowanie nie chciał zaszkodzić swojej reputacji.

- Przypuszczam, że mógłbym przejrzeć rzeczy w domu Jonathana. - Wiedział, że Oliver, Reuben i Milton już przeszukali dom, ale nie z zamiarem znalezienia dokumentów własności księgozbioru.

- Pójdzie pan tam dzisiaj?

- Już późno. - Poza tym dał klucz Reubenowi.

- W takim razie jutro?

- Tak, jutro.

- Doskonale. Proszę dać mi znać, co pan znalazł. Albo czego nie znalazł.



Po wyjściu Pearla Caleb nalał sobie kieliszek sherry. Popijał wino, zagryzając je tłustymi chipsami, jedną z ulubionych przekąsek. Był zbyt zestresowany, żeby przestrzegać jakiegokolwiek diety. Przebiegł wzrokiem po swoim niewielkim księgozborze, który trzymał na półkach w pokoju.

Kto by pomyślał, że zbieranie książek może być tak cholernie skomplikowane?

## ROZDZIAŁ 42

Nazajutrz wczesnym rankiem Reuben zameldował Stone'owi, że noc w domu DeHavena minęła spokojnie; była to powtórka raportu, jaki zdał poprzedniego dnia.

- Nic się nie wydarzyło? - zapytał Stone sceptycznie.

- Żadnych akcji w sypialni, jeśli to sugerujesz. Widziałem, jak Behan wrócił z żoną około północy. Najwyraźniej nie korzystają z tego pokoju, bo światło się nie zapaliło. Może jest zarezerwowany dla striptizerek.

- Widziałeś coś innego? Białą furgonetkę na przykład?

- Nie, i myślę, że udało mi się wejść i wyjść niepostrzeżenie. Za domem rośnie wysoki na trzy metry żywopłot. Panel alarmu znajduje się tuż za tylnymi drzwiami, więc to było dość łatwe.

- Jesteś pewien, że nie zauważyłeś niczego, co mogłoby nam pomóc?

Reuben miał niepewną minę.

- To może nie mieć żadnego znaczenia, ale zdaje mi się, że około pierwszej zobaczyłem błysk w oknie domu po drugiej stronie ulicy.

- Może właściciele byli na nogach?

- W tym rzecz. Dom wygląda na niezamieszkały. Nie widać samochodu ani pojemników na śmieci. A dzisiaj jest dzień wywózki, bo wczoraj mieszkańcy innych domów wystawili kosze na chodnik.

Stone spojrzał na niego z zaciekawionym wyrazem twarzy.

- To interesujące. Czy to mógł być błysk soczewek?

- Nie lunety z pistoletu. Prędzej lornetki.

- Miej oko na ten dom. Co z telefonem na policję?

- Zadzwoń z automatu, jak kazałeś. Odebrała kobieta. Powiedziałem jej, co trzeba, po czym usłyszałem, żebym przestał wydzwaniać na policję dla kawału.

- W porządku, zadzwoń do mnie z następnym raportem jutro rano.

- Dobrze, ale kiedy mam spać? Zaraz idę do roboty, a przez całą noc nie zmrużyłem oka.

- Kiedy kończysz pracę?

- O drugiej.

- Zdasz się przespać. Nie musisz przychodzić do domu DeHavena przed dziesiątą.

- Wielkie dzięki. Mogę przynajmniej coś tam zjeść?

- Tak, o ile uzupełnisz zapasy.

Reuben parsknął.

- Rany, mieszkanie w rezydencji wcale nie jest takie fajne, jak się zapowiadało.

- Widzisz, nic nie tracisz.

- A co robi król, podczas gdy ja wypruwam sobie flaki?

- Król wciąż myśli.

- Jakies wieści od Susan? - zapytał Reuben z nadzieją.

- Ani słowa.

\* \* \*

Pół godziny później Stone pracował na cmentarzu, gdy pod bramę podjechała taksówka, z której wysiadł Milton. Stone podniósł się, otrzepał ręce i razem weszli do domku. Gdy Stone nalewał lemoniadę do szklanek, Milton otworzył laptopa i teczkę, którą przyniósł.

- Dowiedziałem się mnóstwa rzeczy o Corneliusie Behanie i Robercie Bradleyu. Tylko nie wiem, czy się przydadzą.

Stone usiadł za biurkiem i przysunął teczkę. Dwadzieścia minut później podniósł głowę znad kartek.

- Wygląda na to, żeby Behan i Bradley raczej się nie przyjaźnili.

- Ściśle mówiąc, byli wrogami. Wprawdzie firma Behana wygrała te dwa wielkie rządowe kontrakty, ale Bradley przeszkodził mu w uzyskaniu trzech innych, po części poprzez wysunięcie zarzutu o kupowanie wpływów. Tę ostatnią informację dostałem od znajomych z Kapitolu. Oczywiście nie podali mi jej na talerzu, ale to jasne, że Bradley dokładał wszelkich starań, żeby przeprowadzić atak na Behana. Jasne jest również to, że jego zdaniem Behan korumpował. Mało prawdopodobne, żeby wchodzili w skład szajki szpiegowskiej.

- Tak, o ile to nie przykrywka. Ale zgadzam się z opinią zmarłego przewodniczącego. Ja też uważam, że Behan korumpuje. Czy gotów byłby zabić kogoś, kto mu w tym przeszkadza? W przypadku DeHavena powiedziałbym, że tak.

- Może więc zabił także Bradleya? Miał motyw, jeśli ten człowiek przeszkadzał mu w interesach.

Stone uderzył dłonią w biurko.

- Ustaliliśmy, że DeHaven zmarł wskutek uduszenia dwutlenkiem węgla i że butla ze śmiertelniejącym gazem pochodziła z jednej z firm Behana. Wczoraj dzwonił Caleb. Wszedł do skarbca i sprawdził przewód za wygiętą kratką. W ścianie jest dziurka po wkręcie, który mógł zostać użyty do podwieszenia kamery. Dodał, że bez trudu wykręcił śruby osłony, jakby niedawno ktoś ją zdejmował. Ale to za mało, by dowieść, że wisiała tam kamera.

- Jeśli Bradley i Behan nie byli w zмовie, Jonathan nie mógł zobaczyć Bradleya w domu Behana. Dlaczego w takim razie Behan zabił Jonathana?

Stone pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia.

Po wyjściu Milтона Stone wrócił do pracy na cmentarzu.

Wyciągnął kosiarkę z szopy i zaczął strzyc trawnik niedaleko domku. Kiedy skończył, odwrócił się i zobaczył, że jest obserwowany. Miała kapelusz z opadającym rondem, okulary przeciwsłoneczne i krótki płaszcz z brązowej skóry, a pod nim spódnicę przed kolana. Za nią, tuż za bramą, stał wynajęty wóz.

Przetarł twarz szmatą i przepchnął kosiarkę do werandy, gdzie stała Susan. Zdjęła okulary.

- Jak leci, Oliverze?

Nie odpowiadał przez długą chwilę.

- Ubrałaś się jak do wyjazdu.

- Szczerze mówiąc, dlatego wstąpiłam. Chciałam cię powiadomić o zmianie planów. Muszę wyjechać z miasta. Mój samolot startuje za parę godzin. Nie wrócę.

- Na pewno?

- Na pewno - odparła bardziej twardym tonem.

- Cóż, nie mam do ciebie żalu, robi się trochę niebezpiecznie.

Spojrzała mu w twarz.

- Jeśli sądzisz, że dlatego się zmywam, nie jesteś taki mądry jak myślałam.

Przyglądał jej się przez chwilę.

- Ten, kto na ciebie poluje, musi być groźny.  
- Zrobiłeś na mnie wrażenie człowieka, który też ma wrogów.  
- Ja ich nie szukam. Zdaje się, że sami mnie znajdują.  
- Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego samego. Sama przysparzam sobie wrogów.  
- Powiesz innym?  
Pokręciła głową.  
- Pomyślałam, że zrobisz to za mnie.  
- Będą zawiedzeni. Zwłaszcza Reuben. I Milton... od lat nie był taki szczęśliwy. Caleb oczywiście nie przyzna, że lubił z tobą przebywać, ale przez długi czas będzie naburmuszony.  
- A ty? - zapytała, spuszczać oczy. Zdrapał butem trawę z kółek kosiarki.  
- Trzeba przyznać, że masz parę godnych podziwu umiejętności.  
- Skoro o tym mowa, przyłapałeś mnie na przetrząsaniu kieszeni. Zdarzyło mi się to po raz pierwszy, odkąd miałam osiem lat. - Popatrzyła na niego pytająco.  
- Jestem pewien, że byłaś nad wiek rozwiniętym dzieckiem.  
Uśmiechnęła się lekko.  
- W każdym razie było zabawnie. Uważajcie na siebie. Jak powiedziałeś, wrogowie sami cię znajdują.  
Odwróciła się, by odejść.  
- Uch, Susan, jeśli rozpracujemy tę sprawę, mamy się z tobą skontaktować i powiedzieć ci o Jonathanie?  
Spojrzała na niego.  
- Chyba powinnam zostawić przeszłość tam, gdzie jest. W przeszłości.  
- Pomyślałam tylko, że chciałabyś wiedzieć. Niełatwo dojść do siebie po stracie bliskiej osoby.  
- Mówisz tak, jakbyś wiedział o tym z doświadczenia.  
- Moja żona odeszła. To było dawno temu.  
- Rozwiedliście się?  
- Nie.  
- Ze mną i Jonthanem było inaczej. Postanowił zakończyć nasze małżeństwo. Nie jestem pewna, dlaczego w ogóle tu przyjechałam.  
- Rozumiem. Mogłabyś w takim razie oddać zdjęcie?  
- Co? - zapytała zaskoczona.  
- Zdjęcie Jonathana. Chcę zwrócić je do jego domu.  
- Och... nie mam go przy sobie.  
- W takim razie przyślij je stamtąd, dokąd się wybierasz.  
- Jesteś zbyt ufny, Oliyerze. Nic mnie nie zmusi do odesłania zdjęcia.  
- Zgadza się. Absolutnie nic.  
Spojrzała na niego z zaciekawioną.  
- Jesteś jednym z najbardziej niezwykłych ludzi, jakich znam, a wierz mi, że to coś znaczy.  
- Powinnaś iść, chyba nie chcesz spóźnić się na samolot.  
Powiodła wzrokiem po nagrobkach.  
- Tutaj otacza cię śmierć. Przygnębiające. Może naprawa pomyślisz o zmianie zajęcia.  
- Ty w tych zapadniętych grobach widzisz śmierć i smutek ja zaś widzę spełnione żywoty i dobre uczynki przeszłego pokolenia, które wpływają na przyszłe.  
To dla mnie zbyt altruistyczny punkt widzenia.  
- Też kiedyś tak uważałem.  
- Powodzenia. - Odwróciła się.  
- Jeśli kiedyś będziesz potrzebowała przyjaciela, wiesz, gdzie mnie znaleźć.  
Jej ramiona zeszywniały na chwilę, gdy to usłyszała. Potem odeszła.

Stone odstawił kosiarkę i siedział na werandzie, patrząc z powagą na nagrobki, gdy zerwał się zimny wiatr.

## ROZDZIAŁ 43

Caleb wstał i powitał mężczyznę, który wszedł do czytelnicy.

- W czym mogę pomóc?

Roger Seagraves pokazał mu kartę biblioteczną, którą każdy może wyrobić w gmachu Madisonsa po drugiej stronie ulicy, legitymując się prawem jazdy albo paszportem, fałszywym lub nie. Karta została wystawiona na nazwisko William Foxworth, a zdjęcie pasowało do twarzy mężczyzny. Te same informacje zostały wprowadzone do systemu komputerowego biblioteki.

Seagraves popatrzył na stoły, przy których siedziało kilka osób.

- Szukam pewnej książki. - Podał tytuł.

- Doskonale. Interesuje pana ta epoka?

- Mam wiele zainteresowań - odparł Seagraves. - To tylko jedno z nich. - Patrzył na Caleba przez chwilę, jakby się namyślał, co powiedzieć. W rzeczywistości miał starannie przygotowany scenariusz i zebrał informacje na temat Caleba Shawa. - Jestem również kolekcjonerem, ale początkującym, niestety. Ostatnio nabyłem kilka pozycji z literatury angielskiej i chciałbym, żeby ktoś je wycenił. Pewnie powinienem to zrobić przed zakupem, ale jak powiedziałem, dopiero zaczynam tworzyć kolekcję. Dorobiłem się jakiś czas temu, a moja matka przez lata pracowała w bibliotece. Zawsze interesowałem się książkami, choć teraz stwierdzam, że poważne kolekcjonerstwo to zupełnie inna para kaloszy.

- Zdecydowanie. I kolekcjonerzy potrafią być bezlitośni - powiedział Caleb i dodał w pośpiechu: - W dystyngowany sposób, oczywiście. Tak się składa, jestem znawcą między innymi osiemnastowiecznej literatury angielskiej.

- Świetnie. To mój szczęśliwy dzień.

- Co to za książki, panie Foxworth?

- Mów mi Bill, proszę. Pierwsze wydanie Defoe.

- *Robinson Crusoe*? *Moll Flanders*?

- *Moll Flanders*.

- Wybornie. Co jeszcze?

- *Życie Richarda Nasha* Goldsmitha. I Horace Walpole.

- *Zamczysko w Otranto* z tysiąc siedemset sześćdziesiątego piątego?

- Zgadza się. Jest w całkiem dobrym stanie.

- Nie widuje się ich wiele. Z przyjemnością rzucę okiem na te pozycje. Jak wiesz, poszczególne wydania różnią się między sobą. Niekiedy ktoś kupuje książkę w przekonaniu, że nabywa pierwsze wydanie, ale prawda okazuje się inna. Zdarza się to nawet u najbardziej renomowanych antykwariuszy. Z pewnością nie robią tego umyślnie - dodał skwapliwie.

- Mogę przynieść książki, gdy będę tu następnym razem?

- Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł, Bill, bo bez wcześniejszych ustaleń będziesz miał kłopoty z przeniesieniem ich przez ochronę. Mogą pomyśleć, że ukradłeś nasze książki, rozumiesz. Chyba nie chcesz zostać aresztowany.

Seagraves zrobił załęczoną minę.

- Racja, nie pomyślałem. Mój Boże, policja. Nigdy nie dostałem nawet mandatu za złe parkowanie.

- Uspokój się, wszystko w porządku - zapewnił Caleb i wyjaśnił nieco pompatycznie: - Świat białych kruków bywa niekiedy bardzo... jak to ująć? Bardzo wyrafinowany, zaprawiony szczyptą niebezpieczeństwa. Ale jeśli na poważnie podchodzisz do zbierania

osiemnastowiecznych dzieł, musisz skupić się pozycjach określonych przedstawicieli tej epoki. Ci, którzy pierwsi przychodzą na myśl, Jonathan Swift i Alexander Pope, są uważani za mistrzów pierwszej połowy stulecia. Następnie wypada mieć Toma Jonesa Henry'ego Fieldinga, coś Davida Hume'a, Tobiasa Smolleta, Edwarda Gibbona, Fanny Burney, Ann Radcliffe i Edmunda Burke'a. To nie jest tanie hobby.

- Przekonuję się o tym - rzekł Seagraves ponuro.

- Nie przypomina zbierania kapsli, prawda? - Caleb zaśmiał się ze swojego żarciku. - I oczywiście nie możesz zapomnieć o kolosie tej epoki, mistrzu drugiej połowy stulecia, panu Samuelu Johnsonie. Ta lista w żadnym wypadku nie jest wyczerpująca, ale na początek dobra.

- Dobrze się znasz na literaturze osiemnastego wieku.

- Powiniennem, pisałem z tego doktorat. Jeśli chodzi o wycenę twoich książek, zawsze możemy gdzieś się spotkać. Tylko daj mi znać. - Wyjął z kieszeni wizytówkę z numerem telefonu do pracy. Podał ją Seagravesowi i z entuzjazmem poklepał go po ramieniu. - A teraz pójdę po zamówioną książkę.

Przyniósł tom i powiedział:

- Baw się dobrze.

Seagraves spojrział na niego z uśmiechem. Oczywiście, panie Shaw.

\* \* \*

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami Caleb spotkał się po pracy z Reubenem i razem pojechali do domu DeHavena. Szukali przez dwie godziny. Znaleźli pokwitowania i rachunki sprzedaży wszystkich innych książek, ale nie odkryli niczego, co potwierdzałoby prawo własności zamordowanego bibliotekarza do psałterza *Bay*. Caleb z ulgą stwierdził, że w książce nie ma tajnego symbolu Biblioteki Kongresu. Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, iż Jonathan mógł go jakoś usunąć. Sam nie potrafił zweryfikować tego przypuszczenia bo wymagało to większego doświadczenia i mikroskopu. A jeśli książka nie pochodzi z biblioteki? Skontaktował się z prawnikami DeHavena, oni jednak nie wiedzieli o żadnej skrytce depozytowej.

- Po prostu nie rozumiem - powiedział. - Jonathan był uczciwym człowiekiem.

- Tak, ale jak sam mówiłeś, ludzie mogą naprawdę wsiąknąć w to kolekcjonerstwo. A taka książka mogła go skusić do zrobienia czegoś nielegalnego. To by wyjaśniało, dlaczego zataił, że ją ma.

- W końcu ujrzałaby światło dzienne. Przecież kiedyś musiał umrzeć.

- Ale nie spodziewał się, że nastąpi to tak nagle. Może miał jakieś plany, lecz nie miał szans ich zrealizować.

- Jak mam wystawić na aukcję książkę bez udokumentowanego prawa własności?

- Calebie, wiem, że on był twoim przyjacielem, ale wydaje mi się, że prawda w pewnym momencie musi wyjść na jaw - rzekł Reuben cicho.

- Wybuchnie skandal.

- Nie wiem, jak mógłbyś tego uniknąć. Po prostu nie daj się wciągnąć w aferę.

- Pewnie masz rację. I dzięki za pomoc. Zostajesz tutaj?

Reuben spojrział na zegarek.

- Jeszcze jest wcześnie. Wyjdę z tobą i wśliznę się później. Dobrze, że przespałem się po południu.

Wyszli. Trzy godziny później, parę minut przed jedenastą, Reuben wrócił do domu tylnymi drzwiami. W kuchni przyrządził sobie przekąskę i poszedł na górę. Ze strychu miał doskonały widok nie tylko na „gniazdko miłości” Corneliusa Behana, ale również, z innego

półkolistego okna, na Good Fellow Street. Na przemian obserwował rezydencję Behana przez lunetę i dom po drugiej stronie ulicy przez przyniesioną lornetkę.

Około pierwszej pod rezydencją Behana zajeżdżał ciemnozielony cadillac SUV. Reuben patrzył, jak Behan wysiada w towarzystwie dwóch ochroniarzy i młodej kobiety w długim płaszczu z czarnej skóry. Wszyscy weszli do domu. Stara wyjechała, pomyślał, gdy zajął pozycję przy oknie wychodzącym na rezydencję.

Nie musiał długo czekać. W oknie zapaliło się światło i do sypialni wszedł dostawca uzbrojenia z dziewczyną na wieczór.

Behan usiadł w fotelu i klasnął, a młoda kobieta natychmiast przystąpiła do dzieła. Guzik po guziku rozpięła skórzany płaszcz. Reuben wiedział, na co się zanosi, lecz mimo to wstrzymał oddech, gdy rozchyliła poły. Przez lunetę zobaczył sięgające do połowy uda kabaretki, biustonosz i coś, co wyglądało na sugestię majteczek. Z satysfakcją wypuścił powietrze.

Chwilę później za oknem wychodzącym na ulicę błysnęła czerwień. Zerknął w tamtą stronę. Myśląc, że to światła stopu przejeżdżającego auta, wzruszył ramionami i znów spojrzął przez lunetę. Młoda dama rzuciła stanik na podłogę i teraz siedziała na krześle, powoli zsuwając pończochy z długich nóg. Jej chirurgicznie powiększony biust ocierał się o płaski brzuch.

Nigdy nie bierz papieru, gdy możesz mieć plastik, pomyślał Reuben z kolejnym długim westchnieniem zadowolenia. Odwrócił głowę w stronę drugiego okna i zobaczył jasnoczerwony blask. To nie mógł być samochód. Podeszedł do okna i wlepił oczy w dom po drugiej stronie ulicy.

- Cholera, pożar. - Nasłuchiwał pilnie. Czy słyszał syreny? Czy ktoś już wezwał straż pożarną?

Nie miał okazji poznać odpowiedzi na to pytanie. Coś uderzyło go od tyłu i przewrócił się na podłogę. Roger Seagraves obszedł go i zbliżył się do okna od strony domu Behana. Nawet bez lunety mógł zobaczyć, jak dziewczyna, już naga z szelmowskim uśmiechem kłękła powoli przed rozanielonym Corneliusem Behanem.

To nie potrwa długo.

\* \* \*

Kiedy Reuben się ocknął, z początku nie miał pojęcia, gdzie jest. Usiadł powoli i zamrugał. Wciąż był na strychu. Stał na drżących nogach i wtedy przypomniał sobie, co się stało. Wziął kawałek deski i omiół wzrokiem poddasze. Nikogo nie zobaczył. Był zupełnie sam. Ale nie ulegało wątpliwości, że ktoś walnął go w głowę na tyle mocno, że stracił przytomność.

Usłyszał hałas z ulicy. Wyrzwał przez okno. Przed płonącym domem stały wozy strażackie. Zauważył również kilka samochodów policyjnych.

Pocierając tył głowy, spojrzął na rezydencję Behana. We wszystkich oknach paliły się światła. Kiedy zobaczył, że do domu wchodzi policja, ścisnęło go w dołku. Chwiejnym krokiem podeszedł do lunety. Światło w sypialni było zapalone, jak wcześniej, ale wewnątrz wyglądało zupełnie inaczej.

Cornelius Behan leżał w ubraniu twarzą do podłogi. Włosy miał znacznie czerwiesze, gdyż załała je krew z dziury w potylicy. Młoda kobieta siedziała oparta o łóżko. Reuben widział szkarłatne plamy na jej twarzy i piersi. Dostała prosto w głowę. Policjanci w mundurach i po cywilnemu uwijali się po pokoju. Jak długo był nieprzytomny? Następnie zobaczył coś, co sprawiło, że wszystkie inne myśli wywietrzały mu z głowy.

W oknie sypialni widniały dwa otwory. Dwa podobne dziurawiły szybę w oknie, przez które wyglądał.

- O cholera! - krzyknął, rzucając się do drzwi. Potknął się i stracił równowagę. Wyciągnął rękę, żeby zamortyzować upadek, i odruchowo zacisnął dłoń. Kiedy się podniósł, trzymał strzelbę, z której, czego był pewien, zastrzelono dwie osoby. Rzucił ją natychmiast i zbiegł schodami po dwa stopnie naraz. W kuchni zobaczył przygotowany posiłek i zrozumiał, że w całym domu są odciski jego palców, ale nie miał czasu się tym martwić. Wymknął się tylnymi drzwiami.

Światło uderzyło go w twarz. Reuben podniósł rękę, żeby osłonić oczy. - Stać! - ryknął ktoś. - Policja!

## ROZDZIAŁ 44

- Załatwiłem mu prawnika - powiedział Caleb. - Chociaż jest taki młody i tani, że nie wiem, czy sobie poradzi. Pozwoliłem sobie na niewinne kłamstwo i powiedziałem, że Reuben został tam na moją prośbę, żeby czuwać nad księgozbiorem, dlatego miał klucze do domu i kod alarmu. Złożyłem również zeznanie na policji. Podałem nazwisko prawnika Jonathana, żeby mógł potwierdzić moją rolę wykonawcy testamentu.

Milton i Caleb siedzieli w domu Stone'a. Ich ponure twarze świadczyły o tym, że są zdruzgotani wieściami o aresztowaniu Reubena pod zarzutem zabójstwa Corneliusa Behana i dziewczyny.

- Wyjdzie za kaucją? - zapytał Milton.

Stone pokręcił głową.

- Wątpliwe, biorąc pod uwagę okoliczności. Ale może dzięki informacjom podanym przez Caleba ponownie rozważyć oskarżenie.

- Rano przez chwilę rozmawiałem z Reubenem - powiedział Caleb. - Obserwował dom Behana, gdy zauważył pożar, a potem ktoś ogłuszył go ciosem w głowę. Po odzyskaniu przytomności zobaczył, że Behan i dziewczyna nie żyją. Kiedy próbował uciec, zatrzymała go policja.

- Gazety mają używanie w związku ze znalezieniem martwego Behana z nagą kochanką. Widocznie pani Behan była w Nowym Jorku - dodał Milton.

- Musimy znaleźć prawdziwego zabójcę - oświadczył Stone.

- Jak? - zapytał Milton.

- Kontynuując dochodzenie. - Stone spojrzał ostro na Caleba. - Musimy obejrzeć nagrania z biblioteki.

- Susan obiecała, że mi pomoże. Nie odezwała się do mnie.

- Proponuję, żebyś w takim razie sam coś wykombinował.

Caleb zrobił zaskoczoną minę, ale nie kwestionował polecenia Stone'a, który podjął:

- Myślę, że możemy śmiało założyć, iż Behan i Bradley nie byli przyjaciółmi.

Początkowo sądziłem, że Behan kazał zabić Bradleya i być może tak właśnie było, ale kto i dlaczego zabił Behana?

- Zemsta za śmierć Bradleya? - zasugerował Milton.

- Jeśli tak, musimy pod tym kątem przyjrzeć się prawdopodobnym podejrzanym. - Stone spojrzał na Milтона. - Muszę wiedzieć, kto spośród personelu Bradleya, współpracowników, może znajomych ze środowisk wojskowych czy wywiadowczych miał możliwość i środki, żeby zabić Behana.

Milton skinął głową.

- Może się przydać coś, co nazywają „Książką telefoniczną personelu”. Ale zdobycie informacji z wojska i wywiadu może potrwać.

- Zabójca Behana, kimkolwiek jest, wiedział, że Reuben przebywa w domu DeHavena, i wrobił go w morderstwo. To znaczy, że obserwowali oba miejsca.

- Obserwator z domu po drugiej stronie ulicy, o którym wspomniał Reuben? - podsunął Caleb.

Stone pokręcił głową.

- Nie. Prawdopodobnie ogień został podłożony przez współnika zabójcy. Musieli wiedzieć, że ktoś prowadzi stamtąd obserwację. Pożar miał odwrócić uwagę obserwatora, żeby zabójca mógł się dostać do domu, zabić Behana i uciec.

- Całkiem pomysłowe - skomentował Caleb. Jadę do centrum zobaczyć się z Reubenem.

- Poproszą o jakiś dowód tożsamości, Oliverze - zaznaczył Milton.

- Mogą prosić, ale ostatnim razem, gdy sprawdzałem, nie miałem żadnych papierów, których posiadanie nie byłoby przestępstwem.

- Założę się, że Susan może ci załatwić dokumenty - powiedział Milton. - Miała legitymację FBI, która wyglądała jak prawdziwa.

- Gdzie jest nasza nieustraszona koleżanka? - zapytał Caleb.

- Miała inne plany - odparł Stone.

\* \* \*

Jerry Bagger siedział w gabinecie z nieczęsto widywaną u niego miną człowieka pokonanego. Zdjęcia Leo i Annabelle już dyskretnie krążyły po wszystkich zakamarkach świata przestępczego, ale dotąd nikt nie przyznał się, że ich rozpoznaje. Nie było to dziwne, zważywszy, że nie mieli ani jednego czystego ujęcia kobiety i jej pomagiera. Wyglądało na to, że oboje dokładnie wiedzieli, gdzie są rozmieszczone kamery. Co więcej, choć jego ludzie starali się temu zapobiec, wieści, że padł ofiarą oszustwa, wyciekły kawałek po kawałku. Z pewnością było to gorsze od ujawnienia całej prawdy, gdyż zostawiało mnóstwo miejsca na spekulacje. W sumie król kasyna stał się pośmiewiskiem. To jeszcze bardziej podsycalo jego pragnienie odnalezienia, a następnie pocięcia pary oszustów piłą tarczową przy jednoczesnym filmowaniu ich strasznych ostatnich chwil na tym świecie.

Ich pokoje zostały dokładnie przetrząśnięte, ale nie znaleziono ani jednego odcisku palca. Wszystkie szklanki, których dotykała kobieta i jej współnik, zostały dawno umyte. Komórką którą rozbiła o ścianę, trafiła do kontenera na śmieci i spoczywała teraz na jakimś wysypisku. Trop ostygł w ciągu czterech dni. Bagger złapał się za głowę. Pomyśleć, że to on zaproponował przedłużenie terminu. W konsekwencji sam wystawił się do wiatru.

Od samego początku taki był plan tej dziwki. Podsunęła mi linę, a ja sam ukreśliłem sobie z niej stryczek.

Wstał i podszedł do przeszklonej ściany. Szczycił się, że potrafi wywęszyć każdy kant na długo przed tym, zanim przyniesie mu szkodę. Jednak prawda była taka, że po raz pierwszy stał się bezpośrednim celem oszustów, wszyscy inni koncentrowali się na kasynie. Dopuszczali się małych szwindli, próbując zgarnąć trochę forsy przy stołach do gry w kości, blackjacka i ruletkę. Ten wielki przekręt został zorganizowany przez kobietę, która dokładnie wiedziała, co robi. Oszustka wykorzystała wszystkie swoje atuty, łącznie z tym starym, na którym zawsze można polegać - seksem.

Odegrała swoją rolę cholernie przekonująco. Bagger wciąż rozpamiętywał jej gadkę. Przykręcała i odkręcała kurek w odpowiednich momentach. Przekonała go, że jest agentką pracującą dla rządu. W dzisiejszych czasach, zważywszy na całe to gównno, w jakim maczali palce federalni, łatwo było uwierzyć nawet w najbardziej szokujące historie.

Patrzył przez okno, wracając myślą do rozmowy telefonicznej, którą odbył z nią po tym, jak zdemaskowała śledzących ją ochroniarzy. Zaproponowała spotkanie, a on skłamał, że już wyjeżdża z miasta. Powiedziała mu wprost, że wciąż przebywa w gabinecie. Te słowa kazały mu uwierzyć, że naprawdę obserwują go agenci. Obserwują!



Spojrzał przez ulicę na hotel. Wznosił się na dwadzieścia trzy piętra nad Broadwalk, identyczny z jego budynkiem. Szereg okien zaglądał prosto do jego gabinetu. Kurwa mać! O to chodzi! Wrzasnął, wzywając szefa ochrony.

\* \* \*

Po krótkiej szamotaninie, dokładnym wypyтaniu i w końcu telefonie do prawnika Reubena Oliver Stone otrzymał zgodę na widzenie z przyjacielem. Zadygotał, gdy zatrzasnęły się za nim drzwi celi. Był już więziony, choć nie w amerykańskim zakładzie. Nie, to nieprawda, poprawił się w duchu. Ostatnie tortury, jakim poddali go bracia Amerykanie, miały miejsce na terytorium Stanów Zjednoczonych.

Zakładając, że cela jest monitorowana, Stone i Reuben rozmawiali po cichu, używając niewielu słów. Stone zaczął tupać w betonową podłogę.

Reuben połapał się, o co mu chodzi.

- Myślisz, że hałas utrudni elektroniczny podsłuch? - szepnął sceptycznie.

- W zasadzie nie, ale to poprawia mi samopoczucie.

Reuben z uśmiechem też zaczął stepować.

- Pożar? - mruknął.

- Tak, wiem. Nic ci nie jest?

- Oberwałem po głowie, to wszystko. Mój adwokat wykorzysta to jako argument na korzyść obrony.

- Odciski na broni?

- Przypadkowe dotknięcie.

- Caleb wyjaśnił sytuację policji. Pilnowałeś książek. Jeszcze coś?

Reuben najpierw pokiwał, potem pokręcił głową

- Nic poza peep-show. Nie miałem pojęcia na co się zanosi.

- Teraz już wiesz.

- Widzisz związek?

Stone ledwo dostrzegalnie skinął głową.

- Potrzebujesz czegoś?

- Tak, dobrego adwokata, najlepiej Johnny'ego Cochran. Szkoda, że przebywa w wielkiej sali sądowej w niebie. - Po chwili Reuben spytał: - Susan?

Stone się zawahał.

- Zajęta.

Wychodząc z budynku, zauważył, że dwaj mężczyźni - najwyraźniej policjanci - śledzą go, idą za nim w dyskretnej odległości.

- Pozwolę wam za mną połączyć, ale tylko przez jakiś czas - mruknął pod nosem. Już myślał o następnej osobie, z którą musi porozmawiać.

## ROZDZIAŁ 45

Roger Seagraves czytał w pracy wiadomości na ekranie komputera. Podejrzany o morderstwo został zidentyfikowany jako Reuben Rhodes. Były członek Agencji Wywiadu Obronnego i żołnierz z problemem alkoholowym, spalił prawie wszystkie mosty łączące go z przeszłością. Pracował w magazynie i mieszkał w ruderze na północnych krańcach Wirginii. Artykuł jasno sugerował, że facet jest chodzącą bombą zegarową. Z nienawiści do wojny zamordował człowieka, który zbił fortunę na dostarczaniu śmiertelnych zabawek, jakich wszystkie armie potrzebują do walki. To naprawdę wydawało się zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe.

Kiedy Seagraves pierwszy raz zobaczył wielkiego mężczyznę wchodzącego do domu tylnymi drzwiami, nie wiedział, co myśleć. Z początku uznał, że jest świadkiem włamania, ale zmienił zdanie, gdy alarm się nie włączył, a mężczyzna wyszedł rano z pustymi rękami. Kiedy wrócił wieczorem, Seagraves zrozumiał, że ma niepowtarzalną okazję na stworzenie zasłony dymnej kryjącej go przed policją.

Przetrwiał jakoś godziny pracy dla rządu, a potem odbił kartę na federalnym zegarze. Teraz był panem swojego czasu. Czekają go kolejne spotkanie. Nie będzie równie przyjemne jak chwile spędzone w łóżku z kobietą z NSA, ale tak to już jest w interesach. Ważne, by jego źródła były zadowolone, sprawne i jednocześnie pewne, że nie padnie na nie cień podejrzenia. Na szczęście stanowisko w CIA zapewniało mu nieformalny dostęp do niektórych śledztw dotyczących krajowych kręgów szpiegowskich. Prawda, w tych sprawach wielką rolę odgrywało FBI, gdzie też miał kontakty, ale warto było wiedzieć, kim interesuje się jego macierzysta agencja.

O talencie Seagravesa świadczył fakt, że CIA nigdy nie wzięła go pod lupę. Agencja jakby nie dopuszczała ewentualności, że jeden z jej byłych zabójców może kontynuować działalność na własną rękę. Czy naprawdę wierzyli, że w ten sposób jest urządzony świat? Jeśli tak, jeśli wykołowanie głównej agencji wywiadowczej było takie łatwe, szczerze się obawiał o bezpieczeństwo swojego kraju. Z drugiej strony przecież złapali kreta KGB, Aldricha Amesę. On jednak znacznie różnił się od tamtego szpiega.

Seagraves zabijał ludzi na rozkazy rządu. Tym samym nie stosowały się do niego normalne zasady zatrudnienia - rozsądek, prawo i porządek. Przypominał zawodowych futbolistów, którym wiele sprawek uchodzi na sucho dzięki temu, że mają osiągnięcia sportowe. Jednak te same cechy, które pozwalały im miażdżyć przeciwnika na boisku, czyniły z nich niebezpiecznych, agresywnych ludzi. Po latach bezkarnego zabijania Seagraves uważał, że nie ma dla niego rzeczy niemożliwych. Nawet gdy pociągał za spust w obronie czyjegoś życia, nigdy nie czuł, że pracuje dla kogoś innego. Chronił własną dupę na Bliskim czy Dalekim Wschodzie albo w jakimś innym miejscu, do jakiego został skierowany, żeby kogoś zlikwidować. Był samotnikiem, co potwierdzał jego profil psychologiczny, i głównie dlatego został zwerbowany jako zabójca.

Pojechał do klubu fitness w McLean leżącego niedaleko kwatery głównej CIA w McLean. Grał w tenisa z szefem swojej sekcji, człowiekiem, który szczycił się patriotyzmem, sprawnością w pracy i podkręcanym backhendem.

Zremisowali w dwóch setach i Seagraves zastanawiał się, czy dać szefowi fory. W końcu zwyciężył duch rywalizacji, a poza tym był przecież o piętnaście lat młodszy. Wygrał, chociaż zrobił to w taki sposób, aby przeciwnik myślał, że zwycięstwo nie przyszło mu łatwo.

- Skopałeś mi tyłek, Roger - powiedział szef.

- Po prostu jestem dzisiaj w formie. Ale dałeś mi ostro popalić. Gdybyśmy byli w tym samym wieku, pewnie nie dorównałbym ci na korcie.

Facet grzał stołek w Langley i prawdziwe niebezpieczeństwo znał tylko z książek sensacyjnych, które lubił czytać. Ponieważ istnienie Klubu Potrójnej Szóstki z oczywistych powodów otaczała ścisła tajemnica, miał niewielkie pojęcie o dawnej pracy Seagravesa dla Agencji. Wiedział tylko, że podwładny przez wiele lat pracował w terenie, w miejscach, które Agencja nie bez kozery nazywa „gorącymi”. Z tego powodu darzył go znacznie większym szacunkiem niż przeciętnego gryzpiórka.

W szatni, gdy szef kończył prysznic, Seagraves otworzył szafkę i wyjął ręcznik. Wytrzeł twarz, a potem poszedł wysuszyć włosy. Razem pojechali do Reston Town Center i zjedli kolację w eleganckiej restauracji Clyde's, siedząc w pobliżu gazowego kominka. Po kolacji się rozstali. Szef odjechał, a Seagraves przespacerował się po Main Street i przystanął przed kinem.

W takich miejscach, a także w parkach, dawni szpiegowie mieli skrzynki kontaktowe, do których podrzucali materiały i z których odbierali zapłatę. Seagraves wyobraził sobie dyskretne przekazywanie kubka z prażoną kukurydzą okraszoną czymś więcej niż tylko podwójnym masłem; była to subtelna, ale zdecydowanie nieudolna praktyka szpiegowska. On przejął towar, spędzając wieczór z szefem sekcji, i nie było szans, aby ktokolwiek zauważył, jak to się odbyło. CIA prawie nigdy nie inwigilowała dwóch swoich pracowników jednocześnie, zwłaszcza gdy grali w tenisa i jedli kolację. Zakładano, że tradycyjny szpieg działa w pojedynkę, i właśnie dlatego Seagraves umówił się z niczego nieświadomym szefem.

Po powrocie do domu wziął ręcznik, który zabrał z szatni, i wszedł do małego pomieszczenia w piwnicy będącego swego rodzaju „bezpiecznym pokojem”. Tutaj, dzięki betonowym ścianom ze specjalną okładziną, nie musiał się obawiać ciekawskich oczu czy uszu. Położył ręcznik na stole razem z ręcznym urządzeniem do czyszczenia parą. Na pierwszy rzut oka klubowy ręcznik nie budził zastrzeżeń, choć w rzeczywistości nie pochodził z klubu. Była to bardzo dobra imitacja. Logo nie stanowiło integralnej części tkaniny, lecz zostało naklejone jak obrazek czy napis na koszulkę. Para szybko je usunęła. Pod spodem było coś, dla czego Seagraves pocił się przez trzy sety tenisa: cztery pięciocentymetrowe paski taśmy.

Używając agencyjnego urządzenia powiększającego, które z pewnych powodów mogli posiadać pracownicy określonego szczebla, odczytał i rozszyfrował informacje zawarte na paskach. Następnie zaszyfrował je i nadał im formę odpowiednią do przekazania Albertowi Trentowi. Zajęło mu to czas do północy, ale nie miał nic przeciwko. Jako zabójca często pracował nocami, a stare nawyki trudno jest wykorzenić.

Po skończeniu tego zadania przed pójściem spać musiał zrobić jeszcze jedną rzecz. Podeszedł do swojej specjalnej szafy, wyłączył alarm i wszedł do środka. Przychodził tutaj przynajmniej raz dziennie, żeby popatrzeć na swoją kolekcję. Przyniósł nowe trofeum, choć był zły, że tylko jedno, bo powinny być dwa. Wyciągnął z kieszeni spinkę do mankietu, własność Corneliusa Behana. Dostał ją od współnika który pracował w Fire Control. Najwyraźniej Behan zgubił spinkę w czasie wizyty w firmie, wizyty, którą ostatecznie przyplacił życiem, ponieważ odgadł przyczynę śmierci Jonathana DeHavena. Seagraves nie mógł pozwolić, żeby Behan podzielił się z kimś tym odkryciem.

Położył spinkę na półce obok śliniaczka. Jeszcze nie miał rzeczy należącej do zastrzelonej młodej kobiety, ale w końcu pozna jej nazwisko i coś zdobędzie. Najpierw zastrzelił Behana. Mężczyzna upadł na podłogę, umożliwiając mu czysty strzał w głowę dziewczyny, która szykowała się do zaspokojenia partnera ustami. Klęczała, patrząc w okno, skąd padł pierwszy strzał. Seagraves nie miał pojęcia, czy go zobaczyła, ale to nie miało znaczenia. Nawet nie zdążyła krzyknąć. Kula mocno oszpeciła jej śliczną twarz. Trumna będzie zamknięta, podobnie jak Behana. Rana wylotowa zawsze jest większa od wlotowej. Patrząc na puste miejsce obok spinki, Seagraves obiecał sobie, że zdobędzie jakiś drobiazg należący do dziewczyny żeby kolekcja była w stu procentach aktualna. Dokładnie tak jak lubił.

## ROZDZIAŁ 46

Wymagało to sporo zachodu, ale w końcu Stone zgubił śledzących go ludzi. Natychmiast udał się do opuszczonego domu w pobliżu cmentarza używanego jako kryjówki. Przebrał i ruszył na Good Fellow Street. Minął siedziby DeHavena i Behana. Przed rezydencją Behana koczowali reporterzy, czekając na pojawienie się nieszczęśliwej, upokorzonej wdowy. Spalony dom po drugiej stronie ulicy wyglądał na pusty. Gdy z rogu ulicy obserwował rezydencję Behana, udając, że czyta plan miasta, przed posesję zajechała wielka ciężarówka

do przewozu mebli, z której wysiedli dwaj krzepcy mężczyźni. Pokojówka otworzyła drzwi, a reporterzy natychmiast się sprężyli. Ludzie z zakładu pogrzebowego weszli do domu i parę minut później wyszli z wielką drewnianą skrzynią. Choć musieli być bardzo silni, z trudem ją dźwigali. Stone niemal słyszał myśli reporterów: pani Behan ukryła się w kufrze, żeby uciec mediom. Ale sensacja!

Rozdzwoniły się telefony komórkowe, wielu reporterów wskoczyło do wozów i pojechało za ciężarówką. Dwóch, którzy obserwowali tyły domu, wypadło w samochodach z przecznicy. Jednak kilku reporterów zostało, najwyraźniej wietrząc podstęp. Udawali, że odchodzą, ale zajęli pozycje tuż za rogiem. Minutę później drzwi znowu się otworzyły. Wyszła kobieta w stroju pokojówki, w kapeluszu z szerokim opadającym rondem. Wsiadła do wozu zaparkowanego przed domem i odjechała.

Stone znów wyczuł zbiorowe myśli reporterów. Ciężarówka była przynęta, a wdowa przebrała się za pokojówkę. Tym razem wszyscy rzucili się do swoich aut i popędzili za nią. Dwaj przyjechali z sąsiedniej ulicy, bez wątpienia powiadomieni o sytuacji przez kolegów.

Stone natychmiast poszedł na tyły rezydencji Behanów. Przyczaił się za rosnącym w pobliżu żywopłotem. Nie czekał długo. Marilyn Behan zjawiała się po paru minutach ubrana w spodnie, długi czarny płaszcz i nasunięty głęboko kapelusz z szerokim rondem. Kiedy doszła do końca uliczki, rozejrzała się czujnie.

Stone wyszedł zza żywopłotu.

- Pani Behan?

Drgnęła i spojrzała na niego.

- Kim pan jest? Cholernym reporterem? - zapytała ostro.

- Nie, jestem przyjacielem Caleba Shawa. Pracuje w Bibliotece Kongresu. Poznaliśmy się na pogrzebie DeHavena.

Zdawało się, że kobieta szuka tego spotkania w pamięci. Robi wrażenie lekko wstawionej, pomyślał. Ale nie wyczuł zapachu alkoholu w jej oddechu. Czyżby lekarstwa?

- Ach tak, pamiętam. Zażartowałam, że CB dobrze zna się na nagłej śmierci. - Nagle zakaszła i sięgnęła do torebki po chusteczkę.

- Chciałem złożyć wyrazy współczucia - powiedział. Miał nadzieję, że kobieta nie przypomni sobie, iż Reuben, domniemany zabójca jej męża, również był na cmentarzu.

- Dziękuję. - Spojrzała w głąb uliczki. - Pewnie to wygląda trochę dziwnie.

- Widziałem reporterów, pani Behan. To musi być dla pani koszmarem. Ale wywiódła ich pani w pole. Niełatwo tego dokonać.

- Gdy kobieta wychodzi za bogacza, który wzbudza kontrowersje, uczy się unikać mediów.

- Mógłbym prosić o parę minut rozmowy? Może przy kawie.

Wyglądała na podenerwowaną.

- Sama nie wiem. To dla mnie trudne chwile. - Skrzywiła usta. - Straciłam męża, cholera! Stone nie dał się zbić z pantałyku.

- To dotyczy śmierci pani męża. Chciałem spytać o coś, co powiedział na pogrzebie.

Zamarła, a potem zapytała podejrzliwie:

- Co pan wie o jego śmierci?

- Nie tyle, ile chciałbym. Ale myślę, że ma związek ze śmiercią Jonathana DeHavena.

Dwóch sąsiadów zmarło w raczej... niezwykłych okolicznościach. To dość zagadkowe.

Nagle zrobiła wyrachowaną minę.

- Pan też nie wierzy, że DeHaven zmarł na atak serca prawda?

- Też? Czy może pani poświęcić mi parę minut? Proszę, to ważne.

Usiedli przy kawie w pobliskim barze. Stone zapytał prosto z mostu:

- Mąż mówił coś pani o śmierci DeHavena, prawda?

Wypiła nieco kawy, opuściła jeszcze niżej rondo kapelusza i odparła cicho:

- CB nie wierzył w atak serca, tyle panu powiem.
- Dlaczego? Co wiedział?
- Nie jestem pewna. W zasadzie nie powiedział mi tego wprost.
- Skąd zatem pani wie, że miał wątpliwości?

Marilyn Behan się zawahała.

- Nie jestem pewna, dlaczego miałabym panu cokolwiek mówić.  
- Będę z panią szczerą w nadziei na wzajemność. - Opowiedział jej o Reubenie i dlaczego przebywał w domu DeHavena, choć taktownie nie wspomniał o lunecie. - On nie zabił pani męża. Był tam tylko dlatego, że kazałem mu obserwować dom. Na Good Fellow Street dzieje się wiele dziwnych rzeczy.

- Na przykład?  
- Na przykład, co robi ta osoba w domu po drugiej stronie ulicy?  
- Nic mi o tym nie wiadomo - odparła nerwowo. - CB też nigdy o tym nie wspominał. Wiem, że czuł, iż ktoś go szpieguje. Może agenci FBI próbujący wygrzebać jakieś brudy. Może to oni, może nie, ale faktem jest, że miał wielu wrogów.

- Nie rozmawiał z panią o śmierci Jonathana, ale na pogrzebie jakby zależało mu na potwierdzeniu, że sąsiad rzeczywiście zmarł na atak serca. Wspominał, że wyniki autopsji czasami są błędne.

Kobieta odstawiła kawę i nerwowo starła ślad czerwonej szminki z krawędzi kubka.

- Pewnego dnia słyszałam, jak CB rozmawiał przez telefon. Nie podsłuchiwałam - zastrzegła się skwapliwie. - Szłam po jakąś książkę, a on rozmawiał w bibliotece. Drzwi były uchylone.

- Jestem pewien, że nie było w tym pani złej woli.

- Mówił komuś, że się dowiedział, iż DeHaven niedawno badał serce w szpitalu Johnsa Hopkinsa i był w świetnej formie. Potem powiedział, że pociągnął za parę sznurków w policji i usłyszał, że wyniki autopsji nikogo nie zadowolily. Po prostu nie miały sensu. Zmartwionym tonem dodał, że przyjrzy się tej sprawie.

- Zrobił to?

- Cóż, zwykle nie pytałam go, dokąd chodzi, a on rewanzował się podobną uprzejmością. Chodzi mi o to, iż okoliczności jego śmierci jasno wykazały, że czasami błędził. Wybierałam się do Nowego Jorku i trochę się śpieszyłam, ale z jakiegoś powodu, nie wiem, może przez tę jego zatroskaną minę, zapytałam, dokąd się wybiera, czy stało się coś złego. Prawdę mówiąc, nawet nie wiedziałam, że jest właścicielem tej przeklętej firmy.

- Firmy? Jakiej firmy?

- Chyba nazywa się Fire Control.

- Pojechał do Fire Control?

- Tak?

- Powiedział, po co?

- Tylko tyle, że chce coś sprawdzić. Aha, wspominał o Bibliotece Kongresu, a przynajmniej o miejscu, w którym pracował Jonathan. Mówił, że jego firma ma kontrakt na ochronę biblioteki przed pożarem i tak dalej. I że dowiedział się o jakichś butlach, które niedawno stamtąd zabrano. I że coś się nie zgadza w magazynie.

- Dowiedział się czegoś?

- Nie wiem. Jak mówiłam, poleciałam do Nowego Jorku. Nie telefonował do mnie. Kiedy zadzwoniłam do niego, nie wspominał o tej sprawie, a ja już zdążyłam o niej zapomnieć.

- Czy sprawiał wrażenie zaniepokojonego, gdy pani z nim rozmawiała?

- Nie bardziej niż zwykle. - Milczała przez chwilę. - Aha, powiedział, że zamierza sprawdzić rury w naszym domu. Uznałam, że żartuje.

- Rury? Co miał na myśli?

- Nie wiem. Założyłam, że instalację gazową. Pewnie jest nieszczelna i może dojść do wybuchu.

Stone najpierw pomyślał: jak w domu przewodniczącego Boba Bradleya. Ale potem coś innego wpadło mu do głowy.

- Pani Behan, czy macie w domu instalację tryskaczową?

- Nie. Posiadamy dużą kolekcję dzieł sztuki, więc woda nie wchodzi w rachubę. Ale CB obawiał się pożaru. Sam pan wie, co się stało po drugiej stronie ulicy. Mamy instalację, która gasi ogień bez użycia wody. Nie jestem pewną jak to działa.

- Nie szkodzi, ja chyba wiem.

- Uważa więc pan, że ten, kto zabił Jonathana, zamordował również CB?

Stone pokiwał głową.

- Tak. Na pani miejscu wyjechałbym i zatrzymał się w innym z państwa domów, jak najdalej stąd.

Szeroko otworzyła oczy.

- Myśli pan, że coś mi grozi?

- Myślę, że zagrożony może być każdy, kto mieszka na Good Fellow Street.

- W takim razie wróć do Nowego Jorku. Wyjadę dziś po południu.

- Moim zdaniem to mądra decyzja.

- Przypuszczam, że policja pozwoli mi wyjechać. Ale musiałam oddać im paszport.

Będąc żoną, pewnie jestem podejrzana. Mam żelazne alibi, ale przecież mogłam kogoś wynająć, żeby go zabił podczas mojej nieobecności.

- Tak się zdarzało - przyznał Stone.

Przez długą chwilę siedzieli w milczeniu.

- Wie pan, CB mnie kochał.

- Jestem tego pewny - powiedział uprzejmie.

- Nie, wiem, o czym pan myśli. Ale on naprawdę mnie kochał. Inne kobiety były tylko zabawkami. Przychodziły i odchodziły. To mnie poprowadził do ołtarza. I zostawił mi wszystko. - Napiła się kawy. - Wie pan, to ironią zbił majątek na budowaniu narzędzi wojny, ale w rzeczywistości nienawidził broni, nigdy nawet nie miał pistoletu. Z wykształcenia był inżynierem. Był mądrym człowiekiem i pracował ciężiej niż inni. - Umilkła na chwilę. - Kochał mnie. Kobieta umie to poznać, wie pan. A ja kochałam jego. Pomimo wszystkich jego wad. Wciąż nie mogę uwierzyć, że odszedł. Część mnie umarła wraz z nim. - Wytarła łzę z kącika oka.

- Pani Behan, dlaczego pani mnie okłamuje?

- Co?

- Dlaczego pani kłamie? Nawet mnie pani nie zna. Dlaczego więc zawraca sobie pani głowę?

- Do licha, o czym pan mówi? Nie kłamie. Kochałam go.

- Gdyby naprawdę go pani kochała, nie wynająłaby pani prywatnego detektywa, żeby obserwował wasz dom z drugiej strony ulicy. Robił zdjęcia kobietom, z którymi zabawiał się pani mąż?

- Jak pan śmie! Nie miałam z tym nic wspólnego. Mówiłam, że to pewnie agenci federalni.

- Nie, FBI byłoby dość sprytne, żeby ulokować tam zespół agentów, a przynajmniej mężczyznę i kobietę, którzy udawaliby małżeństwo. Agenci wynosiliby śmieci, wykonywali inne codzienne czynności i nie pozwolili się zobaczyć w czasie inwigilacji. Poza tym, z jakiego powodu mieliby obserwować wasz dom? Czyżby podejrzewali, że pani mąż spotyka się tam z kimś, kto mógłby go skompromitować? Nawet FBI ma ograniczony budżet i nie śledzi ludzi, gdy nie ma ku temu powodów. - Pokręcił głową. - Mam nadzieję, że nie zapłaciła pani dużo detektywom, bo raczej nie są tego warci.

Uniosła się na krzesło.

- Ty draniu!

- Mogła się pani po prostu rozwieść. Zabrać połowę i odejść wolna.

- Po takim upokorzeniu? Po tym, jak sprowadzał te dziwki pod mój dach? Chciałam, żeby cierpiał. Ma pan rację, wynajęłam prywatnego detektywa i ulokowałam go w tamtym domu. I co z tego? Robił zdjęcia mojemu mężowi i jego dziwkom. Tak, chciałam napsuć krwi staremu CB i zmusić do oddania mi wszystkiego. Zagroziłabym, że ujawnię jego skandaliczne zachowanie, a musi pan wiedzieć, że rząd nie lubi, gdy jego kontrahenci się kompromitują. CB miał poświadczenie bezpieczeństwa które zapewniało mu dostęp do rzeczy ściśle tajnych. Utraciłby je, gdyby rząd się dowiedział, że robi coś, czym można go szantażować. Zamierzałam go zostawić zaraz po przepisaniu mi majątku. Nie tylko on się dobrze bawił. Ja też miałam kochanków i wybrałam jednego, z którym chcę spędzić resztę życia. A teraz mam wszystko bez szantażu. Zemsta doskonała.

- Może ściszy pani głos. Sama pani powiedziała, że podejrzewa ją policja. Niemądrze jest dawać im broń do ręki.

Manlyn Behan powiodła wzrokiem po patrzących na ludziach. Zbladła i usiadła.

Teraz Stone się podniósł. - Dziękuję za poświęcony mi czas. Pani informacje są bardzo pożyteczne. - Dodał z absolutnie poważną miną:

- I przykro mi z powodu poniesionej straty.

- Idź do diabła! - syknęła.

- Cóż, jeśli to zrobię, z pewnością będę miał towarzystwo, prawda?

## ROZDZIAŁ 47

Annabelle czekała na lotnisku w Atlancie, gdzie miała przesiadkę. Przeglądając nowy plan podróży, wściekała się w duchu na głupi ruch Leo. Jak mógł to zrobić? Gdyby chciała, żeby Freddy wiedział, kim ona jest, sama by mu powiedziała.

Zapowiedziano jej lot, ale nie stanęła w kolejce z innymi pasażerami. Choć miała miejsce w pierwszej klasie i mogła wsiąść wcześniej, z przyzwyczajenia patrzyła, kto wchodzi na okład. Gdy kolejka się skurczyła, podniosła podręczną torbę. Większość ubrań wyrzuciła w Waszyngtonie. Nigdy nie nadawała bagażu, gdyż byłoby to zaproszeniem do myszkowania w jej rzeczach. Uzupelni garderobę, gdy dotrze do celu.

W drodze do kolejki spojrzała na telewizor nastawiony na kanał CNN. Przystanąła, widząc twarz Reubena. Zbliżyła się do odbiornika i zaczęła czytać napisy na pasku. Weteran wojny wietnamskiej Reuben Rhodes aresztowany. Magnat zbrojeniowy Cornelius Behan i towarzysząca mu kobieta zastrzeleni z okna sąsiedniego domu. Rhodes zatrzymany...

- Mój Boże - szepnęła.

Z głośników popłynął komunikat:

- Kończymy odprawę pasażerów lotu numer trzydzieści cztery pięćdziesiąt siedem bez międzylądowania do Honolulu.

Annabelle popatrzyła na wyjście do swojego samolotu. Zaraz zamkną drzwi. Odwróciła się, żeby spojrzeć na ekran. Strzały z sąsiedniego domu? Behan nie żyje. Reuben aresztowany. Co się dzieje, do cholery? Musi się dowiedzieć.

Nagle jej myśli skierowały się w inną stronę. To nie twoje zmartwienie, Annabelle. Powinnaś uciekać. Jerry Bagger cię szuka. Niech starszycy sami się tym zajmą. Reuben nie mógł zamordować Behana, w końcu do tego dojdą. A jeśli nie, to nie twój problem. Nie twój problem.

A jednak nie ruszyła się z miejsca. Nigdy dotąd nie była taka niezdecydowana.

- Kończymy odprawę pasażerów lotu trzydzieści cztery pięćdziesiąt siedem.

- Leć, Annabelle, cholera jasna, po prostu leć - szepnęła z rozpaczą. - Nie musisz się w to pakować. To nie twoja walka. Nie jesteś nic winna tym ludziom. Nie jesteś nic winna Jonathanowi.

Patrzyła, jak zamyka się jej droga ucieczki przed Jerrym Baggerem, a kontroler biletów odchodzi do innej bramki. Dziesięć minut później patrzyła, jak boeing 777 kołuje na pas. Gdy zgodnie z rozkładem z rykiem wzbił się w niebo, Annabelle bukowała bilet na samolot, którym miała lecieć na północ, z powrotem w sąsiedztwo Jerry'ego Baggera i piły łańcuchowej. Nawet nie wiedziała, dlaczego to robi. A może w głębi duszy wiedziała?

\* \* \*

Albert Trent siedział przy biurku w domowym gabinecie. Wstał późno po długiej nocy pracy i postanowił nadrobić trochę zaległości przed jazdą do biura. Wszystkie zadania wiązały się z jego stanowiskiem starszego członka personelu komisji do spraw wywiadu. Zajmował je od lat i był dobrze zorientowany niemal we wszystkich aspektach wywiadowczego biznesu, przynajmniej w tych sprawach, którymi agencje dzieliły się z komisją. Przygładził kosmyki włosów, dopił kawę, zjadł drożdżówkę z serem, zapakował aktówkę i parę minut później siedział za kierownicą dwudrzwiowej hondy. Za pięć lat będzie jeździł znacznie lepszym wozem, może w Argentynie albo gdzieś na wyspach południowego Pacyfiku, które, jak słyszał, są prawdziwym rajem.

Na jego tajnym koncie spoczywały miliony dolarów. Powinien podwoić tę sumę w ciągu pięciu lat. Tajemnice, którymi handlował Roger Seagraves, zajmowały najwyższe miejsca na skali wypłat. Było zupełnie inaczej niż w czasie zimnej wojny, gdy człowiek podrzucał paczkę i w zamian inkasował dwadzieścia tysięcy. Ludzie, z jakimi robił interesy Seagraves, operowali wyłącznie siedmiocyfrowymi kwotami, ale mieli też wysokie wymagania. Trent nigdy nie pytał Seagravesa ani o źródła informacji, ani o tych, którym je sprzedawał. Ten człowiek nigdy niczego by nie zdradził, a w rzeczywistości Trent nie chciał wiedzieć. Jego jedyna, ale kluczowa rola polegała na wyprawianiu informacji przekazanych przez Seagravesa w następny etap podróży. Sposób, jaki wymyślił, był jego głównym wkładem w sprawę i w gruncie rzeczy jedynym powodem, dla którego Seagraves zgodził się z nim pracować i płacił mu tak dobrze. Mimo dzielących ich różnic stanowili zgrany zespół, który przysparzał poważnych kłopotów amerykańskiemu środowisku wywiadowczemu.

Wielu energicznych, utalentowanych agentów kontrwywiadu próbowało odkryć, w jaki sposób ktoś wykrada tajemnice, a następnie przekazuje je wrogowi. Z racji zajmowanego stanowiska Trent był wtajemniczony w te śledcze starania. Agenci, z którymi rozmawiał, nie mieli powodów podejrzewać, że zwyczajny urzędnik, który ma koszmarną fryzurę, ośmioletnią hondę, nędzny dom, rachunki do opłacenia i jak każdy inny pracownik służby cywilnej niskie dochody, wchodzi w skład wyrafinowanej grupy szpiegowskiej torpedującej wysiłki amerykańskiego wywiadu.

Władze już musiały wiedzieć, że informacje sprzedają osoby z wewnątrz, ale ponieważ w kraju istniało piętnaście głównych agencji wywiadowczych, które rocznie pochłaniały pięćdziesiąt miliardów dolarów z budżetu i zatrudniały ponad sto dwadzieścia tysięcy pracowników, stogi siana były ogromne, a igły mikroskopijne. A Roger Seagraves, jak stwierdził Trent, działał z przerażającą skutecznością i nigdy nie pomijał żadnego szczegółu, niezależnie od tego, jak byłyby on mały i na pozór błahy.

Trent próbował dowiedzieć się czegoś o jego przeszłości, gdy zaczęły pierwsze rozmowy, ale niczego nie znalazł. Jako doświadczony pracownik wywiadu wiedział, że to oznacza, iż dawne życie zawodowe Seagravesa jest absolutnie tajne. To z kolei znaczyło, że lepiej nie wchodzić mu w drogę. Trent nie zamierzał tego robić. Wolał umrzeć stary i bogaty, i najlepiej daleko stąd.



Gdy telepał się wysłużoną hondą wyobrażał sobie, jak będzie wyglądało jego nowe życie. Będzie zupełnie inne, to wiedział na pewno. Nigdy się nie zastanawiał, ile ludzi zapłaciło najwyższą cenę za jego chciwość. Zdrajcy nieczęsto mają wyrzuty sumienia.

\* \* \*

Stone wrócił do domu ze spotkania z Marilyn Behan, a parę minut później ktoś zapukał do drzwi.

- Cześć, Oliver - powiedziała Annabelle.

Nie okazując zdziwienia, zaprosił ją do środka. Usiedli przed kominkiem na rozpadających się fotelach.

- Jak minęła podróż? - zapytał uprzejmie.

- Nie wygłupiaj się, nie pojechałam.

- Naprawdę?

- Mówiłeś innym, że odeszłam?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo wiedziałem, że wrócisz.

- Oliver, teraz naprawdę mnie wkurzyłeś - prychnęła ze złością. - Wcale mnie nie znasz.

- Najwyraźniej znam, bo jesteś tutaj.

Patrzyła na niego, kręcąc głową.

- Jesteś najbardziej niezwykłym cmentarnym cieciem, jakiego znam.

- A znasz ich wielu, prawda?

- Słyszałam, co spotkało Reubena.

- Policja oczywiście się myli, ale jeszcze o tym nie wie.

- Musimy wyciągnąć go z więzienia.

- Pracujemy nad tym, a Reuben ma się świetnie. Nie sądzę, żeby ktoś sprawiał mu kłopoty. Widziałem, jak poradził sobie z pięcioma facetami w barowej zadymie. Ma krzepę, a poza tym nie znam nikogo, kto walczyłby bardziej bezwzględnie i nieczysto. Bardzo podziwiam te cechy.

- Ale ktoś go pokonał w domu Jonathna?

- Tak, ktoś to zrobił.

- Dlaczego? Dlaczego zabił Behana?

- Bo Behan odkrył, jak umarł Jonathan. To był wystarczający powód. - Stone powtórzył jej rozmowę z Marilyn Behan.

- Więc załatwili Behana i zwalili winę na Reubena, bo był pod ręką?

- Prawdopodobnie widzieli, jak wchodzi do domu Jonathana i stamtąd wychodzi. Uznali, że ze strychu jest dobra linia strzału i zrealizowali swój plan. Zapewne wiedzieli, że Behan sprowadza kobiety i zawsze zabiera je do tego pokoju.

- Mamy do czynienia z dość twardą konkurencją. Co teraz zrobimy?

- Na początek obejrzymy nagrania ze skarbca w czytelnicy.

- W drodze powrotnej zastanawiałam się, jak je zdobyć.

- Nie wątpię. - Stone milczał przez chwilę. - I nie sądzę, że dalibyśmy radę zrobić to bez ciebie. W zasadzie jestem tego pewien.

- Nie pochlebiaj mi. Jeszcze ich nie mamy.

Siedzieli w milczeniu przez dłuższy czas. Annabelle wyjrzała przez okno.

- Wiesz, spokojnie tutaj.

- Z umarłymi? Zaczyna mnie to przygnębiać.

Uśmiechnęła się i wstała.

- Zadzwoń do Caleba i przedstawię mu swój pomysł. Stone też się podniósł, prostując chude, wysokie na prawie dwa metry ciało.

- Obawiam się, że osiągnąłem wiek, w którym nawet ścinanie trawy szkodzi stawom.

- Weź advil. Zadzwoń później, gdy się urzędzę. Gdy mijala go w drodze do wyjścia, powiedział cicho:

- Cieszę się, że wróciłaś.

Jeśli go usłyszała, nie pokazała tego po sobie. Patrzył, jak wsiada do samochodu i odjeżdża.

## ROZDZIAŁ 48

Po dokonaniu swojego odkrycia Jerry Bagger wezwał kierownika hotelu z naprzeciwka i zażądał szczegółowych informacji o gościach, którzy w określonych dniach zajmowali pokoje na dwudziestym trzecim piętrze od strony ulicy. A w Atlantic City, gdy Jerry Bagger kazał przyjść, wzywany człowiek przychodził. Jak zwykle po pokoju kręciło się kilku ochroniarzy. Kierownik hotelu, młody i przystojny, ambitny i oddany pracy, nie chciał udzielić informacji szefowi kasyna.

- Musisz zrozumieć sytuację. Jeśli nie dasz mi tego, co chcę umrzesz - oświadczył Bagger. Kierownik się wzdrygnął.

- Pan mi grozi?

- Nie. O groźbie można mówić wtedy, gdy istnieje szansa, że nie zostanie spełniona. W naszym fachu nazywamy to nieuniknionym.

- Informacje, o jakie pan prosi, są poufne. Nie mogę ich panu dostarczyć. Goście liczą na naszą dyskrecję, a my spełniamy najwyższe standardy...

- Tak, tak - przerwał mu Bagger. - Słuchaj, najpierw spróbuję po dobroci. Ile chcesz?

- Próbuje mnie pan przekupić?

- Tą drogą nigdzie nie dojdziemy.

- Nie mówi pan poważnie...

- Sto kawałków.

- Sto tysięcy dolarów?

Bagger popatrzył na swoich ludzi.

- Chłopcy, szybki facet, prawda? Może powinienem go zatrudnić, żeby kierował moim hotelem. Tak, sto tysięcy dolarów na osobiste konto, jeśli pozwolisz mi przejrzeć księgi. - Zdawało się, że kierownik rozważy propozycję, ale Bagger szybko się niecierpliwił. - Jeśli nie, powiem ci, co nastąpi. Nie zabiję cię. Połamię ci wszystkie kości i tak ci namieszam w głowie, że nie zdołasz nikomu powiedzieć, co cię spotkało. Resztę swoich dni spędzisz w domu opieki, szczając pod siebie, podczas gdy jakieś świry będą cię rznąły co noc. Według mnie nie masz wyboru, ale ponieważ jestem rozsądnym człowiekiem, dam ci czas do namysłu. Masz pięć sekund.

Godzinę później Bagger miał wszystkie potrzebne informacje i szybko sporządził listę potencjalnych podejrzanych. Następnie zaczął wypytywać personel hotelu o niektórych gości. Nie trwało długo, a trafił w dziesiątkę. Jeden z gości w czasie pobytu skorzystał z dodatkowych usług.

- Tak, zrobiłam mu masaż - powiedziała młoda kobieta o imieniu Cindy. Drobna i ciemnowłosa, miała słodką buzię, ponętne kształty i z pewnością była kuta na cztery nogi. Żuła gumę i bawiła się włosami, rozmawiając z nim w prywatnym pokoju w urządzonym z przepychem hotelowym centrum odnowy biologicznej.

Przyjrzał jej się uważnie.

- Wiesz, kim jestem?

Cindy skinęła głową.

- Pan Jerry Bagger. Moja mama, Dolores, pracuje przy stole do gry w kości w Pompejach.

- Zgadza się, stara dobra Dolores. Lubisz tu pracować?

- Pensja marna, ale napiwki niezłe. Stare pryki lubią czuć na sobie młode ręce.

Niektórym staje, gdy to robię. To odrażające u osiemdziesięciolatka, ale jak powiedziałam, dają wysokie napiwki.

- Facet, którym się zajmowałaś - Bagger spojrzał na zapisane nazwisko. - Robby Thomas. Opowiedz mi o nim, zaczynając od wyglądu.

Cindy opisała gościa.

- Przystojny, ale za bardzo pewny siebie. Miał wielkie mniemanie o sobie. Nie lubię tego u mężczyzn. Poza tym za chudy i za ładny, jeśli pan rozumie. Pewnie położyłabym go na rękę. Lubię, jak faceci są rośli i twardzi.

- Z pewnością. Więc tylko zrobiłaś masaż temu lalusiowi? A może coś ekstra?

Cindy skrzyżowała ręce na piersi i przestała żuć gumę.

- Jestem dyplomowaną masażystką panie Bagger.

W odpowiedzi wyjął dziesięć setek z portfela.

- Wystarczy, żeby kupić licencję?

Dziewczyna spojrzała na pieniądze.

- To, co robię w czasie wolnym, jest moją prywatną sprawą.

- Nie mogę temu zaprzeczyć. - Podsunął jej banknoty. - Opowiedz mi o tym.

Wahała się, czy przyjąć banknoty.

- Mogę stracić pracę, jeśli...

- Cindy, nie obchodzi mnie, czy pieprzysz się z truposzami w tej podłej spelunie, zrozumiano? - Wepchnął jej banknoty za dekolt bluzki. - Mów. I nie kłam. Okłamywanie mnie nie wychodzi na zdrowie.

Zaczęła mówić szybko:

- Dobra, od razu wpadłam mu w oko. Masowałam go, gdy nagle poczułam jego rękę na udzie. A potem ręka przesunęła się tam, gdzie nie powinna.

- Tak, prawdziwe zwierzę. Co było dalej?

- Dostawiał się naprawdę ostro. Z początku go zbywałam. Potem zaczął się przechwalać. Powiedział, że robi wielką kasę i powinnam być dla niego miła.

- Wielką kasę, co? Mów dalej.

- Pokazał mi pieniądze, powiedział, że tam, skąd pochodzą, jest ich znacznie więcej.

Czekał na mnie po pracy. Wypiliśmy parę drinków, szybko się wstawiłam. Mam słabą głowę.

- Tak, tak, idźmy dalej, Cin - ponaglił Bagger niecierpliwie. - Ja mam poważne problemy z koncentracją.

Podjęła spieszenie:

- W końcu wylądowaliśmy w jego pokoju. Na początek mu obciągnęłam i dupkę wcześniej strzelił. Powiem panu, naprawdę się wkurzyłam. Chodzi o to, że nawet palanta nie znałam. A on naprawdę się rozkleił, beczał jak dziecko. Dał mi sto dolców. Wszawę sto dolców! Potem przez jakieś dziesięć minut siedział w łazience i rzygał. Po wyjściu powiedział, że nie robił tego od dawna i dlatego tak szybko skończył. Po prostu mnie olał.

- Co za fiut. Co było dalej?

- W zasadzie to wszystko. Nie miałam powodu, żeby zostać dłużej, co nie? To nie była randka ani nic w tym stylu.

- Nie powiedział nic więcej? Skąd pochodzi? Dokąd jedzie? Na czym robi wielką kasę? - Pokręciła głową. Przyjrzał się jej bacznie i stwierdził: - Wyglądasz na przedsiębiorczą. Może wyrwałaś mu trochę forsy z portfela, gdy rzygał w kiblu?

- Nie jestem jakimś śmieciem! - odparła ze złością. - Za kogo się pan uważa, żeby rzucać takie oskarżenia?

- Spójrzmy prawdzie w oczy, Cin. - Dotknął jej biustu. - Ja jestem Jerry Bagger. Ty jesteś szumowiną, która za psi pieniąż pozwala, by nieznajomi spuszczała jej się w usta. Zapytam cię raz jeszcze: podebrałaś mu forszę?

- Nie wiem, może. Nie chcę o tym rozmawiać.

Bagger złapał ją za brodę i poderwał jej głowę, zmuszając do spojrzenia mu w oczy.

- Czy twoja stara mówiła ci coś o mnie?

Przestraszona Cindy nerwowo przełknęła ślinę.

- Powiedziała, że dobrze dla pana pracować.

- Coś jeszcze?

- Powiedziała, że każdy, kto próbuje wejść panu w drogę, jest tępym sukinsynem.

- To prawda. Twoja mama jest mądra. - Ścisnął mocniej podbródek i Cindy pisnęła. -

Jeśli chcesz zobaczyć swoją mamę, weź głęboki oddech i powiedz mi, co było w portfelu tego lalusia.

- No dobra. To dziwne, miał kilka różnych dokumentów.

- I?

- Jeden na nazwisko, jakie mi podał tutaj, Robby Thomas z Michigan. Miał też kalifornijskie prawo jazdy.

- Nazwisko? - zapytał Bagger spokojnie.

- Tony. Tony Wallace.

Bagger puścił ją.

- Widzisz, to nie było takie trudne. Czemu nie wracasz do masowania fiutów starych przyków?

Podniosła się na drżące nogi. Gdy odwróciła się do wyjścia, Bagger zapytał:

- Hej, Cindy, nie zapomniałaś o czymś?

Odwróciła się powoli.

- Co takiego, panie Bagger? - zapytała nerwowo.

- Zapłaciłem ci tysiąc dolców. Lalus dał ci jedną dziesiątą, a ty zrobiłaś mu laskę. Nie zapytałaś mnie, czy ja tego nie chcę. Nieładnie, Cindy. Coś takiego facet taki jak ja pamięta przez długi czas. - Czekał, patrząc na nią.

- Chce pan, żebym zrobiła panu laskę, panie Bagger? - zapytała drżącym głosem. Z wahaniem dodała: - To będzie zaszczyt.

- Nie, nie chcę.

## ROZDZIAŁ 49

Annabelle i Caleb szli korytarzem w gmachu Jeffersona. Annabelle była ubrana w czerwoną skórzaną spódnicę do kolan, czarny żakiet i beżową bluzkę. Otaczała ją aura profesjonalizmu, pewności siebie i zaangażowania. Caleb miał taką minę, jakby zaraz miał podciąć sobie żyły.

- Masz sprawiać wrażenie smutnego i zdesperowanego, to wszystko - tłumaczyła mu.

- To powinno być łatwe, bo jestem smutny i zdesperowany - mruknął.

Przed wejściem do biura ochrony biblioteki Annabelle przystanęła i założyła okulary, które nosiła na łańcuszku na szyi.

- Jesteś pewna, że się uda? - syknął Caleb. Zaczynał oddychać nieco chrapliwie.

- Nigdy nie ma pewności, że oszustwo się uda, dopóki się nie uda.

- Kapitalnie!

Parę minut później rozmawiali z szefem ochrony. Caleb siedział ze spuszczoną głową i wbijał oczy w buty, a Annabelle mówiła.

- Jak wyjaśniłam, jestem psychologiem Caleba, który w obecnej chwili potrzebuje pomocy.

Szef nie krył zdziwienia.

- Mówi pani, że ma kłopoty z wchodzeniem do skarbcza?

- Tak. Jak pan wie, znalazł tam zwłoki drogiego przyjaciela i szefa. Caleb uwielbiał skarbcze. Przez wiele lat stanowiły część jego życia. - Spojrzała na Caleba, który westchnął ciężko i otarł oczy chusteczką. - Obecnie miejsce, z którym wiąże się tyle przyjemnych wspomnień, przygnębia go, a nawet przeraża.

Szef popatrzył na Caleba.

- Jestem pewien, że to dla pana trudne, panie Shaw.

Calebowi tak mocno drżały ręce, że w końcu Annabelle ujął je w swoje.

- Proszę mówić mu po imieniu, wszyscy tutaj jesteśmy przyjaciółmi - zachęciła, dyskretnie mrugając do szefa i jednocześnie mocno ściskając dłoń Caleba.

- Tak, racja, wszyscy jesteśmy przyjaciółmi, jasne - wydukał szef kulawo. - Ale co to ma wspólnego z moim wydziałem?

- Zaplanowałam, że Caleb obejrzy taśmy z czytelní, popatrzy na ludzi, jak wchodzą do skarbców i stamtąd wychodzą. Gdy zobaczy, że wszystko przebiega normalnie, tak jak powinno, zdoła przebrnąć przez ten trudny okres. Praca w czytelní i skarbcu znów stanie się dla niego w pełni pozytywnym doświadczeniem.

- Niestety, nic mi nie wiadomo o udostępnianiu taśm - odparł szef. - To bardzo niezwykła prośba.

Caleb zaczął wstawać, godząc się z porażką, ale sparaliżowało go jadowite spojrzenie Annabelle.

- Sytuacja też jest niezwykła - powiedziała - Jestem pewna, że zrobiłby pan wszystko, co w pańskiej mocy, żeby pomóc koledze z pracy wyprostować życie.

- Tak, jasne, ale...

- Czy moglibyśmy obejrzeć je teraz? - Spiorunowała wzrokiem Caleba, który wciąż wisiał nad krzesłem. - Przecież pan widzi, że Caleb jest w rozpaczliwym stanie.

Caleb opadł na krzesło, nisko zwiesił głowę.

Annabelle popatrzyła na szefa i jego identyfikator.

- Dale, mogę mówić ci Dale, prawda?

- Tak, jasne. Zgoda.

- Dale, widzisz, co mam na sobie?

Dale ogarnął wzrokiem jej atrakcyjną figurę i odparł z zakłopotaniem:

- Tak, zauważyłem.

- Widzisz, że spódnica jest czerwona, to inspirujący, pozytywny kolor. Ale czarny żakiet sygnalizuje negatywną aurę. Bluzka jest beżowa, w kolorze neutralnym. To oznacza, że jestem w połowie drogi do celu, jakim jest umożliwienie temu człowiekowi powrotu do normalnego, zdrowego życia. Potrzebuję twojej pomocy, Dale, aby dopiąć celu. Chcę się ubrać na czerwono dla Caleba. Jestem pewna, że chcesz, abym to zrobiła. Pozwól mi skończyć pracę, Dale. Zrobmy to razem. - Popatrzyła na niego, jakby go oceniała. - Mogę na ciebie liczyć, prawda?

Dale przeniósł spojrzenie na żalosego Caleba.

- Dobra, przyniosę kasety.

Po jego wyjściu Caleb powiedział:

- Zachowałaś się bardzo profesjonalnie.

- Dzięki - odparła krótko.

Gdy nie dodała nic więcej, oświadczył:

- Ja też się spisałem dość dobrze.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Mówisz serio?

Parę godzin później skończyli przeglądać nagrania z czytelnicy zarejestrowane przed i po morderstwie DeHavena.

- Normalna krzątająca - stwierdził Caleb. - Nic ciekawego.

Annabelle puściła nagranie jeszcze raz.

- Kto to?

- Kevin Philips pełniący obowiązki dyrektora po śmierci Jonathana. Przyszedł porozmawiać o przyczynie zgonu. A tu Oliver przebrany za niemieckiego naukowca.

- Nieźle - mruknęła Annabelle z podziwem. - Wygląda doskonale.

Przejrzeli inne fragmenty. Caleb wskazał jedną scenę.

- Tu dostałem powiadomienie, że Jonathan mianował mnie wykonawcą testamentu. - Uważnie spojrzał na ekran. - Naprawdę jestem taki pękaty? - Przycisnął rękę do brzucha.

- Kto cię powiadomił?

- Kevin Philips.

Annabelle patrzyła, jak Caleb się potyka i zgniata butem okulary.

- Zwykle nie jestem taki niezdar. Nie przeczytałbym tego świstka, gdyby Jewell English nie pożyczyła mi okularów.

- Tak, ale dlaczego zrobiła podmianę?

- Co?

- Zamieniła okulary, które nosiła, na drugą parę z torebki. - Annabelle cofnęła taśmę. - Widzisz? Naprawdę pierwszorzędny ruch. Byłaby dobrym mechanikiem... to znaczy, ma bardzo zwinne palce.

Caleb patrzył zdziwiony, jak Jewell English chowa jedno okulary i wyjmuję z torebki inne. Podała mu te drugie.

- Nie wiem, może tamte były jakieś specjalne. Te, które mi dała, pasowały dość dobrze. Przeczytałem wiadomość.

- Kim jest ta Jewell English?

- To starsza pani, bibliofilka i regularna czytelniczka.

- Ma ręce krupiera blackjacka z Vegas - stwierdziła Annabelle. - Ciekawe, dlaczego? - dodała z zadumą.

## ROZDZIAŁ 50

Stone siedział w domu, rozmyślając o rozmowie z Marilyn Behan. Jeśli rozgoryczona wdowa powiedziała prawdę - a nie miał powodów w to wątpić - wtedy on się mylił. Cornelius Behan nie zabił Jonathana DeHavena ani Boba Bradleya, ale najwyraźniej odkrył, w jaki sposób i dlaczego zginął pechowy bibliotekarz. Kto inny zyskiwał na śmierci DeHavena? Albo Bradleya, skoro o tym mowa? Rozpaczliwie potrzebował czegoś, co powiązałoby oba przypadki.

- Oliver?

Podniósł głowę. W drzwiach stał Milton. - Pukałem, ale chyba nie słyszałeś - powiedział.

- Przepraszam, trochę się zamyśliłem.

Milton jak zwykle przyniósł laptopa i małą aktówkę. Położył jedno i drugie na biurku, wyciągnął teczkę.

- Oto, czego się dowiedziałem o sztabie Bradleya. Stone wziął papiery i przeczytał je uważnie. Były to liczne dokumenty ilustrujące polityczną karierę Bradleya, łącznie z pracą w komisji do spraw wywiadu, której przewodniczył przez kilka lat.

- Bradley był bardzo zdolnym politykiem i zainicjował wiele reform na polu wywiadu - powiedział Milton.

- Co być może go zabiło - skomentował Stone. - Miła nagroda.

Zaczął przeglądać informacje i zdjęcia personelu Bradleya w Kongresie i jego podwładnych w komisji. Ledwie skończył, a zjawiała się Annabelle z Calebem. Stone opowiedział im wszystkim o spotkaniu z Marilyn Behan.

- To zdecydowanie obala teorię o udziale Behana w zabójstwie Jonathana - podsumował Caleb.

- Na to wygląda - przyznał Stone. - Co znaleźliście na taśmach?

- Z początku mieliśmy nadzieję, że zobaczymy coś podejrzanego u osób zagląających do skarbca, ale nic z tego. Trafiliśmy za to na coś, co może być bardzo ważne. - Annabelle opowiedziała o sztuczce Jewell English.

- Jesteś pewna? - zapytał Stone z zaintrygowaną miną.

- Zaufaj mi, widziałam taki ruch milion razy.

I równie często sama go robiłaś, pomyślał Stone. Zwrócił się do Caleba:

- Co wiesz o tej kobiecie?

- Tylko tyle, że jest wdową regularnie przychodzi do czytelnicy, uwielbia stare książki, jest bardzo miła, pełna entuzjazmu i... - Poczerwieniła.

- I co? - zapytał Stone.

- I zawsze mnie podrywa - dokończył Caleb cicho, z zakłopotaniem.

Annabelle z trudem powstrzymała się od śmiechu.

- A więc nie wiesz o niej niczego, czego sama ci nie powiedziała - rzekł Stone. -

Informacje są niesprawdzone.

- To prawda - przyznał Caleb.

- Dlaczego w takim razie zamieniła okulary?

- Oliverze, może po prostu nie chciała dawać mi tych, których używa, bo z jakiegoś powodu są dla niej wyjątkowe, i pożyczyła mi drugą parę. Nie wyciągałbym z tego daleko idących wniosków.

- Ja też nie, Calebie, tylko że nikt nie spodziewa się takiej zwinności po leciwych wdowach, które bywają w czytelnicy dzieł rzadkich. Jeśli nie chciała, żebyś założył te okulary, dlaczego nie powiedziała tego wprost, dając ci zapasowe?

Caleb zaczął coś mówić, umilkł i po chwili mruknął:

- Nie umiem tego wyjaśnić.

- Ja też nie, ale dochodzę do przekonania, że musimy znaleźć odpowiedź, jeśli chcemy się dowiedzieć, co spotkało Jonathana DeHavena.

- Chyba nie wierzysz, że Jewell English miała coś wspólnego z jego śmiercią - zdumiał się Caleb.

- Obecnie nie możemy tego wykluczyć. Behan zginął, bo dowiedział się, jak zmarł Jonathan. Sądzę, że odkrył, iż butle z gazem w bibliotece zostały rozmyślnie źle oznakowane. Być może dlatego przyszedł do czytelnicy, zadawał pytania i chciał zobaczyć skarbiec. Szukał informacji, które pomogłyby mu wyjaśnić, z jakiego powodu ktoś zabił DeHavena. Pamiętasz, spytał, czy był lubiany w bibliotece. Nie miał zamiaru wrabiać nikogo w morderstwo, chciał się tylko dowiedzieć, czy DeHaven miał wrogów.

- Innymi słowy, kluczem jest nie Behan, lecz DeHaven, a może coś, co znajduje się w bibliotece? - podsunęła Annabelle.

- Możliwe - odparł Stone. - Albo coś z jego życia prywatnego.

Caleb drgnął, słysząc tę uwagę, jednak zachował milczenie.

- Ale jak do tego wszystkiego pasuje śmierć Boba Bradleya? - zapytała Annabelle. - Uważałeś, że te dwie sprawy są powiązane.

- Wiemy, że Bradley zginął od kuli wystrzelonej z okna w sąsiednim budynku. Behan zginął dokładnie w taki sam sposób. To nie może być zbieg okoliczności. Co więcej, sprawcą mógł być ten sam człowiek. Zawodowi zabójcy lubią uśmiercać tą samą metodą, bo mają ją opanowaną do perfekcji. W ten sposób redukują ryzyko popełnienia błędu w czasie wykonywania zlecenia.

- Mówisz tak, jakbyś dobrze znał się na tych rzeczach - skomentowała Annabelle.

Uśmiechnął się niewinnie.

- Caleb może poświadczyć, że jestem namiętym czytelnikiem książek sensacyjnych. Uważam, że są nie tylko zabawne, ale również pouczające. - Popatrzył na Caleba. - Czy można w jakiś sposób obejrzeć te okulary bez wiedzy właścicielki?

- Jasne, możemy w środku nocy włamać się do jej domu i je ukraść - odparł Caleb z sarkazmem.

- Dobry pomysł. Dowiesz się, gdzie mieszka?

- Może jest lepszy sposób - powiedziała Annabelle. Wszyscy na nią spojrzeli. - Czy przychodzi do czytelnicy regularnie?

- Tak, w miarę regularnie.

- Jeśli trzyma się rozkładu, to kiedy powinna się zjawić?

Caleb zastanawiał się przez chwilę.

- Jutro.

- Doskonale. Jutro pójde z tobą do biblioteki. Pokażesz mi tę kobietę, a resztę zostawisz na mojej głowie.

- Co zamierzasz?

Annabelle wstała.

- Odplącić jej pięknym za nadobne.

Po jej wyjściu Caleb powiedział:

- Oczywiście nie mogłem mówić przy niej, ale, Oliverze, jeśli to wszystko ma coś wspólnego z psalterzem *Bay*! Książka jest niesłychanie cenna, a my nie mamy pojęcia, skąd Jonathan ją wziął. Może została ukradziona, może komuś na niej bardzo zależy. Mogli zabić Jonathana, żeby ją zdobyć.

- Ale jej nie zdobyli - odparł Stone. - Człowiek, który ogłuszył Reubena, był w domu. Mógł włamać się do skarbcza i zabrać psalterz. I dlaczego zginął Cornelius Behan? Albo Bradley? Być może obaj nie mieli żadnego związku z *Bay*. Behan nawet nie wiedział, że DeHaven kolekcjonował książki. Nie ma też dowodów, że Bradley w ogóle znał twój koleżkę.

Gdy Caleb wyszedł, przygnębiony i zdezorientowany, Stone zaczął wertować teczkę współpracowników Bradleya. Powiedział do Milтона:

- Michael Avery studiował w Yale, pracował jako urzędnik w Sądzie Najwyższym, potem w Narodowej Radzie Wywiadu a następnie został członkiem personelu komisji Bradleya. Przeniósł się, kiedy ten został przewodniczącym Izby. - Przejrzał parę zdjęć i życiorysów. - Dennis Warren, też po Yale, początek kariery w departamencie sprawiedliwości. Był szefem personelu Bradleya i zachował stanowisko, gdy Bradley został przewodniczącym Izby. Albert Trent, prawnik po Harvardzie, przez wiele lat należał do personelu Bradleya, a wcześniej przez jakiś czas pracował w CIA. Sama śmietanka, wszyscy z dużym doświadczeniem. Wygląda na to, że Bradley miał pierwszorzędną ekipę.

- Kongresman jest tak dobry jak jego sztab, czy nie tak brzmi stare powiedzenie?

Stone miał zadumaną minę.

- Wiesz, czym tak naprawdę nigdy się nie zainteresowaliśmy? Okolicznościami śmierci Bradleya.

- Jak to naprawimy? - zapytał Milton.

- Nasza przyjaciółka jest dobra w udawaniu?



- Niezrównana.
- Chciałbyś zrobić coś podobnego ze mną?
- Jestem do usług.

## ROZDZIAŁ 51

Roger Seagraves spotkał się z Albertem Trentem w jego biurze na Kapitolu i przekazał mu teczkę z materiałami informacyjnymi. Trent miał je skopiować i przekazać komisji. W oryginalnej teście znajdowały się zaszyfrowane tajemnice Pentagonu dotyczące szczegółowej strategii działań wojskowych Stanów Zjednoczonych w Afganistanie, Iraku i Iranie. Korzystając z uzgodnionej wcześniej metody dekodowania, Trent miał wyłuskać te sekrety ze stron.

- Masz chwilę? - zapytał Seagraves, gdy skończyli omawiać oficjalne sprawy. Wyszli przejść się po terenach Kapitolu.

- Rany, Roger, miałeś fart z Behanem. Wina spadnie na tego drugiego faceta - powiedział Trent.

- Zrozum jedno, Albercie, moje poczynania nie mają związku z fartem. Dostrzegłem okazję i umiałem ją wykorzystać.

- W porządku, nie chciałem cię urazić. Myślisz, że wysuną oskarżenie?

- Bez wątplenia. Nie jestem pewien, dlaczego tam przebywał, ale obserwował dom Behana. Poza tym kumpluje się z Calebem Shawem z czytelnii. Do tej samej grupy należy też gość, którego zwinąłem i z którym „rozmawiałem”, ten Oliver Stone.

- Shaw zajmuje się księgozbiorem DeHavena. Dlatego chodził do jego domu.

Seagraves popatrzył pogardliwie na kolegę.

- Wiem, Albercie. Spotkałem się z Shawem, żeby przygotować grunt pod przyszły ruch, jeśli okaże się to konieczne. Nie tylko książki chodzą im po głowie. Facet, którego przesłuchałem, pracował dla CIA w bardzo szczególnym charakterze.

- Nie powiedziałeś mi - obruszył się Trent.

- Nie musiałeś wiedzieć. Teraz musisz.

- Dlaczego?

- Bo tak mówię. - Seagraves spojrzał na gmach Jeffersona, gdzie mieści się czytelnia dzieł rzadkich.

- Ci faceci węszyli również wokół Fire Control. Mój człowiek powiedział, że farba na jednej z butli, które zabrali z biblioteki, została starta. Prawdopodobnie wiedzą o dwutlenku węgla.

Trent zbladł.

- To naprawdę nie wygląda dobrze, Rogerze.

- Jeszcze nie zaczynaj się pocić. Mam plan. Zawsze mam plan. Odebraliśmy ostatnią zapłatę. Jak szybko możesz pchnąć nowy towar?

Albert spojrzał na zegarek.

- Najwcześniej jutro, ale będzie na styk.

- Postaraj się.

- Rogerze, może powinniśmy po prostu przestać?

- Mamy mnóstwo klientów, to zaszkodziłoby interesom.

- Wyrok za zdradę też im nie sprzyja.

- Albercie, ja nie trafię do więzienia.

- Nie możesz być tego pewien.

- Tak, mogę. Martwych nie pakują za kratki.

- Dobrze, nie musimy iść dalej w tym kierunku. Może poowinniśmy pomyśleć przynajmniej o zwolnieniu tempa. Niech sprawa wystygnie.
  - Sprawy rzadko stygną po podgrzaniu. Róbmy dalej to, co robimy. Jak powiedziałem, mam plan.
  - Wtajemniczysz mnie?
- Seagraves zignorował pytanie.
- Dzisiaj odbieram kolejne materiały. Mogą być warte ponad dziesięć milionów, jeśli są tak dobre, jak myślę. Ale miej oczy i uszy otwarte. Gdybyś zauważył coś dziwnego, wiesz, gdzie mnie znaleźć.
  - Myślisz, że będziesz musiał... rozumiesz?
  - Po części mam taką nadzieję. - Seagraves się oddalił.

\* \* \*

Wieczorem Seagraves pojechał do Centrum Kennedy'ego na koncert Państwowej Orkiestry Symfonicznej. Usytuowane nad Potomakiem brzydkie, kanciaste Centrum często uważane jest za jeden z najbardziej nijakich pomników, jakie wybudowano ku czci zastrzelonego prezydenta. Seagravesa nie obchodziła estetyka gmachu. Nie obchodził go koncert. Jego przystojna twarz i wysoka, muskularna sylwetka przyciągały spojrzenia wielu kobiet, które mijał w drodze do sali koncertowej. Nie zwracał na to uwagi. Dzisiejszy wieczór miał poświęcić tylko i wyłącznie pracy.

W czasie krótkiego antraktu Seagraves dołączył do innych, którzy wyszli z sali na drinka i po wystawione na sprzedaż pamiątki. Wstąpił również do toalety. Gdy światła przygasły, zapowiadając początek ostatniej części programu, wrócił w tłumie do teatru.

Godzinę później pił drinka w otwartym do późna barze naprzeciwko Centrum Kennedy'ego. Wyjął z kieszeni program i uważnie go przejrzał. Oczywiście nie był to jego program. Wsunęto mu go do kieszeni, gdy wracał do sali. Nie istniała możliwość, że ktoś mógł to zobaczyć. Szpiedzy, którzy unikają tłumów, zawsze wpadają. Z tego powodu Seagraves zawsze korzystał z osłony, jaką zapewniała rzesza ludzi.

W domu w swojej pracowni Seagraves wyłuskał tajemnice ze stron programu i nadał im formę odpowiednią do przekazania Albertowi Trentowi, gdy następnym razem będzie się z nim widział. Uśmiechnął się, patrząc na ostatnie elementy kluczy dekodujących komunikaty dyplomatyczne, które Departament Stanu wysyłał do zagranicznych placówek. Uznał, że dziesięć milionów to za mało. Może zażąda dwadzieścia. Po chwili zdecydował, że zacznie od dwudziestu pięciu, zostawiając sobie pole manewru. Wszystkie negocjacje prowadził na ustalonych czatach internetowych. Tajemnice przekazywał dopiero wtedy, gdy zapłata wpłynęła na jego tajne konto. Zajmował bardzo rozsądne stanowisko, nie ufając nikomu, z kim prowadził interesy. Ale sam też był uczciwy, pamiętając o regułach rządzących wolnym rynkiem. Gdyby raz odebrał pieniądze bez dostarczania towaru, natychmiast wypadłby z interesu. I prawdopodobnie straciłby życie.

Jedyną rzeczą, jaka mogła pokrzyżować mu szyki, było wścibstwo paru podstarzałych facetów. Gdyby w grę wchodził sam bibliotekarz, nie musiałby się przejmować. Ale miał do czynienia z Potrójną Szóstką, a kogoś takiego nie wolno lekceważyć. Seagraves czuł, że zanoszą się na kolejną burzę. Z tego powodu, kiedy wcześniej porwał i torturował Stone'a zabrał z domu na cmentarzu jego koszulę, żeby w razie potrzeby dodać ją do swojej kolekcji.

## ROZDZIAŁ 52

Nazajutrz około dziesiątej Stone i Caleb przybyli do Klubu Federalistów. Przedstawili swoją prośbę i zostali wprowadzeni do gabinetu kierownika. Mężczyzna popatrzył na szeleszczące, oficjalne wizytówki, które Milton wczoraj wieczorem wydrukował na drukarce laserowej.

- Zostali panowie zaangażowani przez rodzinę Bradleya z Kansas żeby przeprowadzić dochodzenie w sprawie jego śmierci? Przecież policja się tym zajmuje. I FBI. Wszyscy tu byli wiele razy - powiedział rozdrażniony.

- Rodzina chce mieć własnych przedstawicieli, z pewnością pan rozumie - odparł Stone. Obaj z Milionem włożyli na tę okazję marynarki, krawaty i ciemne spodnie. Milton schował długie włosy pod kapeluszem, którego nie chciał zdjąć. - Uważają że nie poczyniono znaczących postępów.

- Tak, skoro policja nikogo nie złapała, trudno nie zgodzić się z tą opinią.

- Może pan zadzwonić, jeśli chce pan sprawdzić, czy występujemy w imieniu rodziny. Pani Bradley kuruje się za granicą, ale może porozmawiać pan z miejscowym prawnikiem rodziny w Maryland. - Na wizytówce widniał numer telefonu Milтона, który nagrał wiadomość, podając się za prawnika, na wypadek gdyby kierownik klubu skorzystał z propozycji Olivera.

- Nie, wszystko w porządku. Co panowie chcą wiedzieć?

- Dlaczego tamtego wieczoru Bradley przyjechał do klubu?

- Odbywała się prywatna uroczystość z okazji wybrania go na przewodniczącego Izby Reprezentantów.

- Rozumiem. Kto ją zaaranżował?

- Jego personel, jak mi się zdaje.

- A konkretnie?

- Nie pamiętam. Otrzymaliśmy instrukcje faksem. Założyłem, że przyjęcie ma być niespodzianką.

- Został zastrzelony w salonie od frontu?

- Nazywamy go pokojem Jamesa Madisona. Zna pan *Eseje federalistów*? Mogę pokazać panom to miejsce.

Zaprowadził ich do wielkiego pokoju od frontu. Stone spojrział doświadczonego okiem przez szerokie okno w wykuszu na piętro budynku stojącego po drugiej stronie ulicy. Uznał, że linia strzału była idealna, co świadczyło nie tylko o wcześniejszym przeprowadzaniu rozpoznania, ale również o współpracy osoby z wewnątrz. Z tą myślą zapytał:

- A dlaczego tu przyszedł?

Kierownik strzepnął pyłek z marmurowego gzymsu kominka.

- Wznoszono toast na jego cześć. - Zadrżał. - To było upiorne. Senator Pierce skończył przemowę, gdy padł strzał. Istny koszmar, wszędzie była krew. Kompletnie zniszczyła drogi perski dywan, wsiąkła nawet w drewno. Czyszczenie i malowanie kosztowało małą fortunę. Policja pozwoliła nam to zrobić dopiero niedawno. Członkowie klubu przechodzili i widzieli to wszystko. Musieliśmy zamknąć pokój.

- Kto jest właścicielem domu po drugiej stronie ulicy? - zapytał Milton.

- Nie wiem. Władze pewnie już wiedzą. Najpierw był to dom prywatny, potem mieściła się tam galeria sztuki. Stoi pusty od jakichś pięciu lat, prawdziwe okropieństwo, ale co można zrobić? Słyszałem, że ma zostać wyremontowany. Pewnie urzędzą w nim apartamenty. Tylko że prace jeszcze się nie zaczęły.

- Kto zaprosił Bradleya do pokoju na toast? - zapytał Stone.

Kierownik zastanawiał się przez chwilę.

- Było tam wiele osób, nie jestem pewien. W zasadzie nie brałem udziału w uroczystości. Stałem przy oknie, gdy padł strzał. Kula świsnęła mi przy uchu. Przez parę dni byłem roztrzęsiony.

- Współczuję. Czy ktoś inny mógłby nam coś powiedzieć?

- Tak, jeden z kelnerów, barman. Obaj są na miejscu, jeśli panowie chcą z nimi porozmawiać.

Barman nic nie wiedział. Kelner Tom powiedział:

- Chyba ktoś z jego personelu zwołał wszystkich na toast. Przynajmniej tyle pamiętam. Pomagałem ściągać ludzi z innych pokoi, a potem zaprosili kongresmana Bradleya.

- Pamięta pan, kto był organizatorem?

- Nie, nie pamiętam. Tu było mnóstwo ludzi. Poza tym nie sądzę, żeby się przedstawił.

- Ale to był mężczyzna? - Gdy Tom skinął głową Stone pokazał mu zdjęcia pracowników Bradleya. - Rozpoznajesz kogoś? Może tego? - Wskazał Dennisa Warrena. - Był szefem biura Bradleya. Miałoby sens, gdyby to on zorganizował toast.

- Nie, to nie był on.

- A ten? - Stone pokazał mu Alberta Trenta. - Też zajmował wysokie stanowisko.

- Nie. - Wreszcie kelner zatrzymał spojrzenie na kolejnym zdjęciu. - To on. Teraz pamiętam. Operatywny gość.

Stone popatrzył na zdjęcie Michaela Avery'ego, który podlegał Bradleyowi w biurze komisji wywiadu. Gdy wychodzili z Klubu Federalistów, Milton zapytał:

- Co teraz?

- Porozmawiamy z paroma osobami, które pracowały dla Bradleya.

- Chyba nie z Averym? To by go ostrzegło.

- Nie, z Trentem albo Warrenem.

- Ale nie możemy im powiedzieć, że prowadzimy śledztwo na życzenie rodziny Bradleya. Wiedzieliby, że kłamiemy.

- Nie, powiemy prawdę.

- Co takiego?

- Powiemy, że prowadzimy dochodzenie w sprawie śmierci Jonathana DeHavena.

Dennis Warren był w domu, gdy Stone zadzwonił pod numer znaleziony w książce telefonicznej. Zgodził się z nimi spotkać, choć zaznaczył, że wprawdzie słyszał o śmierci DeHavena, ale osobiście go nie znał. Dodał ze smutkiem: „Wstyd przyznać, nawet nie mam karty bibliotecznej”.

Milton i Stone pojechali metrem do Falls Church w Wirginii, gdzie mieszkał Warren. Skromny dom stał w starszej dzielnicy. Było jasne, że Warren nie lubi spędzać czasu na świeżym powietrzu ani nie jest złotą rączką. Chwasty zarastały trawnik, ściany prosiły się o odmalowanie.

Wnętrze domu było jednak przytulne i wygodne, a półki ugięły się pod ciężarem książek, chociaż Warren nie miał karty bibliotecznej. Stosy podniszczonych tenisówek, szkolnych bluz i innych rzeczy należących do nastolatków dowodziły, że jest ojcem.

Dennis Warren był wysokim, korpulentnym mężczyzną z przeredzonymi brązowymi włosami i szeroką dziobatą twarzą. Jego niemal przezroczysta skóra świadczyła, że dziesiątki lat przepracował we fluorescencyjnym świetle. Zaprowadził ich do salonu.

- Proszę wybaczyć bałagan - powiedział. - Trzej synowie w wieku od czternastu do osiemnastu lat zmieniają człowiekowi życie i dom nie do poznania. Mogę stanąć na zebraniu przed Połączonym Kolegium Szefów Sztabów bądź przed sekretarzem obrony i przedstawić przekonujące argumenty w dyskusji o skomplikowanych geopolitycznych strategiach wywiadowczych, ale nie potrafię wymóc na synach, żeby regularnie brali kąpiel albo jedli cokolwiek poza cheeseburgerami.

- Wiemy, że należał pan do personelu komisji wywiadu - zaczął Stone.

- Zgadza się. Przeniosłem się z Bradleyem, gdy został przewodniczącym Izby Reprezentantów. Obecnie jestem bezrobotny.

- Z powodu jego śmierci? - zapytał Milton.

Warren skinął głową.

- Pracowałem dla niego i sprawiało mi to dużą przyjemność. Był wielkim człowiekiem. Człowiekiem, jakiego potrzebujemy w obecnych czasach, solidnym jak skała i uczciwym.

- Nie mógł pan zostać w komisji wywiadu? - zapytał Stone.

- Nie miałem wyboru. Bradley chciał, żebym się przeniósł, więc się przenieśliśmy. Zresztą nie miałem nic przeciwko. Jest tylko jeden przewodniczący Izby Reprezentantów i tylko jeden szef biura przewodniczącego. Człowiek znajduje się w centrum wydarzeń, wszyscy odpowiadają na jego telefony. Poza tym nowy przewodniczący komisji wywiadu miał własnych ludzi, których chciał awansować. Tak to już jest na Kapitolu. Człowiek jest związany ze swoim kongresmanem. Kiedy oni przenoszą się albo odchodzą... cóż, dlatego w środku dnia siedzę w domu. Dobrze, że moja żona jest prawnikiem, bo mielibyśmy kryzys finansowy. Prawdę mówiąc, wciąż jestem w szoku po tym, co się stało, dlatego jeszcze nie zacząłem szukać pracy. - Umilkł i przyjrzał im się bacznie. - Ale powiedzieliście, że prowadzicie dochodzenie w sprawie śmierci tego DeHavena, prawda? Co to ma wspólnego z Bradleyem?

- Może nic, może wiele - odparł Stone wymijająco. - Słyszał pan o morderstwie Corneliusa Behana?

- A kto nie słyszał? Krępująca sytuacja dla żony, tyle panu powiem.

- Tak. Behan był sąsiadem DeHavena i został zastrzelony z okna w jego domu.

- Cholera, tego nie słyszałem. Ale wciąż nie widzę związku z kongresmanem Bradleyem.

- Szczerze mówiąc, sam próbuję się go doszukać - przyznał Stone. - Był pan w Klubie Federalistów tamtego wieczoru?

Warren powoli pokiwał głową.

- To miał być hołd dla starego, a zakończyło się koszmarem.

- Widział pan, jak to się stało? - zapytał Milton.

- Miałem to nieszczęście. Stałem obok Mike'a, Mike'a Avery'ego. Senator Pierce właśnie skończył ładną mowę i bam! Znikąd padł strzał. Wszystko stało się tak szybko. Trzymałem kieliszek przy ustach. Obląłem się szampanem. To było straszne. Zrobiło mi się niedobrze, zresztą nie tylko mnie.

- Dobrze zna pan Avery'ego?

- Jasne, pracowaliśmy razem dzień i noc, przez dziesięć lat.

- Gdzie jest teraz?

- Przeniósł się ze mną, gdy Bradley został przewodniczącym. Też stracił robotę.

- Jak rozumiemy, to on zorganizował uroczystość i toast?

- Nie. Pojechaliśmy tam razem, Byliśmy zwyczajnymi gośćmi.

- Powiedziano nam, że Avery zapraszał ludzi do pokoju na toast.

- Ja też. Pomagaliśmy, to wszystko.

- Komu?

- Albertowi, Albertowi Trentowi. To on zaproponował toast. Albert zawsze myślał o takich rzeczach. Ja jestem tylko drobnym trybikiem z małym obyciem towarzyskim.

- Albert Trent? On zaplanował przyjęcie?

- Nie wiem. Ale z pewnością zajmował się jego organizacją

Też stracił pracę?

- Nie, nie. Albert został w komisji wywiadu.

- Czy nie mówił pan, że człowiek idzie za swoim kongresmanem? - zdumiał się Stone.

- Zwykle tak jest. Ale Albert nie chciał odejść. Bradley nie był z tego zadowolony, tyle panu powiem. Albert ubił jakiś interes z nowym przewodniczącym komisji, który awansował

go na swoją prawą rękę. Albert umie dać się poznać jako człowiek niezastąpiony. Mieliśmy urwanie głowy, gdy nie przeszedł z nami, bo w biurze przewodniczącego Izby jest mnóstwo roboty. Nie ujawniam sekretów. To sprawa publicznie znana.

- Bradley pozwolił mu postawić na swoim?

Warren się uśmiechnął.

- Najwyraźniej nie znał pan Boba Bradleya. Jak powiedziałam, facet był niewiarygodnie przyzwoity, uczciwy, pracowity, ale nie osiągnąłby takiej pozycji, gdyby nie piekielny upór i twardość. I nie lubił, gdy podwładni stawali okoniem. Głowę daję, że Albert prędzej czy później trafiłby do jego biura.

- Ale po śmierci Bradleya sprawa stała się nieaktualna.

- Oczywiście. Mike i ja postąpiliśmy jak trzeba i straciliśmy pracę. Albert sprzeciwił się staremu i zachował posadkę. A Mike ma czwórkę dzieci i bezrobotną żonę. Trent jest wolny i bezdzietny. Czy to uczciwe?

Po wyjściu od Warrena Milton powiedział:

- Wiem, mam znaleźć wszystko o Albercie Trencie.

Stone pokiwał głową.

- Wszystko.

- Wygląda to na niezły motyw morderstwa. Dziwię się, że policja się tym nie zajęła.

Nawet Warren tego nie załapał.

- Jaki motyw?

- Oliverze, to chyba jasne. Gdyby Bradley żył, Trent musiałby odejść z komisji wywiadu.

Po jego śmierci został tam, gdzie chciał.

- Myślisz, że zamordował przewodniczącego Izby reprezentantów, żeby nie zmienić pracy? Poza tym to nie on pociągnął za spust, bo przecież był w klubie. Musiałby wynająć zabójcę. Trochę za dużo zachodu, żeby zachować stanowisko pracownika rządowego średniego szczebla. Poza tym, jak powiedział Warren, biuro przewodniczącego Izby jest znacznie bardziej prestiżowe.

- Zatem musi być coś więcej.

- Zgadzam się. Ale na razie nie wiemy, co.

\* \* \*

Dennis Warren podniósł słuchawkę, żeby zadzwonić do przyjaciela i byłego współpracownika Mike'a Avery'ego. Potem wybrał inny numer.

- Albert? Cześć, tu Dennis. Słuchaj, przepraszam, że przeszkadzam ci w pracy, ale jacyś faceci zadawali mi dziwne pytania. Do Mike'a też zadzwoniłem, żeby go uprzedzić. To pewnie nic takiego, ale uznałem, że warto cię powiadomić.

- Jestem wdzięczny - odparł Trent. - Co dokładnie chcieli wiedzieć?

Warren streścił rozmowę i dodał:

- Powiedziałem im, że zorganizowałeś toast na cześć Boba i że zostałeś w komisji.

- Jak wyglądali?

Warren opisał Stone'a i Milтона.

- Znasz ich?

- Nie. To dziwne.

- Po prostu pomyślałem, że dam ci znać. Mam nadzieję, że nie chlapnąłem czegoś, co powinienem przemilczeć.

- Nie mam żadnych tajemnic.

- Słuchaj, Albercie, jeśli zwolni się jakieś miejsce w biurze komisji, dasz mi cynk, prawda? Mam dość siedzenia z założonymi rękami.

- Dobrze, i dzięki za informacje.

Albert natychmiast wyszedł z biura i zadzwonił z automatu do Seagravesa żeby umówić się z nim poza Kapitołem.

Gdy się spotkali, powiedział:

- Mamy problem.

Seagraves wysłuchał go i oznajmił-

- Coż, następny ruch jest oczywisty.

- Zajmiesz się tym?

- Jak zawsze.

## ROZDZIAŁ 53

Podczas gdy Milton i Stone prowadzili dochodzenie, Caleb pracował w czytelni.

Podniósł głowę znad biurka, gdy weszła Annabelle ubrana w czarną plisowaną spódnicę, dopasowany żakiet, białą bluzkę i czółenka na niskim obcasie. Miała na ramieniu torbę, a w ręce trzymała świeżo wydrukowaną kartę biblioteczną ze zdjęciem. Caleb podszedł do niej.

- Czym mogę służyć, panno...

- Charlotte Abruzzio. Szukam pewnej książki.

- Przyszła pani we właściwe miejsce. Przecież to biblioteka. - Caleb parsknął śmiechem.

Annabelle nawet się nie uśmiechnęła. Wcześniej kazała mu ograniczyć rozmowę do minimum, a ten mały idiota silił się na kulawe żarty. Podała mu tytuł. Zaproponował go wczoraj wieczorem, gdy opracowywali plan.

Caleb przyniósł tom ze skarbca i Annabelle usiadła przy stole. Wybrała takie miejsce, żeby widzieć drzwi i Caleba. Godzinę później Caleb wyskoczył zza biurka,

- Jewell, jak się masz? Jewell, miło cię widzieć! - zawołał. Spojrzał na Annabelle z wymowną miną i ruszył szybko do starszej pani.

Annabelle zgrzytnęła zębami. Co za palant. Równie dobrze mógłby wyciągnąć kajdanki i skuć staruszkę. Na szczęście Jewell English chyba niczego nie spostrzegła, bo jakby nigdy nie grzebała w torebce.

Parę minut później Caleb podał Jewell książkę ze skarbca. Często wracał do jej stołu, a potem zerkał na Annabelle, jakby myślał, że jeszcze się nic zorientowała. W końcu zirytowana Annabelle obrzuciła go tak wściekłym spojrzeniem, że uciekł do swojego biurka.

Godzinę później Jewell skończyła pracę, spakowała torebkę, pożegnała się z Calebem i wyszła. Po chwili Annabelle pośpieszyła za nią. Zobaczyła ją na ulicy, gdzie starsza pani wypatrywała taksówki. Annabelle zarzuciła chustkę na głowę i włożyła długi płaszcz wyjęty z torby. Gdy taksówka podjechała do krawężnika, wykonała swój ruch. Zderzyła się z Jewell, potrafiła torebkę. Jej ręka wsunęła się i wysunęła tak szybko, że ktoś stojący obok niczego by nie zauważył.

- O Boże - powiedziała z południowym akcentem. - Skarbie, tak mi przykro. Moja mama wychowała mnie nie po to, żebym wpadała na takie miłe panie.

- Nic nie szkodzi, moja droga - odparła Jewell trochę zadyszana po zderzeniu.

- Życzę miłego dnia.

- Wzajemnie - odparła Jewell uprzejmie, gdy wsiadła do taksówki.

Annabelle pomacała schowane w kieszeni kwaciaste etui i oddaliła się powoli. Parę minut później wróciła do czytelni. Za biurkiem przy wejściu siedziała inna osoba. Caleb podbiegł do niej i powiedział:

- Dawn, pokażę skarbiec pani Abruzzio. Jest spoza miasta. Już uzgodniłem to z szefostwem - skłamał. Jakiś czas temu łamanie przepisów byłoby dla niego nie do pomyślenia, ale w świetle ostatnich wydarzeń uznał, że znalezienie zabójcy Jonathana jest ważniejsze od przestrzegania regulaminu biblioteki.

- W porządku - odparła Dawn.

Weszli do skarbca i Caleb zaprowadził gościa do pokoju Jeffersona, gdzie mogli swobodnie porozmawiać. Annabelle wyjęła okulary.

- Chcesz założyć? Ja przymierzyłam i niewiele mogłam zobaczyć, Caleb włożył okulary i natychmiast je ściągnął.

- Boże, to dziwne, jak patrzenie przez trzy czy cztery warstwy różnego szkła, z małymi jasnymi plamkami. Nie rozumiem, przez tamtą drugą parę widziałem idealnie.

- Dlatego dała ci tamte okulary, a nie te, bo inaczej nabrałbyś podejrzeń. Masz książkę, którą przeglądała?

Pokazał jej *Beadle*.

- Tylko udawałem, że odnoszę ją na półkę.

Annabelle wzięła książkę.

- Wygląda na tanią,

- I o to chodzi. To groszowa powieść z dziewiętnastego wieku.

- Rzecz w tym, że ta Jewell nie miała problemów z czytaniem w tych okularach. I robiła notatki.

- Tak, rzeczywiście. - Caleb powoli założył okulary i mrużąc oczy, otworzył książkę.

- Możesz czytać?

- Tekst jest trochę rozmazany. - Przewrócił parę kartek i znieruchomiał. - Chwileczkę, a co to?

- Co tam jest?

Wskazał słowo na stronie.

Litera jest zaznaczona. Widzisz, jaskrawożółta, świeci jak słońce.

Annabelle spojrzała na wskazane miejsce. - Niczego takiego nie widzę.

Tutaj! - zawołał, pokazując palcem literę **e** w pierwszej linijce.

- Dla mnie wcale nie świeci i... - urwała. - Caleb, daj mi okulary. - Spojrzała na stronę.

Litera była wściekle żółta, dosłownie wyskakiwała ze strony. Powoli zdjęła okulary. - To naprawdę wyjątkowe szkła.

Caleb patrzył na kartkę gołym okiem. Nic się nie jarzyło. Założył okulary i litera **e** natychmiast pojaśniała.

- Jest też zaznaczone **w**, **h** i **f**. - Przewrócił kartkę. - Następnie **w**, **s** i **p**. I wiele innych liter. Wszystkie się świecą. - Zdjął okulary. - **E**, **w**, **h**, **f**, **w**, **s**, **p**. To bełkot.

- Nie, to szyfr. Litery tworzą tajny kod. Trzeba mieć specjalne okulary, żeby je zobaczyć. Zrobił zdumioną minę.

- Tajny kod?

- Wiesz, jakie inne książki przeglądała ostatnio ta Jewell?

- Same *Beadle*, ale mogę sprawdzić rewersy. Parę minut później zgromadził sześć książek. Przekartkował je w okularach, lecz nie znalazł świecących liter.

- Nie rozumiem. Są tylko w jednej książce?

- Niemożliwe - odparła Annabelle zdezorientowana. Podniosła książkę z jarzącymi się literami. - Mogę ją zabrać?

- Nie, to nie jest wypożyczalnia.

- A ty?

- Tak, ja mogę. Ale muszę wypełnić czteroczęściowy rewers.

- A wtedy ktoś w bibliotece będzie mógł się dowiedzieć, że ją wypożyczyłeś.

- Zgadza się.

- Niedobrze. Moglibyśmy nieumyślnie kogoś ostrzec.

- Co przez to rozumiesz?

- Calebie, litery zazaczył ktoś stąd. Jeśli zabierzesz tę książkę do domu, zaalarmujesz ludzi, którzy uczestniczą w spisku.



- Mówisz, że ktoś z Biblioteki Kongresu umieszcza tajne szyfry w białych krukach?  
- Tak! - parsknęła z irytacją. - Daj mi książkę. Wyniosę ją z budynku. Jest mała i cienka, to żaden problem. Chwileczkę, czy książki mają elektroniczne zabezpieczenia chroniące przed kradzieżą?

Caleb był zbulwersowany.

- Boże, kobieto, to białe kruki. Umieszczanie w nich takiego byłoby świętokradztwem.

- Tak, tak. Zdaje się, że ktoś już się go dopuścił, znacząc litery. Dobrze, w takim razie po prostu pożyczę ją na jakiś czas.

- Pożyczysz? Ta książka jest własnością Biblioteki Kongresu!

- Caleb, bo cię palnę. Zabieram książkę. - Zaczął protestować, ale nie dała mu dojść do słowa. - To może mieć coś wspólnego ze śmiercią Jonathana. Jeśli tak, nie obchodzą mnie obowiązujące tu zasady. Chcę poznać prawdę o jego śmierci. Byłeś jego przyjacielem. Ty nie chcesz wiedzieć?

Caleb szybko ochłonął i odparł:

- Tak, chcę. Ale wyniesienie stąd książki nie będzie łatwe. Musimy sprawdzać torby ludzi, którzy wychodzą z czytelnicy. Oczywiście mogą udawać, że przeszukuję twoją, ale strażnicy też do nich zagląдают i są bardzo dokładni.

- Jak powiedziałam, nie będzie problemu. Wieczorem przyniosę ją do Olivera. Czeka tam na mnie po pracy. Oliver robi wrażenie człowieka, który potrafi to wszystko zrozumieć.

- Co masz na myśli? Jasne, ma pewne umiejętności i wiedzę, która nieco odbiega od zwyczajnej, ale tajne szyfry? To dobre dla szpiegów.

- Wiesz, jak na kogoś, kto tyle czasu spędza wśród książek jesteś prawdziwym ciemniakiem!

- To bardzo obraźliwa i niegrzeczna uwaga - obruszył się Caleb.

- I dobrze, taka miała być - warknęła. - Daj mi kawałek taśmy klejącej,

- Taśmy? Po co?

- Nie pytaj, tylko przynieś.

- Niechętnie poniósł taśmę z podręcznego schowka.

- Odwróć się - poleciała.

- Co?

Odwróciła go, podciągnęła spódnicę do pasa, przyłożyła broszurę do wewnętrznej strony uda i przykleiła ją taśmą.

- Będzie się trzymać, chociaż odrywanie nie będzie zabawne.

- Powiedz mi tylko, że nie zniszczysz książki - przykazał surowo. - To ważny fragment historii.

- Odwróć się i sam zobacz.

Odwrócił się, zobaczył książkę, a także odsłonięte jasne uda pod wąskim paseczkiem majtek, i głośno wciągnął powietrze.

- Calebie, książka będzie tu bardzo szczęśliwa, nie sądzisz? - zapytała gardłowym głosem.

- Ani razu w ciągu długich lat pracy w tej czcigodnej instytucji... - zaczął drżącym głosem, ale nie oderwał oczu od jej nóg. Serce łomotało mu w piersi.

Annabelle powoli opuściła spódnicę i uśmiechnęła się szelmowsko.

- A tobie podobała się każda chwila. - Trąciła go biodrem, gdy przechodziła. - Do zobaczenia u Olivera, ogierze!

## ROZDZIAŁ 54

Po niezapomnianym przedstawieniu, jakie dała Annabelle Caleb w końcu doszedł do siebie na tyle, że mógł przynajmniej udawać, iż pracuje. Jakiś czas później do jego biurka podszedł Kevin Philips.

- Możesz wyjść na chwilę? - zapytał cicho. Caleb wstał.

- Jasne, a o co chodzi?

Philips z zatroskaną miną wyjaśnił szeptem:

- Za drzwiami jest policja. Chcą z tobą pogadać.

Caleb natychmiast poczuł, że jego narządy przestają funkcjonować, choć umysł gorączkowo wymyślał katastroficzne powody przybycia gliniarzy. Czyżby ta diablica wpadła z książką przylepioną pomiędzy udami i sypnęła go, podając za współnika? A może Jewell English odkryła, co się stało, i zgłosiła władzom kradzież okularów, a okoliczności jednoznacznie wskazały, że maczał w tym palce? Czy on, Caleb Shaw, usmaży się na krześle elektrycznym?

- Calebie, zechcesz wstać i pójść ze mną?

Caleb spojrzał na Philipsa i zrozumiał, że zamiast na krześle usiadł na podłodze.

Pozbierał się, błady na twarzy, i powiedział z takim zdziwieniem, na jakie mógł się zdobyć:

- Ciekawe, czego ode mnie chcą? - Dobry Boże, niech to będzie więzienie o złagodnym rygorze.

Na zewnątrz Philips przekazał go policji reprezentowanej przez dwóch detektywów w workowatych garniturach, a potem się zmył. Caleb żałośnie popatrzył za nim. Policjanci mieli nieodgadnione miny. Zaprowadzili go do pustego biura. Szli powoli, gdyż Caleb miał kłopoty z koordynacją ruchów. Nie mógł się nawet odezwać, bo zaschło mu w ustach. Czy w więzieniach wciąż mają biblioteki? Czy będzie musiał zostać cwelem?

Roślejszy z dwóch mężczyzn zaparkował tyłek na biurku. Caleb stał sztywno pod ścianą, czekając na wygłoszenie formułki aresztowania, chłód kajdanków, koniec przyzwoitego życia. Od bibliotekarza do zbrodniarza, zdumiewająco szybki upadek. Drugi policjant wsunął rękę do kieszeni i wyjął klucze.

- Od domu DeHavena, panie Shaw. - Caleb wyciągnął drżącą rękę. - Zabraliśmy je pańskiemu przyjacielowi Reubenowi Rhodesowi.

- Nie nazwałbym go przyjacielem, prędzej przygodnym znajomym - wybuchnął Caleb. Detektywi wymienili spojrzenia. Wielki powiedział:

- Tak czy siak, chcieliśmy pana powiadomić, że został zwolniony za kaucją.

- Czy to znaczy, że już nie jest podejrzany?

- Nie. Ale sprawdziliśmy jego wersję i pańską. Na razie na tym poprzestaniemy.

Caleb wbił oczy w klucze.

- Mogę iść do domu czy to zabronione?

- Zakończyliśmy poszukiwanie dowodów w rezydencji DeHavena, więc może pan tam pójść. Ale na wszelki wypadek proszę się trzymać daleko od strychu.

- Chcę sprawdzić księgozbiór. Jestem wykonawcą testamentu.

- Prawnicy nam powiedzieli.

Caleb strzelił oczami na boki.

- Więc jestem wolny?

- Chyba że ma pan coś do powiedzenia - zachęcił wielki. Caleb spojrzał w przestrzeń pomiędzy nimi.

- Uch... Powodzenia w śledztwie?

- Zgadza się. - Detektywi wyszli, zamykając aa sobą drzwi.

Caleb stał przez chwilę oszołomiony i niezdolny uwierzyć w ogrom swojego szczęścia. Nagle zrobił zaintrygowaną minę. Dlaczego wypuścili Reubena? I dlaczego jak gdyby nigdy

nic oddali mu klucze do domu Jonathana? Czy to podstęp? Czy już teraz czekali przed biurem, żeby zgarnąć go za kradzież kluczy albo próbę ucieczki? Wiedział, że takie skandaliczne rzeczy naprawdę się zdarzają; oglądał kablówkę.

Bardzo powoli otworzył drzwi i wyjrzał. Korytarz był pusty. Biblioteka wyglądała normalnie. Nic nie wskazywało na to, że gdzieś czają się antyterrorysty. Caleb odczekał jeszcze parę minut, ale nic się nie stało. Nie mógł tego pojąć. Nagle uświadomił sobie, że usilnie pragnie zrobić jedną rzecz. Wyszedł wcześniej z pracy, żeby uniknąć korków, jak najszybciej pojechał do domu DeHavena i zbiegł do skarbca. Podszedł prosto do małego sejfu za obrazem. Wystukał kod i otworzył drzwiczki. Jego organizm znów zaczął się wyłączać. Psalterza *Bay* nie było.

\* \* \*

Kiedy wieczorem zebrali się u Stone'a, dołączył do nich niedawno zwolniony Reuben. Gdy wszyscy mu pogratulowali, Stone napisał na kartce: „Wolę tutaj nie rozmawiać”. Potem dodał szereg instrukcji, podczas gdy pozostali gawędzili beztrudnie.

Pół godziny później Milton i Caleb wyszli z domu. Dwadzieścia minut po nich odszedł Reuben z Annabelle. Godzinę po zmroku światła w domku zgasły. Po trzydziestu minutach Stone przeczołgał się przez wysoką trawę do obniżenia za dużym kamiennym nagrobkiem. Była tutaj wyrwa w ogrodzeniu z kutego żelaza, przez którą opuścił cmentarz.

Jakiś czas kluczył po starej części Georgetown i wreszcie spotkał się z przyjaciółmi w alejce. Otworzył drewniane drzwi za kontenerem na śmieci i kazał im wejść. Zamknął drzwi i zapalił światło. Żarówka była słaba, choć w pomieszczeniu bez okien nie miało to znaczenia. Rozlokowali się na koślawych krzesłach i drewnianych skrzyniach. Annabelle rozejrzała się po wilgotnym, brudnym wnętrzu i zażartowała:

- Wiesz, jak rozerwać kobietę. Czy można tu urządzić przyjęcia?
- Wysłuchajmy twojego raportu - powiedział Stone.

Po paru minutach wszyscy wiedzieli o odkryciu dokonany w bibliotece. Caleb siedział w nietypowym dla siebie milczeniu. Annabelle podała Stone'owi okulary i książkę.

- Masz rację, to wygląda na szyfr - powiedział, gdy przyjrzał się literom.
- Kto umieszcza szyfry w książkach bibliotecznych? - zapytała Annabelle.

Milton założył okulary i zaczął czytać. Reuben pogładził brodę.

- Czy to ma związek ze śmiercią Behana? Miał do czynienia z obroną i wywiadem. Bóg tylko wie, ile szpiegów działa w tych sektorach.

Stone pokiwał głową.

- Być może to trafny domysł, choć sądzę, że sprawa sięga jeszcze głębiej. - Wyjaśnił, czego się dowiedzieli w Klubie Federalistów i rozmawiając z Dennisem Warrenem.

- Więc ten Albert Trent pracuje w komisji wywiadu - powiedziała Annabelle. - Co to znaczy?

- To znaczy, że ma dostęp do tajemnic wartych sprzedaży, tyle ci powiem - odparł Reuben. - Kiedy pracowałem w Agencji Wywiadu Obronnego, wciąż zdawaliśmy sprawozdania na Kapitolu. Wszyscy członkowie komisji wywiadu i ich pracownicy muszą mieć poświadczenia bezpieczeństwa zapewniające dostęp do ściśle tajnych informacji.

- Ale szpiegdy słyną z tego, że nie wszystko mówią Kongresowi - odezwał się Milton, przeglądając książkę. - Czy Trent może mieć informacje na tyle cenne, żeby móc je sprzedać?

- Pamiętaj, kiedyś pracowałem w CIA - zaznaczył Stone.

- Może nadal ma tam kontakty? Do licha, nie tylko tam. CIA, NSA, FBI plus cała reszta alfabetu - skomentował Reuben. - Mógłby otworzyć sklep dla szpiegów.

- Ale jak powiązać kreta pokroju Trenta z tajnymi szyframi w starych książkach?- zapytała Annabelle, zmieniając pozycję na starym krześle, żeby potrzeć obolałe udo, z którego wcześniej zdarła taśmę.

- Nie wiem - przyznał się Stone.- Musimy lepiej poznać tę Jewell English. Jeśli pęknie, może zdołamy dotrzeć do źródła. Z pewnością już wie, że okulary znikły.

- Jeśli pęknie? - wykrzyknął Reuben. - Oliverze, nie możemy łamać jej kołem, dopóki nie zacznie mówić.

- Ale możemy iść do FBI, pokazać książkę i okulary, przedstawić nasze teorie i pozwolić im się tym zająć - zaproponował Stone.

- Teraz mówisz do rzeczy. Im dalej będziemy się od nich trzymali, kimkolwiek są, tym lepiej.

Stone popatrzył na Caleba, który dotąd nie powiedział słowa i siedział niepokieszony w kącie.

- Calebie, co się stało?

Pulchny bibliotekarz nabrał powietrza w płuca, ale nikomu nie chciał spojrzeć w oczy.

- Calebie, przepraszam, jeśli dziś byłem dla ciebie niemiła - powiedziała zatroskana Annabelle. - Naprawdę świetnie się spisałeś. - Zagryzła usta, gdy dokończyła kłamstwo. Pokręcił głową.

- Masz rację, w ogóle nie radzę sobie z tym, co wy robicie. Ale nie o to chodzi.

Więc o co? - zapytał Stone niecierpliwie.

Caleb odetchnął głęboko i podniósł głowę.

- Dzisiaj do biblioteki przyszli policjanci. Dali mi klucze do domu Jonathana. Od razu pojechałem sprawdzić kolekcję. - Urwał, zerknął na Annabelle, pochylił się i szepnął Stonesowi do ucha: - *Bay* został skradziony.

Stone zamarł. Milton i Reuben wbili oczy w Caleba.

- Tylko nie mów, że chodzi o książkę- powiedział Milton, a Caleb żałośnie pokiwał głową.

- Słuchajcie, jeśli pięcioro to tłum, zawsze mogę odejść - wtrąciła urażona Annabelle. - Książki w zasadzie mnie nie interesują.

- Jak to możliwe? - zapytał Stone, podnosząc rękę, żeby ją zatrzymać.

- Nie wiem - odparł Caleb. - Trzeba znać szyfr, żeby wejść do skarbca i otworzyć sejf. Ani jedne drzwi, ani drugie nie zostały wyłamane.

- Ktoś jeszcze zna szyfry? - zapytał Reuben.

- Nie jestem pewien.

- Na pewno prawnik - powiedział Stone. - Miał klucze i szyfr do skarbca. Mógł zapisać kombinację, zanim ci ją przekazał, i zrobić duplikat klucza.

- Zgadza się, o tym nie pomyślałem. Ale co z sejfem? Przecież nie miał kombinacji.

- Ty ją odgadłeś, on też mógł. Wcale nie była trudna. Jeśli prawnik dobrze znał Jonathana i odwiedzał go w czytelnicy, też mogło mu to przyjść do głowy. A może Jonathan podał mu kod, a on z jakiegoś powodu nie przekazał go tobie?

- Ale jeśli zamierzał ukraść książkę, dlaczego nie zrobił tego przed spotkaniem ze mną? W ten sposób nie miałbym pojęcia, że w ogóle tam była.

Stone nie krył zaskoczenia.

- To prawda. Chociaż nadal nie sądzę, żeby książka miała związek z morderstwami.

Caleb jęknął.

- Pięknie, ale Vincent Pearl mnie zabije, kiedy się dowie. To miał być klejnot w koronie jego kariery. Założę się, że oskarży mnie o kradzież.

- A może on ją ukraść? - podsunął Milton, podnosząc głowę znad książki.

- Jak? Nie mógłby wejść do domu, nie miał kluczy ani nie znał kombinacji do skarbca - tłumaczył Caleb. - Poza tym dobrze wie, że tej książki nie można sprzedać bez odpowiednich

papierów. Nie zarobiłby na niej. Zostałby aresztowany, gdyby próbował.

Zapadła cisza, którą przerwał Reuben.

- Źle się stało, że książka zginęła, ale nie zapominam o głównym punkcie programu.

Jutro idziemy do FBI. Przynajmniej tyle możemy zrobić.

- A co z Jewell English? - zapytał Milton.

Caleb wyprostował ramiona. Trochę mu ulżyło, gdy podzielił się zmartwieniem.

- Jeśli przyjdzie do biblioteki, powiem jej, że znalazłem okulary.

- Do licha, jeśli jest szpiegiem, pewnie już związała z kraju - stwierdził Reuben.

- Być może jeszcze nie wie, że okulary zginęły - powiedział Stone. - Używa ich tylko do szukania zaznaczonych liter. Może poza czytelnią nie wyjmuje ich z torebki.

- Jeśli masz rację, to może podłożymy okulary, zanim zauważy ich brak - zaproponował Caleb. - W ten sposób nie nabierze podejrzeń.

- Będą nam potrzebne w czasie rozmowy z FBI, ale gdy wyłożymy nasz plan, może pozwolą nam je zwrócić i zaczną ją obserwować - powiedział Reuben. - Gdy ta English dostanie kolejny szyfr i przekaże go komuś, agenci ich nakryją.

- Dobry pomysł - pochwalił Stone.

- Wcale nie - zaprotestował Milton. - Nie możemy zabrać książki do FBI.

- Wszyscy spojrzeli na niego. Gdy rozmawiali, jeszcze raz przejrzał książkę, coraz szybciej przewracając stronicę. Zdjął okulary i podniósł ją w drżącej dłoni.

- Dlaczego? - zapytał Caleb ze złością.

Milton w odpowiedzi podał mu okulary i książkę.

- Sam zobacz.

Caleb włożył okulary. Odwrócił jedną kartkę, potem drugą i następną. Jego palce gorączkowo wertowały książkę. Zatrzasnęła ją, jego twarz wyrażała gniew zmieszany z niedowierzaniem.

Stone z oczami pełnymi niepokoju zapytał:

- Co się stało?

- Jaskrawe oznaczenia znikły - odparł Caleb powoli.

## ROZDZIAŁ 55

Stone włożył okulary i przekartkował książkę. Przesunął palcem po jednej z liter, które wcześniej były rozjaśnione. Teraz była matowa i niczym nie różniła się od innych. Zamknął książkę i z westchnieniem zdjął okulary.

- Substancja chemiczna, jakiej użyli, wyparowała po określonym czasie.

- Jak znikający atrament? - zapytał Milton.

- Trochę wyższej klasy. - Dodał ze złością: - Powinienem to przewidzieć.

- Znasz się na takich środkach? - zapytał Caleb.

- Nie znam procesu, nie. Ale to ma sens. Jeśli jesteś szpiegiem i liczysz się z tym, że okulary mogą wpaść w niepowołane ręce, po upływie danego czasu książka niczego nie zdradzi. - Popatrzył na Caleba. - Ten, kto zaznaczył litery, wiedział, że Jewell English dostanie książkę, zanim substancja przestanie działać. Jak to możliwe?

Caleb zastanawiał się przez chwilę.

- Ktoś wchodzi do skarbcza i preparuje książkę. Potem kontaktuje się z Jewell i mówi jej, o jaki tytuł ma poprosić. Jewell natychmiast przychodzi do biblioteki i składa zamówienie. Stone przyjrzał się okładce.

Znaczenie poszczególnych liter jest żmudne. Na pewno wymaga czasu.

- Ludzie wchodzą do skarbców dość często. Ale niektóre z tych wewnętrznych są rzadko używane. Gdyby jednak ktoś z personelu siedział tam przez kilka godzin, z pewnością zostałyby to zauważone.

- Może ten, kto to robi, jest naprawdę dobry i szybki, może używa jakiegoś szablonu? - podsunął Reuben.

- Kto może tam wejść po godzinach? - zapytał Stone.

Caleb miał niepewną minę.

- Do skarbcza? Niewiele osób. Dyrektor i bibliotekarz Kongresu są jedynymi, jacy przychodzą mi na myśl. Komputer jest zaprogramowany w taki sposób, żeby uniemożliwić dostęp innym ludziom, chyba że poczyni się specjalne przygotowania. Z pewnością nie jest to rzecz powszednia.

- Więc DeHaven miał dostęp do skarbcza po godzinach?

Caleb powoli pokiwał głową.

- Tak. Myślisz, że należał do szajki szpiegowskiej? I że dlatego został zabity?

Annabelle zaczęła protestować, po chwili jednak zmieniła zdanie.

- Nie wiem. - Stone wstał. - Teraz musimy działać. Calebie. Zdzwoń do Jewell English i powiedz jej, że znalazłeś okulary, które upuściła w czytelnicy. Powiedz, że je odniesiesz.

- Dzisiaj? Już dziewiąta - powiedział Caleb szybko.

- Musisz spróbować! Mamy coraz mniej czasu. Jeśli wzięła nogi za pas, musimy o tym wiedzieć.

- Oliverze, to może być niebezpieczne - zaznaczyła Annabelle. - A jeśli nie uciekła i podejrzewa, że coś się kroi?

- Caleb będzie miał podstęp. Wiem, że Milton ma w domu takie gadżety. - Gdy przyjaciel skinął głową, Stone podjął: - Milton pojedzie z nim do English, ale ukryje się na zewnątrz. Jeśli coś się stanie, wezwie policję.

- A jeśli to „coś” będzie oznaczało mój uszczerbek cielesny? - jęknął Caleb.

- Sam mówiłeś, że to leciwa niewiasta - przypomniał mu Stone. - Jakoś sobie poradzisz. Ale najprawdopodobniej jej nie zastaniesz. Jeśli mam rację, spróbuj wejść do domu i się rozejrzeć.

Caleb nerwowo ścisnął rękę.

- A jeśli nie wyjechała? A jeśli ma wielkiego goryla, który się na mnie rzuci?

Stone wzruszył ramionami.

- Wtedy faktycznie będziesz miał niefart.

Bibliotekarz poczerwieniał.

- Niefart? Łatwo ci mówić. Powiedz mi, co ty będziesz robił, gdy ja będę ryzykował życie?

- Włamię się do domu Alberta Trenta. - Stone popatrzył na Annabelle. - Wchodzisz do gry?

- Naturalnie - odparła z szerokim uśmiechem.

- A co ze mną, Oliverze? - zapytał Reuben żałośnie. Myślałem, że ja jestem twoim nieodłącznym towarzyszem.

Stone pokręcił głową.

- Niedawno zostałeś aresztowany i wciąż jesteś podejrzany. Nie możemy ryzykować. Obawiam się, że musisz to przeczekać.

- Cudownie - burknął Reuben, z frustracją klepiąc się po udach. - Wszyscy mogą się bawić, tylko nie ja.

Caleb zrobił taką minę, jakby chciał go udusić.

## ROZDZIAŁ 56

Caleb podjechał sfatygowanym autem z grzechoczącą rurą wydechową na koniec zaułka i zgasił silnik, nerwowo zerkając na Milтона. Jego przyjaciel miał przyciemnioną twarz, czarne ubranie i czapkę narciarkę, pod którą schował długie włosy.

- Boże, Milton, wyglądasz jak chłopiec z plakatu „Przestępcy są wśród nas”.

- Standardowy strój inwigilacyjny. Jak podsłuch?

Caleb potarł ramię pod marynarką, gdzie Milton umieścił urządzenie podsłuchowe. Z tyłu pod paskiem miał akumulatorowy zestaw zasilania.

- Swędzi jak cholera, a przez tę baterię mam tak ciasne spodnie, że ledwo mogę oddychać.

- Pewnie to tylko nerwy - pocieszył go Milton.

Caleb spojrział na niego wściekle.

- Tak sądzisz? - Wysiadł z samochodu. - Sprawdź, czy masz dziewięćset jedenaście na szybkim wybieraniu, włamywaczu.

- Przyjąłem - odparł Milton, lustrując teren przez noktowizor. Zabrał również aparat fotograficzny i paralizator.

Wcześniej Jewell English odebrała telefon od Caleba i sprawiała wrażenie zadowolonej, że znalazł jej okulary. Zgodziła się z nim spotkać pomimo późnej pory.

- Niewiele śpiam - powiedziała przez telefon. - Ale mogę być w koszuli nocnej - dodała dziewczęcym głosem.

- To miło - wymamrotał Caleb.

Po drodze przyglądał się sąsiednim domom. Były stare, ceglane, z szablonowo urządzonymi ogródkami i ciemnymi oknami. Wystraszył się kota, który przemknął przez trawnik. Odetchnął głęboko parę razy i mruknął:

- To tylko starsza pani, która zgubiła okulary. Tylko starsza pani, która zgubiła okulary. Tylko starsza pani, która być może jest szpiegiem i na pewno ma pomagierów gotowych poderżnąć mi gardło. - Obejrzał się w stronę samochodu. Nie zobaczył Milтона, ale założył, że jest zajęty fotografowaniem podejrzanego rudzika, który przycupnął na gałęzi.

W domu Jewell paliły się światła. Widział firanki w oknach, a przez największe zobaczył salon z malowanym konunkiem, na którym stały bibeloty i starocie. Pod zardzewiałą wiatą nie było samochodu. Pomyślał, że Jewell już nie prowadzi albo oddała wóz do warsztatu. Jej trawnik był starannie przystrzyżony, a frontu domu strzegły dwa krzewy róż. Zadzwoił do drzwi i czekał. Nikt się nie zjawił. Zadzwoił znowu. Nie usłyszał kroków. Rozejrzał się. Ulica była pusta, cicha. Może zbyt cicha, jak to bywa w filmach, a zaraz potem zostaniesz zastrzelony, zadżgany albo zjedzony.

Telefonował do niej nieco ponad godzinę temu. Co mogło się stać w tym czasie? Może nie usłyszała dzwonka? Zapukał do drzwi.

- Jewell? - powtórzył głośnie. Podskoczył, gdy gdzieś zaszczekał pies. Nie w domu, pewnie kundel sąsiada. Zapukał mocniej i drzwi się otworzyły.

Odwrócił się, gotów do ucieczki. Nigdy, ale to nigdy nie wchodzi do domu, gdy drzwi otwierają się same. Następny płynący z bliska dźwięk sprawił, że serce podeszło mu do gardła.

- Caleb?

Skulił się ze strachu i chwycił poręcz, żeby nie wpaść w krzaki.

- Caleb! - powtórzył nagłaco głos.

- Co? Kto? Dobry Boże! - Obracał się gorączkowo, próbując zobaczyć, kto go woła, jego stopy ślizgały się po wilgotnym betonie. Zakręciło mu się w głowie tak bardzo, że dostał mdłości.

- To ja, Milton.

Caleb zamarł w półprzysiadzie, z rękami przyciśniętymi do ust, desperacko powstrzymując się od wyrzygnięcia kolacji na pachnące róże.

- Milton?

- Tak!

- Gdzie jesteś? - syknął.

- W samochodzie. Mówię do ciebie przez radio. To urządzenie podsłuchowe i komunikacyjne.

- Czemu, do cholery, mi nie powiedziałeś?

- Mówiłem. Pewnie zapomniałeś. Wiem, że jesteś w stresie.

- Dobrze mnie słyszysz? - wycedził Caleb przez zaciśnięte zęby.

- Tak, bardzo wyraźnie.

Gdyby najwulgarniejszy raper świata usłyszał słowa, jakie eksplodowały z ust statecznego bibliotekarza, scedowałoby na niego swój tytuł mistrza bluzgów.

Po eksplozji zapadła cisza. Wreszcie oszołomiony Milton powiedział:

- Jak rozumiem, jesteś trochę zdenerwowany.

- A żebyś wiedział! - Caleb odetchnął głęboko, siłą woli zmuszając kolację do pozostania w żołądku. Podniósł się wolno i wyprostował plecy, ale jego biedne serce wciąż kołatało. Przysięgł sobie, że jeśli teraz powali go zawał, to wróci i będzie straszył tego technomaniaka do ostatniej sekundy życia.

- Słuchaj, nie odpowiada. Zapukałem i drzwi się otworzyły. Co mam zrobić?

- Ja bym się zmył - odparł Milton bez namysłu.

- Miałem nadzieję, że to powiesz. - Caleb zaczął tyłem schodzić po schodach, bo bał się, że coś skoczy na niego z domu. Nagle się zatrzymał. A jeśli Jewell leży w łazience ze złamanym biodrem albo atakiem serca? Na przekór dowodom nie wierzył, że ta miła pani, entuzjastyczna miłośniczka książek, jest zamieszana w aferę szpiegowską. A jeśli tak, to tylko jako niewinna ofiara czyichś manipulacji.

- Caleb? Wracasz?

- Nie - warknął. - Myślę.

- O czym?

- Czy nie wejść i nie sprawdzić, czy coś się jej nie stało.

- Iść z tobą?

Zawahał się. Milton ma paralizator. Jeśli Jewell jest szpiegiem i rzuci się na nich z tasakiem, dadzą jej porządną nauczkę.

- Nie, zostań. Jestem pewien, że to nic poważnego. - Caleb pchnął drzwi i wszedł do domu. W saloniku nikogo nie zastał, mała kuchnia też była pusta. Na kuchence stała patelnia z plasterkami cebuli i czymś, co wyglądało na mieloną wołowinę, w powietrzu unosił się aromat potrawy. W zlewku leżał brudny talerz, kubek i widelec. Wracając przez pokój, Caleb uzbroidł się w ciężki mosiężny świecznik i ruszył powoli korytarzem. Dotarł do łazienki i zajrzał. Kłapa sedesu była opuszczona, zasłonka prysznicowa odciągnięta. Na szczęście w wannie nie leżały zakrwawione zwłoki. Nie zajrzał do apteczki z lustrem głównie dlatego, że nie chciał zobaczyć swojej przerażonej twarzy.

W pierwszej sypialni stała szafka pełna ręczników i pościeli.

Został tylko jeden pokój. Caleb podniósł świecznik nad głowę i nogą otworzył drzwi. Światło było zgaszone i minęła chwila, zanim jego oczy przystosowały się do mroku. Powietrze uciekło mu z płuc. Okrycie łóżka było wyrzucone.

- Ktoś leży na łóżku - szepnął. - Ma zakrytą twarz.

- Żyje? - zapytał Milton.

- Nie wiem, ale czemu miałyby spać z zakrytą twarzą?

- Wezwać policję?

- Zaczekaj chwilę.



Z pokojem sąsiadowała niewielka garderoba. Caleb stanął pod ścianą trzymając świecznik w pogotowiu. Pchnął nogą uchylone drzwi i odskoczył. Zobaczył wieszaki z ubraniami, ani śladu mordercy.

Wrócił do łóżka. Serce biło mu tak mocno, że się zastanowił, czy Milton nie powinien wezwać karetki specjalnie dla niego. Popatrzył na drżące ręce.

- W porządku, trup nie zrobi ci krzywdy. - A jednak nie chciał jej oglądać, nie w takim stanie. Nagle coś zrozumiał. Jeśli ją zabili, to on był po części odpowiedzialny, bo pomógł zabrać jej okulary i wystawił ją na cel. Ta ponura myśl go przygnębiła, ale też nieco uspokoiła.

- Przepraszam, Jewell, jeśli nawet byłaś szpiegiem - mamrotał z powagą. Chwycił okrycie i pociągnął.

Spojrzał na niego martwy mężczyzna, Norman Janklow, wielbiciel Hemingwaya i przekleństwo Jewell English w czytelnym dziele rzadkich.

## ROZDZIAŁ 57

Albert Trent mieszkał z starym domu z szeroką werandą, daleko od wiejskiej drogi w zachodniej części hrabstwa Fairfax.

- Codzienne dojazdy do stolicy to dla niego prawdziwa wyprawa - zauważył Stone, gdy przez lornetkę zlustrował okolicę. Annabelle, ubrana w czarną bluzę z kapturem, kuciała obok niego za kępą strzelistych brzoź. Oliver miał mały plecak.

- Jest w domu?

Pokręcił głową.

- Nie widzę świateł, ale garaż jest zamknięty, więc nie wiadomo, czy stoi w nim samochód.

- Facet związany z wywiadem pewnie ma system alarmowy.

Stone pokiwał głową.

- Zdziwiłbym się, gdyby nie miał. Musimy wyłączyć alarm przed wejściem.

- Wiesz, jak to się robi?

- Jak kiedyś powiedziałem Reubenowi, gdy zadał mi podobne pytanie, biblioteka jest otwarta dla wszystkich.

W zasięgu wzroku nie było innego domu, ale mimo to podeszli od tyłu, żeby nikt ich nie zauważył. Najpierw się czołgali, potem na czworakach zeszli po łagodnym zboczu.

Zatrzymali się dwadzieścia metrów od domu i Stone przeprowadził rozpoznanie. Dom miał wysokie podpiwniczenie i drewniany taras. Na tyłach też nie paliły się światła. Ponieważ w okolicy nie było latarni ulicznych, noktowizor pracował optymalnie. Przez szkła z warstwami antyrefleksyjnymi Stone zobaczył w zielonej mgiełce wszystko, co potrzeba.

- Nie dostrzegłem ruchu, ale lepiej zadzwoń - powiedział. Milton znalazł w sieci domowy telefon Trenta; pewnie nawet biedna Agencja Bezpieczeństwa Narodowego nie w pełni zdawała sobie sprawę, jakim zagrożeniem dla prywatności Ameryki jest Internet.

Annabelle zadzwoniła z komórki. Po czterech sygnałach zgłosiła się poczta głosowa. Wysłuchali, jak męski głos prosi o nagranie wiadomości.

- Wygląda na to, że nasz szpieg buszuje gdzieś po nocy - powiedziała. - Masz broń?

- Nie mam. A ty?

Pokręciła głową.

- Nie bawi mnie to.

- I dobrze, bo to nic zabawnego.

- Mówisz tak, jakbyś wiedział z doświadczenia.

- Nie pora na wymianę opowieści o życiu.

- Wiem, po prostu przygotowuję grunt na lepszy czas.
- Sądzę, że długo tu nie zostaniesz.
- Nie sądziłam, że w ogóle zostanę. Nigdy nic nie wiadomo.
- Dobra, puszka z przyłączem linii telefonicznej wisi na fundamencie pod tarasem.

Idziemy, cicho i powoli.

Gdy podkradli się do domu, gdzieś w oddali zarżał koń. W okolicy było sporo małych rodzinnych farm, choć wciąż ich ubywało. Pochłaniała je kolosalna machina budownictwa mieszkaniowego, która z oszałamiającą prędkością wypluwała domy jednorodzinne, bloki mieszkalne, rezydencje i pałace. Mijając kilka farm w drodze do domu Trenta, widzieli stajnie, bele siana, wybiegi i wielkie stworzenia skubiące trawę. O obecności koni świadczyły kupki nawozu na jezdni. Stone o mało nie wdepnął w łajno, wysiadając z wynajętego wozu Annabelle.

Podeszli do puszki telefonicznej. Stone przez pięć minut oceniał podłączony do niej system alarmowy. Rozbrojenie alarmu zajęło mu tyle samo czasu. Kiedy przepiął ostatni przewód, powiedział:

- Spróbujmy otworzyć to okno na prawo. W drzwiach pewnie są zasuwy. Mam narzędzie, żeby je wyłamać, ale zaczniemy od miejsca najmniejszego oporu.

Okazało się, że okno jest zabite gwoździami.

Zaczęli sprawdzać inne i wreszcie znaleźli takie, które było zabezpieczone zwyczajnymi kołkami. Stone wyciął krążek szyby, wyciągnął kołki i otworzył okno od środka. Minutę później skradali się korytarzem w kierunku pomieszczenia, które wyglądało na kuchnię. Stone oświetlał drogę latarką.

- Ładne miejsce, ale facet musi być minimalistą - zauważyła Annabelle. Trent miał spartański gust: tu krzesło, tam stół. Kuchnia była pusta.

- Jest kawalerem, pewnie stołuje się poza domem.

- Skąd chcesz zacząć?

- Zobaczymy czy ma jakiś gabinet. Większość stołecznych biurokratów zabiera pracę do domu.

Znaleźli gabinet umeblowany równie oszczędnie jak reszta domu. Nie zobaczyli żadnych papierów czy teczek. Na kredensie za biurkiem stało kilka zdjęć. Stone wskazał jedno. Przedstawiało wielkiego niczym niedźwiedź mężczyznę o szerokiej twarzy z białymi włosami i gęstymi siwymi brwiami. Stojący obok niego niższy, chuderlawy facet miał łysinę przysłoniętą pasemkami włosów, chytre oczy i podejrzliwą minę.

- Ten wielki to Bob Bradley. Obok stoi Trent.

- Trent wygląda jak mała łasica. - Annabelle zeszywniała. - Co to za brzezienie?

- Cholera, mój telefon. - Stone odpiął komórkę i spojrzał na ekran. - To Caleb. Ciekawe co znaleźli.

Nie miał okazji usłyszeć.

Ogłuszył go mocny cios w tył głowy.

Annabelle krzyknęła, a chwilę później silna dłoń zakryła jej usta i nos wilgotnym rącznikiem.

Gdy po wciągnięciu chemicznych oparów osuwała się na podłogę, jej spojrzenie padło na lustro wiszące po drugiej stronie pokoju. Zobaczyła dwóch mężczyzn w czarnych maskach. Jeden trzymał ją, drugi stał nad Oliverem. A za nimi zobaczyła trzeciego. Był to człowiek ze zdjęcia, Albert Trent. Uśmiechał się, nieświadomy, że widzi jego odbicie. Chwilę później zatrzepotała powiekami, zamknęła oczy i straciła przytomność.

Zgodnie z instrukcjami Rogera Seagravesa jeden z mężczyzn zdjął zegarek z ręki Annabelle. Seagraves już miał koszulę Stone'a. Nie on miał zabić tych dwoje, ale zaplanował ich śmierć, co spełniało jego kolekcjonerskie kryteria. Zależało mu zwłaszcza na dodatku

należącym do Potrójnej Szóstki, pierwszym w jego kolekcji. Zamierzał umieścić koszulę na honorowym miejscu.

## ROZDZIAŁ 58

Annabelle pierwsza odzyskała przytomność. Gdy skupiła wzrok, ujrzała dwóch mężczyzn. Jeden stał na drabinie, drugi coś mu podawał. Leżała ze związanymi rękami i nogami na zimnej betonowej posadzce. Na wprost widziała Stone'a. Oczy miał zamknięte. Nagle zatrzepotał powiekami. Kiedy ją zobaczył, wskazała mu wzrokiem dwóch mężczyzn. Ani ona, ani on nie zostali zakneblowani, ale zachowali milczenie, nie chcąc informować porywaczy, że odzyskali przytomność.

Stone gdy się rozejrzał, poczuł skurcz w brzuchu. Przetrzymano ich w magazynie Fire Control. Zmrużył oczy, żeby przeczytać napis na butli, którą zajmowali się mężczyźni. Butla wisiała na łańcuchach pod stropem, dlatego korzystali z drabiny.

- Dwutlenek węgla, pięć tysięcy na milion - powiedział bezgłośnie do Annabelle, która próbowała go zrozumieć.

Chcieli zabić ich w taki sam sposób, w jaki załatwili Jonathana DeHavena.

Stone rozejrzał się gorączkowo, szukając czegoś, czym mógłby przeciąć więzy. Prawdopodobnie nie będą mieli dużo czasu, gdy mężczyźni wyjdą, a gaz wystrzeli z cylindra i obniży stężenie tlenu, skazując ich na śmierć przez uduszenie.

Wypatrzył potrzebne narzędzie, a zaraz potem mężczyźni zakończyli pracę.

Powinno zadziałać - powiedział jeden, schodząc z drabiny.

Gdy stanął w świetle, Stone go rozpoznał. Był to brygadzysta grupy, która zabrała butle z biblioteki.

Gdy mężczyźni spojrzeli w ich stronę, Stone natychmiast zamknął oczy. Widząc to, Annabelle zrobiła to samo.

- Dobra, nie traćmy czasu - dodał brygadzysta. - Gaz popłynie za trzy minuty, wynośmy się stąd.

- Gdzie ich wyrzucimy? - zapytał drugi.

- Gdzieś naprawdę daleko. Ale jeśli nawet ktoś ich znajdzie, to będzie bez znaczenia, bo gliny nie dojdą przyczyny śmierci. I to jest piękne w tej metodzie.

Zabrali drabinę i odeszli. W chwili gdy zamknęli za sobą drzwi, Stone usiadł i na pośladkach przysunął się do warsztatu. Podniósł się, złapał ze stołu nóż tapicerski, klapnął na posadzkę i wrócił do Annabelle.

- Szybko, weź nóż i przetnij moje sznury - szepnął. - Pośpiesz się! Mamy niecałe trzy minuty.

Leżąc plecami do niego, Annabelle zaczęła piłować jak tylko mogła najszybciej w tej niewygodnej pozycji. Kiedy trafiła ostrzem w ciało, Stone jęknął z bólu, ale powiedział:

- Tnij, nie przejmuj się tym. Szybko! Szybko! - Wbijał oczy w wiszącą butlę. Widział coś, czego nie mogła zobaczyć Annabelle. Na butli znajdował się zegar i sekundy szybko mijały.

Annabelle miała wrażenie, że za chwilę ręce wyskoczą jej ze stawów. Pot zalewał jej oczy.

Wreszcie Stone poczuł, że sznur się rozluźnia. Została minuta. Rozsunął ręce, zapewniając jej więcej miejsca. Annabelle cięła jeszcze raz i sznur spadł na podłogę. Stone usiadł, rozwiązał więzy na nogach i poderwał się z posadzki. Nie próbował dosięgnąć butli. Wisiała za wysoko, a gdyby nawet dosięgnął i wykombinował, jak wyłączyć zegar, ludzie za drzwiami poznaliby, że coś jest nie w porządku, gdyby nie usłyszeli syku gazu. Złapał butlę z

tlenem i maskę, którą widział w czasie poprzedniej wizyty, i podbiegł do Annabelle. Mieli trzydzieści sekund.

Złapał ją za związane ręce i pociągnął w kąt za stertą sprzętu, Okrył ich plandeką, przysunął głowę do głowy Annabelle i przekręcił zawór. Cichy syk i lekki podmuch świadczyły, że butla jest pełna.

Chwilę później usłyszeli niezbyt głośny wybuch, a potem ryk wodospadu, Szum trwał przez dziesięć długich sekund, dwutlenek węgla wypływał tak gwałtownie i szybko, że w jednej chwili wypełnił całe pomieszczenie, Gdy nastąpił „efekt śniegu” i temperatura drastycznie spadła, Stone i Annabelle zaczęły dygotać, Oddychali głęboko tlenem. Jednak na skrajach życiodajnego strumienia Stone wyczuwał ssanie atmosfery, która była znacznie bliższa księżycowej niż ziemskiej. Wdzierała się pod brezent, wysysając cząsteczki tlenu, ale on mocno przyciskał maskę do ich twarzy. Annabelle przytuliła się do niego z siłą, jaką daje tylko skrajne przerażenie.

Pomimo zapasu tlenu Stonesowi coraz bardziej plątały się myśli. Czuł się jak pilot odrzutowca, który wzbija się w niebo, siła grawitacji napierała mu na twarz, grożąc urwaniem głowy. Mógł tylko wyobrażać sobie koszmar, jakiego doświadczył Jonathan DeHaven w ostatnich chwilach życia.

Ryk ucichł równie nagle, jak się zaczął. Annabelle chciała odsunąć maskę, ale ją powstrzymał.

Poziom tlenu wciąż jest niski - szepnął. - Musimy poczekać.

Wreszcie usłyszeli szum startującego wentylatora. Mijały sekundy. Stone przez cały czas wpatrywał się w drzwi. Wreszcie odsunął maskę od twarzy. Powstrzymał Annabelle, gdy chciała zrobić to samo. Ostrożnie odetchnął raz i drugi. Odrzucił plandekę, wziął Annabelle na ręce i zaniósł dokładnie w miejsce, w którym leżała wcześniej. Poruszając się jak najciszej, złapał prawie pustą butlę z tlenem i stanął za drzwiami,

Nie musiał długo czekać. Minutę później drzwi się otworzyły i wszedł pierwszy mężczyzna. Stone czekał. Kiedy zobaczył drugiego, zamachnął się i uderzył go butlą w głowę, miażdżąc kości czaszki. Mężczyzna runął jak ścięte drzewo.

Pierwszy się odwrócił, wrywając pistolet zza pasa. Butla trafiła go prosto w czoło. Mężczyzna zatoczył się na warsztat i przymocowane do niego imadło. Wrzasnął z bólu i sięgnął rękami do zranionych pleców, gdy krew zalewała mu twarz. Stone zamachnął się jeszcze raz i uderzył go butlą w skroń. Gdy upadł na podłogę, rzucił butlę i rozwiązał Annabelle. Stała na drżących nogach i popatrzyła na dwóch zmasakrowanych mężczyzn,

- Przypomnij mi, żebym cię nigdy nie wkurzała - powiedziała. Była bardzo blada.

- Chodźmy, zanim zjawi się ktoś inny.

Wybiegli z magazynu, wspieśli się na ogrodzenie i popędzili ulicą, Trzy minuty później musieli się zatrzymać. Dyszeli ciężko, strużki potu spływały po ich brudnych twarzach. Zaczerpnęli kilka haustów świeżego powietrza i znów biegli, aż nogi odmówiły im posłuszeństwa. Przykucnęli pod ceglana ścianą budynku, który wyglądał na magazyn.

Zabrali mój telefon - powiedział Stone, łapczywie chwytając powietrze. - Nawiasem mówiąc, jestem za stary na takie harce. Poważnie.

- Mój też... i ja też - odparła urywanie. - Oliverze, w domu widziałam Trenta. Odbicie w lustrze.

- Jesteś pewna?

Skinęła głową.

- To na pewno był on.

- Stone się rozejrzył.

- Musimy skontaktować się z Calebem albo Miltonem.

- Myślisz, że nic im nie jest?

- Nie wiem - odparł drżącym głosem. Podniósł się, wyciągnął rękę i pomógł jej wstać. Gdy ruszyli w głąb ulicy, Annabelle zwolniła i zapytała cicho;

- Tak zmarł Jonathan?

Zatrzymał się i popatrzył na nią.

- Tak. Przykro mi.

Wzruszyła ramionami, ale wytarła łzę z oka.

- Mój Boże - jej też zadrżał głos.

- Tak, mój Boże. Słuchaj, Susan, nie powinienem cię w to mieszać.

- Po pierwsze, nie mam na imię Susan.

- W porządku.

- Po drugie... zdradź mi swoje prawdziwe nazwisko, a ja powiem ci swoje.

Stone wahał się przez sekundę.

- Franklin, ale przyjaciele mówią mi Frank. A ty?

- Eleanor, przyjaciele mówią mi Ellie.

- Franklin i Eleanor? - powiedział z rozbawieniem.

- Ty zaczęłaś. - Uśmiechnęła się, choć miała łzy w oczach i drżała. - Och, Jonathanie.

Stone złapał ją za ramię, bo się zachwiała.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała. - Przecież nie widziałam tego człowieka od ponad piętnastu lat.

- To dobrze, że ci na nim zależało.

- Do tej chwili nie byłam pewna.

- Prawo tego nie zabrania.

- Zaraz dojdę do siebie. Wierz mi, przeżyłam znacznie gorsze rzeczy. - Zaczęła szlochać.

Stone przytulił ją, gdy ugięły się pod nią nogi. Oboje osunęli się na chodnik. Trzymał ją w ramionach, a ona wbijała w nie palce, mocząc łzami jego koszulę i skórę.

Pięć minut później przestała płakać. Odsunęła się od niego, otarła podpuchnięte oczy i wytarła nos rękawem.

- Przepraszam. Nigdy, naprawdę nigdy w ten sposób nie tracę panowania nad sobą.

- Płacz po stracie ukochanej osoby nie jest niczym niezwykłym.

- To nie tylko... to znaczy... ty nigdy...

Stone położył jej rękę na jej ustach i rzekł cicho:

- Nazywam się John Carr.

Annabelle spięła się i po chwili odprężyła.

- A ja Annabelle Conroy. Miło cię poznać, John. - Odetchnęła głęboko. - Uff, nieczęsto to robię.

- Podajesz prawdziwe nazwisko? Potrafię zrozumieć. Ostatnia osoba, której zdradziłem swoje, chciała mnie zabić.

Podniósł się i pomógł jej wstać. Gdy się odwrócił, złapała go za rękę.

- Dziękuję John, za... za wszystko.

Był wyraźnie zakłopotany tymi wyrazami wdzięczności, ale ona pospieszyła mu na ratunek.

- Chodźmy zobaczyć, czy Milton i Caleb nie potrzebują pomocy, dobrze?

Chwilę później znów biegli ulicą.

## ROZDZIAŁ 59

Annabelle i Stone zadzwonili ze stacji obsługi i złapali Caleba. Jeszcze nie doszedł do siebie po znalezieniu martwego Normana Janklowa, ale zdołał opowiedzieć, co się stało. Stone zadzwonił do Reubena i zaaranżował spotkanie w swojej kryjówce. Godzinę później, gdy wszyscy się zebrali, Stone i Annabelle pierwsi opowiedzieli, co ich spotkało.

- Cholera - mruknął Reuben. - Dobrze, Oliverze, że pomyślałeś o tlenie.

Potem Caleb i Milton przedstawili swoją historię. - Zadzwoniliśmy z budki na policję - powiedział Caleb na zakończenie. - Znalezienie automatu w naszym radosnym komórkowym świecie zajęło tylko pół godziny. Chwała Bogu, że pamiętałem o zabraniu świecznika. Są na nim moje odciski palców.

- Dotykałeś czegoś innego? - zapytał Stone. Caleb wyglądał na zmartwionego.

- Złapałem się poręczy na schodach. - Spojrzał wściekle na Miliona, - Bo ten technomaniak śmiertelnie mnie wystraszył. Mogłem też dotknąć czegoś więcej w domu, nie pamiętam. Szczerze mówiąc, próbowałem wytłumić te wspomnienia.

- Twoje odciski są w federalnej bazie danych?

- Jasne. - Caleb westchnął z rezygnacją. - Cóż, gliniarze przyjdą po mnie nie po raz pierwszy i wątpię, czy ostatni.

- Na czym polegał udział Normana Janklowa? - zapytał Reuben.

- Janklow mógł być szpiegiem, jak English - odparł Stone. - To oznacza, że książki, które przeglądał, też mogły zawierać tajne kody.

- A więc tylko udawali, że się nie znoszą - powiedział Caleb. - To pomagało utrzymać przykrywkę.

- Dobrze, ale dlaczego zabili Janklowa? - nie ustępował Reuben.

- Jeśli był szpiegiem, po zdemaskowaniu English siatka zaczęła pękać, więc zajęli się usuwaniem najślabszych ogniw - wysunęła przypuszczenie Annabelle. - Może zabrali dokąś English i zostawili martwego Janklowa, żeby wszystko zagmatwać.

- Powiem, że w takim razie dopięli swego - zauważył Caleb.

- Powinniśmy iść na policję - oświadczył Milton nerwowo.

- I co im powiemy? - zapytał Stone. - Znaki w książce zniknęły. I jeśli ujawnimy, że dziś omal nas nie zabili, będziemy musieli przyznać, że włamaliśmy się do domu Alberta Trenta. Jestem pewien, że już zgłosił włamanie.

Spojrzał na Annabelle.

- Jeśli nawet go widziałas, to będzie twoje słowo przeciwko jego słowu. Nie zadzwoniłem na policję po zdarzeniu w Fire Control, bo byłem pewny, że zanim tam dotrą, załatwieni przeze mnie faceci przepadną bez śladu, - Popatrzył na Caleba. - A skoro Caleb mógł zostawić odciski palców w domu Jewell English, to jeśli pójdziemy na policję, natychmiast zaczną go podejrzewać. Już mają na radarze jego i Reubena, co dodatkowo komplikuje sytuację. Władze nam nie uwierzą.

- Cholera. - Reuben zwięźle podsumował analizę Olivera. - Zatem, co mamy zrobić? - zapytała Annabelle. -

Czekać, aż po nas przyjdą?

Stone pokręcił głową.

- Nie. Caleb jutro pójdzie do pracy, jakby nic się nie stało. Śmierć dyrektora i czytelnika w tak krótkim czasie z pewnością wywoła poruszenie. Calebie, dowiedz się jak najwięcej. To pozwoli nam się zorientować, co sądzi policja. I jeśli English też zabili, może wypłyną zwłoki. - Będę sprawdzał w Internecie. To źródło najświeższych wiadomości - zadeklarował Milton. Stone kontynuował:

- Bob Bradley, Jonathan DeHaven i Norman Janklow zostali zamordowani. Sądzę, że Bradley zginął, bo zmuszał Alberta Trenta do odejścia ze sztabu komisji wywiadu. Trent nie

mógł tego zrobić, bo jeśli mam rację, wykorzystywał stanowisko do zdobywania sekretów. DeHaven został zlikwidowany, bo albo wykorzystywał czytelnię do przekazywania skradzionych tajemnic, albo wpadł na trop afery szpiegowskiej. Podobnie mogło być z Normanem Janklowem, a może on też był szpiegiem, jak English. Behan musiał umrzeć, bo odkrył, że sprzęt jednej z jego firm został użyty do zgładzenia DeHavena, i niewątpliwie badał sprawę głębiej. Trent miał w Fire Control kreta, który dał mu cynk o podejrzeniach Behana, i dlatego potentat zbrojeniowy został wyeliminowany.

- Ale jak Jonathan, Jewell English czy Norman Janklow zostali zwerbowani do szajki szpiegowskiej? - zastanawiał Caleb. - Kto w ogóle wpadł na pomysł, żeby wykorzystać czytelnię dzieł rzadkich do przekazywania zaszyfrowanych skradzionych tajemnic?

- Ha, plan był dobry choćby dlatego, że wydawał się nielogiczny. I pamiętaj, większość szpiegów wpada, ponieważ z jakiegoś powodu agenci zaczynają ich obserwować i zauważają przekazywanie materiałów, które zwykle odbywa się w publicznym miejscu. Tu mamy zaszyfrowany tekst w starych książkach. Inwigilacja jest niemożliwa. Starsi ludzie czytają stare książki i idą do domu. Nikomu nie przyjdzie na myśl, żeby ich podejrzewać.

- Ale kto i jak dostarcza do biblioteki tajemnice, które przypuszczalnie wykrada Albert Trent? - zapytał Caleb. - To nie on zaznaczył litery w książce. A Jonathan nie mógł spreparować *Beadle'a*, którego zabraliśmy z biblioteki. Już nie żył. - Zgadza się. Musimy to rozpracować. Prawdę mówiąc, ta część jest najważniejsza, ponieważ wiąże się z nią największe nadzieje na rozwiązanie całej sprawy. Jeśli Janklow, English albo DeHaven byli szpiegami, musi być na to jakiś dowód.

- Już przeszukaliśmy dom DeHavena i niczego nie znaleźliśmy - przypomniał Milton.

- A ja rozejrzałem się u Jewell - dodał Caleb. - I znalazłem tylko trupa.

Stone pokiwał głową.

- Może sprawdzenie domu Normana Janklowa da jakieś wyniki?

- Jedyne problem w tym, że jest tam pełno gliniarzy - wtrącił Reuben. - Podobnie jak u English.

- Robi się bardzo niebezpiecznie i wszyscy musimy zachować wyjątkową ostrożność. Proponuję, żebyśmy od teraz trzymali się w parach. Calebie, możesz się zatrzymać w domu Milтона, ma bardzo dobry system alarmowy. Reuben, ja zaparkuję u ciebie, ponieważ pewni ludzie wiedzą, gdzie mieszkam. - Popatrzył na Annabelle. - Możesz do nas dołączyć.

Reuben spojrział na nią z nadzieją.

- Moja chata nie jest zbyt piękna, ale mam mnóstwo piwa, chipsów i panoramiczną plazmę. I robię wyśmienite chili. Co do bezpieczeństwa, mam wredną pitbulkę, Delta Dawn, która gryzie każdego, kogo wskażę.

- Zostanę w hotelu. Będę na siebie uważała, nie martwcie się.

- Jesteś pewna? - zapytał Stone.

- Jestem pewna. Ale dzięki za propozycję. Prawdę mówiąc, jestem raczej samotnikiem.

Tak wolę - dodała, odwracając spojrzenie od Stone'a.

Po zakończeniu zebrania Stone zatrzymał ją na chwilę.

- Dobrze się czujesz?

Tak, czemu miałoby być inaczej? Po prostu kolejny dzień życia.

- Otarcie się o śmierć nie jest normalne.

- Może jest, może nie jest.

- W porządku. Gotowa do kolejnego spotkania z Albertem Trentem? - Gdy się zawahała, wyjaśnił: - Nie mam zamiaru ponownie wchodzić do jego domu. Chcę go śledzić.

- Myślisz, że nie zwiął?

Stone pokiwał głową.

- Nie mają pojęcia, co wiemy albo czego nie wiemy. Przypuszczam, że zachowają status quo, dopóki okoliczności nie podyktują zmiany. Jeśli uciekł, wszystko skończone. Jeśli

faktycznie mamy do czynienia ze szpiegami, może będą chcieli sprawdzić, czy da się uratować operację. Z pewnością ciężko pracowali, żeby ją zmontować.

- Ci ludzi się nie patyczkują, prawda?

- Ja też nie - odparł Stone.

\* \* \*

Roger Seagraves był bardzo nieszczęśliwy. Poświęcił Janklowa, żeby zaciemnić obraz i uciszyć potencjalnego świadka, a English wysłał w bezpieczne miejsce daleko od Waszyngtonu. Ponieważ dała sobie ukraść okulary i tym samym spaliła całą operację, nie wróżył jej długiego życia. Tak brzmiała dobra wiadomość. Zła mówiła, że Oliver Stone i kobieta uciekli, pozbawiając go dwóch ludzi. Potrójna Szóstka zdołał przeżyć w komorze śmierci i roztrzaskał im czaszki. Imponujące, zwłaszcza jak na kogoś, kto musi już mieć z sześćdziesiąt lat Seagraves złażał się za to, że go nie zabił, kiedy miał okazję. Sprzątnął ciała z Fire Control, ale policja kręciła się po domu English. Na szczęście kobieta nie trzymała tam niczego obciążającego, podobnie jak Janklow. Jednak idealny plan legł w gruzach.

Teraz Seagraves miał tylko jeden cel. Iść prosto do źródła i zakończyć wszystko raz na zawsze.

## ROZDZIAŁ 60

Zbudził się, przeciągnął, odwrócił i spojrzał w okno. Pogoda taka sama jak wczoraj. Słoneczna i piękna, z oceaniczną bryzą dmuchającą jakby specjalnie po to, żeby budzić zadowolenie we wszystkim, czego dotknęła. Wstał, okręcił się prześcieradłem w pasie i podszedł do okna. Wynajął willę na rok, ale myślał o kupnie. Leżąca na uboczu posiadłość mogła się poszczycić basenem ze słoną wodą, piwnicą na wino, kortem tenisowym i przebieralnią z leżanką, która służyła do czegoś więcej niż tylko do osuszania się po kąpieli, bo rzadko pływał sam albo w kąpielówkach. Gdyby naszła go chętka na przejażdżkę dla przyjemności, w garażu czekał maserati coupe i ducati. W komplecie z kilkuhektarową posiadłością, która obejmowała pas piaszczystej plaży, dostał kucharkę, pokojówkę i ogrodnika za mniej pieniędzy, niż płacił za mieszkanie w Los Angeles. Wziął głęboki oddech i pomyślał, że mógłby tu spędzić resztę życia.

Nie posłuchał instrukcji Annabelle, która zakazała szastania pieniędzmi, ale nie mógł przepuścić takiej okazji. A kiedy wynajął dom, nie mógł sobie odmówić związanej z tym zabawy. Nie martwił się, że Bagger go znajdzie. Facet nigdy go nie widział. W tej części świata przebywało mnóstwo bogatych młodych ludzi. Był jednym z nich. Był wielki.

Tony usłyszał jej kroki na schodach i wrócił do łóżka, rozwiązując prześcieradło. Kiedy otworzyła drzwi, zobaczył, że przyniosła tacę ze śniadaniem tylko dla niego. To zabawne, sypiała z nim już od drugiej nocy, ale nie chciała z nim jadać. Pewnie dlatego, że była pokojówką.

- Dos huevos, jugo de naranga, tostada y cafe eon leche - powiedziała. Jej hiszpański był przyjemnie śpiewny.

- I ty. - Uśmiechnął się i przyciągnął ją do siebie, gdy postawiła tacę na stoliku przy łóżku. Pocałowała go w usta i pozwoliła, żeby zsunął jej nocną koszulkę bez ramiączek. Tylko to miała na sobie. Pogładził palcami jej pięknie umięśnioną, długą brązową szyję, pogładził nagie piersi, przesunął rękę po płaskim brzuchu i jeszcze niżej.

- Tu no tienes hambre? - wymruczała, pocierając go nogą i muskając ustami jego kark.

- Hambre ciebie - odparł, skubiąc wargami jej ucho. Zerwał się z łóżka, a ona położyła się na wznak. Chwytał jej kształtne nogi i wsunął się pomiędzy uda. Dziewczyna oblizwała



palce, a potem ścisnęła piersi. - Do licha, doprowadzasz mnie do szaleństwa, Carmela! Poderwała się, złapała go za ramiona i pociągnęła na siebie. Trzask drzwi o ścianę sprawił, że natychmiast zapomnieli o bzykanku przed śniadaniem.

Do pokoju weszło czterech wielkich mężczyzn, a za nimi niższy, barczysty, ubrany w dwuczęściowy garnitur i koszulę rozpiętą pod szyją.

- Cześć, Tony, ładnie się urządziłeś - powiedział Jeny Bagger z triumfalną miną. - Naprawdę mi się podoba. Zdumiewające, co człowiek może kupić za cudze pieniądze, prawda?

Usiadł na łóżku, gdy przerażona Carmela próbowała okryć się prześcieradłem.

- Hej, skarbie, nie musisz tego robić - powiedział Bagger. - Jesteś naprawdę śliczna, jak to mówicie, bonita. To prawda. Muy bonita, dziwko. - Skinął na jednego ze swoich ludzi. Mężczyzna wziął Carmelę na rękę, zaniósł do otwartego okna i wyrzucił na zewnątrz.

Wszyscy słuchali przeciągłego krzyku zakończonego głuchym plaśnięciem.

Bagger podniósł z tacy szklankę soku pomarańczowego i wypił powoli jednym długim łykiem. Otarł usta serwetką i powiedział:

- Piję sok pomarańczowy codziennie. Wiesz, dlaczego? Zawiera mnóstwo wapnia. Mam sześćdziesiąt sześć lat, ale czy wyglądam na tyle? Za cholere! Pomocaj ten muskuł, Tony, śmiało. - Naprężył prawy biceps. Tony siedział jak sparaliżowany.

Bagger udał zdumienie.

- Czego się denerwujesz? Bo ta dziwka wypadła przez okno? Nie przejmuj się tym. - Popatrzył na mężczyznę, który wyrzucił dziewczynę. - Hej, Mike, celowałeś w basen, jak w filmie o Jamesie Bondzie? Jaki to był tytuł?

- Diamenty są wieczne, panie Bagger - odparł Mike bez namysłu.

Bagger się uśmiechnął.

- Zgadza się, Diamenty są wieczne. Niech mnie licho, uwielbiam ten chłam z Jamesem Bondem. W tym występowała lala w mikroskopijnym bikini. Było jej widać rowek między pośladkami. Jak jej tam, Stephanie Powers?

- Jill St. John, panie Bagger - poprawił Mike uprzejmie.

- Racja, zawsze myślę te dwie dupy. Dziwki są podobne, gdy nic na sobie nie mają. Zdumiewające.

- Właściwie to nie trafiłem do basenu, panie Bagger - przyznał się Mike.

- Ale próbowałeś, Mike, próbowałeś, to najważniejsze. - Zwrócił się do Tony'ego: - To najważniejsze, prawda, Tony?

Tony był zbyt przerażony, żeby się odezwać.

- Poza tym, czy tak nie jest lepiej, biorąc pod uwagę to, co się stało na dole? Wyobraź sobie, tych dwoje starszków padło trupem na miejscu, gdy tylko weszliśmy. Taka delikatna kruszynka, ta bonita dziwka, nie dałaby rady sama zadbać o ten wielki dom. Wygląda na to, że wyświadczyliśmy jej przysługę, nie sądzisz, Tony?

Tony z wielką trudnością skinął głową.

- Teraz pomocaj mój biceps. Chcę, żebyś poczuł siłę mojego ciała.

Nie czekając, aż Tony przejmie inicjatywę, Bagger zapał jego rękę i przycisnął do naprężonego bicepsa.

- Czujesz, jaki twardy? Teraz rozumiesz, jaki jestem silny? Naprawdę czujesz?

- Proszę mnie nie zabijać, panie Bagger - zaskamlał Tony. - Błagam. Przepraszam. Przepraszam.

Bagger ścisnął mu palce i puścił.

- Daj spokój, nie rób tego, przeprosiny sprawiają, że mężczyzna wygląda na słabego. Poza tym to był wielki przekręt, naprawdę pierwszorzędny. Wszyscy w świecie hazardu wiedzą, że orznięliście mnie na czterdzieści melonów. - Bagger odwrócił głowę i odetchnął

głęboko, żeby się uspokoić. Było widać, że dokłada wielkich starań, aby się powstrzymać przed rozerwaniem młodego człowieka gołymi rękami, przynajmniej przez parę minut.

- Ale najpierw wyjaśnijmy jedną ważną rzecz. Chcę, żebyś zapytał, jak cię znalazłem. Chcę, żebyś wiedział, jaki ja jestem sprytny i jakim ty jesteś pierdolonym tępakiem. Zapytaj mnie, Tony, jak cię wytropiłem? Przecież mogłeś być w dowolnym miejscu tego pieprzonego świata. Jak cię znalazłem? - Bagger złapał Tony'ego za smukłą szyję i przyciągnął go bliżej. - Zapytaj, fiutku. - Żyła tętniła na jego skroni.

- Jak mnie pan znalazł, panie Bagger? - powiedział Tony rwącym się głosem.

Bagger uderzył go przedramieniem w chudą pierś, powalając na łóżko. Wstał i zaczął krążyć po pokoju.

- Cieszę się, że pytasz. Widzisz, suka, która kierowała przekrętem, kazała ci obserwować mnie pierwszego dnia, aby wyglądało na to, że jestem inwigilowany. Dobry widok na mój gabinet roztacza się z dwudziestego trzeciego piętra hotelu, który stoi po drugiej stronie ulicy. Poszedłem tam i dowiedziałem się, kto tamtego dnia zajmował pokoje na tym piętrze. Sprawdziłem każdą jedną osobę z listy. Zatrzymał się i uśmiechnął do Tony'ego.

- W końcu trafiłem na ciebie. Byłeś na tyle cwany, żeby w hotelu nie posługiwać się prawdziwym nazwiskiem, ale popełniłeś błąd, jakiego nie zrobiła ta suka i jej pomagier. Ich nie zdołałem wytropić, bo nie zostawili absolutnie żadnego śladu. - Bagger pogroził mu palcem. - Ale ty poszedłeś na masaż. I poderwałeś masażystkę, która nie miała nic przeciwko, żeby dorobić sobie na boku. Szybko się uwinąłeś, a potem popędziłeś rzygać do łazienki. W tym czasie ta dziwka przetrząsnęła twój portfel i podebrała ci trochę forsy, bo dałeś jej tylko wszawą setkę. Przy okazji zobaczyła prawo jazdy z twoim prawdziwym nazwiskiem. Trzymanie go w portfelu było czystą głupotą, Tony. Myślałeś, że obciążenie druta kosztowało cię tylko sto dolców, ale teraz widzisz, że cena jest znacznie wyższa. Za marne tysiąc dolarów dziwka wszystko mi wyśpiewała. Nigdy nie ufaj dziwkom, Tony. Nawet się nie spostrzeżesz, kiedy cię wykołują.

Usiadł obok Tony'ego, który cicho szlochał.

- Masz reputację, młody człowieku. Spec od komputerów, robisz z nimi wszystko, co chcesz. Na przykład umieścisz szpiega w moim systemie bankowym i ukradniesz czterdzieści milionów. Masz talent. W każdym razie, posmarowałem wiele łap, rozpytałem o twoich przyjaciół, rodzinę, wytropiłem parę telefonów do domu, zabiłem kilku niechętnych do współpracy ludzi i teraz siedzę z tobą na słonecznym wybrzeżu Hiszpanii albo pieprzonej Portugalii czy gdzie tam do diabła jesteśmy. - Poklepał Tony'ego po gołej nodze.

- Dobra, zrzuciłem ciężar z piersi, możemy ruszać dalej. - Skinął na jednego ze swoich ludzi, który wyjął niewielki pistolet z kabury pod marynarką, przykręcił tłumik, wprowadził nabój do komory i podał broń Baggerowi.

- Nie, błagam, nie - jęknął Tony. Bagger uciszył go, wsuwając mu lufę w usta i przy okazji łamiąc dwa przednie zęby. Nacisnął przedramieniem na krtań, przyciskając Tony'go do łóżka, i położył palec na spuście.

- Dobra, Tony, oto reguły gry. Masz jedną szansę. Jedną - powtórzył powoli. - I tylko dlatego, że jestem wspaniałomyślny. Sam nie wiem, czemu. Może mięknę na starość. - Obliznął usta i podjął: - Dziwka. Chcę poznać jej nazwisko i usłyszeć wszystko, co o niej wiesz. Powiesz, będziesz żył. - Rozejrzał się po wielkiej sypialni. - Nie tutaj, nie za moją forszę. Ale będziesz żył. Nie powiesz, i co? - Wyrwał pistolet z ust Tony'ego. Lufę pokrywała krew i kawałki zębów. - Myślałeś, że tak po prostu cię zastrzelę? - Bagger parsknął śmiechem. - Nie, nie, nie tak to działa. Ten sposób jest za szybki. - Podał pistolet ochroniarzowi i wyciągnął rękę. Mike włożył w jego dłoń nóż z ząbkowanym ostrzem.

- Zrobimy to powoli, a mamy w tym ogromne doświadczenie. - Bagger wyciągnął drugą rękę i drugi człowiek naciągnął na nią gumową rękawiczkę. Bagger kontynuował:

- Kiedyś zakładało się rękawiczki tylko po to, żeby nie zostawić odcisków palców. Dzisiaj, zważywszy na wszystkie te choroby i inne gówno, nie można ryzykować. Weźmy na przykład tę bonita dziwkę. Skąd wiesz, czy nie pieprzyła się z każdym muchacho w mieście, zanim ty zacząłeś rznąć jej dupę? Mam nadzieję, że przynajmniej zakładałeś gumkę. Chwyć Tony'ego za penisa i pociągnął. Tony wrzasnął z bólu, ale dwaj ludzie mocno go trzymali. Bagger przyjrzał się i powiedział:

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co ta bonita w tobie widziała. - Podniósł nóż. - Dobra, nazwisko tej suki, gdzie są moje pieniądze i wszystko inne. Jeśli nie powiesz, zacznę od jaj, a potem będzie naprawdę bolało. Jak będzie, Tony? Masz pięć sekund. I gdy raz zacznę ciąć, nic mnie nie powstrzyma.

Tony wymamrotał coś niewyraźnie.

- Co? Nie zrozumiałem.

- A-Ann...

- Gadaj głośniej, dupku, niedostłyszę.

- Annabelle! - wrzasnął.

- Annabelle? Jaka Annabelle? - ryknął Bagger tak potężnie, że ślina trysnęła mu z ust.

- Annabelle... Conroy.

Jerry Bagger powoli opuścił nóż i puścił fiuta Tony'ego. Oddał nóż i ściągnął rękawiczkę. Wstał, podszedł do okna i wyjrzał. Jego spojrzenie ani na sekundę nie zatrzymało się na Carmeli, która wylądowała na kamiennym lwie stojącym przy tylnych drzwiach. Patrzył na ocean.

Annabelle Conroy? Nawet nie wiedział, że Paddy miał dzieciaka. Jak to możliwe? Ale tak musiało być. Klasa oszustów, różnica wieku, jednakowe nazwisko - to wszystko świadczyło, że ona jest jego córką. Mała dziewczynka Paddy'ego Conroya była w jego kasynie, w jego gabinecie, zrobiła z niego głupca i ukradła mu więcej, niż kiedykolwiek ukradł jej stary. To nie do wiary.

Dobra, Annabelle, załatwiłem twoją mamuszkę, teraz kolej na ciebie.

Strzelił kostkami palców, odwrócił się i popatrzył na Tony'ego. Młody człowiek miał zakrwawioną twarz, leżał na łóżku i płakał, przyciskając rękę do podbrzusza.

- Co jeszcze? Powiedz wszystko, a nie przestaniesz oddychać.

Tony powiedział, przytaczając na koniec instrukcje Annabelle, która kazała się przycisnąć i nie wydawać wszystkich pieniędzy w jednym miejscu.

- Powinieneś słuchać tej kobiety - powiedział Bagger. Pstryknął palcami. - Dobra, chłopcy, do roboty. Nie mamy całego dnia.

Jeden z mężczyzn otworzył czarną walizkę. Wewnątrz były cztery kije baseballowe. Trzy podał kolegom, jeden zatrzymał dla siebie.

Gdy podnieśli kije, Tony wrzasnął.

- Obiecał pan, że daruje mi życie. Tak pan powiedział.

Bagger wzruszył ramionami. - To prawda. Gdy chłopcy z tobą skończą, będziesz żył. Ledwo, ledwo. Jerry Bagger dotrzymuje słowa.

Gdy wyszedł, usłyszał odgłos pierwszego ciosu, który złamał prawą nogę Tony'ego w kolanie. Zamknął drzwi, żeby stłumić wrzaski, i pogwizdując, zszedł na dół na filiżankę kawy.

## ROZDZIAŁ 61

Nazajutrz rano w bibliotece rzeczywiście panowało poruszenie. Zabójstwo Normana Jankłowa, dokonane tak szybko po śmierci DeHavena, wstrząsnęło posadami gmachu Jeffersona. Kiedy Caleb zjawił się w pracy, policjanci i agenci FBI już przesłuchiwali

pracowników. Caleb robił wszystko, żeby jak najkrócej odpowiadać na pytania. Sytuację pogarszał fakt, że w bibliotece przebywali również ci policjanci, którzy oddali mu klucze do domu DeHavena. Czuł, że mają go na oku. Czy ktoś go zauważył przy domu Jewell? Czy znaleźli jego odciski palców? Poza tym Reuben został zwolniony na czas, żeby popełnić morderstwo. Czy jego też podejrzewają? Nie sposób było powiedzieć.

Następnie jego myśli skierowały się na książkę *Beadle*, którą zabrała Annabelle. Przyniósł ją dzisiaj. Strażnicy nie sprawdzali osób wchodzących i prześwietlali tylko torby wychodzących gości. Mimo wszystko obecność policji zwiększyła napięcie. Odetchnął z ulgą, gdy przesłuchanie wreszcie się skończyło, i schował broszurę do szuflady biurka.

Kiedy przyszedł konserwator z kilkoma naprawionymi książkami, które należało odłożyć do skarbca, Caleb zgłosił się na ochotnika. Miał doskonałą okazję, żeby zwrócić *Beadle'a*. Wsunął go pomiędzy inne książki i poszedł do skarbca. Odłożył naprawione tomy, a potem udał się do tej części magazynu, gdzie przechowywano powieści groszowe. Kładąc broszurę na półkę, zauważył, że taśma użyta przez Annabelle oderwała rożek okładki.

- Pięknie, myślałby kto, że będzie trochę bardziej ostrożnie obchodziła się ze skradzioną książką. - Musi zanieść *Beadle'a* do działu konserwacji. Wyszedł ze skarbca, wypełnił papiery i wprowadził prośbę o naprawę do systemu komputerowego. Potem przeszedł tunelami do gmachu Madisonsa, starając się nie spoglądać na drzwi pomieszczenia, w którym niedawno stała butla z gazem użytym do zamordowania Jonathana DeHavena. W dziale konserwacji dał książkę Rachel Jeffries, która pracowała dokładnie i szybko.

Po krótkiej pogawędce o najnowszym strasznym wydarzeniu wrócił do czytelnicy i usiadł za biurkiem. Rozejrzał się po wnętrzu, tak pięknym, tak idealnym do kontemplacji, a tak w tej chwili pustym po śmierci dwóch związanych z nim osób.

Podskoczył, gdy drzwi się otworzyły. Wszedł Kevin Philips, wymizerowany i znękany. Rozmawiali przez parę minut. Philips powiedział, że myśli o rezygnacji.

- To za wiele dla moich nerwów - wyjaśnił. - Od śmierci Jonathana straciłem pięć kilogramów. Potem został zamordowany jego sąsiad, a teraz Janklow. Policja uważa, że śmierć Jonathana nie była naturalna.

- Tak, mogą mieć rację.

- Jak myślisz, Calebie, co się dzieje? Przecież to biblioteka. Takie rzeczy nie powinny się u nas zdarzać.

- Chciałbym znać odpowiedź.

Później Caleb rozmawiał z Miltonem, który zobowiązał się do słuchania i czytania wiadomości. Zameldował, że dużo się spekuluje na temat śmierci Janklowa, ale nie podano oficjalnej przyczyny. Jewell English wynajęła dom dwa lata temu. Ze zmarłym wiązały ją tylko regularne wizyty w czytelnicy. English zniknęła. Próba sprawdzenia jej przeszłości utknęła w martwym punkcie. Najwyraźniej nie była osobą, za którą się podawała.

Być może Janklow też nie.

Też mi niespodzianka, pomyślał Caleb, gdy zakończył rozmowę z Miltonem. Za każdym razem, gdy otwierały się drzwi czytelnicy, był spięty. Miejsce, które przez długi czas stanowiło oazę nobliwego spokoju, teraz przypominało powracający koszmar. Chciał się stąd wydostać, dusił się w tym wnętrzu. Dusił się! Boże, co za niefortunny dobór słów. Jednak został, bo to była jego praca, a choć w innych aspektach życia często okazywał się słaby i impulsywny, do obowiązków zawodowych podchodził z całą powagą. Dziś w czytelnicy nie było klientów. I nic dziwnego. Caleb uznał, że dzięki temu nadrobi zaległości, ale stało się inaczej. Nagle zdał sobie sprawę, że umiera z głodu, i postanowił pobiec po kanapkę.

- Pan Foxworth? - powiedział, gdy na ulicy przed gmachem Jeffersona zobaczył wysokiego, przystojnego mężczyznę.

Seagraves z uśmiechem skinął głową.

- Bill, pamiętasz? Właśnie do ciebie szedłem. - W rzeczywistości czekał, aż Caleb wyjdzie z budynku.

- Wyskoczyłem po kanapkę. Jestem pewien, że ktoś inny pomoże ci znaleźć książkę w czytelni.

- Szczerze mówiąc, zastanawiałem się, czy chciałbyś zobaczyć moje książki.

- Co?

- Moją kolekcję. Mam ją w biurze. To tylko parę przecznic stąd. Jestem lobbystą, specjalizuję się w przemyśle naftowym. W moim biznesie opłaca się mieszkać blisko Kapitolu.

- Z pewnością.

- Masz parę minut? Wiem, że proszę o wiele.

- W porządku. Nie będzie ci przeszkadzało, gdy po drodze przekaszę kanapkę? Nie jadłem lunchu.

- Nie krępuj się. Chcę ci też powiedzieć, że mam pięć dni na sprawdzenie dzieł Ann Radcliffe i Henry'ego Fieldinga przed sfinalizowaniem zakupu.

- Wspaniale. Jakie tytuły?

- *Leśny romans* Radcliffe i *Dzieje przygód Józefa Andrewsa* Fieldinga.

- Bardzo dobry wybór. Radcliffe była geniuszem powieści gotyckiej. Ludzie myślą, że dzisiejsze horrory trzymają w napięciu. Powinni czytać Ann Radcliffe. Jej powieści wciąż budzą grozę. Józef Andrews jest natomiast doskonałą parodią Pameli Richardsona. To ironia, Fielding w głębi duszy był poetą, a sławę zdobył jako powieściopisarz i dramaturg. Podobno jego najbardziej popularna sztuka, Tomcio Paluch, sprawiła, że Jonathan Swift roześmiał się drugi raz w życiu. - Caleb zachichotał. - Nie jestem pewien, z jakiego powodu śmiał się po raz pierwszy, choć mam parę teorii.

- Fascynujące - rzekł Seagraves, gdy szli ulicą. - Rzecz w tym, że antykwariusz z Philly, od którego mam książki, mówi, iż są to pierwsze wydania i w liście wymienia typowe cechy, ale naprawdę potrzebuję opinii eksperta. Te książki nie są tanie.

- Wyobrażam sobie. Dobrze, rzucę na nie okiem i jeśli sam nie zdołam ich ocenić, skontaktuję cię z kimś, kto tego dokona.

- Panie Shaw, jestem niewymownie wdzięczny.

- Mów mi Caleb.

Caleb kupił kanapkę w delikatesach przy Independence Avenue, przecznicę od gmachu Madisona, i poszedł z Seagravesem do jego biura.

Mieściło się w kamienicy od frontu, ale musieli wejść od strony bocznej uliczki.

- Zaczęli remont i w holu panuje bałagan. Ale w piwnicy jest winda, możemy jechać prosto do biura.

Seagraves kontynuował rozmowę o starych książkach i swoich nadziejach na zgromadzenie zadowalającej kolekcji.

- To zajmie trochę czasu - uprzedził go Caleb. - Jestem współwłaścicielem antykwariatu w Starym Mieście Alexandria. Powinieneś kiedyś tam wstąpić.

- Z pewnością zajrzę.

Seagraves zatrzymał się przy drzwiach w uliczce, otworzył je i wprowadził Caleba do środka. Zamknął drzwi.

- Winda jest tuż za rogiem.

- Świetnie. Myślę...

Caleb nie powiedział, co myśli, bo nieprzytomny osunął się na podłogę. Seagraves stał nad nim, trzymając pałkę, którą wcześniej ukrył w szczelinie w murze. Nie skłamał, hol od frontu był remontowany i cały budynek został niedawno zamknięty, żeby w tygodniu mogły się zacząć prace budowlane.

Seagraves związał i zakneblował Caleba, a potem ułożył go w skrzyni, która stała otwarta pod ścianą. Zabił wieko i zadzwonił. Pięć minut później furgonetka wjechała w uliczkę. Kierowca pomógł mu załadować skrzynię i odjechali.

## ROZDZIAŁ 62

Annabelle wstąpiła do Stone'a tuż przed świtem i razem pojechali do domu Trenta. Ulokowali się w miejscu, skąd widać było drogę dojazdową. Annabelle zostawiła wypożyczony wóz Reubenowi, a zabrała jego rozklekotanego pick-upa. Lepiej pasował do wiejskiej okolicy niż jej chrysler lebaron z wczorajszej nocy. Ponieważ zostali uprowadzeni, tamten samochód wciąż stał na gruntowej drodze około pięciuset metrów od miejsca, w którym się przyczaili. Annabelle wynajęła inny wóz wieczorem na lotnisku Dullesa.

Stone patrzył przez lornetkę. Było ciemno, zimno i wilgotno, i po wyłączeniu silnika kabina szybko się wychłodziła. Annabelle otuliła się płaszczem. Stone nie zwracał uwagi na pogodę. Zobaczyli tylko jeden przejeżdżający samochód, jego światła cięły mgłę unoszącą się nisko nad ziemią. Skulili się w kabinie. Senny kierowca rozmawiał przez komórkę, popijał kawę i czytał gazetę rozłożoną na kierownicy.

Godzinę później, gdy wstawał świt, Stone powiedział z napięciem w głosie: - Coś nadjeżdża.

Na drodze dojazdowej do domu Trenta pojawił się samochód. Gdy zwolnił, żeby skręcić na szosę, Stone skupił szkła lornetki na kierowcy.

Annabelle rozejrzała się po pustkowiu.

- Będziemy rzucali się w oczy, jeśli za nim pojedziemy.

- Musimy zaryzykować.

Na szczęście minął ich inny pojazd, kombi z mamą i trójką małych dzieci na tylnym siedzeniu. Trent jechał przed kombi.

- To nasz bufor - wyjaśnił Stone. - Jeśli spojrzysz we wsteczne lustro, zobaczysz rodzinę, nic więcej. Ruszamy.

Annabelle wrzuciła bieg i ustawiła się za drugim pojazdem.

Jechali dwadzieścia minut szeregiem bocznych dróg, zmierzając do trasy numer siedem. Po drodze do małej kawalkady dołączyło kilka innych wozów, ale Annabelle trzymała się za kombi, które wciąż jechało za Trentem. Kiedy dotarli do siódemki, głównej arterii prowadzącej do Tyson's Corner, Wirginii i Waszyngtonu, ruch znacznie się nasilił. Ludzie wcześniej zaczynali pracę w stolicy i zwykle już o wpół do szóstej główne drogi były zakorkowane.

- Nie zgub go - przestrzegł Stone.

- Mam go na oku. - Annabelle umiejętnie prowadziła pick-upa, wciąż mając wóz Trenta w zasięgu wzroku. Podążanie za nim było łatwiejsze, bo już się rozwidniło.

Stone popatrzył na nią.

- Wygląda na to, że już śledziłaś ludzi.

- Jak powiedziałam Miltonowi, gdy zadał mi podobne pytanie, szczęście nowicjusza. Jak myślisz, dokąd jedzie Trent?

- Mam nadzieję, że do pracy.

Czterdzieści minut później okazało się, że miał rację. Trent doprowadził ich do Kapitolu. Gdy skręcił na teren o ograniczonym dostępie, musieli przerwać obserwację. Patrzyli, jak opuszcza się automatyczna barierka i wartownik macha ręką.

- Gdyby tylko ten strażnik wiedział, że facet jest szpiegiem i mordercą.

- Najpierw musimy to udowodnić. Tak to działa w demokracji.

- Człowiek niemal żałuje, że nie jesteśmy faszystami, prawda?

- Nie, ja nie żałuję - odparł Stone stanowczo.
- Co teraz?
- Czekamy i patrzymy.

Nawet przed jedenastym wrześniem prowadzenie inwigilacji w pobliżu Kapitolu nie było łatwe, a obecnie graniczy z niepodobieństwem, chyba że człowiek jest sprytny i wytrwały. Annabelle wciąż zmieniała miejsce postoju, aż znaleźli dość bliskie, żeby widzieć wyjście, w którym miał się pojawić Trent, i dość dalekie, żeby gliny ich nie nękały. Stone dwa razy przemykał przez ulicę po kawę i jedzenie. Słuchali radia i trochę gawędzili o swoim życiu, a także próbowali przewidzieć następny ruch.

Milton zadzwonił do Stone'a na komórkę, którą mu pożyczył. Niewiele miał do zameldowania. Policja nie puszczała pary z ust i w konsekwencji media podawały w kółko te same informacje. Stone odłożył telefon, rozparł się w fotelu, napił się kawy i spojrzął na partnerkę.

- Dziwię się, że nie narzekasz na monotonię. Obserwacja nie jest przyjemna.
- Cierpliwość płacą.

Stone się rozejrzał.

- Przypuszczam, że Trent spędzi w pracy cały dzień, ale nie możemy ryzykować.
- Biblioteka Kongresu jest w pobliżu?

Stone wskazał przed siebie.

- Przecznicę stąd stoi gmach Jeffersona, gdzie pracuje Caleb. Ciekawe, jak sobie radzi. Jestem pewien, że dziś była tam policja.

- Może zadzwonisz do niego?

Stone zadzwonił na komórkę, ale Caleb nie odebrał. Zatelefonował do czytelnicy. Gdy zgłosiła się jakaś kobieta, zapytał o przyjaciela.

- Jakiś czas temu wyszedł na lunch.
- Mówił, kiedy wróci?
- A w jakiej sprawie pan dzwoni?

Stone się rozłączył.

- Coś złego? - zapytała Annabelle.
- Chyba nie. Caleb wyszedł na lunch.

Zabrzącał telefon. Stone spojrzął na wyświetlony numer.

To Caleb. - Przyłożył komórkę do ucha. - Gdzie jesteś?

Zesztywniał. Po chwili odłożył telefon.

- Co się stało? - zapytała Annabelle. - Co powiedział?
- To nie był Caleb. To ludzie, którzy go przetrzymują.
- Co takiego?

- Został uprowadzony.

- Boże, czego chcą? I dlaczego dzwonią do ciebie?

- Dostali numer od Miliona. Chcą się spotkać, żeby przedyskutować problem. Jeśli zobaczą policję, zabiją go.

- Co to znaczy, że chcą się spotkać?
- Chcą, żebyśmy stawili się w komplecie, ty, ja, Milton i Reuben.
- Żeby nas zabić?
- Tak, żeby nas zabić. Ale jeśli nie posłuchamy, zabiją Caleba.
- Skąd wiesz, że już tego nie zrobili?
- Powiedzieli, że zadzwonią o dziesiątej wieczorem i pozwolą mi z nimi porozmawiać.

Wtedy powiedzą, gdzie i kiedy ma odbyć się spotkanie.

Annabelle bębniła palcami w sfatygowaną kierownicę.

- Co zrobimy?

Stone przyjrzał się dalekiej kopule Kapitolu.

- Grasz w pokera?
- Nie lubię hazardu - odparła z poważną miną.
- Cóż, Caleb jest ich fulem. Musimy mieć przynajmniej tyle samo albo więcej, żeby grać w tym rozdaniu. Wiem, skąd wziąć potrzebne karty. - Stone wiedział, że jego plan naciągnie do maksimum granice przyjaźni, ale nie miał wyboru. Wybrał numer, który znał na pamięć.
- Alex? Tu Oliver. Potrzebuję twojej pomocy. Bardzo.
- Alex Ford pochylił się w fotelu w waszyngtońskim biurze terenowym Secret Service.
- Co się dzieje?
- To długa historia, ale musisz wysłuchać od początku do końca.
- Kiedy Stone skończył, Ford odchylił się w fotelu i ze świstem wypuścił powietrze.
- Cholera.
- Możesz nam pomóc?
- Zrobię, co w mojej mocy.
- Mam plan.
- Mam nadzieję. Wygląda na to, że zostało niewiele czasu, aby go zmontować.

\* \* \*

Wieczorem Albert Trent opuścił Kapitol i ruszył do domu. Skręcił z trasy numer siedem i bocznymi drogami jechał do swojej odosobnionej siedziby. Zwolnił przed ostatnim zakrętem bo jakiś pick-up zjechał z drogi i z czymś się zderzył. Jadąc ostrożnie, zobaczył radiowóz, ambulans i wóz holowniczy Pośrodku jezdni stał umundurowany policjant, który podniósł rękę, żeby go zatrzymać. Trent opuścił szybę i gliniarz się pochylił.

- Muszę prosić, żeby pan zawrócił. Ciężarówka zjechała z drogi, uderzyła w naziemny regulator ciśnienia gazu. Nastąpił skok ciśnienia. Facet miał cholerne szczęście, że nie wysadził w powietrze siebie i całej okolicy.

- Mieszkam tuż za zakrętem. I w domu nie mam gazu.
- Dobrze, ale muszę zobaczyć jakiś dowód z adresem.

Trent sięgnął do kieszeni i podał funkcjonariuszowi prawo jazdy. Policjant zaświecił latarką i oddał dokument.

- W porządku, panie Trent.
- Kiedy to naprawią?
- To pytanie do zakładu gazownictwa. Aha, jeszcze jedno.

Wsunął rękę przez okno i trysnął mu prosto w twarz czymś z małego pojemnika. Trent zakaszlał i osunął się bezwładnie.

Jak na dany znak, Stone, Milton i Reuben wyskoczyli z karetki. Z pomocą policjanta Reuben wyciągnął Trenta z samochodu i zapakował do auta, którym podjechała Annabelle. Alex Ford wysiadł z ambulansu i podał Stone'owi płócienny plecak.

- Pokazać ci jeszcze raz, jak tego używać?

Stone pokręcił głową.-

- Wszystko kapuję. Alex, wiem, że przegiąłem, i naprawdę jestem ci wdzięczny. Nie wiedziałem, do kogo innego się zwrócić.

- Oliver odbijemy Caleba. A jeśli faktycznie to szajka szpiegowska, o której ludzie poszeptają, i my ją zgarniemy, wszyscy zasłużycie na medale. Kiedy zadzwonią, przekaż nam szczegóły. Mam wsparcie wielu agencji. Wiedz, że nie musiałem zebrać o ochotników, bo wielu facetów ma wielką chętkę przygwoździć tych sukinsynów.

Stone wszedł do samochodu.

- A teraz rozgrywka - powiedziała Annabelle.
- Teraz rozgrywka - zgodził się Stone.



## ROZDZIAŁ 63

Telefon zadzwonił punktualnie o dziesiątej. Stone wraz z resztą grupy czekał w hotelu w śródmieściu. Rozmówca zaczął dyktować warunki, czas i miejsce spotkania, ale Oliver mu przerwał.

- Nie zgadzam się. Mamy Alberta Trenta. Chcesz go z powrotem, dokonamy wymiany na naszych warunkach.

- To nie do przyjęcia.

- Dobrze, w takim razie przekażemy twojego kumpla CIA, a oni nakłonią go do mówienia prawdy. Wyśpiewa wszystko, łącznie z nazwiskami. Wierz mi, widziałem Trenta i wiem, że to nie potrwa długo. Nie zdążysz nawet spakować walizki, a FBI zapuka do twoich drzwi.

- Chcesz śmierci waszego przyjaciela! - warknął mężczyzna.

- Mówię ci, w jaki sposób obaj mogą przeżyć, a ty nie spędzisz reszty życia za kratkami.

- Skąd mam wiedzieć, że to nie podstęp?

- Skąd mam wiedzieć, że mnie nie zastrzelisz, gdy tylko się zjawię? To proste, musimy sobie zaufać.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

- Gdzie?

Stone powiedział mu, gdzie i kiedy.

- Zdajesz sobie sprawę, co tam się jutro będzie działo?

- Dlatego wybrałem to miejsce. Do zobaczenia w południe. I jeszcze jedno, jeśli skrzywdzisz Caleba, zabiję cię własnymi rękami. - Stone rozłączył się i popatrzył na pozostałych.

Milton wyglądał na przestraszonego, ale także zdeterminowanego. Reuben sprawdzał zawartość skózanego plecaka, który dał im Alex Ford. Annabelle patrzyła na Stone'a.

Podszedł do Reubena.

- Jak to wygląda?

Reuben podniósł dwie strzykawki i dwie buteleczki z jakimś płynem.

- Niesamowity towar. Co wymyślą następnym razem?

Stone poszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie na łóżku leżał związany, nieprzytomny Albert Trent. Stał, walcząc z chęcią rzucenia się na śpiącego, który sprawił im tyle bólu. Po chwili wrócił do pozostałych.

- Jutro będzie długi dzień, musimy się trochę przespać. Będziemy zmieniali się co dwie godziny, żeby obserwować Trenta. Ja wezmę pierwszą wachtę.

Milton natychmiast skulił się na kanapie, a Reuben położył na jednym z dwuosobowych łóżek. Obaj zasnęli w ciągu paru minut. Stone wszedł do drugiego pokoju, usiadł na fotelu obok Trenta i wbił oczy w podłogę. Drgnął, gdy Annabelle przysunęła krzesło i podała mu kubek kawy. Wciąż była w dżinsach i swetrze, ale na boso. Przysiadła w fotelu na podwiniętej nodze.

Podziękował jej za kawę i dodał:

- Powinnaś się przespać.

- Jestem nocnym markiem. - Spojrzała na Trenta. - Jakie są szanse, że jutro wszystko pójdzie dobrze?

- Zerowe - odparł. - Szanse powodzenia zawsze wynoszą zero. Wtedy robisz wszystko, żeby zmienić ten stan rzeczy, ale czasami sprawy wymykają się spod kontroli.

- Mówisz na podstawie doświadczenia, prawda?

- A można inaczej?

- Bajerować, jak większość ludzi. Ty tego nie robisz.

Napił się kawy i odwrócił wzrok.

- Alex Ford jest dobrym człowiekiem. W każdej skoczyłbym dla niego w ogień. I skoczę, prawdę mówiąc. Naprawdę mamy okazję wyjaśnić tę sprawę.

- Z przyjemnością zatłukłabym tę małą gnidę- wycodziła, patrząc na nieprzytomnego Trenta.

Stone pokiwał głową i rzucił na niego okiem.

- Wygląda jak mysz, pospolity gryziopiórek, i tym właśnie jest dla większości ludzi. Nie skrzywdziłby muchy. Każę innym robić to za siebie, co jest jeszcze gorsze. Nie widzi okrucieństwa ani nie brudzi sobie rąk. Ludzie tacy jak on ogromnie narażają nasz kraj.

- Wszystko dla pieniędzy?

- Niektórzy twierdzą, że chodzi o sprawę, o przekonania nawet o dreszczyk emocji, ale tak naprawdę zawsze liczą się tylko pieniądze.

Popatrzyła na niego zaciekawiona.

- Znałeś innych zdrajców?

Zerknął na nią z ukosa.

- Dlaczego cię to interesuje?

- Ty mnie interesujesz. - Kiedy się nie odezwał, ponagliła: - Pytałam o innych zdrajców.

Wzruszył ramionami.

- Znałem ich więcej, niż chciałem. Ale nie znałem ich długo. - Wstał i podszedł do okna. - Szczerze mówiąc, większość tylko przez parę sekund, zanim umarli - dodał szeptem.

- Tym się zajmowałaś? Likwidowaniem amerykańskich zdrajców? - Gdy zobaczyła, że sztywnieją mu ramiona, dodała szybko: - Przepraszam, John, nie powinnam tak mówić.

Odwrócił się w jej stronę.

- Chyba zapomniałem powiedzieć, że John Carr nie żyje. Może od tej pory będziemy mówić o Oliverze? - Usiadł, nie patrząc na nią. - Naprawdę uważam, że powinnaś się przespać.

Obejrzała się w drodze do wyjścia. Stone siedział sztywno na pozór obserwując Alberta Trenta. Annabelle nie sądziła, że patrzy na skutego szpiega. Zapewne błędził myślami w dalekiej przeszłości, może rozpamiętując, jak zadawał szybką śmierć złym ludziom.

\* \* \*

Niedaleko od hotelu Roger Seagraves dyrygował swoim zespołem, próbując przewidzieć każdy ruch drugiej strony. Nie wrócił do domu, ponieważ podejrzewał, że Trenta spotkało coś złego. Obaj opracowali system, zgodnie z którym dzwonili do siebie o kreślonej porze, gdy wszystko było w porządku. Tego dnia telefon nie zadzwonił. Uprowadzenie Trenta skomplikowało sprawę, ale nie w sposób nieodwracalny. Oliver Stone z pewnością powiadomił władze. Seagraves zdawał sobie sprawę, że będzie musiał przedrzeć się przez kilka linii oporu w celu odbicia Trenta, o ile ten jeszcze go nie wyspał. Ale zamiast bać się jutra, nie mógł się go doczekać. Dla takich chwil człowiek żyje. I tylko najlepszy utrzyma się przy życiu. Był pewny, że jutro on będzie najlepszy. Równie pewny jak tego, że Caleb Shaw i jego przyjaciele będą martwi.

## ROZDZIAŁ 64

Dzień wstał jasny i ciepły. Stone wraz z przyjaciółmi opuścił hotel. Wynieśli Trenta w wielkim kufrze, który załadowali do furgonetki. W wozie Stone kucnął nad nieprzytomnym i zrobił mu zastrzyk w ramię, używając jednej ze strzykawek. Odczekał dziesięć minut, a potem zrobił zastrzyk drugą strzykawką. Minutę później mężczyzna otworzył oczy. Rozejrzał się dziko i spróbował usiąść.

Stone położył rękę na jego piersi i wyjął nóż z pochwy. Przez chwilę trzymał ostrze nad przerażoną twarzą Trenta, a potem wsunął je pomiędzy policzek i knebel, przecinając materiał.

- Co wy robicie? - zapytał drżącym głosem Trent. - Jestem pracownikiem rządowym. Możecie pójść za to do więzienia.

- Oszczędź sobie, Trent. Wszystko wiemy. Jeśli nie zrobisz niczego głupiego, oddamy cię za Caleba Shawa w miłej, bezproblemowej wymianie. Ale jeśli nie będziesz współpracował, zabiję cię osobiście. A może wolisz spędzić resztę życia w więzieniu za zdradę?

- Nie mam pojęcia...

Stone podniósł nóż.

- Nie to rozumiem przez współpracę. Mamy książkę z szyfrem i dowód, że wystawiłeś Bradleya na śmierć. Wiemy też o Jonathanie DeHavenie i Corneliusie Behanie. Mało brakowało, a dorzuciłbyś mnie i ją do swojego worka, ale uznaliśmy, że nasza godzina jeszcze nie wybiła. - Ruchem głowy wskazała Annabelle, która powiedziała z uśmiechem:

- Jeśli każesz oprychom, żeby w twoim domu rzucali się na ludzi, a potem próbowali ich zamordować, nie stawaj w miejscu, z którego widać twoje odbicie w lustrze. Gdyby to zależało ode mnie, podejrzwałabym ci gardło i wyrzuciła zwłoki na wysypisko. Tam powinny trafiać śmieci, prawda?

Stone rozpiął kajdanki na rękach i nogach Trenta.

- Wymiana jeden za jednego. Dostaniemy Caleba, będziesz wolny.

- Jaką mam gwarancję?

- W podobnej sytuacji jest Caleb, po prostu musisz nam zaufać. Wstawaj!

Trent stanął na drżących nogach i powiódł wzrokiem po ludziach, którzy siedzieli wokół niego w furgonetce.

- Tylko wy wiecie? Jeśli powiadomiliście policję...

- Zamknij się - warknął Stone. - Mam nadzieję, że masz w pogotowiu fałszywy paszport i bilety lotnicze.

Reuben otworzył tylne drzwi i wszyscy wysiedli, otaczając Trenta.

- Boże - powiedział Trent - co tu się dzieje? - Ujrzał przed sobą morze ludzi.

- Nie czytasz gazet? - zapytał Stone. - To Krajowy Festiwal Książki w Mail.

- I marsz przeciwko ubóstwu - dodał Milton.

- Łącznie dwieście tysięcy osób - wtrącił Reuben. - Wielki dzień w stolicy. Czytanie książek i walka o poprawę życia biedaków. - Trącił go pięścią w zębra. - Idziemy, wypierdku, nie chcemy się spóźnić.

Park National Mall, mający ponad trzy kilometry długości, rozciąga się pomiędzy pomnikiem Lincolna na zachodzie i Kapitołem na wschodzie, a otaczają go wielkie muzea i imponujące gmachy rządowe.

W dorocznym Krajowym Festiwalu Książki uczestniczy ponad sto tysięcy ludzi. W Mail stoją namioty podobne do cyrkowych, ozdobione flagami z napisami: beletrystyka, historia, literatura dziecięca, sensacja, poezja i tak dalej. W namiotach pisarze, ilustratorzy, autorzy opowiadań i inni ludzie związani z literaturą skupiają tłumy oczarowane ich prelekcjami i anegdotami.

Na Constitution Avenue odbywał się marsz przeciwko ubóstwu zmierzający do Kapitolu. Później wielu uczestników miało dołączyć do festiwalu książki, na który był wstęp wolny.

Stone z pomocą Aleksa Forda starannie wybrał punkt wymiany. Miejsce znajdowało się w pobliżu Smithsonian Castle przy Jefferson Street. Wokół tłoczyły się tysiące ludzi, gdyby więc gdzieś ulokował się snajper, prawdopodobnie nie miałby dobrej linii strzału nawet z daleka. Stone przyniósł w plecaku urządzenie, które chciał użyć do właściwego zakończenia

misji, gdy Caleb już będzie bezpieczny. Nie miał zamiaru pozwolić Albertowi Trentowi i jego kolegom szpiegom na ucieczkę.

- Przed nami na drugiej, przy stojaku na rowery - powiedział Reuben.

Stone skinął głową. Dostrzegł Caleba, który stał na niewielkim trawniku przy dużej, fantastycznej fontannie. Wysoki do pasa żywopłot trochę osłaniał trawnik przed tłumami ludzi. Za Calebem stali dwaj mężczyźni w kapturach i ciemnych okularach. Stone był pewien, że są uzbrojeni, ale federalni snajperzy, którzy zajmowali pozycje na dachu Castle, bez wątplenia już wzięli ich na muszki. A jednak mieli strzelać tylko w ostateczności. Wiedział też, że Alex Ford jest gdzieś w pobliżu i pomaga koordynować operację.

Stone popatrzył na Caleba, próbując przyciągnąć jego uwagę, lecz w tłumie nie było to łatwe. Przyjaciel miał spanikowaną minę, co go nie zdziwiło, ale wykrył w jego oczach coś, co mu się nie spodobało: rozpacz. Wtedy zobaczył coś na jego szyi. - Boże! - mruknął. - Reuben, widzisz to?

Wielki mężczyzna nie krył przerażenia.

- Sukinsyny!

Stone zwrócił się do Milтона i Annabelle, którzy szli za nimi:

- Stać!

- Co takiego? - zapytała Annabelle.

- Ale... - zaczął Milton.

- Natychmiast! - warknął Stone.

Zatrzymali się. Annabelle wyglądała na urażoną rozkazem Stone'a, a Milton zastygł jak sparaliżowany. Reuben, Stone i Trent szli dalej, aż stanęli przed Calebem i jego porywaczami.

Caleb jęknął, zagłuszając szmer fontanny, i wskazał na coś, co przypominało psią obrożę.

- Oliver?

- Wiem, Calebie, wiem. - Stone wskazał urządzenie i polecił mężczyznom w kapturach: - Zdjąć to. Natychmiast!

Obaj pokręcili głowami. Jeden podniósł czarne pudełko z dwoma przyciskami.

- Dopiero wtedy, gdy będziemy w bezpiecznej odległości.

- Myślicie, że pozwolę wam odejść i zostawić bombę na szyi przyjaciela?

- Rozbroimy ją, gdy tylko odejdziemy.

- A ja mam ci wierzyć?

- Zgadza się.

- W takim razie nie odejdziecie, a jeśli zdetonujesz bombę, umrzemy wszyscy.

- To nie jest bomba. - Mężczyzna podniósł pudełko. - Gdy wcisnę czerwony guzik, otrzyma dawkę trucizny zdolną zabić słonia. Będzie martwy, zanim zdejmę palec z przycisku. Wcisnę czarny, a układ zostanie rozbrojony i będziesz mógł zdjąć obrożę bez uwalniania trucizny. Nie próbuj odbierać mi pilota siłą. A jeśli strzeli snajper, odruchowo nacisnę guzik. - Z uśmiechem trzymał palec nad przyciskiem, patrząc na będącego w rozterce Stone'a.

- Bawi cię to, dupku? - syknął Reuben.

Mężczyzna nie odrywał oczu od Stone'a.

- Zakładamy, że wszędzie są gliniarze, którzy rzucą się na nas, gdy tylko twój przyjaciel będzie bezpieczny. Musisz więc nam wybaczyć, że podjęliśmy środki ostrożności.

- A co cię powstrzyma od naciśnięcia guzika, gdy odejdziecie? - zapytał Stone. - Tylko nie gadaj znów o zaufaniu. To mnie wkurza.

- Mam rozkaz go nie zabijać, chyba że ktoś przeszkodzi nam w ucieczce. Jeśli nas puścisz, będzie żył.

- Jak daleko musisz odejść, żeby dezaktywować urządzenie?

- Niebył daleko. Trzy minuty drogi. Ale jeśli będziemy czekali zbyt długo, wcisnę guzik.

Stone popatrzył na Caleba, potem na wściekłego Reubena i znów na bibliotekarza.

- Calebie, posłuchaj, musimy im zaufać.  
- Boże, Oliver. Błagam, pomóż mi. - Zdawało się, że w tej chwili Caleb do nikogo nie ma zaufania.  
- Pomogę, obiecuję. - Zdesperowany Stone zapytał: - Ile naładowanych strzałek jest w tym cholerstwie?  
- Co? - Mężczyzna wyglądał na zaskoczonego.  
- Ile?  
- Dwie, jedna z lewej, druga z prawej.  
Stone odwrócił się, podał plecak Reubenowi i szepnął:  
- Jeśli mamy umrzeć, nie pozwól, żebyśmy zginęli na darmo.  
Reuben wziął plecak i skinął głową. Był blady, ale spokojny.  
Stone odwrócił się i podniósł lewą rękę.  
- Wsunę dłoń pod obrożę, więc lewa strzałka ukłuje mnie, a nie mojego przyjaciela.  
Mężczyzna był zupełnie zbity z tropu.  
- Wtedy umrzecie obaj.  
- Zgadza się. Umrzemy razem!  
Caleb przestał się trząść i popatrzył prosto na przyjaciela.  
- Oliverze, nie możesz.  
- Caleb, zamknij się. - Stone spojrział na mężczyznę. - Powiedz mi, gdzie wsunąć rękę.  
- Nie wiem, czy...  
- Mów!  
Mężczyzna wskazał miejsce i Stone wcisnął dłoń pomiędzy ciasną obrożę a szyję Caleba.  
- W porządku - powiedział. - Skąd będę wiedział, że została rozbrojona?  
- Gdy czerwone światełko z boku zmieni się na zielone. - Mężczyzna wskazał szkarłatny bąbelek na obroży. - Wtedy możesz ją rozpiąć i nic się nie stanie. Ale jeśli spróbujesz wcześniej, zadziała automatycznie.  
- Rozumiem. - Stone spojrział na Trenta. - Zabierz tę szumowinę i wynoście się w cholerę.  
Albert Trent wyrwał się Reubenowi i podszedł do zakapturzonych mężczyzn. Gdy ruszyli, odwrócił się i wyszczerzył zęby.  
- Adios!  
Stone trzymał rękę pod obrożą na szyi Caleba, wpatrywał się w jego twarz i mówił do niego cichym głosem. Ludzie przystawali i pokazywali sobie tę dość niezwykłą scenę.  
- Oddychaj głęboko, Calebie. To nas nie zabije. Oni nie chcą nas zabić. Oddychaj głęboko. - Stone spojrział na zegarek. Minęła minuta, odkąd mężczyźni odeszli z Trentem i zniknęli w tłumie. - Jeszcze dwie minuty i będziemy wolni. Nic nam nie grozi, wszystko będzie dobrze. - Spojrział na zegarek. - Dziewięćdziesiąt sekund. Trzymaj się. Trzymaj się mnie, Caleb.  
Caleb ścisnął ramię Stone'a w miążdzącym uścisku. Był czerwony i oddychał urywanie, ale stał pewnie na nogach i w końcu powiedział:  
- Już w porządku, Oliverze.  
W ich stronę ruszył podejrzliwy policjant, ale zatrzymali go dwaj mężczyźni w białych kombinezonach, którzy opróżniali kosze na śmieci. Już powiadomili o sytuacji snajperów którzy opuścili stanowiska.  
Tymczasem Milton i Annabelle powoli przesunęli się do przodu. Reuben poinformował ich szeptem, co się dzieje. Łzy popłynęły po przerażonej twarzy Milтона, a Annabelle podniosła drżącą rękę do ust i patrzyła na dwóch trzymających się kurczowo mężczyzn.  
- Trzydzieści sekund, Caleb, zaraz będzie po wszystkim. Stone wbijał wzrok w czerwone światełko na obroży i odliczał sekundy. - Dobra, za dziesięć sekund będziemy wolni.

Razem bezgłośnie odliczyli ostatnie sekundy. Światelko nie zmieniło się na zielone. Caleb, który nie mógł go widzieć zapytał:

- Już mogę to zdjąć?

Nawet Stone'a zaczęły zawodzić nerwy, lecz ani razu nie pomyślał o wysunięciu ręki spod obroży. Na sekundę zamknął oczy, czekając na ukłucie igły.

- Oliver! - zawołała Annabelle. - Patrz.

Stone otworzył oczy i zobaczył w szklanym bąbelku piękną kropelkę zieleni.

- Reuben, pomóż!

Reuben przyskoczył do nich. Razem rozpięli obrożę i zdjęli ją z szyi Caleba. Bibliotekarz osunął się na kolana. Kiedy wreszcie podniósł głowę, złapał Stone'a za rękę.

- Nikt nigdy nie wykazał się większą odwagą. Dziękuję, Oliverze!

Stone powiódł wzrokiem po twarzach przyjaciół i nagle zrozumiał.

- Padnij! - Chwycił obrożę i rzucił ją nad żywoplotem do wielkiej fontanny.

Dwie sekundy później obroża wybuchła, wyrzucając w powietrze gejzery wody i kawałki betonu. Ludzie znajdujący się w pobliżu wpadli w panikę i zaczęli uciekać. Kiedy Stone i jego towarzysze podnieśli się powoli, Caleb zapytał:

- Boże, Oliver, skąd wiedziałeś?

- Yo stara taktyka. Przestaliśmy mieć się na baczności, gdy uznaliśmy że jesteś bezpieczny. A facet powiedział, gdzie są zatrute igły, bo wiedział, że zabije nas bomba, nie trucizna, o ile w ogóle była tam jakaś trucizna. - Stone zabrał plecak Reubenowi i wyjął niewielkie płaskie urządzenie z małym ekranem. Na ekranie szybko przemieszczał się czerwony punkcik.

- Zakończmy to - powiedział.

## ROZDZIAŁ 65

- Weszli do metra na stacji Smithsonian - powiedział Reuben, patrząc na ekran urządzenia, które trzymał Stone Biegli przez Mall, przedzierając się przez spanikowany tłum i niewielkie policyjne blokady.

- Dlatego wybraliśmy to miejsce - odparł Stone.

- Ale metro będzie zakorkowane - zauważył Milton - Jak ich tam znajdziemy?

- Ukradliśmy pomysł Trentowi i spółce. Wiesz, że litery w książce jarzyły się po nałożeniu substancji chemicznej?

- Jasne, a co?

- Wstrzyknąłem Trentowi pewien środek, który dostałem od Aleksa. Substancja wysłała sygnał do tego odbiornika. Można powiedzieć, że facet się jarzy. Dzięki temu możemy wyłuskać go z wielotysięcznego tłumy. Alex i jego ludzie też mają odbiorniki. Przygwoździmy ich.

- Mam nadzieję, że to działa - powiedział Caleb, gdy przebijali się przez fale ludzi. Potarł szyję. - Chcę zobaczyć, jak gniją w więzieniu. I żadnych książek do czytania! Nigdy! To im dobrze zrobi.

Nagle usłyszeli krzyki płynące ze stacji metra.

- Szybko! - krzyknął Stone, gdy wskoczyli na ruchome schody.

Gdy Trent z dwoma mężczyznami czekał na następny pociąg, podeszło do nich od tyłu dwóch agentów przebranych za pracowników technicznych. Nie mieli szans na wyciągnięcie broni, obaj upadli z ranami postrzałowymi w plecach. Roger Seagraves schował pistolety z tłumikami do kabur pod płaszczem. Wrzawa zagłuszyła stłumione strzały, ale kiedy mężczyźni upadli, ludzie zobaczyli krew. Wybuchły wrzaski i spanikowani obywatele zaczęli biegać na wszystkie strony. Jeden z agentów zebrał siły na chwilę przed śmiercią, wyciągnął

broń i strzelił w głowę zakapturzonego. Mężczyzna upadł, a detonator, który dotąd trzymał w ręce, z grzechotem potoczył się po kamiennych płytach.

Na stację wjechał z rykiem jadący na zachód pociąg i wysiadający pasażerowie wpadli prosto w narastający chaos.

Trent i pozostali przy życiu ochroniarz wykorzystali panikę, żeby wskoczyć do pociągu. Seagraves zrobił to samo, ale pchnięty przez ludzi trafił do następnego wagonu.

Stone i jego towarzysze zdołali przedrzeć się przez tłum i wsiedli do pociągu tuż przed zamknięciem drzwi. W wagonie panował tłok, ale Stone spojrzał na urządzenie śledzące i zobaczył, że Trent jest w pobliżu. Rozejrzał się i dostrzegł go w drugim końcu wagonu. Stwierdził, że towarzyszy mu tylko jeden zakapturzony człowiek. Problem polegał na tym, że w każdej chwili Trent albo jego ochroniarz mogli zauważyć ich.

Alex Ford na czele kilku agentów wpadł w tłum na peronie, lecz pociąg już odjeżdżał. Wrzasnął do swoich ludzi i wszyscy opuścili stację.

- Reuben, siadaj, szybko! - polecił Stone. Reuben górował nad wszystkimi i nietrudno było go zauważyć. Odepchnął paru nastoletnich chłopców i usiadł na podłodze. Stone schylił głowę, nie spuszczać oka z Trenta. Zdrajca rozmawiał z ochroniarzem i z jakiegoś powodu trzymał ręce przy uszach. Patrząc w jego stronę, Stone nie widział, że Roger Seagraves obserwuje go przez szybę z drugiego wagonu. Seagraves był zdumiony, gdy zobaczył, że Caleb i pozostali żyją. Szykował się do strzału w głowę Stone'a, gdy pociąg wpadł na następną stację i zahamował z szarpnięciem. Wsiadający i wysiadający pasażerowie uniemożliwili mu czysty strzał.

Pociąg ruszył i szybko nabierał prędkości. Stone powoli przesuwał się w kierunku Trenta. Trzymał w dłoni nóż, chowając ostrze w rękawie. Wyobrażał sobie, jak wbija je po rękojęść w pierś Trenta. Jednak nie taki był jego plan. Chciał zabić ochroniarza, a nie uwalniać zdrajcę od dożywotniej odsiadki.

Stone zbliżał się do celu, gdy jego plany zostały pokrzyżowane. Pociąg wjechał na stację Metro Center i drzwi się otworzyły. Metro Center jest najbardziej ruchliwą stacją w całym systemie waszyngtońskiej kolejki podziemnej. Trent i jego strażnik wyskoczyli na peron. Seagraves zrobił to samo. Stone wraz z resztą grupy znalazł się w wirze pasażerów śpieszących do pociągów, które odjeżdżały w różnych kierunkach na dwóch poziomach stacji.

Stone wpatrywał się w Trenta i zakapturzonego mężczyznę. Kątem oka zobaczył, że dwóch mężczyzn w białych kombinezonach idzie w stronę zdrajcy. Nie widział Rogera Seagravesa, który wyjął z kieszeni mały metalowy przedmiot, zębami wyrwał zawleczkę i rzucił, odwracając się i zatykając uszy.

Stone dostrzegł szybujący w powietrzu podłużny cylinder i natychmiast go rozpoznał. Odwrócił się, wrzeszcząc do Reubena i innych: - Padnij, zakryć uszy! - Parę sekund później granat ogłuszający eksplodował. Dziesiątki ludzi runęły na ziemię, trzymając się za uszy, zasłaniając oczy i wyjąc z bólu. Trentowi i jego ochroniarzowi nic się nie stało. Mieli ochraniacze na uszach i odwrócili oczy od błysku towarzyszącego wybuchowi.

Stone był lekko zamroczony, choć przycisnął twarz do peronu i zakrył uszy rękawami płaszcza. Podniósł głowę i zobaczył przed sobą stopy uciekających ludzi. Gdy próbował wstać, zderzył się z nim wielki spanikowany mężczyzna. Urządzenie namierzające wypadło mu z ręki. Z mdlącym uczuciem patrzył, jak ślizga się po płytach i spada na tory pod koła ruszającego pociągu. Kiedy odjechał ostatni wagon, rzucił się do krawędzi peronu i spojrzał w dół. Koła zmiażdżyły odbiornik.

Odwrócił się i zobaczył, że Reuben zaatakował mężczyznę w kapturze. Rzucił się na pomoc - co nie znaczy, że przyjaciel jej potrzebował. Reuben założył przeciwnikowi półnelsona, podniósł go w powietrze, trzasnął nim w metalowy słup, po czym odrzucił go od siebie. Mężczyzna sunął po śliskim peronie, a ludzie umykali z krzykiem. Gdy Reuben rzucił się za nim, Stone od tyłu podciął mu nogi.

- Co jest, do cholery... - stęknął Reuben, gdy nad jego głową świsnęła kula. Stone zobaczył pistolet i w ostatniej chwili ocalił mu życie.

Zakapturzony mężczyzna podniósł się na kolano i złożył do strzału, ale powaliły go trzy pociski wystrzelone przez dwóch agentów federalnych, którzy przybiegli razem z umundurowanymi policjantami.

Stone pomógł Reubenowi wstać i rozejrzał się w poszukiwaniu pozostałych.

Annabelle pomachała ręką z końca peronu. Obok niej stał Milton z Calebem.

- Gdzie Trent? - krzyknął Stone.

Annabelle pokręciła głową i rozłożyła ręce w bezradnym geście.

Stone powiódł wzrokiem po zatłoczonym peronie. Zgubili go. Nagle Caleb wrzasnął:

- Tam, na schodach! To człowiek, który mnie porwał. Foxworth!

- I Trent! - dodał Milton.

Wszyscy spojrzeli w górę. Na dźwięk przybranego nazwiska Seagraves spojrzął przez ramię i kaptur spadł mu z głowy. Zobaczyli jego twarz.

- Cholera - mruknął. Przeprowadził Trenta przez tłum i razem wybiegli ze stacji.

Na ulicy wepchnął towarzysza do taksówki i podał kierowcy adres. Szepnął:

- Przyjdę tam później. Prywatny samolot wywiezie nas kraju. Masz papiery podrózne i komplet dokumentów. Zmienimy ci wygląd. - Wcisnął w rękę Trenta gruby plik papierów i paszport.

Już chciał zatrzaskać drzwi taksówki, ale nagle znieruchomiał.

- Daj mi swój zegarek.

- Co?

Nie prosił drugi raz. Zerwał zegarek z jego ręki i zatrzaskał drzwi. Taksówka odjechała, przestraszony pasażer patrzył na niego przez okno. Seagraves zamierzał pozbyć się Trenta i chciał mieć coś, co należało do niego. Był wściekły, że musi zostawić swoją kolekcję. Nie mógł ryzykować powrotu do domu. Był również zły, bo nie miał rzeczy należących do agentów, których zabił w metrze. Cóż, zawsze mogą zacząć tworzyć nową kolekcję. Pobiegł przez ulicę w alejkę, wsiadł do vana, którego wcześniej tam zaparkował, i zmienił ubranie. Potem czekał na przybycie pościgu. Tym razem nie chybi.

## ROZDZIAŁ 66

Stone i jego towarzysze wraz z setkami przerażonych ludzi wyjechali ruchomymi schodami ze stacji metra. Szli ulicą bez celu, podczas gdy powietrze wibrowało od ryku syren, a w okolicy gromadziła się mała armia policji, żeby zbadać przyczynę paniki.

- Chwała Bogu, Calebowi nic się nie stało - powiedział Milton.

- Całe szczęście! - ryknął Reuben. Zarzucił rękę na ramiona Caleba. - Do licha, co byśmy poczęli, nie mając komu dokuczać?

- Calebie, jak cię uprowadzili? - zainteresował się Stone. Caleb szybko opowiedział o mężczyźnie podającym się za Williama Foxwortha.

- Powiedział, że chce mi pokazać książki, a potem wiem tylko tyle, że byłem nieprzytomny.

- Posłużył się nazwiskiem Foxworth?

- Takie widniało na karcie biblioteczej, więc musiał pokazać jakiś dokument, żeby ją dostać.

- Bez wątplenia nie jest prawdziwe. Ale przynajmniej wiemy, jak wygląda.

- Co teraz zrobimy? - zapytała Annabelle.

- Wciąż nic rozumiem, kto znaczył litery w książce - powiedział Milton. - Albert Trent pracuje w biurze komisji wywiadu. W jakiś sposób zdobywa tajemnice, a potem je



przekazuje, tylko komu? I jak trafiły do książek w czytelni, gdzie Jewell English i Norman Janklow odczytywali je przez specjalne okulary?

Gdy rozmyślali nad tymi pytaniami, Stone zadzwonił z komórki do Aleksa Forda. Wciąż wypatrywali Trenta, ale Ford poradził im wycofać się z polowania.

- Nie ma sensu, żebyście się narażali - powiedział. - Dość zrobiliście.

Gdy Stone powtórzył jego słowa, Caleb zapytał: - Dokąd pójdziemy? Do domu?

Oliver pokręcił głową.

- Niedaleko stąd jest Biblioteka Kongresu. Chcę tam pójść.

Caleb chciał wiedzieć, dlaczego.

- Bo tam wszystko się zaczęło, a biblioteka zawsze jest dobrym miejscem do szukania odpowiedzi.

Caleb wprowadził ich do gmachu biblioteki, lecz nie do czytelni, która w sobotę jest nieczynna. Gdy szli korytarzami, Stone powiedział:

- Najbardziej ze wszystkiego zbija mnie z tropu czas wydarzeń. - Urwał, zbierając myśli. - Jewell English przyszła do czytelni dwa dni temu i litery w *Beadle* były zaznaczone. Tego samego dnia wieczorem, kiedy mieliśmy książkę, oznaczenia znikły. Bardzo wąskie ramy czasowe.

- To naprawdę dziwne - włączył się Caleb - bo większość książek leży w skarbcach przez lata, nawet dziesiątki lat, i nikt ich nie czyta. Ktoś musiał ponaznaczać litery, a potem poinformować Jewell, o jaki tytuł ma prosić. Jak powiedziałaś, oznakowania zniknęły tego samego dnia. Stone zatrzymał się i oparł o marmurową balustradę. - Skąd ta pewność, że zmieszczą się w czasie? Nie chciałbyś, żeby oznaczone litery były długo widoczne, bo musisz liczyć się z tym, że książka może wpaść w niepowołane ręce. W istocie, gdybyśmy się pospieszyli, przekazalibyśmy książkę FBI przed wyparowaniem substancji. Logicznie rzecz biorąc, musiała zostać spreparowana niedługo przed przyjściem English.

- Tamtego dnia zaglądałem do skarbców, zanim się zjawiała - powiedział Caleb. Nie widziałem nikogo poza paroma osobami z personelu i nikt nie przebywał tam dłużej niż dziesięć, piętnaście minut. Zaznaczenie wszystkich liter musiało zająć znacznie więcej czasu. - Drgnął. - A może ktoś zabrał książkę do domu? Mogę to sprawdzić. W takim wypadku trzeba wypełnić czteroczęściowy rewers. Chodźcie! Czytelnia jest zamknięta, ale sprawdzę z innego miejsca.

Zaprowadził ich do głównego informatorium, porozmawiał z pracującą tam kobietą, a potem wszedł za ladę i zaczął pisać. Po chwili zrobił zawiedzioną minę.

- Nikt nie wypożyczył żadnego *Beadle* 'a, a prawdę powiedziawszy, nikt z pracowników nie wypożyczał książek od paru miesięcy.

Podeszła do nich konserwatorka Rachel Jeffries, której Caleb zaniósł do naprawy *Beadle* 'a z zaznaczonymi literami.

- Cześć, Calebie, nie przypuszczałam, że przychodzisz tu w weekendy.

- Cześć, Rachel, po prostu czegoś szukam.

- Ja próbuję nadrobić zaległości w dziale konserwacji. Wstąpiłam, żeby porozmawiać z kimś o obecnym projekcie. Aha, chciałam ci powiedzieć, że *Beadle*, którego mi dałeś, niedawno został zwrócony do skarbcza po naprawie.

- Co? - zdumiał się Caleb.

- Miał zniszczoną okładkę i parę luźnych kartek. Kiedy spojrzałam na historię konserwacji, z zaskoczeniem zobaczyłam, że książka niedawno wróciła do skarbcza. Wiesz, skąd się wzięły te nowe zniszczenia?

- Kiedy dokładnie została zwrócona? - zapytał Caleb, ignorując jej pytanie.

- Dzień przed tym, zanim ty mi ją dałeś.

- Rachel, zaczekaj chwilę. - Caleb znów zaczął stukać w klawiaturę. Sprawdzał, ile tomików *Beadle* odesłano do konserwacji w ostatnim czasie. Szybko poznał odpowiedź.

- Trzydzieści sześć w ciągu ostatnich dwóch lat - powiedział. Następnie sprawdził, o jakie książki prosili Jewell English i Norman Janklow. Okazało się, że Jewell English zamówiła siedemdziesiąt procent *Beadle*'ów, które były naprawiane w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Co więcej, składała zamówienie dokładnie w dzień ich powrotu z działu konserwacji. Podobnie rzecz się miała z Normanem Janklowem.

Szybko podzielił się wynikami swoich poszukiwań i dodał:

- *Beadle* wymagają częstych napraw, bo były składane byle jak.

Stone, który wybiegł myślą przed innymi, popatrzył na Rachel Jeffries.

- Może nam pani powiedzieć, który konserwator zajmował się tym ostatnim *Beadle*'em?

- Jasne, Monty Chambers.

Oliver pierwszy pobiegł długim korytarzem. Caleb krzyknął przez ramię:

- Rachel, kocham cię.

Zarumieniła się, lecz zdołała odpowiedzieć:

- Calebie, przecież wiesz, że jestem mężatką. Ale może umówimy się kiedyś na drinka.

- Wiesz, gdzie mieszka Chambers? - zapytał Stone, gdy wybiegli na ulicę.

Caleb skinął głową.

- Niedaleko stąd. - Zatrzymali dwie taksówki i pojechali. Piętnaście minut później pojazdy zwolniły, jadąc spokojną ulicą, przy której stały stare, dobrze utrzymane domy. Przed każdym był ogródek otoczony niewysokim ogrodzeniem z kutego żelaza.

- Nie wiem czemu, ale ta okolica wygląda znajomo - powiedział Stone.

- Tutaj jest wiele podobnych osiedli - wyjaśnił Caleb. Wysiedli z taksówek i Caleb zaprowadził ich do jednego z domów. Ceglane mury były pomalowane na niebiesko, a okiennice czarne jak węgiel. Na parapetach stały kwiaty doniczkowe.

- Byłeś już tutaj - powiedział Stone, a Caleb pokiwał głową.

- Monty ma w domu pracownię, naprawia książki na umowy-zlecenia. Podesłałem mu kilka klientów. Naprawił nawet kilka moich książek. Nie mogę uwierzyć, że wmieszał się w coś takiego. Jest najlepszym konserwatorem Biblioteki Kongresu, pracuje od dziesiątków lat.

- Każdy ma swoją cenę, a konserwator byłby idealną osobą do preparowania książek - zauważył Stone, uważnie przyglądając się frontowi domu. - Wątpię, czy go zastaliśmy, ale nigdy nie wiadomo. Podejźmy z Reubenem do drzwi, wy zostańcie tutaj.

Zapukali, ale nie doczekali się odpowiedzi. Stone się rozejrzał. Ulica była pusta.

- Zasłoń mnie, Reuben.

Reuben zasłonił go od strony ulicy. Minutę później zamek się otworzył. Stone wszedł pierwszy, Reuben za nim. Na dole nie znaleźli niczego interesującego. Meble miały swoje lata, ale trudno byłoby uznać je za antyki, na ścianach wisały reprodukcje obrazów, w lodówce leżało trochę starego jedzenia, zmywarka do naczyń była pusta. Dwie sypialnie na górze też nie zawierały niczego ciekawego. W szafie wisały spodnie, koszule i marynarki, w małej komodzie leżała bielizna i skarpety. Wyposażenie łazienki było zwyczajne, choć Stone ze zdziwieniem podniósł i obejrzał parę przedmiotów. Apteczka zawierała typowe lekarstwa i przybory toaletowe. Nie znaleźli nic, co mogłoby wskazywać, gdzie się podział Chambers,

Kiedy zeszli na dół, Annabelle, Milton i Caleb stali w holu.

- I co? - zapytał Caleb niespokojnie.

- Wspominałeś o pracowni? - powiedział Stone.

- W piwnicy.

Zeszli na dół i przeszukali pracownię. Było tam wszystko, co człowiek spodziewa się zobaczyć u konserwatora książek, nic więcej.

- Ślepy zaułek - powiedział Reuben.

Wyjście z piwnicy prowadziło na tyły domu. Stone spojrzął przez okno.

- Wychodzi na alejkę z rzędem budynków po drugiej stronie.

- I co z tego? - parsknął zirytowany Reuben. - Wątpię, czy zdrajca, któremu grunt pali się pod nogami, czeka za domem na federalnych.

Stone otworzył drzwi, wyszedł i rozejrzał się po uliczce.

- Czekaście tutaj! - Pobiegł, skręcił za róg i zniknął. Gdy wrócił po paru minutach, miał roziskrzzone oczy.

- Oliver, co ty, u licha, wyprawiasz? - zapytała Annabelle.

Reuben uważnie przyglądał się przyjacielowi.

- Pamiętałeś, dlaczego to miejsce wygląda znajomo? Byłeś tu wcześniej?

- Wszyscy byliśmy.

## ROZDZIAŁ 67

Stone poprowadził ich na ulicę z rzędem domów, za którymi biegła alejka przylegająca do siedziby Chambersa. Zatrzymał się i spojrzał w górę na coś na budynku, przed którym stanęli.

- Dobry Boże - szepnął Caleb, gdy rozejrzał się i zrozumiał, gdzie są. - Nie rozpoznałem tego miejsca za dnia.

- Zadzwoń - polecił Stone. Caleb zadzwonił i usłyszeli niski głos:

- Kto tam?

Oliver skinął na Caleba.

- To ja, panie Pearl, Caleb Shaw. Chciałem... chciałem porozmawiać o *Bay*.

- Zamknięte. Godziny są wyraźnie wypisane na tabliczce.

- To bardzo pilne. Proszę, nie zajmę panu dużo czasu.

Minęła długa chwila, a potem usłyszeli szcęk. Caleb otworzył drzwi i wszyscy weszli. Zjawił się Vincent Pearl. Był ubrany nie w długi szlafrok, ale w czarne spodnie i białą koszulę. W ręku trzymał zielony roboczy fartuch. Nie krył zaskoczenia, gdy zobaczył, że Caleb nie jest sam.

- Jestem bardzo zajęty, Shaw - burknął ze złością. - Nie mogę rzucać wszystkiego tylko dlatego, że zjawia się pan bez zapowiedzi.

Stone wystąpił przed innych.

Gdzie jest Albert Trent? Na zapleczu?

Pearl wlepił w niego oczy.

- Słucham? Kto?

Stone odepchnął go, otworzył kopniakiem drzwi i wszedł do sąsiedniego pokoju.

Wyszedł po minucie.

- W takim razie na górze?

- Do licha, co pan robi?! - wrzasnął Pearl. - Wezwę policję.

Stone minął go, wbiegł na spiralne schody i skinął ręką na Reubena, żeby do niego dołączył.

- Uważaj, może być z nim Foxworth. - Obaj zniknęli na górze. Minutę później pozostali usłyszeli krzyki i odgłosy szamotaniny. Nagle hałas ucichł. Stone i Reuben zeszli po schodach, mocno trzymając Alberta Trenta.

Rzucili go na fotel i Reuben stanął obok niego. Pracownik biura komisji do spraw wywiadu wyglądał na porządnie poturbowanego, ale Reuben nie przestawał warczeć:

- Tylko daj mi powód, a skręcę ci ten chudy kark.

- Nie mam pojęcia, co wy sobie wyobrażacie - obruszył się Pearl, zarzucając fartuch na ramiona. - Ten człowiek jest moim przyjacielem i przebywa tu na moje zaproszenie.

- Gdzie jest Chambers? - zapytał Caleb. - Też przebywa tu na pańskie zaproszenie?

- Kto?

- Monty Chambers - powtórzył z irytacją.  
- Jest tutaj - oznajmił Stone. Szarpnął mocno Pearlę za brodę, częściowo odklejając ją od policzków. Drugą rękę wyciągnął do gęstych włosów, ale Pearl go powstrzymał.  
- Ja to zrobię. - Ściągnął brodę, a potem perukę, odsłaniając łysinę.  
- Zdejmij poduszkę z brzucha, gumowe dodatki z twarzy, okulary i zapewne kolorowe soczewki kontaktowe, a zobaczysz Monty'ego Chambersa - powiedział Stone. - Jeśli naprawdę chcesz ukryć tożsamość, nie zostawiaj w łazience szamponu i szczotki do włosów. Łysi raczej ich nie potrzebują.

Pearl usiadł ciężko w fotelu i pogładził perukę.

- Myłem włosy i brodę w umywalce, a potem szczotkowałem. Szkoda, ale mówi się trudno. Życie nie jest lekkie.

Caleb wciąż wbijał oczy w Vincenta Pearlę, który teraz był Montym Chambersem.

- Nie do wiary, że się nie zorientowałem.

- Przebranie było naprawdę dobre - stwierdził Stone. - Włosy i broda, inne okulary, odmienna sylwetka, niezwykle ubrania. Wyglądał zupełnie inaczej. Jak sam powiedziałeś, wcześniej widziałeś Pearlę tylko dwa razy. I tylko w nocy, a oświetlenie w antykwariacie nie jest za dobre.

Caleb skinął głową.

- W bibliotece niewiele się odzywałeś, a jak już, to miałeś wysoki, piskliwy głos. Kto był pierwszy, Vincent Pearl czy Monty Chambers?

Pearl zdobył się na nikły uśmiech.

- Naprawdę nazywam się Monty Chambers. Vincent Pearl to moje alter ego.

- Dlaczego? - zapytał Stone.

Z początku Chambers nie kwapił się z odpowiedzią. Potem wzruszył ramionami.

- Teraz pewnie to już nie ma znaczenia. W młodości byłem aktorem. Uwielbiałem się przebierać, grać role. Ale chyba można powiedzieć, że w moim przypadku talent prześcignął możliwości. Moją drugą pasją były książki. Jako młody człowiek praktykowałem u doskonałego konserwatora i nauczyłem się fachu. Zostałem zatrudniony w Bibliotece Kongresu i miałem dobre początki. Ale chciałem również kolekcjonować książki. Pensja mi na to nie pozwalała. Dlatego postanowiłem otworzyć antykwariat. Miałem wiedzę i doświadczenie. Ale kogo przyciągnie skromny konserwator książek? Nie bogatych, a uznałem, że taka będzie moja docelowa klientela. Wymyśliłem więc kogoś, do kogo mieli ciągnąć jak pszczoły do miodu: Vincenta Pearlę, teatralnego, tajemniczego, niezawodnego.

- I którego antykwariat będzie czynny tylko w nocy, żeby nie kolidować z jego dzienną pracą - dodał Stone.

- Kupiłem ten sklep, ponieważ stoi naprzeciwko mojego domu, po drugiej stronie uliczki. Mogłem się przebierać i wchodzić do antykwariatu jako nowy człowiek. Pomysł okazał się doskonały. Z biegiem lat wyrobiłem sobie reputację dobrego handlarza książkami.

- Jak przemieniłeś się z antykwariusza w szpiega? - zapytał Caleb drżącym głosem. - Z konserwatora książek w kogoś, kto zabija ludzi?

- Nic nie mów! - krzyknął Trent. - Nic na nas nie mają.

- Mamy szyfry - powiedział Milton.

- Nie macie - parsknął Trent drwiąco. - Gdybyście mieli, poszlibyście na policję.

- **E, w, f, w, s, p, j, e, m, r, t, i, z.** Mówić dalej? - zapytał Milton uprzejmie.

Wszyscy spojrzeli na niego w osłupieniu.

- Czemu nie powiedziałeś nam wcześniej? - zapytał Caleb.

- Nie sądziłem, że to ma znaczenie, ponieważ nie mamy dowodu. Ale przeczytałem zaznaczone litery, zanim znikły. A kiedy raz coś zobaczę, nigdy tego nie zapomnę - wyjaśnił oszołomionemu Trentowi. - W każdym razie, przyszło mi na myśl, że skoro pamiętam wszystkie litery, władze mogą złamać szyfr, kiedy je wyrecytuję.

Chambers popatrzył na Trenta i wzruszył ramionami.

- Jako Monty Chambers przyjaźniłem się z ojcem Alberta. Po jego śmierci stałem się dla Alberta kimś w rodzaju ojca, jak sądzę, albo przynajmniej mentora. To było przed laty. Albert po studiach wrócił do Waszyngtonu i wstąpił do CIA. Przez lata rozmawialiśmy o szpiegowskim świecie. Potem przeniósł się na Kapitol. Odbywaliśmy kolejne dyskusje. W tym czasie dopuściłem go do swojego sekretu. On niezbyt lubił książki. Przywara, której niestety nigdy nie miałem mu za złe.

- A szpiegostwo? - ponaglił Stone.

- Zamknij się, stary głupcze! - wrzasnął Trent na Chambersa.

- Cicho, młody, pora spać. - Reuben strzelił go prosto w szczękę, pozbawiając przytomności. Wyprostował się i zachęcającym tonem rzekł do antykwariusza: - Mów dalej.

Chambers spojrział na nieprzytomnego Trenta.

- Tak, zastanawiam się, czy faktycznie nie jestem starym głupcem. Słowo po słowie, Albert powiedział mi, że można niezłe zarobić na sprzedaży tego, co nazwał drobnymi tajemnicami. Wyjaśnił, że to nie tyle szpiegostwo, ile zwyczajny interes. Powiedział, że w czasie pracy w biurze komisji poznał kogoś, kto ma kontakty we wszystkich agencjach wywiadowczych i jest bardzo zainteresowany robieniem z nim interesów. Później się okazało, że to bardzo niebezpieczny człowiek. Ale Albert mówił, że mnóstwo ludzi sprzedaje tajemnice, po obu stronach. Coś takiego jest niemal spodziewane.

- A ty mu uwierzyłeś? - zapytał Stone.

- Część mnie nie uwierzyła. Druga część chciała wierzyć, ponieważ kolekcjonowanie książek jest drogą pasją i pieniądze bardzo by się przydały. Teraz wyraźnie widzę, że to było złe, ale wtedy nie wydawało się takie. Albert powiedział, że problem polega na tym, iż wszyscy szpiegowie w końcu wpadają w czasie przekazywania materiałów. Powiedział, że wymyślił sposób obejścia tego problemu, sposób zależny ode mnie.

- Od twoich umiejętności konserwatora białych kruków, twojego doświadczenia i dostępu do Biblioteki Kongresu - dodał Caleb.

- Tak. Przyjaźniliśmy się z Albertem od dawna, nie było więc nic podejrzanego w tym, że od czasu do czasu przynosił mi jakąś książkę; przecież to moja specjalność. Pewne litery w książkach były oznaczone maleńkimi kropkami. Używając chemicznego barwnika, zaznaczałem te same litery w książkach z biblioteki. W inkunabułach, którymi się zajmuję, zawsze podobały mi się pięknie iluminowane litery barwione po zakończeniu procesu drukowania. Były dla mnie prawdziwymi obrazami w miniaturze, liczącymi setki lat, ale dzięki odpowiedniej opiece równie żywymi jak w dzień powstania. Przez lata eksperymentowałem z barwnikami, to było moje hobby. Już nie ma zbytu na tego typu rzeczy. Przyznam, że bez większego trudu sporządziłem substancję do znaczenia liter widoczną tylko przez odpowiednie szkła, które również skonstruowałem. Poza starymi księgami i chemią zawsze fascynowały mnie sposoby wykorzystania światła. Praca w bibliotece sprawia mi wielką przyjemność. - Urwał. - Cóż, raczej sprawiała, bo teraz oczywiście moja kariera dobiegła końca. - Westchnął ciężko. - Z drugiej strony wyglądało to tak, że Albert i jego ludzie zwerbowali „czytelników”, którzy odwiedzali czytelnice z tymi specjalnymi okularami. Jak rozumiem, przychodzili regularnie, nie zawsze po zaszyfrowane wiadomości, żeby nie wzbudzić podejrzeń.

- Starsi ludzie czytający rzadkie książki z reguły nie budzą podejrzeń - stwierdził Stone. - Mogli spisywać szyfry, umieszczać je w staromodnych listach i wysyłać do „krewnych” za granicą. Nawet potężna Agencja Bezpieczeństwa Narodowego ze wszystkimi swoimi superkomputerami i satelitami nie miała szans, żeby się o tym dowiedzieć. To był naprawdę genialny plan.

- Mówiłem Albertowi, która książka jest gotowa, a on umieszczał krótkie zdania na pewnych stronach internetowych, informując czytelników, kiedy mają się zjawić i o jaki tytuł

poprosić. Rano przed ich przyjściem dostarczałem książkę do czytelnicy. Zawsze miałem w naprawie mnóstwo tomów, które swobodnie krążyły po czytelnicy, więc to nie było problemem. Czytelnicy przychodzili, kopiowali szyfr i szli w swoją stronę. Parę godzin później środek chemiczny parował, a wraz z nim zniknęły dowody.

- A ty dostawałeś sówitą zapłatę lokowaną na zagranicznym koncie - podsumowała Annabelle.

- Mniej więcej.

- Ale jak powiedziałaś, Vincent Pearl odniósł wielki sukces. Dlaczego nie zostałeś nim na stałe? - zapytał Stone.

- Jak mówiłem, uwielbiałem pracę w bibliotece. Poza tym zabawnie było wszystkich oszukiwać. Chyba chciałem mieć to, co najlepsze, z obu moich światów.

- Uprawiałeś szpiegostwo, co jest wystarczająco złe, ale te morderstwa! - krzyknął Caleb.

- Bob Bradley, Cornelius Behan, Norman Janklow, pewnie też Jewell English? I Jonathan? Zabiłeś Jonathana!

- Nikogo nie zabiłem - zaprotestował Chambers gwałtownie. Wskazał Trenta. - On to zrobił, on i ten, z kim pracowałem.

- Pan Foxworth - powiedział Stone powoli.

- Ale dlaczego Jonathan? - zapytał Caleb z goryczą. - Dlaczego on?

Chambers nerwowo potarł ręce.

- Kiedyś niespodzianie przyszedłem po godzinach do działu konserwacji i zobaczyłem, jak przygotowują książkę. Znaczyłem litery. Wymyśliłem jakieś wytłumaczenie, ale nie byłem pewien, czy mi uwierzył. Natychmiast powiedziałem Albertowi, co się stało, a niedługo później usłyszałem, że Jonathan nie żyje. Albert potem wyjaśnił, że ponieważ czytelnicy była naszą bazą wymiany, musieli zrobić to w taki sposób, żeby śmierć wyglądała na naturalną. Gdybyśmy stracili czytelnicy, wypadlibyśmy z interesu.

- Wiedziałaś, co się stało, i nie kiwnąłeś palcem? - zapytał Caleb oskarżycielsko.

- Co mogłem zrobić? Zgniłbym w więzieniu.

- I zginięsz - oświadczył Stone stanowczo. - On też - dodał, patrząc na leżącego bezwładnie Trenta.

- A może nie? - powiedział ktoś.

Wszyscy się odwrócili i zobaczyli mężczyznę, który siedział w ich stronę z pistoletami w rękach.

- Pan Foxworth? - odezwał się Caleb.

- Milczeć! - warknął Seagraves niecierpliwie. - Jego spojrzenie zatrzymało się na Trentcie, który zaczął odzyskiwać przytomność.

- Roger, dzięki Bogu - wymamrotał na widok przybysza. Seagraves odparł z uśmiechem:

- Niewłaściwe bóstwo, Albercie. - Strzelił mu w pierś. Trent sapnął i zsunął się z fotela na podłogę. Seagraves wymierzył drugi pistolet w Olivera i Reubena, którzy ruszyli w jego stronę. - Nie radzę. - Wziął na cel Chambersa. - Twoje usługi też już nie są potrzebne. - Gdy Chambers skulił się w oczekiwaniu na uderzenie kuli, Stone stanął pomiędzy nim a Seagravesem.

- Wezwałem policję, już jadą. Jeśli planujesz ucieczkę, najwyższa pora. Okazja się nie powtórzy.

- To naprawdę poruszające. Jedna Potrójna Szóstka polująca na drugą?

Stone lekko zeszywniał. Seagraves się uśmiechnął.

- A więc to prawda. W takim razie znasz pierwszą zasadę naszego fachu: nigdy nie zostawiać świadków. Ale jestem ciekaw, jak to się stało, że zakończyłeś karierę jako cieć na cmentarzu. To wielka degradacja dla kogoś takiego jak ty.

- W zasadzie uważałem to za awans.

Seagraves pokręcił głową.

- Zaoszczędziłbym sobie wielu kłopotów, gdybym cię zabił, gdy miałem okazję. Zepsułeś wielką operację. Ale zgromadziłem dość pieniędzy na dostatnie życie.

- Jeśli uciekniesz - powiedziała Annabelle.

- Ucieknę, nie ma obawy.

- Nie byłbym taki pewien - powiedział Stone, sięgając prawą ręką do kieszeni. - Secret Service i FBI weszły do gry. Jestem pewny, że w tej chwili otaczają to miejsce.

- Już się boję - zadrwił Seagraves.

- Stój! - krzyknął i ręka Stone'a zastygła z czubkami palców w pobliżu kieszeni. - Ręce do góry, stary!

- Co? - powiedział Stone, udając oszołomienie.

- Ręce do góry, Potrójna Szóstko, żebym mógł je widzieć! Natychmiast!

Stone poderwał ręce w powietrze.

Seagraves sapnął i zatoczył się do przodu. Upuścił pistolety i próbował wyciągnąć nóż z szyi. Ale ostrze, które rzucił Stone, podrywając ręce, przecięło tętnicę szyjną. Trysnęła krew, Seagraves osunął się na kolana, potem upadł na brzuch. Powoli przewrócił się na plecy. Gdy wszyscy patrzyli z przerażeniem, Stone podszedł do niego i wyciągnął nóż.

- Ostatnia osoba, którą zabiłem rzutem noża spod ręki, była podobna do niego. W pełni sobie na to zasłużył.

Milton odwrócił wzrok, a blady Caleb staniał się na nogach. Annabelle i Reuben wpatrywali się w śmiertelnie rannego człowieka.

Stone patrzył na niego bez śladu litości.

- Jeśli chcesz kogoś zabić, to zabijaj, nie wdawaj się w pogawędki.

Gdy Roger Seagraves po cichu wyzionął ducha, usłyszeli w oddali syreny.

- Wezwałem Aleksa Forda, gdy zrozumiałem, że dom Chambersa przylega do antykwariatu - wyjaśnił Stone.

- Wiecie, dlaczego to robiłem? - Chambers wreszcie oderwał oczy od martwego Seagravesa. - Dla książek. Aby je kupować, chronić dla przyszłych pokoleń. Za zarobione pieniądze nabyłem kilka wyjątkowych okazów. Naprawdę. - Podniósł głowę i zobaczył, że wszyscy patrzą na niego z odrazą,

Wstał powoli z fotela.

- Coś ci dam, Calebie.

Podejrzliwy Stone wszedł za nim za ladę. Kiedy konserwator sięgnął do szuflady, Oliver chwycił go za rękę.

- Ja to zrobię.

- To nie broń - powiedział Chambers.

- Zobaczymy, dobrze? - Stone wyjął niewielkie pudełko, otworzył, zajrzał i zamknął. Podał je Calebowi. Wewnątrz leżało pierwsze wydanie *Bay Psalm Book*.

- Dzięki Ci, Boże! - krzyknął Caleb z ulgą. Potem zdumiony spojrzął na Chambersa. - Skąd to masz? Nie miałeś kombinacji ani klucza do skarbca.

- Pamiętasz, jak źle się poczułem, gdy mieliśmy wyjść ze skarbca, a ty zaproponowałeś, że przyniesiesz mi wody z łazienki? Gdy tylko wyszedłeś, otworzyłem sejf. Patrzyłem, jak to robiłeś i zapamiętałem szyfr, numer czytelnicy. Zabrałem książkę i schowałem w kieszeni. Kiedy wróciłeś z wodą, zamknąłeś skarbiec i wyszliśmy.

Reuben jęknął.

- Ty idioto, zostawiłeś go w skarbcu samego?

- Przecież nie spodziewałem się, że ukradnie tę przeklętą książkę - burknął Caleb.

Chambers wbił oczy w ręce.

- To był impuls. Kiedy ją zabrałem, byłem przerażony i podekscytowany. Nigdy wcześniej nie zrobiłem czegoś takiego, z klientami postępuję uczciwie. Ale ta książka... Trzymać ją w rękach! - Oczy rozbłyły mu na chwilę, a potem równie szybko pociemniały. -

Przynajmniej mogę powiedzieć, że ją miałem, jeśli nawet tylko przez chwilę. Nalegałem, żebyś zlecił ekspertyzę, bo uznałem, że to odwróci ode mnie podejrzenia, gdy kradzież wyjdzie na jaw.

Annabelle zajrzała do pudełka.

- To ta książka! Więc tu ją trzymał.

Caleb spojrzął na nią z niedowierzaniem.

- Co? Wiesz o niej?

- To długa historia - odparła szybko.

## ROZDZIAŁ 68

Alex Ford i armia agentów zjawili się chwilę później. O dziwo, Albert Trent żył, choć został poważnie ranny. Plik dokumentów w wewnętrznej kieszeni marynarki osłabił siłę pocisku. Zabrano go do ambulansu. Chambers złożył szczegółowe zeznanie, powtarzając wszystko to, co powiedział wcześniej. Gdy go wyprowadzano, zwrócił się do Caleba:

- Proszę, zaopiekuj się *Bay*.

Odpowiedź Caleba zaskoczyła wszystkich, może jego samego najbardziej.

- To tylko głupia książka, Monty, Vincencie czy jak tam naprawdę się zwiesz. Wolałbym mieć żywego Jonathana niż ten plik papieru. - Podniósł beczenny psalterz i bezceremonialnie wrzucił go do pudełka.

Z czasem okazało się, że większość przypuszczeń wysuniętych przez Stone'a i jego przyjaciół była trafna. Bradley musiał zginąć, ponieważ zmuszał Trenta do odejścia z biura komisji, a to uniemożliwiłoby kontynuację na pozór niewinnych kontaktów z Seagravesem. Behan został zamordowany, ponieważ odkrył, że Jonathan został uśmiercony przez dwutlenek węgla skradziony z jego firmy.

Z relacji Chambersa wynikało, że ludzie Trenta, którzy dostali pracę w Fire Control, weszli do skarbca w czytelnicy pod pozorem poprawienia dyszy instalacji gaśniczej i umieścili w przewodzie wentylacyjnym małą kamerę. Annabelle i Caleb nie widzieli tego na przejranych nagraniach, bo rzecz miała miejsce w sobotę, kiedy czytelnia jest nieczynna, a kamera wyłączona. Na szczęście zobaczyli coś ważniejszego: sztuczkę Jewell English z okularami, która ostatecznie doprowadziła ich do odkrycia prawdy.

Człowiek w magazynie z halonem czekał, aż cel znajdzie się w strefie śmierci. Drugiego dnia niestety tak się stało i DeHaven zakończył życie, nie mówiąc nikomu o tym, co widział. Chambers przyznał się, że później poszedł do skarbca i zabrał kamerę.

Milton podyktował litery przedstawicielom Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, a oni złamali szyfr. Stone i jego przyjaciele zdołali się dowiedzieć, że był oparty na wielusetletniej metodzie szyfrowania. Współczesne komputery z ogromną mocą obliczeniową złamały go bez trudu; Seagraves musiał zakładać, że wiadomości nie wpadną w ręce władz, bo nikt nie będzie podejrzewał Monty'ego Chambersa, Normana Janklowa i Jewell English o szpiegostwo. Współczesne szyfrogramy, generowane elektronicznie przy użyciu kluczy złożonych z bardzo długich liczb zabezpieczających przed łamaniem siłowym i atakami komputerowymi, byłyby niemożliwe do umieszczenia w starej książce.

Trent wrócił do zdrowia po postrzale i sypał jak najęty, zwłaszcza kiedy się dowiedział, że rządowi bardzo zależy, aby dostał karę śmierci. Wyjawione przez niego informacje świadczyły, że Roger Seagraves odgrywał główną rolę jako szef kręgu szpiegowskiego. Teraz, gdy FBI wiedziało o udziale Seagravesa, przesłuchano wszystkie powiązane z nim osoby, nawet przelotnych znajomych; przyszłe aresztowania wydawały się nieuchronne.

Agenci przeszukali dom Seagravesa i znaleźli pokój z „kolekcją” Z początku nie mieli pojęcia, co reprezentują zgromadzone przedmioty, a kiedy wreszcie zrozumieli, sprawa



poważnie się skomplikowała, gdyż wiele z nich należało do ludzi, których Seagraves zlikwidował w ramach pracy dla CIA.

Stone wreszcie spotkał się z Fordem, członkami FBI i tymi samymi detektywami, którzy przestraszyli Caleba w bibliotece.

- Wiedzieliśmy, że w mieście działa szajka szpiegowska, ale nie mogliśmy dotrzeć do źródła - powiedział agent FBI. - A już na pewno nie podejrzewaliśmy, że coś złego się dzieje w Bibliotece Kongresu.

- Mieliśmy atut, którego wam brakowało - zaznaczył Stone.

Agent popatrzył na niego podejrzliwie.

- Jaki?

- Utalentowanego bibliotekarza, Caleba Shawa - odparł Alex Ford.

Jeden z detektywów zmrużył oczy.

- Ten Shaw naprawdę jest taki dobry? Na mnie zrobił wrażenie trochę... nerwowego.

- Powiedzmy - zaczął Stone - że w jego przypadku brak odwagi wynagrodzony jest z nawiązką przez...

- Szczęście głupiego? - dopowiedział detektyw.

- Umiejętność zwracania uwagi na szczegóły.

Podziękowali Stone'owi za pomoc, zostawiając otwarte drzwi dla dalszej współpracy.

- Gdyby kiedyś potrzebował pan pomocy, proszę dać nam znać - powiedział agent FBI i podał Stone'owi wizytówkę z numerem telefonu.

Stone schował ją do kieszeni, myśląc: mam nadzieję, że nigdy nie znajdę się w tak wielkiej potrzebie.

Kiedy sytuacja nieco się uspokoiła, wszyscy spotkali się w jego domu. Caleb wyjął psalterz i zażądał prawdy od Annabelle.

Wzięła głęboki oddech i zaczęła wyjaśniać; - Wiedziałam, jak bardzo Jonathan kocha książki. Pewnego dnia zapytałam, jaką książkę chciałby mieć nade wszystko, gdyby to było możliwe. Odparł, że *Bay Psalm Book*. Poczytałam o psalterzu i dowiedziałam się, że wszystkie egzemplarze znajdują się w instytucjach. Jedna z nich wydawała się łatwym celem.

- Niech zgadnę, Old South Church w Bostonie? - zapytał Caleb.

- Skąd wiesz?

- Tam łatwiej się włamać niż do Biblioteki Kongresu albo Yale, przynajmniej taką mam nadzieję.

- W każdym razie pojechałam z przyjacielem do Bostonu i powiedziałam, że jesteśmy studentami piszącymi pracę o słynnych książkach.

- A oni pozwolili wam ją obejrzeć.

- Tak. I zrobić zdjęcia. Potem mój inny przyjaciel, naprawdę dobry w podrabianiu... dobry w robieniu różnych rzeczy...

- Sfałszował psalterz *Bay*? - krzyknął Caleb.

- Wspaniała robota, nie do odróżnienia. - Entuzjazm Annabelle przygasł, gdy zobaczyła jego wściekłą minę, - W każdym razie wróciliśmy do Bostonu i zrobiliśmy małą podmiianę.

- Małą podmiianę? - powtórzył Caleb z bardzo czerwoną twarzą. - Kradzież jednego z największych białych kruków w historii tego kraju nazywasz małą podmiianą?

- Dlaczego nie dałaś DeHavenowi idealnej kopii? - zapytał Stone.

- Miałabym dać falsyfikat człowiekowi, którego kochałam? Odpada.

Caleb opadł na krzesło.

- Nie wierzę własnym uszom.

Zanim zdążył coś dodać, Annabelle szybko podjęła opowieść:

- Jonathan oniemiał, kiedy dostał książkę. Oczywiście powiedziałam mu, że to kopia, którą kazałam dla niego zrobić. Nie wiem, czy mi uwierzył. Być może zadzwonił do różnych

miejsce, żeby to sprawdzić. Jestem przekonana, że doszedł do wniosku, iż zarabiałam na życie w sposób nie całkiem uczciwy.

- Poważnie? To musiał być dla niego prawdziwy szok - warknął Caleb.

Zignorowała go.

- Ale skoro w Bostonie się nie zorientowali, że ich książka jest falsyfikatem, i skoro żaden inny psalterz nie zginął, Jonathan w końcu musiał mi uwierzyć. Był taki szczęśliwy. A to była tylko stara książka.

- Tylko stara książka! - Caleb zbliżał się do wybuchu, gdy Stone położył rękę na jego ramieniu.

- Nie trać pary na przegraną sprawę.

- Przegraną sprawę? - parsknął.

- Odłożę ją - zaproponowała Annabelle.

- Słucham? - Caleb chciał się upewnić.

- Zabiorę książkę i zrobię podmianę.

- Nie mówisz poważnie.

- Absolutnie poważnie. Zamieniłam raz, mogę zamienić ponownie.

- A jeśli cię złapią?

Popatrzyła na niego z politowaniem.

- Teraz jestem znacznie lepsza niż wtedy.- Popatrzyła na Milтона, - Pomożesz mi?

- Jasne! - krzyknął z entuzjazmem.

Caleb był bliski apopleksji.

- Kategorycznie zabraniam ci brać udział w przestępstwie!

- Wyluzuj! - zawołał Milton. - Odłożenie prawdziwej książki na miejsce nie będzie przestępstwem, prawda?

Caleb zaczął protestować, ale po chwili ochłonął.

- Nie, chyba nie.

- Zajmę się detalami - powiedziała Annabelle. - Ale musisz dać mi książkę, Calebie. -

Wyciągnęła rękę.

Natychmiast przycisnął psalterz do piersi.

- Nie mogę jej zatrzymać, dopóki naprawdę nie będzie ci potrzebna? - zapytał, lekko gładząc okładkę.

- Powiedziałeś Manty'emu Chambersowi, że to tylko głupia książka - przypomniał mu Reuben.

Caleb miał żalostną minę. - Wiem. Od tej pory nie zmrzyłem oka. Pewnie przekleły mnie książkowe duszki - dodał ponuro.

- Zgoda - powiedziała Annabelle. - Na razie możesz ją zatrzymać.

Reuben popatrzył na nią z nadzieją.

- Dobra, czy teraz, gdy zabawa skończona, może wyskoczymy gdzieś razem? Może dziś wieczorem?

Uśmiechnęła się.

- Mogę się zastanowić? Ale jestem wdzięczna za propozycję.

- Nie będzie ostatnia, madam. - Ucałował jej rękę.

Po wyjściu Milтона, Caleba i Reubena Annabelle dołączyła do Stone'a, który poszedł pracować na cmentarzu.

Gdy szorował nagrobek, zbierała zielsko do plastikowego worka.

- Nie musisz mi pomagać - powiedział. - Praca na cmentarzu nie pasuje do kogoś takiego jak ty.

Wzięła się pod boki.

- A jak sobie wyobrażasz życie kogoś takiego jak ja?

- Mąż, dzieci, ładny dom na przedmieściu, komitet rodzicielski, może pies.

- Żartujesz, prawda?
- Tak. Co teraz?
- Cóż, muszę zwrócić książkę, żeby Caleb dał mi spokój.
- A co potem?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wybiegam myślą naprzód. - Wzięła drugą gąbkę, uklękła i pomogła mu wyczyścić nagrobek. Później, po kolacji, którą przyrządziła, siedzieli na werandzie i rozmawiali.

- Cieszę się, że wróciłam - powiedziała, patrząc na niego.

- Ja też, Annabelle.

Uśmiechnęła się, gdy użył jej prawdziwego imienia.

- Ten Seagraves nazwał cię Potrójną Szóstką. O co chodziło?

- O to, co było trzydzieści lat temu.

- W porządku. Wszyscy mamy sekrety. Myślałeś kiedyś o przeprowadzce?

Pokręcił głową.

- Człowiek się przyzwyczaja - rzekł krótko.

- Może i tak, pomyślała Annabelle. Siedzieli w milczeniu, patrząc na księżyc w pełni.

\* \* \*

W odległości czterech godzin jazdy na północ Jerry Bagger spoglądał przez okno na ten sam księżyc. Sterroryzował i pobił więcej ludzi, niż mógł spamiętać, a wynik był taki, że jej przykrywki zaczęły się rozpadać. Wreszcie się do niej zbliżał. Niebawem nadejdzie jego kolej. To, co zrobił Tony'emu Wallace'owi, zblednie w porównaniu z tym, co zaplanował dla niej. Myśl, jak własnoręcznie, powoli odbiera jej życie, zawsze skłaniała go do uśmiechu. Znowu panował nad sytuacją. zawsze z zadowoleniem zaciągnął się cygarem i popił bourbona. Bagger z adowoleniem zaciągnął się cygarem i popił bourbona. Przygotuj się, Annabelle Conroy. Nadchodzi wielki, zły Jerry.

## **Podziękowania**

Dla Michelle, tej, która naprawdę sprawia, że to wszystko działa.

Dla Colina Foxa za wspaniałą pracę redakcyjną. Za wiele książek stworzonych razem.

Dla Aarona Priesta, mistrza, dość powiedzieć.

Dla Maureen, Jamiego, Jimmy'ego i całej reszty Hachette Book Group USA za to, że są wielkimi przyjaciółmi i partnerami w interesach.

Dla Lucy Childs i Lisy Erbach Vance za wszystko, co dla mnie robicie.

Dla doktora Johna Y. Cole'a z Biblioteki Kongresu za sprawienie, że Biblioteka ożyła.

Dla Marka Dimunationa i Daniela DeSimone'a z Biblioteki Kongresu za pokazanie mi perły, jaką jest czytelnia dzieł rzadkich.

Dla Diane van der Reyden z Biblioteki Kongresu za oprowadzanie mnie po wydziale. Mam nadzieję, że opisałem go właściwie.

Dla doktor Moniki Smiddy za szczegółowe i wnikliwe informacje medyczne.

Dla Boba Schule'a, mojego czytelnika i konsultanta klasy światowej.

Dla Deborah, która pomaga mi zachować zdrowe zmysły i trzymać się terminów.

Dla Rosemary Bustamante za talenty językowe i za to, że jesteś wielką przyjaciółką.  
Dla Marii Rejt za pomoc z drugiej stronie sadzawki.  
Dla Corneliusa Behana za użyczenie nazwiska. Mam nadzieję, że podoba Ci się bohater.  
I na koniec ku pamięci Roberta (Boba) Bradleya, który nigdy nie zobaczy swojego nazwiska w tej książce, ale który żyje w sercach i pamięci rodzin Bradleyów i Hope'ów oraz wszystkich przyjaciół.